LENORA

Z CYKLU: „CZARNE SKRZYDŁA“

JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO

Niezguła, powieść, Lwów 1911, wyczerpane
Zawody, nowele, wyd. II, Warszawa 1922
Proch, powieść, wyd. II, Warszawa 1921
Zbytki, nowele, Kraków 1914, wyczerpane
Piłsudczycy, wyd. II, Warszawa 1921
Iskry, Wiedeń 1915
Bitwa pod Konarami, Wiedeń 1915
Mogiły, wyd. II, Lublin 1916, wyczerpane
Spotkanie, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane
Łuk, powieść, Warszawa 1919, wyczerpane
Wyprawa Wileńska, Warszawa 1919, wyczerpane
Podpułkownik Lis-Kula, wyd. II, Warszawa 1919
Wianki, Warszawa 1920
Wiosna 1920 roku, Warszawa 1921, wyczerpane
Rubikon, nowele, Warszawa 1921
Generał Barcz, powieść, Warszawa 1923, wyczerpane
Wakacje moich dzieci, nowele, Warszawa 1924, wyczerp.
Przymierze serc, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane
Miasto Mojej Matki, Lwów-Warszawa 1928, wydanie III
W cieniu zapomnianej olszyny (Z cyklu: „Miasto mojej matki"), Lwów-Warszawa, wyd. II
Europa Zbiera Siano, Lwów-Warszawa 1927
Nad Brzegiem Wielkiej Rzeki, Lwów-Warszawa 1928
Rzymianie Wschodu, Warszawa 1928, nakładem Sekcji Bibljofilów Pol. Uniw. Warsz.
Na Progu, Warszawa 1928, Główna Księgarnia Wojsk.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

LENORA

Z CYKLU

CZARNE SKRZYDŁA

POWIEŚĆ

LWÓW, 1928
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH

DRUKARNIA ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE
pod zarządem A. Wierzbickiego

OJCIEC I SYN

1

KING OF ENGLAND

Rzucał się na łóżku, wzywał pomocy, to znów otwierał powieki i ze zdumieniem patrzył przez splątane rzęsy na wysoką ścianę sosnowego lasu, okrytą szronem.

Sosny rozpływały się we mgle i znów, jeszcze raz to samo:

Tadeusz Mieniewski, nie w gimnazjalnym mundurku, lecz w uniformie porucznika artylerji legjonów, mimo, że się to przed wojną odbywa, — zdaje maturę. Patrzy z przerażeniem na twarze komisji egzaminacyjnej. Twarze ryją nosami po papierze i węszą nad zielonem suknem...

W niezrozumiałem wydłużeniu tej chwili dostrzega surowe oblicze ojca. Oblicze to unosi się wysoko, na jednem miejscu, jak balon na uwięzi.

Jeszcze raz przesuwa się przed Tadeuszem ściana oszronionego lasu, — białe, wysokie i ponad wszelką miarę ogromne gałęzie kołyszą szumiącą ciszę, — a oto już za późno!!!

Tadeusz Mieniewski w mundurze porucznika artylerji pada do nóg komisji egzaminacyjnej. Błaga o litość. Profesorowie odwracają się ze wstrętem, inspektor rzuca

delikwentowi na głowę stos książek. Wtedy on, Tadeusz Mieniewski, — w niepojętych susach czasu przedwojenny maturzysta a zarazem porucznik, — nakazuje ogień swej baterji.

Ze wszystkich belfrów pozostaje niepozorna kupka skorup.

Siadł na łóżku. Matura, belfry, baterja, — to przecie tylko sen.

Przechylam się nieodwołalnie, — postanowił Tadeusz, rozcierając zmarznięte ramiona, — na stronę wynalazków.

Dwaj bracia, Tadeusz i Stanisław Mieniewscy, — dwa wynalazki Włazolin i Zaprawa.

Tu je odkryli, stąd, z głupiego Borysławia, oczywiście, po załatwieniu kilku jeszcze technicznych szczegółów, nie zatrzymają się już chyba w zwycięskim pochodzie aż w Australji.

Cała koncepcja rzeczy polegała na spostrzeżeniu, mającem walory amerykańskiej dosłowności:

Ludzie nie zdają sobie sprawy, że główną część życia wypełniają im nogi. Miłość, pośpiech, wojna, turystyka, taniec, sport, — to wszystko nogi!

Tadeusz postanowił wyczerpać dochodowo w płaszczyźnie nóg dwie dziedziny, — taniec i sport. Taniec i sport w połączeniu z danem miejscem postoju, to jest Borysławiem.

— Pomyślno chwilę o tańcu i sporcie w związku z przetworem nafty, — mawiał do młodszego brata. — Co to znaczy taniec? Taniec to nogi w stosunku do posadzki. Tak, czy nie?

Stanisław uznał, że tak.

Jeżeli zaś chodzi o sport w związku z przetworem naftowym? Oczywiście — narty! Właściwa czepliwość nart na śniegu, wywołana odpowiednią „lepliwością“ przetworu.

Tak doszli do owych wynalazków.

Tadeusz patrzył na nie po owym śnie głupim, — z wielką wdzięcznością. Wypisane były w projekcie ogłoszeń na przeciwległej ścianie.

Pierwszy projekt plakatu:

WYRĘKA NARCIARZY — WŁAZOLIN!

Poniżej mieli wypisać jakąś zagraniczną nazwę, niewymyśloną dotąd, bardzo potrzebną, któraby dodała wynalazkowi międzynarodowego sensu. Na nazwę tę czekały grube, pięknie wygięte nawiasy, machnięte sepją przez afisz.

Pod pustemi nawiasami szły kraje północne: Szwecja, Norwegja, Finlandja, ewentualnie Spitzberg i Danja, co do której należało wkońcu sprawdzić, czy ma jakieś góry?

Słowem kraje, pozostające już pod przyszłą władzą Włazolinu. Obok projektu ogłoszenia wisiała jubileuszowa fotografja ojca. Tadeusz patrzył na nią ze wzruszeniem. Nie dlatego, iż z punktu widzenia myśli politycznej oceniał ją, jako przecięcie stalowych a nieugiętych płaszczyzn.

Nie dlatego też, że obaj z bratem potrzebowali od starego pieniędzy.

Ale, — miło ci chyba będzie, stary, gdy nareszcie

dzięki takiemu oto głupiemu nawet może wynalazkowi przestaniesz użerać się z synem o parę groszy!

Tyś jest poseł, dygnitarz, leader, — a my sobie będziemy byle czem. Daj Boże zdrowie!

WŁAZOLIN — ZAPRAWA

Projekt afisza Zaprawy, ze względu na sam tytuł był o wiele trudniejszy od Włazolinu. Zaprawa brzmiała starożytnie (Piastem może nawet trąci), mogło wojnę nawet przypominać (wyprawa) a ostatecznie tyczyło się posadzki.

Trudność tkwiła w połączeniu etnicznych pierwiastków z nazwą odpowiednio obcą i taneczną.

— To nic. Zestawmy odcienie: orzech, mahoń, cytryna, limba, cedr, sosna, czeczot, dąb. Heban, modrzew, palisander. — Tadeusz liczył głównie na heban. — Przeciętny burżuj pęknie z uciechy, jak mu zaciągniesz hebanowe posadzki.

Stanisław nie był za umieszczaniem całego punktu ciężkości w hebanie: — Będzie z tem, jak z czarną bielizną damską. Efemeryda! Szło trochę z początku, ale wiadomo z doświadczenia, — nie utrzymało się.

— Natura, — Stanisław był poniekąd przyrodnikiem, — lubi nawet w kontrastach porządek. Cóż tu dużo gadać? Jak ci pokażę coś różowego, to nie czarne widzisz w myśli dokoła, a bieliźniano-białe!

— Efemeryda? — Zaróbmy-no my na hebanie, — odgrażał się Tadeusz — ile w danym momencie zarobili fabrykanci na czarnej bieliźnie. Proszę bardzo, niech sobie po jakichś dwóch latach nasz heban wyjdzie z mody. Jeżeli uda się zaskoczyć, — ręczę ci, nim się

ludziom znudzi oglądać swój pysk w podłodze na czarno, będziemy za te pieniądze kończyli pierwszą podróż naokoło świata. O co chodzi w tem życiu? O drobiazg, o jakieś komiczne, poczciwe ułatwienie?! Czyż nie?!

WŁAZOLIN — ZAPRAWA

Dwaj bracia, — dwa afisze, — dwa niskie tapczany, — rozwłóczone po podłodze fajerki, — zachlapana kuchenka, — dwa huculskie garnki. W nich właśnie pierwsza próba wynalazku pojedzie dziś w świat. Trochę broni nad portretem ojca skrzyżowanej, za oknem obojętny las, zimno, licha derka, zamiast uczciwej kołdry. Tadeusz dodawał jedno do drugiego, sumował pobłażliwie, przebaczał ubóstwu, dziękował przykremu opuszczeniu, bo czyż to wszystko razem nie jest właśnie, — typową w świat odskocznią?!!

W koszuli nocnej wyskoczył na podłogę. Mimo, że z otwartego okna ciągnął jesienny ziąb, rozpoczął gimnastykę.

System Müllera.

System Müllera, oraz ćwiczenia własnego układu, utrzymujące ciało w gotowości do wszelkich sportów.

Gimnastykował się naprzeciw starego lusterka, zdobytego jeszcze podczas wielkiej wojny w jakimś wołyńskim dworku. Chodziło o kontrolę. Czy wszystkie mięśnie odpowiedzialnie funkcjonują?

W zwietrzałej szybie zwierciadełka, na tle ciemnych, nieruchliwych sosen ukazywały się to wyprężone ramiona, to długie, świetne nogi, to znowu gors wypukły, wybornie podcieniony mięśniami.

W pewnej chwili Tadeusz lekko poklepał gładką lustrzaną taflę. Poklepał ją z wdzięczności za swe ciało, suche, lśniące, gładkie w dotknięciu, jak szkło.

I znów ćwiczył. Nagle, — gwiazda wirujących w szybce ramion znikła, tylko dołem, tuż nad srebrną ramką sunął szczyt pochylonego grzbietu.

Tadeusz, wedle zasady angielskich trenerów biegał po pokoju na czworakach.

Razem z napływem krwi wpadła mu do głowy myśl zasadnicza:

Przyskoczył do półki i wywalił z niej całą baterję ospałych tomów prawa na podłogę.

Nareszcie! Sprawa wszelkich uniwersytetów rozwiązana...

Z odgłosem ciężkich książek, jakgdyby cały łańcuch żmudnych, szarych lat rozkruszył się i rozwiał bez reszty. Została tylko radość. Płocha i nieopatrzna. Tem milsza właśnie!

Uśmiechnął się zalotnie do fotografji ojca: — I tak, stary, nie dawałeś dość pieniędzy!

Przywdział znoszony płaszcz żołnierski. Nie troszcząc się już o rozkraczone książki, z browningiem w kieszeni, z dzirytem własnego wyrobu w dłoni, wyszedł na ganek.

Zatrzymał się tu, aby ostatni raz przed wyjazdem objąć spojrzeniem miejsce, od którego, — zacznie się nowa era.

Na dole, w lesistej kotlince stał szyb amerykański, pensylwański, wspaniały. Nie galicyjsko-kanadyjska łataninka, lecz gmach pędzony elektrycznością. Wszystko

strzeliste, w kształcie celowym streszczone, lekkie a ogromne.

Dwa dni temu urwał się tam świder. Robotnicy instrumentowali teraz, żeby wydłubać stalowy ułomek z kilometrowej głębiny ziemskiej.

Po niebie pędziły chmury szare, ciekłe, na sosnach darła się mgła. Z przybudówek, z nasady wież drewnianych pykały kłęby pary.

Tadeusz dostrzegł brata na dole, koło kuźni. Z płomienisk, niby z krwawych ran krople, pryskały iskry na podwórze. Prószyły czerwonym deszczem między ludzi, na których czele łaził z miejsca na miejsce olbrzymi wiertacz, Amerykanin.

— Taki byk bierze dwadzieścia dolarów dziennie, — pomyślał Tadeusz i złowieszczo błysnął dzirytem.

Byk w brezentowym kitlu, podobniejszy do ryby opiekłej, niż do człowieka, sunął przez podwórze, waląc młotem w porozkładane żelastwo.

Bracia skrzyknęli się, że konie będą za godzinę, i Tadeusz, jak codzień, poleciał na swój trening w góry.

Silna wola — grunt: — przerobił wszystkie rzuty dzirytem, na wypadek nagłego napadu strzelanie, bez wyjmowania browninga: — prosto przez płaszcz, z kieszeni od spodni.

W niespełna półtora godziny później siedzieli w mieście, w restauracji klubowej, z rozłąki smutni, oczekiwaniem, rozstania znudzeni.

Jedli.

Tadeusz gadał nieustannie.

— Widzisz tego fagasa w zaplamionym surducie, sto-

liki suchotnicze, tych gudłajów jakichś, żrejących obok, patrzysz na ten bufet odrapany i przyznaj, czy nie czujesz się poprostu skazańcem?

— Może trochę za dużo?

— Nie za dużo, bracie. Praktykujesz, — potem odwalisz, bracie, resztę politechniki, potem wiercić tu będziesz — i co? Nic. Gdybym został prawnikiem, byłoby to samo. Tak, czy inaczej, będą cię tu silniejsi od ciebie okradali. A ich znów inni. Bez końca. Gdy tymczasem... —

Łzy zakręciły mu się w oczach. Proste, łatwe, z czystości sumienia płynące. Szczera, miła szlachetność dopraszała się głosu, — nie znaleźć go w tym świecie. Cały świat jest skazańcem!

Nie mogli się pogodzić. Stanisław uznawał jednak niektóre wartości, jako pewne. W pewności można znaleźć ostoję.

Wobec tego Tadeusz położył zegarek na brudnej serwecie i polecił — obydwom, jako sytuacji, — trzy minuty bez przerwy patrzeć w okno.

Rodzaj doświadczenia.

Patrzyli.

— Błoto. — Konstatował dosłownie Tadeusz, — Policjant z teczką papierów. — Baba wstąpiła do sklepiku. — Dwaj chłopi. — Powóz. — Jedzie pan dyrektor. A teraz?

Liczył sekundy do czterdziestu, ośmdziesięciu, — nikt nie jechał, nikt nie szedł. Tłuste błoto lśniło na gościńcu.

— Nic się nie dzieje.

Patrzyli na siebie niechętnie, w wytrzeszczonych źre-

nicach znajdując wzajemne podobieństwo. Te same ptasie twarze, krogulcze nosy ojca, zmysłowe wargi i gorące oczy matki.

Rzecz taka możliwa jest tylko pomiędzy braćmi: Obrzydzenie, płynące z najdroższego podobieństwa.

— Jesteś idjota, — obruszył się Stanisław.

— Nie. Każdy, kto przerwie swe zajęcie i bodaj trzy minuty popatrzy przytomnie na to, co go otacza, — wierz mi, — zawyje z przerażenia! Trzy minuty ścisłości, — „buddystyczne“ trzy minuty. Dlatego — górą nasze wynalazki.

— Żeby tylko ojciec chciał dać pieniądze.

— Niech nas spłaci, — grymasił Tadeusz, — z rozkoszą sprzedam mu synostwo.

— Ja też.

Powiedzieli i żal im się zrobiło. Całe życie ojca leżało poniekąd, jak na dłoni. Wynikał z tego gorzki smak przeszłości, wiara niedotrzymana, wątpliwy szacunek i obojętna wielkość.

— Trzeba te sprawy, — prowadził naradę Tadeusz, — brać z ołówkiem w ręku. Owszem, niema w Polsce jednego domu robotniczego, żeby sobie tam ojciec nie wisiał w lakierowanych ramkach. Wiemy to i umiemy aż nadto dobrze. Idąc jednak do rzeczy od strony buchalterji?

Zaczęli liczyć przypuszczalne dochody ojca. Diety poselskie, pensję redaktorską jedną, drugą. Tu i tam jakiś udział? Chyba też — jakieś mocne akcje?

Cyfry sumowali na zatłuszczonym rachunku restauracyjnym.

— Ojciec może dać akurat, ile nam trzeba do pchnięcia wynalazków naprzód. Wtedy raz na zawsze spadamy mu z karku.

Stanisław nie był za natychmiastowem spadaniem z karku.

— No, więc ja kwituję z uniwersytetu, a ty się będziesz dalej trzymał się nafty. Liczmy teraz wydatki. Ileż go kosztuje dom?

Domem nazywano matkę, żyjącą cierpliwie w pięciu dawnych, jakże dawnych pokojach. Finansowo, — dom nie był wcale groźny.

— Bierzmy dalej, — idylla...

Tę stronę ojcowskiego życia, czyli związek z inną kobietą nazywali dla ścisłości idyllą, lub obszerniej, — izdebką z pelargonją.

Tadeusz wzruszył ramionami: — To też nic nie kosztuje. Zostaje ojcu jeszcze kupa floty!

Płacąc rachunek kelnerowi, powtarzał machinalnie: — Kupa floty.

Stanisław z papierosem w ustach przypominał jeszcze raz instrukcję chemiczną: Jak konserwować wynalazki.

Wstali. Każdy z huculskim garem przetworu, starannie zapakowanym w gazetę. Wyszli.

— Jestem pewien, — rzekł Tadeusz w jęczących drzwiach lokalu, — żem tu był ostatni raz w życiu. Teraz — w świat.

Ustawili gary pod siedzeniem bryczki, stangret poderwał konie.

Niebo wisiało nad drogą szare, ciężkie, deszcz za-

cinał ukośnie, do małych domków, jednopiętrowych biur, budek i spróchniałych parkanów lepiły się wciąż świeże grudy. Środkiem drogi przelewało się błoto wysokie, gęste, szczelne, niby jakoweś ciało obrzydłe, brudne i nieobliczalnie — samowolne.

Pod drewnianemi chodnikami rwała tęczowa woda, przez pół z naftą. Ze wszystkich gór sąsiednich fukały głośno białe stożki pary.

Stanisław odgrodził się kocem. Może lepiej odgrodzić się właśnie? Przyszło mu na myśl, że jeżeli Tadeusz wyłamie, zbuntuje się, to ojciec, chociażby dla przykładu tylko, skupi wszystkie wysiłki na pozostałym synu.

— Możesz ojcu powiedzieć, — zaczął, — że pomagałem ci o ile chodzi o skład chemiczny twoich wynalazków. Tak, owszem. Ale jeżeli chodzi o przeprowadzenie rzeczy i o nasze warunki, — nie stawiam żadnych. Zachowuję neutralność.

Cztery tygodnie razem tu pracowali, teraz w ostatniej chwili Stanisław wyłamywał. Nie mogły przecie tego osłonić słowa półgębkiem dodane o ryzyku, czy też obowiązkach wobec Naftowego Towarzystwa.

Ale Tadeusz? — Objął brata, mocno do siebie przyciągnął i, na ile tylko pozwalało chybotanie bryczki, kołysał w serdecznym uścisku. W takich bowiem chwilach gorzkich otwierała się w Tadeuszu, jakby brama jakaś ogromna, prowadząca do wesołych uczuć przebaczenia.

Bryczka wyjechała już z miasta i grzęznąc po osi, szła przez nagi wydmuch, tam i sam osłoniony wrosłemi w grunt po okna chałupami górników. W szklanych wróbelkach na telegraficznym słupie piszczał cie-

kły głos jesieni, na drutach drżały zlepione kosmyki roślinnych ostatków.

Bracia patrzyli sobie w oczy. Ze zmrużonych źrenic wiatr pędził im łzy. Pierwszy zaśmiał się Tadeusz, otwarcie, jasno, pełną braterską zgodą.

Wtem, od strony chałup wypadł powóz w dwa siwki zaprzężony, wachlarze brudnej wody przed siebie miotający, pełen pisku kobiecego i śmiechu. Gdy się mijali, bryznęło z pod kół Stanisławowi za kołnierz, Tadeusz ciężką pecyną błota dostał prosto w twarz.

— Dla Amerykanów dziwki wiozą, — stwierdził statecznie furman.

— Nie wiesz? Po każdej wypłacie wyjeżdża od nas z szybu pusty powóz. — Stanisław referował przedmiotowo. — Kobiety znają już nasz zaprząg. Które chcą wsiadają, jadą prosto na górę, tam naprzód wykąpią się — i już gotowe. To, bracie, nie buddystyczne trzy minuty a amerykańskie dolary.

Tadeusz otarł twarz z błota i naciągając stare, wojskowe jeszcze rękawice: — Ale mamy właśnie tytuł dla Włazolinu! — zawołał. — Z dalekiej drogi, za cudze pieniądze przyjechawszy, walić w zęby i kazać sobie za to grubo płacić. Nasz tytuł: *King of England.*

Myśleli nad tą nazwą, chodząc po stacji. Czy międzynarodowe stosunki pozwalają na nazwę angielską?

Tadeusz nie chciał już o żadnej innej słyszeć. Z huculskiemi garnkami na rękach, wołał do brata z okna trzeciej klasy przez śnieg:

— *King of England!* Doskonałe! Anglosas w szkocką kratkę!

2

IZDEBKA Z PELARGONJĄ

Obudził się na dworcu w Warszawie w pustym już prawie pociągu. Słychać było donośne stukanie po osiach i gdzieś na przodzie cichnący syk maszyny. Za oknem złociła się lotna słoneczna przestrzeń, zamknięta ciemnemi murami.

— *King of England* — trysnęło w myśli Tadeusza przez olbrzymie szare ściany domów.

Fenomenalne głupstwo!

Otulił gary, zabrał walizkę i poszedł — na Warszawę. Zawcześnie, by już dzwonić do izdebki z pelargonją.

Krążył po zaśmieconej Marszałkowskiej, dwie przecznice w lewo, dwie w prawo. Nareszcie otwarto jakąś knajpinę na Nowogrodzkiej. Zasiadł przy krzywonogim stoliku, podano mu cienką kawę, w której wirem czarnych fusów jakoby noc jeszcze pływała. Upiwszy nieco, zaczął list do brata:

„Warszawa. Nie pamiętam którego. Kawiarnia przy Dworcu Głównym.

Trzeba sprawdzić, czy ma być w tytule *King*

of England, czy też *the King of England*? Należałoby zapytać o to, chociażby tego dwudziesto-dolarowego byka. Jak ma brzmieć w tytule? Pozatem nic się jeszcze nie stało, ale jeżeli chodzi o pewność, — to pewność jest.

Co do ojca: Wszystko to wie się już oddawna, a przy każdej okazji jakby się znów wszystko od początku zaczynało. Tragedja miłości rodzinnej. Ale — rozmówię się stanowczo".

Na schodach danego domu, w danej oficynie strach Tadeusza obleciał: zadawniony, kochany, wierny strach małego chłopaczka, który idzie do ojca.

Tadeusz postawił gary na podłodze sionki i trzymając w ręku zalotnie walizeczkę, — zadzwonił. Pod numer mieszkania siódmy, z miedzianą, błyszczącą tabliczką na drzwiach:

ANNA CHYLICKA

Po długiej chwili odezwały się kroki. Przedreptawszy w kilku kierunkach, zatrzymały się u drzwi, wydając dyszkantem:

— Czy to mleko?

— To ja, — Tadeusz.

— Jedna chwila, — bo poseł wyjechał.

Spuszczony łańcuch warknął, w uchylonych drzwiach pokazała się blada twarz kobiety. Ścięli się twardem, krótkiem spojrzeniem.

Podobna była do matki Mieniewskich. Ten sam typ drobny, mały, ten sam skład postaci. Podobna, — ale młodsza.

Oczywiście, — uznał trzeźwo Tadeusz, — świeższy typ tejsamej, łącznej serji.

Panna Chylicka zakrywała się zewsząd. Nigdy nie mogła się przyzwyczaić szczerze do tych synów.

— Zapewne miód dla posła? — Wskazała oczyma gary wysoko podkasane. Usta jej wykrzywił uśmiech gorzkiej uprzejmości.

Nazywało się *go* zawsze posłem.

— Dziesięć razy lepiej, niż miód. — Tadeusz podniósł gary z ziemi.

Panna Chylicka wyciągnęła po nie ręce.

Nie oddawał przetworu, zapatrzony w sufit: Przez rozchylone poły szlafroka widać było koszulę.

— Mocny Boże! — Pani domu wpuściła gościa do przedpokoju i majacząc ranną odzieżą w ciemnym korytarzu, uciekła.

Tadeusz rozwalił się na staroświeckiem karle, w kącie gabinetu. Izdebka, — i to było może ze wszystkiego najpotworniejsze, — przypominała mu zamierzchły czas rodzinny: Kilka pierwszych wakacyj, spędzonych u dziadka Mieniewskiego.

Szlachta, — psia krew. — Wymyślało się na to zawsze, — z wielką dumą. Tadeusz przejęty pierwszemi szczepieniami socjalizmu doradzał nawet kiedyś ojcu zmianę nazwiska: Zamiast Mieniewski, — Mieniuk. Bądźmy sobie z parobków.

I tu, — dworek: Takie — same dziedziczne mebelki. Portrety, zakopcone malunki. Stojaczki z laki, z wytłaczanym bukietem niezapominajek. Pamiąteczki. Wyle-

niałe kanapki. Ruszyć się nie można, żeby nie zahaczyć o jakieś podręczne pieścidła.

Na wsi wisiał kwadratowy portret dziadka na głównej ścianie. A tu, na głównej ścianie, wielka, jubileuszowa, partyjna fotografja ojca.

Pod oknem brzuchaty sekretarzyk.

Tadeusz wstał, opukał drzewo, — ze względu na Zaprawę obchodziły go wszelakie gatunki fornirów. Rzucił okiem na otwartą stronicę skryptu i zaczął czytać. Miejsca obojętne pisane były charakterem kobiecym, (napewno Chylickiej), inne, widocznie ważniejsze, szły w autografie.

Kształt liter ojcowskich, drżących już może trochę, poszczerbionych, wzruszył Tadeusza do głębi. Pamiętał przecie to pismo, — od iluż lat! Zrazu wydawało się trudne i nieczytelne, potem duże i wspaniałe, — jakże się przygarbiło teraz!

Myślał o tem wśród posuwających się normalnie naprzód głosów poranka: Z dalekiej łazienki leciała woda, słychać było szczęk gotowalnych przyborów, otwarty gaz puknął nagle na kuchence.

— Prosimy na śniadanie, — zawołała Chylicka z jadalni.

Od tego „prosimy“ mogło się było w człowieku wszystko do góry nogami wywrócić. Nie mniej Tadeusz uznał skrupulatną poprawność pelargonji: Dwa jajka na miękko, trochę szynki, makowa bułka, masło, dwie szklanki herbaty, — tak lubił ojciec i tak tu stało przygotowane dla syna.

Rozmowa nie kleiła się. Tadeusz patrzył w pół-

otwarte drzwi, za któremi musiała być gdzieś wkońcu ostatecznie, — małżeńska sypialnia. Panna Chylicka, przerażona olbrzymią ilością zjadanej przez chłopca szynki, czyniła w myśli jakieś trudne, nieodparte porównania między apetytem, — a apetytem.

— Mówiłam panu? Poseł wyjechał na objazd z wiecami. Do zagłębia węglowego. Jutro będzie w Osadzie Górniczej.

Jako wieloletnia nauczycielka polskiego, wymawiała nader starannie wszystkie „ą" i „ę".

— Szkoda, że mnie pan nie uprzedził. Przygotowałabym obiad i urządziłabym się jakoś. A tak —

Zaczęła sprzątać ze stołu.

Tadeusz patrzył na nią pod światło z przedmiotowem uznaniem.

Sylwetka Chylickiej trzymała się jędrnie i świeżo. Owszem, nogi, ręce, — wszystko, wszystko na miejscu. Twarz trochę zniszczona. Gorące, piwne oczy obracały się w powiędłej oprawie, jak wystraszone.

Włosy — pomahoniowane.

I jeszcze potem wątpić w przyszłość Zaprawy!

Woń mahoniu, mydło, czy może perfuma sprawiały, że od Chylickiej pachniało gorzkiemi migdałami. W przyszłym liście do brata postanowił Tadeusz określić to psychicznie: Pachnie od niej bezpłodnem macierzyństwem.

— Otóż nie uprzedził mnie pan, będę musiała wyjść, — dziś mamy nasze laboratorjum geologiczne.

Cofnął głowę, jakby kark z jarzma wyciągał. O geologji tej pisał mu był ojciec jeszcze na początku jesieni. Że, — przyjaciółka nasza, mimo dotychczasowego

wykształcenia i stanowiska zawsze garnie się do pracy i teraz naprzykład wstępuje na geologję. Wy zaś, rodzeni synowie —

Czyż nie był to moralny ekshibicjonizm? Tadeusz czytał kiedyś o tem w zabłąkanej w okopach książce Kraft-Ebbinga.

Złość, niechęć, jakaś wstydliwa bezczelność, kształty panny Chylickiej osobiście wstrętne, objektywnie ponętne, biała bluzeczka, odsłaniająca pełne, gładkie ramiona, wszystko to sprawiło, że palnął nagle:

— Chcemy razem ze Stanisławem uwolnić od nas ojca. Wobec wynalazków, które się nam odkryć udało...

Wzięła Tadeusza za rękę, przeprowadziła do gabinetu. Posadziła blisko obok siebie na wyszarzałych pamiątkach dziedzicznych.

— Pragnę z panem pomówić.

— Ale mogę zapalić papierosa?

— Może pan.

Słońce lśniło na gładkich fikusach, pieścidła podręczne iskrzyły od blasku, między palmowem zielskiem błyszczał różowy pęk rozkwitłych pelargonij, za oknem widać było czarne gałęzie grabów, przesłaniające kopułę kościoła.

— Otóż niech pan jedzie, ale nie załatwiajcie teraz tych waszych spraw rodzinnych. Poseł nie ma się dobrze. Pan wie przecież. Kamienie żółciowe.

— No, — to rypać do Truskawca!

— Kamienie żółciowe i nerwy. Zniszczyliście go, zużyli, zadręczyli.

Tadeusz odsunął się gwałtownie: — Ja?

— Wszyscy. — Głaskała go po rękach ciepłemi, giętkiemi palcami, głowę w bok wdzięcznie przechyliwszy.

Patrzył na nią pełen najsprzeczniejszych uczuć: Mogła śmiało jeszcze podobać się. Tak chyba właśnie nieraz przysiadała się do posła...

Przemożny wstyd ogarnął Tadeusza.

— A gdzież ojciec wyjechał?

— Mówiłam już panu. Do Zagłębia, z wiecami. Przemawia codziennie po kilka razy. Jutro w Osadzie Górniczej. Ci robotnicy nie zdają sobie dziś z niczego sprawy, prą do strejku. C. K. W. jest przeciwny temu. Pan wie chyba, że przechodzimy teraz wielki kryzys węglowy? Sami robotnicy siedzieliby cicho. Jak chłopi. Ze wsi jestem, więc wiem. Ale wichrzyciele podszczuwają. Jeszcze jakieś Związki dochodzą do tego. Tamtejszy poseł to skrajny niedołęga. Partja rzuca na szalę ostatni autorytet. Więc, — nasz leader. Co wieczór z śmiertelnym strachem oczekuję telefonu. Bo, panie Tadeuszu: Oni go tam zabiją!!

— Kto?

— Komuniści!

— Bzdura.

— Niech pan jedzie i niech pan pilnuje ojca. Kobiece serce czuje doskonale.

Popatrzyła przed siebie w okno na uwiędłe gałęzie czarnych grabów. Z nieruchomych jej oczu popłynęły dwa rzędy świecących, drobnych łez.

Tadeusz, zawstydzony, gasił skrzętnie papierosa w popielniczce.

Panna Chylicka poprawiła na piersiach żabocik: Parę

lat, co nam zostaje, a tu masz, — ciągle robotnicy i robotnicy! Dlatego zajęłam się wkońcu geologją. Tam właśnie wychodzi się i poza lata i poza czas.

Czyż nie odpowiadało to „wynalazkom“ braci? Wołał jednak nie gadać o tem z pelargonją. Odprowadził ją do przedpokoju, jeszcze raz przysiągł, że do żadnego zamachu nie dopuści, podniósł uprzejmie teczkę, którą Chylicka upuściła na progu i, wzruszywszy ramionami, wrócił do gabinetu.

Promień słońca padał prosto na biurko. Czarne pismo ojca schodziło po stronicy pamiętnika wdół. Tadeusz przeciągnął się, rozwalił na kanapie i ze słowami — dobranoc stare graty, — zasnął.

Obudziło go miarowe tykanie zegara. Uzmysłowiwszy sobie, gdzie jest, — zaśmiał się przekornie. Chyba tak samo sypia tutaj po południu ojciec, budzi się, otwiera nagle oczy, — i co?

Tadeusz stał już oddawna na stanowisku nie mienia do nikogo pretensyj. Przeciągając się jednak na wygodnych sprężynach kanapy, nie mógł nie pomyśleć o *idyllicznej* sytuacji.

Która godzina? Trzy na szóstą.

Poszedł do łazienki, umył się, mimochodem obejrzał panieńskie przybory toaletowe.

W jadalni zastał obiad, jeszcze ciepły, przykryty talerzami i kartkę, pisaną charakterem mniej ważnych ustępów pamiętnika:

„Spał Pan, nie chciałam budzić, na stole wszystko przygotowane. — Proszę, — pamiętać o opiece“.

Zjadł prędko, wystawił oba garnki z przetworem do sieni, wrócił, pogasił światła i już miał drzwi zatrzasnąć, gdy mu z pod nóg rymnęło coś niespodzianie na podłogę.

Naturalnie, — rododendron, fikus, czy inne jakieś pnącze, statystujące w kącie. Skorupy rozleciały się, ziemia wypadła na środek parkietu. Z sypkiego kopczyka, niby żylak włochaty sterczał długi korzeń rośliny.

Tadeusz wahał się chwilę, wreszcie zawrócił, ukląkł, już nawet garść ziemi wziął w dłonie, by jakoś po tym wypadku posprzątać. Gdy oto uzmysłowiło mu się, że w domu, u matki, nigdyby tego nie zrobił.

Wstał z klęczek, zostawił wszystko, jak było i huknąwszy drzwiami, wyszedł.

3

PRANIE PARTYJNE

Bezpośredni pociąg osobowy miał stanąć w Osadzie Górniczej o dziewiątej rano. Tadeusz nie spał już o szóstej, mimo, że sam jechał w przedziale. Na wypadek przychylnej odpowiedzi ojca, układał plan kampanji.

a) Rozesłanie prób Włazolinu do wszystkich związków sportowych.

b) Rozesłanie Zaprawy do wszystkich sal tańca całej Polski.

Uwaga I-sza: Nie zapomnieć o intendencie Prezydjum Rady Ministrów.

Uwaga II-ga: Produkt musi być odpowiednio opakowany, w blaszanych pudełeczcach, z odpowiedniem wycięciem na paznokieć.

Uwaga najważniejsza bez cyfry: załatwić rzecz z Rządem. Wyrobić odnośne polecenie Włazolinu dla wojskowych oddziałów górskich.

Potrzebny jest do tego przedewszystkiem gruby, angielski płaszcz, okuta teka skórzana i auto, ryczące przed bramą Ministerstwa. Musi się wyglądać poważnie. Kapitalistyczny Anglosas w szkocką kratkę.

Płaszcz nowy, własny, zabrał Tadeusz z wieszadła od Chylickiej. Wspaniały raglan, mający po zupełnem wydarciu się wojennem otwierać erę cywilnego ekwipunku.

Kupiwszy to okrycie wracali z ojcem od krawca przez miasto pod rękę. Była to jedna z niewielu chwil wzajemnego pożycia, którą, bez żadnej przesady, można było nazwać szczęśliwą.

— W twoim wieku nie mogłem marzyć nawet o podobnym płaszczu.

W odpowiedzi, Tadeusz uścisnął po bratersku ramię ojca. Szereg serdecznych chwytów zakończył okrzykiem: — Ale bo też od tego czasu i świat poszedł naprzód!

— Kolosalnie podrożało — westchnął poseł.

Niestety, kryzys sejmowy erę ekwipunku przerwał, stary pan Mieniewski zatrzymał palto syna u siebie, — na wszelki wypadek.

No, więc palto! A gdzież teka skórzana, gdzie auto, gdzież inne jeszcze potrzebne szczegóły?

O szczegółach tych, jak o szczegółach przeprowadzenia wynalazków, jak o całym sensie warjackiego przedsięwzięcia wolał Tadeusz nie myśleć dokładnie. Wiedział, że musi się to wszystko skończyć jakiemś zerwaniem, rozstaniem, podróżą, — zmianą wszystkich warunków.

Jakich? Wszystko jedno. Zmianą.

Słowo to płynęło przez myśl lekko, ponętnie, — jak zorza.

Pojedziemy za granicę, — ziewnął do szyby, za

którą uciekał wciąż tensam, porwany, rozkopany, rozdarty widok czarnego zagłębia.

Teorja trzech buddystycznych minut, ukoronowanych ostatecznem zawyciem, mogłaby tu święcić niebywałe triumfy:

Mętne zmylone wody, jakieś drogi zbłąkane, śluzami zastawione, łyse dale zaciekiem błota naukos przejęte, rząd domków kucych, dziobatych, z dachami jak wyleniałe czapy, nabakier włożonemi, — i nic, nic, nic, — wydmuchy, sine spuchlizny przestrzeni, nagle straszliwy węzeł żelaza, cegły i betonu, z pośrodka strzela wgórę ośmnaście, dwanaście, dwadzieścia pięć kominów, połączonych czarnym zrostem stali.

Potem tory, szyny, długi rozkręt żelaznych gąsienic i znów gruzły kamienne o płaskich, szklannych skrzelach, kichami zgiętych rur poprzerastane. Zbiorniki, — dziesięć metalowych, wypuczonych brzuchów. Dym się z nich przędzie, wodą podpływają, śmiech piskliwym rozgłosem krząta się wśród węgłów, — znów odęta, szara, pusta przestrzeń, nic, nic, jeszcze raz nic, — aż gdzieś niziutko w brudnej pachwince ziemskiej zrośnięte chałupy.

Na wszystkich płotach, dworcach, przy osadach i miasteczkach, które pociąg mijał, pełno było afiszów: o wiecach posła Mieniewskiego czerwone, o Dniu Lotniczym białe z amarantową wstęgą wpoprzek. Narodowe.

Istna walka plakatów.

Pociąg stanął przed malutką stacją.

— Osada Górnicza! — rozdarł się konduktor.

Tadeusz wysiadł. Na frontonie odrapanego budynku stacyjnego widniało czarnemi literami: OSADA GÓRNICZA.

Rozmieściwszy na rękach podkasane gary, ruszył ku wyjściu, na żelazny wiadukt, spinający nad stacją dwie części rozrzuconego miasta.

Szło się naprzód długą, nędznie brukowaną ulicą, zabudowaną rzędem jednopiętrowych, ceglastych zarządów i dyrekcyj. Z pomiędzy przerw muru słał się daleki widok na szare uliczki, zawsze gdzieś wkońcu zamknięte wysokim kominem.

Tadeusz nie był tu nigdy, nie znał drogi do Domu Ludowego. Ojciec zapewne musiał był ordynować w owym Domu. Trzeba było iść dalej, ku miastu, przed siebie, skąd biegły huczne głosy orkiestry. Ciężkie uderzenia bębna i przeraźliwe ryki trąb.

Na skrzyżowaniu, pod pomnikiem narodowego bohatera w rogatywce, jak cypel rozmiękłej czekolady niepewnym kształtem trwającego na postumencie, stanął Tadeusz, — zdumiony.

Środkiem ulicy, niecąc chmury kurzu szła przedziwna parada, czy też manifestacja. Na czele orkiestra, kilkunastu siwych głodomorów, oplecionych przez zgarbione plecy złotym zwojem puzonów.

Za nimi podrywała się truchcikiem młódź skautowska, chłopcy lichego wzrostu w obrzmiałych, niebieskich rogatywkach. Poczem, dziewy jakoweś żółte, nader płaskie, patrzące wstydliwie pod nogi.

Za niemi w ciężkim kurzu gromada sztandarów. Trzymane na pasach, zakończone błyskiem metalowych

godeł, wyrastały mężczyznom wgórę, z pomiędzy bioder. Pośrodku ociężałych sztandarów niesiono podobiznę samolotu, upstrzoną inicjałami Ligi Lotniczej.

Koślawo wyrysowany aeroplan podobny był do niezmiernie powiększonego owada.

Za sztandarami gromada chudych górników w czarnych surdutach, z krótko przystrzyżonem włosiem na na czapkach. Osowiali strażacy w błyszczących hełmach, i dostojnicy.

Prawdziwi dostojnicy. Idący nie w ordynku, lecz samopas. Gdy od górników zapoconą chudzizną niosło, kwasem starej odzieży, — od dostojników tchnęło namaszczonym połyskiem.

— Sztygary, — urzędniki!

— Sztygary, urzędniki, — księża ich jeszcze z boku zaganiają. Nawet prałat zagania! A to ścierwy...

Między „narodem“ wzdłuż chodnika syczało ustawicznie.

Stała tu wszelaka biedota mocno zwarta, a tak dziwnie lekka w sobie.

Młodzi. Twarze w szpic. Kości skórą opięte, blask potu nad zapadłemi oczyma.

W rękach mieli grube lachy. Z pomiętych kołnierzy wychodziły im szyje za cienkie, jakoby wydłużone nieustannym podziwem.

Patrząc na te szeregi ludzi młodych, rozważnie nad gościńcem wychylonych, przypomniał sobie Tadeusz trwożne ostrzeżenia pelargonji. — Kto wie? Zamach, — nie zamach, — nic nie można powiedzieć...

Gdy nagle głuche szumy poleciały stronami chodni-

ków. Ludzie wionęli wtył, ścisnęli się, a szare i kościste, nito z blachy wycięte kobiety, gęgać jęły miarowo:

O! — O! — O!

Dał się słyszeć gęsty klask kopyt i oto w czarnym kurzu wysforował się pluton konnej policji.

— Kapuścik ich prowadzi! Haftowany Kapuścik! — Powiedziane było wpobliżu Tadeusza zwykłemi słowami, a zabrzmiało, jakby te słowa batem ktoś z ust wytrzepał.

Kapuścik, haftowany na kołnierzu i granatowych mankietach srebrem oficera policji, caplował w skocznych trawersach... Oczu mu nie było widać z pod daszka, jeno dwie rozeżglone szybki cwikiera na piegowatej twarzy.

Ochoczy, jasny blondyn.

Za oficerem, w sykliwem gwizdaniu pospólstwa sunął pluton.

Ludzie szczuli. Tu i owdzie głosy zbijały się w kupę, wybuchając zamętem wyzwisk.

„Amerykańska dosłowność“ całego tego widoku podnieciła Tadeusza. Spytał skwapliwie o Dom Ludowy.

W odpowiedzi wyszczerzyła się długa, skośna gęba i słowa: — Burdel a nie dom.

A więc, — komuniści.

Trzeba sobie było samemu radzić. Jeżeli manifestacja ciągnie naprzód, — Dom musi być po przeciwnej stronie.

Przyprowadziły Tadeusza na miejsce afisze. Nazwisko „POSEŁ MIENIEWSKI“ wytłoczono tak ogromnemi

literami, że zdawało się wyskakiwać z wąskiego tła ogłoszeń w powietrze.

Dom Ludowy zaklejony był od czwartego piętra aż po sutereny.

Wchodziło się tu bramą, zbitą z desek. W podwórzu, na skrzyniach z wapnem, belkach, cegłach, jakichś wywróconych kotłach, drabinach, siedziało wszędzie mnóstwo robociarzy. W głębi wznosił się fronton doryckiej świątyni (pewno przyszła sala kina) otoczony rzędem długich, pustych pięter.

Używano jednego tylko, wykończonego wejścia, z boku.

Tadeusz znał się przecie na takich domach, kooperatywach i urządzeniach, — od dzieciństwa. Napewno pieniędzy zabrakło i wszystko stoi w połowie drogi. Dzierżąc wysoko oba gary, przeciskał się wąskim korytarzem w stronę dalekich drzwi, około których motał się ruch największy.

Nareszcie przedarł się aż do samego sekretarza, który trwał za biurkiem w gumowych aureolach, kilku sztorcem ulokowanych na ścianie rowerów.

Towarzysz Koza za biurkiem swem czerwonem, przed zieloną kanapą, pełną stłoczonych gości, w obliczu wszelakich diagramów i statystyk partyjnych, wszelakich wykresów i różnokolorowych jajek przynależności politycznej — władał okazale sytuacją:

Władał przez okno delegatami, których coraz to inne głowy ukazywały się na parapecie, przez otwarte drzwi wnikał głosem w zgrzytającą głębię korytarza. Równocześnie załatwiał tysiączne telefony, równocześnie

przyjmował resztę od kulawego woźnego za papierosy, równocześnie tegoż woźnego częstował jednym papierosem ze świeżego pudełka, równocześnie podpisywał jeszcze pocztę i załatwiał legitymacje partyjne.

Na korytarzu cisnęli się ze Związku, pod oknem na podwórzu szumiał tłum bezrobotnych.

— Mówiłem wam już cztery razy, — wrzasnął w stronę okna sekretarz Koza, — dziś na wiec zorganizują milicję bezrobotni! To znaczy wy! Organizacja, nie jest brama przechodnia, towarzysze! Do Związku taki jeden nie należał, składek nie opłacał, a teraz przychodzi do tego samego Związku o podpis, że jest bezrobotny? U nas też — darmo żreć nie dają!

Cisnął im przez okno kilkanaście czerwonych skrawków płóciennych na opaski ramienne. Przewinęły się w słonecznem powietrzu i znikły, rzekłbyś skraweczki surowego mięsa, rozszarpane przez setkę chciwych rąk.

Tymczasem w drzwiach zrobiło się czarno od towarzyszy ze Związku. Obstąpili sekretarza ze słowami, jako to, — że nie jest pewnem, — sam leader w ruchu, — bezrobotni nie jest żadna poręka, — i inne jeszcze podobne temu. Wołali ciągle na przeróżne głosy, — Koza, Koza, Koza, — wodzili się z nim dookoła sekretarjatu, aż znów oblepili biurko.

Nad tem czerwonem biurkiem z czerwonym gwoździkiem w sztywnej klapie Koza przystanął, i dyplomatycznie zamarł pod gradem okrzyków. Biała twarz związkowego sekretarza, nakryta plastrem lnianych włosów, zrobiła się w udanym bezruchu podobną do trupiej główki.

Kiwnął oboma wskazującemi palcami, żeby głowy bliżej pochylili. Gdy pochylili, ilu zdołał, objął ramionami. Zwarli się w jedno słuchające ciało, wtedy zaś zaczął do nich mądrym szeptem:

— Trzeba umieć rządzić. Tak? Tak. Głodnych stawia się do pilnowania chleba. Nie? Tak. Jak bezrobotnym każę pilnować porządku, to mi żaden z nich na wiecu pyska nie otworzy. Mały zysk? Dla mnie — duży. Po co mamy sami iść na komunistów?

Znowu roztrącił wszystkie głowy i wykrzyknął oficjalnie: — Tamci robią milicję a wy, ze swej strony, macie placu pilnować, nie tu nademną wytrząchać głupie wątpliwości!!

Pauzę, jaka potem nastąpiła, uznał Tadeusz za stosowną do przedstawienia się. Nazwisko jego wywołało — demokratyczny podziw. Ręce mu podano, jak równemu, lecz zaraz pustka wytworzyła się dookoła.

— Mówicie, sekretarzu, żeby placu pilnować? O jakiż tu plac chodzi?

Towarzysz Koza nakazał ruchem skurczonych pięści ogólne milczenie i odpowiedział:

— Wycelowało się tym wiecem w jak najlepszą pogodę, — teraz chodzi o plac. Wiec mamy na starem targowisku. Jak Propaganda Lotnicza ustawi gdzie blisko przemówienia swoje motory, to przecie nawet takie słowa, jak waszego tatuńcia zaterkocze.

Z zapchanej gośćmi kanapy wyłuskwił się szary, przysadzisty człowieczek, w drucianych okularach. Stanął przed Tadeuszem i po krótkiej walce wewnętrznej, rzekł nagle:

— Jestem Martyzel. A tu mamy przed sobą syna towarzysza posła Mieniewskiego?

Martyzel utkwił oczy w wielki za oknem rozpostarty błękit i, jakoby sprawdzając starą, wypróbowaną prawdę, dodał podniośle:

— Niedarmo ojciec wzywa syna. Przybywacie do nas, towarzyszu, w przededniu niewiadomych wypadków...

Zebrani wybuchli śmiechem, Tadeusz niecierpliwie minął Martyzela i oznajmił Kozie, że musi się zaraz widzieć z ojcem.

Poszli na pierwsze piętro i przez rumowisko niewykończonych lokali dobrnęli przed świeżo malowane drzwi.

Towarzysz Koza nie chciał wejść do środka. Za żadne skarby, — za nic. Przecież tam właśnie, wewnątrz, odbywało się teraz pranie całego Okręgu.

— Pranie partyjne! Postawcie towarzyszu garnki na ziemi i czekajcie.

Z uszami przy drzwiach uśmiechali się do siebie uprzejmie. Za ścianą rozlegały się ciężkie, miarowe kroki.

— To ojciec tak łazi — ucieszył się Tadeusz.

— Ma o co łazić! Kaszy tu narobili! Tutejszy poseł Drążek. Znacie Drążka?

— Nie znam. — Tadeusz odsuwał się wtył, z ust bowiem sekretarza tchnęło, jakby mięsem surowem.

Podczas upałów psy mają oddech o tak mdłej woni.

— Nie znacie?! — Koza zbladł i przysunąwszy twarz do twarzy Tadeusza szeptał lepkiemi słowy:

— Drążek wszystkie kredyty na ten Dom ciągnie.

Z podatków, — nie z podatków. Niczego nie dopatrzy, — aby tylko na Dom. Wczoraj zamiast wypłaty porozbijał mordy murarzom. Tymczasem Województwo nie chce tych kredytów zatwierdzić. Ani planów dalszych. Skąd ma zatwierdzać, jak my tu wszyscy robimy bez pensji, a ludzie na ulicach z głodu puchną? Kapitał też, gdzie może, intryguje. Ma przecie swoich ludzi w Województwie — i wszędzie. Więc tu postawę teraz trzeba mieć — zupełną! Na wiecach triumfują wywrotowcy, partja robi bokami, składek nikt nie płaci. Wiem przecie, ciągle te same książeczki rękami własnemi obracam... Związek stopniał jak masło. Bezrobotni przed magistratem stoją we dnie i w nocy. Bo ja wam mówię, — że kapitał chce teraz strejku, — chce. A to jest w dzisiejszej chwili, bez żadnych zapasów w klasie robotniczej — zbrodnia!

Tadeusza aż mdliło od zapachu.

Na szczęście za drzwiami wybuchła znów rozmowa. Koza wtulił głowę w ramiona. Jeden głos wielki, rozległy, przedęty, drugi twardy, ziarnisty, oporny.

Poseł Mieniewski nie zważał na oporne warczenie i ciągnął swój przykładny, objazdowy dzień, jak zawsze, od samego rana mocno, mocno pod włos. Mocno, chociaż dnie apostolskiej włóczęgi napełniały go bezmiernem znużeniem.

Od pierwszego papierosa rannego — przyjmował. Każdym ruchem, gestem, słowem uczył, działał i poprawiał. Zawsze po takim objeździe dowodził kolegom klubowym: Gdyby można, własną skórę należałoby zedrzeć z siebie i porozwieszać na widok towarzyszy

serce, nerki, wątrobę, żeby mogli nawskroś swego posła przejrzeć.

Dziś uczył tak w Osadzie Górniczej już od samego rana.

Zaczęło się od delegacji inwalidów. Gromada nieszczęśliwych kikutów wymachiwała przed blaszaną umywalnią. Skarżyli się na partję, że im posady stróżów na kopalniach zdmuchuje z przed nosa regularnie.

— Jako byli wojskowi możemy chyba powiedzieć po żołniersku: Zdmuchuje z przed nosa.

Na to, poseł, trąc zęby kredowym proszkiem, uczył wstrzemięźliwego rozumienia krzywdy.

Uczył, przyjmując delegację kooperatystów. Szeleścili poplamionemi arkuszami deficytowego obrotu, — on zaś, czyszcząc tanim pilnikiem paznogcie, uczył klasowego poczucia we współdzielczym entuzjazmie.

Pierwsze, ranne delegacje załatwiał nieomal mechanicznie, z olbrzymią, wieloletnią wprawą, jak wzięty bardzo doktór załatwia ubogich, nieuleczalnie chorych.

Później dopiero następowało przesłuchiwanie miejscowych kacyków partyjnych. Leader zaczynał je od ciężkiego westchnienia w stronę tylko co pożegnanych „dobrych, prostych ludzi“.

Przy właściwem „praniu“ zmieniał całkowicie metodę. O ile prostakom okazywał zdrowie, energję, dziarskość niewyczerpaną, o tyle tuzów przestraszał zupełnem wyczerpaniem nadwątlonych sił. Możnowładcom lokalnym doskonale robiło — przypominanie ran. A więc przy tuzach, krzywiąc się, pojękując, nakładał na kamienistą wątrobę flanelowy pas.

Przegląd szanownych schorzeń, fizycznego wydarcia się zmuszał kacyków lokalnych do wielebnego milczenia.

Dopiero, gdy umilkli, zaczynał leader pranie. Miał do tego aż za wiele sposobności: partję żarła od dołu komuna. Tak, tak, — za obce pieniądze. Ale obce pieniądze nigdy nie staną się życiem. A tu, — poprostu, — rzesze biednych, bezrobotnych ludzi. Otumanionych. Rozgorączkowanych nędzą. Więc nie pieniądze, — nędza...

Ludzie ci, ciemni głupcy, dawali się aresztować, katować, prowokować. Cierpieli. Mierzwa głodna.

Głodna, lecz natchniona: wydawała ze siebie hasła. Głupie, nierealne, a zatem — odpowiednio piękne. Gdy rozprawiał się z niemi, miał niejednokrotnie wrażenie, że mu w mózgu naczynia krwionośne pękają iskrami białych ogni. Było bowiem w tych hasłach, przy całym idjotyzmie maksymalizmu, — coś wiecznego.

Walcząc z tem, szło się jakoby przeciw własnemu, najtajniejszemu marzeniu...

Ohyda — i potworność.

A wierzch partji? Ludzie, których sam wychowywał? Byli teraz właśnie u zenitu. Prześliczne żniwo pedagoga: dopadli sadła, władzy, wpływu i darli, aż się im uszy trzęsły.

— Proszę was, — ryknął nagle w stronę posła Drążka, — nie macie co wytrzeszczać na mnie oczu, jak na starego trutnia! Dla tej budy, dla takiej murowanej chimery z greckim klozetem w środku, rozbijacie organizację! Każdemu z was władzy się zachciewa. Każdy się pcha tylko w ciało, mięso, w krupy. Kapitał

już wam „umowę“ na kopalniach wypowiedział. Będziecie tu mieli straszliwe bezrobocie. Dziesięć razy większe, niż teraz macie. I kto wam pomoże, — rząd? Darliście z tego rządu na Dom. Siedzi się przez was w kieszeni u rządu!!

Każdy z was taki będzie dorobkiewicz, taka żyła, tak się będzie rozpychał, byle rządził. — Poseł Mieniewski walił pięścią w stół, oczy mu bielały, z pasji: — A cóż pan myślisz? Duchem się prowadzi masy, nie samemi krupami! Ale każdy z was woli zostać ekonomem w kurniku, — byle panował!

Do wściekłości doprowadzało leadera, że Drążek na niego nie patrzył.

Nie patrzył. Wodził oczyma po świeżych łukach drewnianych niepokrytej jeszcze papą widowni Domu Ludowego.

Łuki te na czystym niebie jesiennem lśniły w słońcu, jak lód.

Poseł Drążek liczył w umyśle, ile będzie kosztowała papa, skąd weźmie dla murarzy, ile winien jeszcze żydom za wapno, czy rada miejska kupi nową cegielnię z którejby cegła taniej przyszła? Że „umowa“ robotnicza z kapitałem zahacza się o uznanie kredytów na Dom w Województwie. I wiele, wiele innych tego gatunku spraw, wcale nie łatwych.

Więc wszelką złość hamował. Trzeba było hamować.

Rycz, wymyślaj, na toś jest właśnie leader. Na to się właśnie buduje ten Dom, — że, gdy wszystkie leadery, zejdziecie się przed nowemi wyborami obsadzać okręgi i powiecie, — Drążek to prosty cham, — wtedy

Drążek jest sobie już oddawna administratorem Domu, a na was gwiżdże.

Wyprostował się, odął i rzekł:

— Każdy pracuje, towarzyszu pośle, jak rozumie. Coś trwałego każdy chce po sobie pozostawić.

— Ogromnie trwała zdobycz! Siedzisz pan w kompromisach, długach, zależnościach po uszy!

— Jest rada: gdyby teraz wynająć lokale, które się wykańcza, to za te pieniądze możnaby dalej prowadzić budowę, aż miło.

— Bardzo miło: — To pan hotel tutejszym łajdakom wybuduje, — krzyknął Mieniewski, — a robotnik będzie w tym hotelu sługusem. I masz pan jeszcze czelność kazać mi to zwiedzać z towarzyszami. Niebywała historja!

Drzwi skrzypły, bujnęły się nieśmiało wprzód, wtył, — weszli Koza z Tadeuszem.

4

NIE MOŻNA BUDOWAĆ WŚRÓD MROKU

Poseł Mieniewski nie lubił rodziny wpobliżu działalności partyjnej. Niemniej przeto, nie mógł sobie pozwolić na szczerość. Przybrał natychmiast ojcowskie oblicze i wypuścił z piersi ciepły dech patrjarchalny.

— Cóż to za gary? — zawołał.

— Wspaniałe, huculskie.

— Widzę, wracasz z Borysławia?

— Z Borysławia, — ale jadę z Warszawy.

Zaczęli solidarnie trudną i żmudną komedję „panującej" rodziny.

Więc syn chciał ojca pocałować w rękę, więc ojciec nie chciał. Więc przykładnie o wzajemnem zdrowiu, więc, — może śniadanie?

Więc syn już jadł, więc ojciec, — no, to zapal przynajmniej, na co syn, że wprost przeciwnie, więc poseł, — nie mamy żadnych sekretów, — i o wiele łagodniej mówił znów do Drążka.

W pewnej chwili, przechodząc mimo, położył Tadeuszowi rękę na ramieniu. Nikłe dotknięcie, krótka se-

kunda ciepła, — a jednak uśmiechnęli się do siebie i zarumienili z przestarzałej radości.

Tadeusz wzruszył się nawet. W istocie, cóż takiego wielkiego ma znów ten ojciec w życiu? Wapnem pachnąca landara, trzy krzesła, blaszana umywalnia, pod ścianą łóżko, nad niem Marks, w śmietanie biało drukowanej siwizny, nad Marksem afisz z wrzeszczącą marsyljanką, — nie takie znowu cuda! I jeszcze za to wszystko, może istotnie jakiś zamach?...

Postanowił na wypadek rozsądnej decyzji ojca w sprawie wynalazków, wypłacać staremu dziesięć procent obrotu brutto przez dwa pierwsze lata.

Gdy zostali sami, zapragnął wszystko odrazu wyłożyć ojcu. Chodzi o pewną świetną a bardzo pożyteczną rzecz.

— O wszystkiem możesz ze mną mówić po wiecu. Rozgrywa się tu duża stawka, a ciężko mi to już przychodzi. — Poseł Mieniewski oparł się na ramieniu syna. Wsłuchany w trzask drzwi, zgrzyt piachu na korytarzach, łażenie, bieganinę, głosy pośpieszne i splątane, dodał: —

— Nikt nie przypuszcza, jak bywam czasami zmęczony. Ileż to już tych wieców było? Ile jeszcze będzie? Dodaj do tego komunistów, którzy mi wrzeszczą na zgromadzeniach, jak opętani.

— Tak? — Pani Chylicka mówiła mi w Warszawie, że zamach mogą tu na ciebie zrobić.

— Zamach?

Stali blisko, wsparci wzajem o siebie. Wiadomość o zamachu nie zrobiła na leadera najmniejszego wra-

żenia. Może nieco cięży opierał się na synu, — oto wszystko.

Tadeusz pogłaskał ojca przymilnie po plecach.

— W każdym razie nie mów tutaj o tem nikomu. Żadnemu z tych durniów. — Leader patrzył w okno i namyślał się, jakby to było kwestją wyboru: ulec zamachowi, czy też dalej przemawiać na wiecach?...

— Czy myślisz, żebym sobie dużo robił ze śmierci?

— Co za gadanie!

— Z twojej — tak. Nigdy więcej na wojnę nie pójdziesz. Z mojej — nic.

Objęli się przez pół, jak to się już nie zdarzało od ery ekwipunku, kiedy raglan kupili. W drzwiach przypomniał sobie pan Mieniewski coś jeszcze. Twarz mu wykrzywiły ciężkie, czarne grymasy, pełne najwyższej pogardy:

— Zamach? Sto razy wcześniej wiedziałby o tem tutejszy pan Kapuścik. Wszystko zaszpiclowane!

W rumowisku korytarza zetknęli się nos w nos z Kozą. Opromienił leadera entuzjastycznem spojrzeniem i pozwolił sobie stwierdzić, że gwoli zwiedzenia budowli Domu wybrani towarzysze, są już od dość dawna na dole.

Czekali pod słupami doryckiemi, na rozdeptanem podwórku, skupieni, sztywni, nieruchomi, w twardej odzieży, podobni do przeciętnego wyobrażenia pochodów, czy manifestacyj, jakie drukuje się w gazetach, czy rzeźbi na wystawach pod tytułem: — Robotnicy.

Leader kroczył ku nim powoli, aby dać czas potęgującemu się widocznie wrażeniu. Oraz, aby wypatrzeć,

czy niema w grupie kogoś przydatnego do nawiązania rozmowy?

Na szczęście byli tacy.

Świeciło się im w oczach uznanie, podziw, i wdzięczna, wierna miłość.

Gdy leader znalazł się już blisko, grupa czekających ugięła się nieomal. Jakby okazać chcieli, że dla wielkiego człowieka nigdy dość miejsca — między tak maluczkimi.

Wszystkie twarze rozjaśnił uśmiech stropiony, tkliwy, uśmiech nadmiernej nadziei.

— Jak się macie Martyzel? — zawołał leader do człowieczka stojącego na czele.

Martyzel ostatni raz poprawił sobie druciane okulary i ze świstem wciągnął powietrze. Coś się w nim takiego stało, taki gwałt niewytłumaczony, — jakoby naraz zahuczała gotowość tysiąca myśli.

Poseł w prywatnych rozmowach (co innego na wiecu) nie dopuszczał z zasady do wybuchów entuzjazmu. Rzekł śpiesznie:

— Dzielny górnik, Martyzel!

— Bazyleja, Bruksela, Amsterdam, — Martyzel wymawiał uroczyście nazwy międzynarodowych zjazdów socjalistycznych, nito nazwy zwycięskich bitew, — wszędzie tam słyszałem wasze słowa, pośle!

Leader podał rękę. Poczem dwoma palcami dotknął lekko obu ramion górnika. Było w tym ruchu coś pośredniego jakby między dotykaniem sakramentu a doktorskiem pukaniem. Gest błahy, a jednak dziwnym sposobem z ciała ludzkiego ważną sprawę czyniący.

— I ciągle jeszcze tak was po świecie nosi?

— Już mnie wcale nie nosi. Reumatyzm trzyma na miejscu. — Na dowód owego reumatyzmu, wyciągnął Martyzel przed siebie obie ręce. Osadzone na sękatych przegubach, duże, żyłami przejęte, z czarnym cieniem w brózdach wiotkiej skóry, wyglądały, jak martwe przyrządy.

— Nie reumatyzm, — poseł spostrzegł, że jedna z kobiet asysty żywiej współczuje rozmowie. — Nie reumatyzm a na pewno kobieta. Powiedzcieno prawdę?

Cała asysta zaśmiała się ostrożnie.

— A więc tak, — i to także.

Okazało się, że Martyzel ożenił się i ma już dwoje dzieci. Wszyscy dawno to wiedzieli, ale szczegóły takie nie mogą przecież obowiązywać posła. Co żywo przedstawiono mu ową niewiastę z asysty, smukłą brunetkę w popielatym żakiecie, zapinanym na kościane guziki.

Była chyba znacznie młodsza od męża, czy też może tak szczęśliwie zachowana?

Leader podał jej rękę i zalotnem a jednak powściągliwem spojrzeniem zaglądnąwszy w oczy, rzekł:

— Na miły Bóg, tylko z dziećmi, ludzie, nie śpieszcie się zanadto!

Wypróbowane to powiedzenie pochlebiało sile mężczyzny, a zarazem chroniło zdrowie i piękność kobiety.

— Wilk, — kończył poseł w stronę Martyzela, — wilk ostatniego strejku robotników w Westfalji. Możeście nie był, Martyzel, przed wojną wilkiem, co?

Poseł objaśnił, co, być może, obecni wiedzieli, ale co w ustach powołanych przybierało nowego znaczenia:

że ten niepozorny górnik, Martyzel, był na wszystkich międzynarodowych kongresach i po każdem przemówieniu leadera zjawiał się, by wyrazić swe zdanie.

— Wyrazić swe zdanie?! Wyście byli słowem a dla mnie wielki zaszczyt wynikał, — być cieniem tego słowa! — Żółtą twarz Martyzela przejął rumieniec, nogi w lichych portczętach ugięły się pod spracowanym kadłubem.

Wilk strejków westfalskich chciał odpowiedzieć, jak właśnie odpowiedział: duchowo i uczenie. Potem jednak pragnął przypomnieć inne także spotkania, krajowe. Na tej może podstawie wynikłoby już coś o obecnej sytuacji.

Ale czy można z myślami nieprzygotowanemi, z myślami, co się głównie pod ziemią ubijają, nadążyć w parlamentarnych rozmowach?

Gdy padły słowa o westfalskim strejku, nietylko Martyzela, — całą asystę, jakby elektryczność przeszła. Tutaj oddawna przecie zewsząd strejkiem pachniało w powietrzu, — i co?

Kapitał prowokował dalej. Wszystkie znaki robotniczego życia wyraźnie prowokację wskazywały. Któż znajdzie odwagę, żeby to wypowiedzieć, skoro Martyzel, który od tylu lat ciągle w książkach siedzi, ręce tylko nieśmiało wyciąga!?

A tu poseł zawinął połą płaszcza i już wszyscy idą w inną stronę.

Odgłos kroków, skrzyp belki wśród gmatwaniny kostropatych ścian — i ani słowa. Żeby tu bez leadera szli, toby nikt Drążkowi nie darował goryczy.

Żółte klepisko schło cierpliwie na słońcu, w głębokim cieniu ścian szeleściły jasne strzępy wiórów, przez puste okna, niby kruszyny przelatywały wróble, lecz gdyby nie ta cała budowa, toby poseł Drążek inaczej z kapitałem gadał, innąby tu ludzie znajdowali obronę, — a tak? Dom wznosi się, tymczasem płaca kapitału jest dokoła taka, że pod ścianami chyba zasiąść i ten mur gryźć?

Śledzili za leaderem. Jak się ustosunkuje? Śledzili bacznie, kto jednak zdoła takiego przedstawiciela prześledzić?

Widać było, że Drążkowi nie świadczy. Że nie słucha mówionego do siebie. Wcale. I nie patrzy. Drążek sto razy podbiegał, zaglądał — nic nie wyłudził. Aż zatrzymali się wszyscy na rumowisku, wpobliżu parkanu. Głodne, ciemne twarze asysty, leader na uboczu, a przed ludźmi Drążek, purpurowy z wściekłości, — przez wysadzone oczy krew mało mu na wapno nie strzykała.

— Tutaj, — rozdarł się Drążek przeciw słonecznemu powietrzu, — tysiąc robociarzy zasiądzie, wpatrzonych w kino. Nie w głupie obrazki a pożyteczne, — macierzyństwo, pokaz akuszeryjny, weneryzm, podróże.

— Tutaj przemówi do nieuświadomionych o związku nasz sekretarz Koza. Tutaj, — Drążek wskazał na kupę gruzu, usypaną w kącie, — zaśpiewa chór robotniczy... Tutaj skromne siły wydoskonalą teatralnie nasi amatorzy. Oto przyszłość. Naprzeciw Rada Kopalń i Hut a tu właśnie —

— Przez gościniec tylko,?

— Przez gościniec — jęknęła asysta.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na leaderze. Rozumiał, że postawą swą musi ustosunkować się należycie do zewnętrznego wcielenia Rady Kopalń i Hut.

Była to jednopiętrowa, pękata kamienica, w stylu rokoko, kryta szarą, połyskliwą dachówką. Nad oknami szła koronka zielonych stiuków, w czysto umytych szybach prężyły się białe smugi słońca.

— Więc to tutaj? — Poseł Mieniewski, pamiętający wybornie każdą twarz robotniczą na przestrzeni tylu lat swej pracy, zasadniczo nie pamiętał w obliczu towarzyszy urządzeń kapitalistycznych. Mieściło się w tem pouczające lekceważenie i zawarta była domniemana znikomość tych urządzeń.

— Taka śliczna bombonierka — dodał zjadliwie.

Słowo bombonierka przerwało wszystkie tamy. Szare półkole asysty przemówiło... Jęło skrzeczeć, krzyczeć, człek przy człeku, podobny, krępy, taki sam, — jakby nagle, szary, ścisły parkan zaczął wrzeszczeć ludzkim głosem.

To, tamto, dwudzieste, nawyprzodki, wołane gorącemi ustami z samego gardła, piersi, z głębi brzuchów. Wołane, pokazane czarnym paznogciem na wyślizganej dłoni, podparte zaciśniętą pięścią, porwane głosem, trzaskającym, jak ogień.

Jedno, jedno nasamprzód, aby tylko wziąć sam czas pod uwagę: Osiem godzin! Od tego czasu chcą odliczyć teraz czas zjazdu nadół i wyjazdu na powierzchnię. To już przybywa robotnikowi pół godziny! Co jest wbrew wszelkiej ustawie!

— Dodać do tego wprowadzenie pod ziemią półgodzinnej przerwy jedzeniowej?

— Żebym ja zjadł?! — roześmiał się cieniutki głos wśród ścian.

— Kto ma jeść, jak prawie nie ma za co, a praca jest na akord? Będą zdychać a będą lecieć za wózkami, będą zdychać, aby tylko wiertać i jeszcze wiertać. Wiertać!!!

— A zamach na angielskie soboty?

— A nie kupuje to kopalnia wszystkich urlopów robotniczych?!

— A chociażby ten przydział węgla, — piszczały kobiety, — tych parę miałkich korcy?!

Leader słuchał bez jednego drgnienia twarzy. Wygładziła się w nim hartowana latami płaszczyzna odporności, pod którą przycupło nagle słowo: Zamach!

— Zarzną mnie. — Uśmiechnął się szeroko i krzyknął swym potężnym organem poprzez wszystkie głosy: —

— A któż temu winien?!?

Wszyscy wiedzieli, kto! Tak wiedzieli, aż im się z tej wiedzy głos przerywał w piersiach a czarne żyły wyginały przez skronie.

Wedle jednych główną sprężyną był Kostryń, dyrektor kopalni „Erazm“ i zarazem huty „Katarzyny“. Prezes „Narodowej Pracy“, — już z samego tytułu wiadomo wszystkim wszystko!

Wedle drugich nie Kostryń, głupia, posłuszna kukła, — całą oś tej sprawy stanowił dyrektor zarządzający, straszna cholera, Francuz Coeur. On pogodził cieńkie pokłady z grubemi, on utworzył syndykat, zorganizował wszystkie kapitały! „Kier“ — po polsku znaczy — „serce“! Dobre serce?!

Wedle trzecich, nic innego po wielkiej wojnie nie było spodziewane, jak znów to! Jedno i to samo. Skoro znów ojczyzna nastała, z wojskami, lotnikami, podatkami i wszelakim rządem: ta sama nędza!

Już ciągnęły się w słowach prężne głosy buntu, partja niedawno jeszcze była w rządzie, nie tu przecież o tem rozprawiać, — poseł ruszył naprzód.

Uroczysta wizytacja gmachu przemieniała się stopniowo w zacięty pościg. Pan Mieniewski raz za razem powtarzał do Drążka: — niech się wygadają, nie przeszkadzajcie, — Kostryń, to dawny mój kolega ze studjów, — błazen, Couera znam, — skończona kanalja.

Zostawiwszy Drążka za sobą, szedł przodem, powtarzając: — Błazen i kanalja.

Tuż za nim Drążek i gruby majster, obaj w futrzanych kurtkach, niby dwa gończe psy. Patrzyli leaderowi żarłocznie w przekrwione oczy i pod stopy.

Ztyłu wciąż podbiegała, kręcąca się gęsiego asysta.

Leader stąpał coraz prędzej, blady, zlany potem, to skręcał w otwarte korytarze, to znów brnął rumowiskiem naprzód.

— Nie to, — krzyczał ktoś z głębi, — a tylko, że nas ludzi, ludzi, ludzi wszędzie za dużo!

Och — za dużo! Leader odwykł już od takiego stykania się „z materjałem partyjnym“. Robili to za niego oddawna inni, młodsi. Rozgadany idjotyzm gorących, bezpośrednich nadziei, wstrętna ohyda ucisku, której dawno już praktycznie nie oglądał, brak wszelkiej szczerej odpowiedzi w głębi duszy, — wszystko to dręczyło go teraz bezmiernie.

Uciekał.

Uciekał, z trudem łapiąc oddech i bucząc coś do siebie coraz wyższym dyszkantem. Dyszkantem bezsiły i wstydu.

Wiecznie te same elementy — wiecznie ta sama odpowiedź!

Można całe życie przeprowadzić najrozumniej, a potem, pewnego przedpołudnia ułoży się, że w takiej oto ruderze uciekasz pod górę przed sforą najwierniejszych wyznawców.

Koniec pięter!

Z występów muru pomykał wąski mostek — wszystkiego dwie belki — prowadzący nad przepaścią ku strychom.

Innej drogi nie było.

Otóż to właśnie, — ostatni mostek!...

Nie będzie w „Pamiętniku“ o tem ani słowa...

Przejść tym mostkiem! Ztyłu nadciąga w gromadzie „czas zjazdu“ i „wyjazdu“ i „dzień ośmiogodzinny“ i „miałkie korce węgla“ i co, i co jeszcze?

Zwalić się po drodze w przepaść, — albo czekać, aż po południu łeb kamieniem rozwalą!

Nie wierzył w jedno, ani w drugie. Niemniej uśmiechnął się ku pięknemu niebu jesieni błagalnie, — jakoby w obliczu nieuchronnej śmierci. Poczuł łzy w oczach.

Prawdziwe a przecież nie swoje, obce, jakoby jeszcze kogoś innego, trzeciego?...

Z czarnych drzwi przeciwległych strychów wyłoniła się pokraczna postać.

Doskonały świadek całej chwili! Leader znał tę pokrakę, — narazie tylko nie pamiętał skąd?

Lazło to z tamtej strony, kuśtykając, siwe, ciemne, w czarnym wyrudziałym surducie. W takt lewej sztywnej nogi poły spadały wbok. Wiotki, pusty rękaw surduta marszczył się na wietrze.

Leader zbladł. Nagle, śmiałemi susami przeleciał po belkach. Tu, ręce podniósł i owe widmo łapiąc chciwie w ramiona, — Jak się macie, stary Supernaku, — zawołał.

Zawołał, — jak się macie stary Supernaku, — i jubileuszową swoją głowę złożył na ramieniu kaleki, niczem dziecko.

Towarzysz poseł Drążek, Martyzelowa, sekretarz Koza widzieli, — co gotów był radykalnie poświadczyć Martyzel: — leader Mieniewski, ściskając kopalnianego portjera, Supernaka, miał łzy w oczach.

Dlaczego raczył zapłakać na widok starego krętacza, a nie, chociażby od samego rana, na smutny widok niewykończenia Domu Ludowego?!

— Faktem de fakto było, — jak mówił później górnik, Martyzel, — leader płakał rzeczywiście i to, nie jak dyrektor Kostryń fałszywym ciurkiem, lecz nieкłamanemi łzami.

Powitanie leadera z portjerem było może gorszące nieco? Poseł Drążek objaśnił coprawda, że pamiętali się jeszcze z czasów rewolucji, z partyjnego sądu o prowokację. Sprawa była niejasna, pogmatwana, z nieszczęśliwym wypadkiem na kopalni, wskutek którego wyjęto Supernakowi kilka żeber i amputowano dłoń lewą.

Że ludzie dawno się znają, to jeszcze chyba niczego nie dowodzi?!

A leader wciąż swoje:

— Tyle lat, — śmiał się dźwięczną, parlamentarną piersią do kaleki, — i wciąż trzymacie się doskonale?!

Na dowód czego, portjer odwrócił się bokiem. Pokazał brak całej ręki w luźnym rękawie. Oddawna był już stuprocentowym inwalidą. Wszystkie rany, złamania rzetelnie udowodnione. A więc należała się renta! Ale teraz jest przewalutowana. Nie można wyżyć. A jeżeliś wziął pracę, tracisz rentę. Głodem handlować trudno?!

Leader nie słuchał tego wszystkiego. Tak się cieszył z samego spotkania. Oklepywał Supernaka po wyjętych żebrach, terpał wesoło za rękaw i wciąż dodawał:

— Tak, czy inaczej, postarzeliśmy się, prowadź teraz, dziadygo, razem pójdziemy na szczyt.

Objął Supernaka, niby go podparł, a tymczasem zwalił się na niego. I tak we dwóch, w bardzo szerokim śmiechu leaderowskim, ruszyli trepami aż pod strych.

Pod samą wiechę, bukiet obszerny, sporządzony ze słomy, listków uwiędłych, bobków i czerwonego papieru.

Owszem, — poseł Drążek sprzyjał takiemu obrotowi rzeczy. A niech sobie tam będą siuchty takie i owakie! Byle nie — zasadnicze.

— Patrzcie Supernak, — dyszał Mieniewski, wodząc bronzowemi oczami po błękicie, — ile wszędzie słońca?! Objaśnijcież mnie teraz, przy sposobności, gdzie tu jest co i czyje?

— Tu jest, — prawił Supernak, jakoby opowieść odwieczną, — miasto Osada Górnicza, młode, pięćdziesiąt lat temu kozy się po tych dołach pasały. Pamiętam jeszcze.

— Kozy? — zdziwił się leader i poczęstował Supernaka papierosem.

Patrzyli na rozkręt czarnych, lśniących, jak brytwanki uliczek. Toczyła się niemi ku kościołowi manifestacja lotnicza.

Tłum, widziany z góry, podobny był do razowej kaszy, na której przycupły różnokolorowe motyle sztandarów.

— A na prawo od drogi, te doły, wyrwy z wieżycami? Jakaś kopalnia?

— To jest, panie pośle, — twarz Supernaka zmierzchła, zwiotczała, niby do kornej modlitwy. — Panie pośle, — mówił przez cichy wietrzyk słonecznej wysokości — to jest kopalnia „Erazm". Erazm, — gdzie pracujemy już prawie lat czterdzieści.

Wypowiedziawszy, kłapnął dolną szczęką nabożnie, przyczem okazał jamę ustną, aż do samego gardła.

— Czterdzieści?! — Poseł złożył głowę w dłoniach. — Czterdzieści lat, czterdzieści, — powtarzał z cierpliwą słodyczą. — Tam, na tem samem miejscu nabawiliście się wszystkich waszych wypadków?

— Bo i gdzieżby? Na tem samem miejscu.

— A ten kościół?

Co jest kościół, — mówił Supernak sprawiedliwie, że kościół tutejszego kanonika za pieniądze ludu wzniesiony, co huta, — ów wielki żółw żelazny, — że jest

huta. Za Erazmem mniejsze, zielone żółwie — będą znowu cynkownie.

Dodał przytem grzecznie, co czyje. Takie towarzystwo a to owakie, — Francuzy, Niemce.

— Wiadoma rzecz, —kapitał. — Supernak zastrzygł uszami, w obawie, czy takie słowo można na wiatr puszczać.

— A te czarne kretowiska za lasem będą znów kopalnie „Irena“, „Paryż“, „Londyn“ i „Stefanja“.

— Od córki kapitału jest nazwane, albo od dziwki jego, — gdzie lud roboczy pot swój oddaje i krew.

— Za laskiem, tam nad wodą rude, czerwone gmachy, — będą hutnicze baraki. Dawniej wszyscy hutnicy do Pracy Narodowej należeli, z pod Kostrynia, — teraz same komunisty. Za barakami, wysoko na górce kościół w Gołonogu, pod nim gniazdo herezji w tej wiosce. Wioska nazywa się „Na siódmem“.

— Heretycy jesteście, — uśmiechnął się Mieniewski. — Jakiś księżyna mocno tu was buntuje, rozbija się po Sejmie.

Byliby leaderowi już nic nie odpowiedzieli. Takie wielkie przez podobną gościnę wydatki w czasie bezrobocia, takie ciężkie rujnacje... Chętnie ponieśli w nadziei, że coś za to usłyszą o sytuacji krajowej, światowej, partyjnej, politycznej. I względem tego strejku! A tu macie, — o księdzu?!

Martyzel nie wytrzymał. Ponieważ prawdę kładł zawsze przed sobą, więc ją i teraz wyłożył: — Jest to ksiądz nowej formacji, — nazywa się Kania.

— Kania, — przytwierdził poseł tak godnie, iż nic już z tego wyniknąć nie mogło.

Podkulili się ku sobie leader z kaleką, aby jak najbliżej, palili papierosy bogatym dymem, nachylił się jeden ponad drugim i tak gwarzyli o tym ogromnym widoku, ułożonym z żył stalowych, betonowych grzbietów, tam żelaznych i równych kominów.

Z czarnej, młodej mieściny rozpływał się świat wkoło, szedł ciemną ziemią przez białe, płoche wody, kamienne zastawy i nikł aż u granic patrzenia w nieśmiałej zieleniźnie pagórków.

W objaśnienia miejscowości, udzielane przez Supernaka, — który nie był, och nie był człowiekiem niczyjego zaufania, — chciał wstawić właściwe uzupełnienie Martyzel: o Zachodzie europejskim, urządzeniach, tramwajach, higjenicznem zalesieniu, — podczas, gdy tu leży kraj nagi, jak wygolona brew.

Ale poseł Drążek wylazł na sam szczyt, zsadził z kolca wiechę i podał leaderowi.

— Żebyście, pośle zobaczył, rękami namacał, ile trzeba włożyć pracy, nim się rzecz pod taki wiecheć wyprowadzi.

Leader upuścił bukiecisko pod nogi. Wciąż jeszcze słuchał bezzębnej wymowy Supernaka. Odmachnął się od Martyzela, Drążka i wszystkich, — a co Supernak powie, — wszystko święte!

Pławił się poprostu w tej skrzeczącej gadaninie, o biedzie, nędzy, głodzie, starości nieopatrzonej. Ruchem mądrej, parlamentarnej głowy przytakiwał, świadczył, w białych, skapanych źrenicach portjera przeglądał się,

jak w zamarłem zwierciedle, a potem nakrywał oczy powiekami, niby kot nasycony.

Brakowało chyba tylko jeszcze, by zamruczał.

Gdy Supernak czarną swą zakurzoną głowę jeszcze raz ponad przepaść wychylił, gdy w ciemnych zmarszczkach jeszcze raz rozbłysły mu straszliwe źrenice i gdy jeszcze raz spytał o nową ustawę odpowiedniego ubezpieczenia od wypadków, — leader przeciągnął się, — jakoby po błogim odpoczynku.

Mętne słowa, idące przez krąg ciszy jesiennej pomieszały się panu Mieniewskiemu z myślą własną, jak ostateczność prostą, jak ostateczność przez ludzi niepojętą, jak ostateczność — najniepotrzebniejszą, wyniesioną nareszcie po tylu latach, z tylu walk:

Nic nie można wybudować wśród mroku.

Rozejrzał się dokoła. Towarzysze czekali schyleni pod przęsłami dachu.

Przepełniony pogardliwem współczuciem, rzekł wreszcie:

— Teraz dopiero należałoby zacząć wszystko od początku?...

Nie odpowiedzieli.

Przymknął powieki, licząc w duchu ostatnie godziny objazdu. Albo: wiec, — wieczornym pociągiem do Warszawy. Sleeping, — Anna, — śniadanie, — sejm. Mleczne światło dużej sali, — pierwsza ława na lewo.

Albo: wiec, — wrzaski, — kamienie, — może strzały, — nowa sława, — nowy atak wątrobiany.

Uśmiechnął się skąpo, lecz serdecznie do przewidywanego zakończenia: pierwsza ława na lewo...

Jeszcze kilka słów do tych biedaków. Kilka słów, któreby zdołały wytłumaczyć tym ludziom jaką taką względność życia. Bodaj na chwilę otworzyć jakiś wentyl wieczności?...

— Posłuchajcie-no towarzysze ciszy tego niedokończonego domu. Czy nie zdaje się wam, że nieba nad nim za dużo?

Usłane równo wśród łukowania sklepień wypełniało lazurową treścią puste okna i drzwi.

Towarzysze nic nie odpowiedzieli.

— Gdybyśmy mieli dach nad głową nie dziwiłoby nas może to niebo? Tu bowiem wypadłoby znane, twarde miejsce dachu a tam wkoło — jasność nieuchwytna.

Pragnął przez to powiedzieć, że każda rzecz wymaga jakiegoś ograniczenia, zamknięcia, wiedzy. Że ta wiedza jednak jest do zdobycia, lub do poniechania. Jest względna, jest tylko jednym z wielu sposobów. Że nawet walka klas może być takim właśnie sposobem?...

Nie zrozumieli. Ręce leaderowi opadły. Westchnął ogromnem powietrzem jesieni i dodał:

— Pięknie piszą o niebie poeci. U nas Mickiewicz. Takie przestronne, spoiste, — wysokie.

Uśmiechnął się do samego siebie: kto wie w końcu, czy zamiast organizatorem nie lepiej było zostać w życiu takim właśnie poetą, dzieckiem, natchnionym głupcem?

Słowa o niebie i o Mickiewiczu nie podobały się towarzyszom — zupełnie.

Pan Mieniewski siedział na występie muru blady i nieruchomy. Przed połyskliwą jasnością błękitu oczy trzymał zamknięte. Pot spływał mu z czoła. Zlepione, siwe włosy sterczały nad skronią, jak nadłamane lotki.

Patrzył na towarzyszy. Z pod dachu, przęseł, futryn wychylali sine, jakby w kamieniu rznięte twarze.

Pod powiekami płynął mu mglisty blask jesieni, pomieszany z godziną obrachunku... Wiece, sale, posiedzenia, długie, ciężkie kompromisy, życie, na które nigdy nie było czasu, a które wkońcu wychodzi na długą, cienką belkę, prowadzącą już tylko prosto wgórę — pod przewiewny, czysty płatek błękitu...

Towarzysze czekali.

Opuszczony na stopy bukiet uschłej krzewiny dawno przestał szeleścić.

Robotnicy jęli występować z za węgłów i ciekawie spozierać w zamknięte oczy Mieniewskiego. Zbliżali się na palcach, ostrożnie, cicho, jak do umarłego.

— Już są, — rzekł głośno Drążek. — Delegaci, — na obiad!

Na klepisko podwórza wjechali na rowerach dwaj towarzysze. Oparłszy maszyny o doryckie słupy, jęli wymachiwać czerwonemi szarfami.

— Hallo! Hallo! — krzyknął Tadeusz do ojca, — tam z dołu już wołają!

— Kto woła?! — Leader zerwał się na równe nogi.

Poseł Drążek uniósł głowę z nad przepaści i rzekł:

— Duś, kooperatysta, z jakimś jeszcze drugim.

5

OBIAD, CZARNA KAWA I CZERWONA SZARFA

Nim wysadzili się z tym obiadem, ileż mieli kłopotu?!

Przedewszystkiem, — gdzie będzie?! Czy w prywatnem mieszkaniu posła Drążka, czy naprzeciwko w restauracji u Cieplika, czy może robić w przyszłej sali posiedzeń, w której miał leader urządzone łóżko, a w nocy spali murarze?

Rzecz do rozstrzygnięcia ważna, mało kto mógł się zdobyć w tych czasach na obiadową składkę, więc już jeżeli, — to niech będzie użycie całkowite! Jeden objad taki wynosi na osobę kosztów, — chyba z półtora dnia bytu całej rodziny.

Mężczyźni głosowali zaraz za Cieplikiem. Knajpa, — to knajpa, — a zachód? Właśnie żaden, tyle tylko, że koszt.

Koza nie wyrażał się w tej kwestji, prócz jednego warunku: jak obiad, to niema co pod drzwiami wystawać. Którzy składki nie wnieśli, — wont z oczu odrazu!

Górnik Martyzel był ze względów nienawiści klasowej za obiadem u Cieplika. Spojrzanoby sobie tutaj w oczy. Z powodu „Dnia Lotniczego“ i zastosowanej kwesty cały kapitał ze swemi kobietami i zausznikami siedzieć dziś będzie u Cieplika.

Uratował całą sprawę młody Duś.

Dusia nazywano młodym, — nie żeby tu zaraz pod bokiem był jakiś inny stary — lecz przez zapał tego człowieka dla sprawy. Duś zapalił się właśnie w tym wypadku i tak przez trzy dni obrabiał kobiety, Drążkową i Martyzelową, że wkońcu całą sprawę salomonowem cięciem rozcięli napół: jedzenie wzięto od Cieplika, — obiad mieli spożyć w Ludowym Domu, a, żeby kapitału nie unikać, — czarną kawę wypić znów u Cieplika.

Wielu towarzyszy nie mogło pogodzić się z ideą czarnej kawy po tak sutych daniach, poza tem jednak można bez żadnej przesady powiedzieć, że horyzont całego obiadu wypadł bez jednej chmurki.

Restaurator Cieplik pokazał się w całej pełni: zupa pomidorowa z ryżem, pieczeń cielęca z nerką, — słodkie!

Na słodkie, — kompot.

Do tego piwo. Wódka przedtem, prywatnie.

Po wszystkiem — czarna kawa.

W takich ciężkich czasach!

Duś baczył, by każdemu wypadło po porcji. „Dobierka“ obliczona była na co drugą osobę, — kobiety i tak pewno nie dobiorą.

Stał wciąż za krzesłem leadera, podtykał, poddawał a wkoło wciąż uważał.

Niepotrzebnie.

Towarzysze składali grzecznie noże, brali chleb, pili piwko, — a jeść wiele nie mogli. Zmarnuje się, ze stołu zejdzie, Cieplik wkroi jutro do gulaszu — a jeść nie mogli.

Z oczekiwania ważnych powiedzeń leaderowskich.

Wzdłuż stołu nakrytego — niby łódź ukwiecona z wioślarzami mocno przytwierdzonymi, — siedzą, przetykani żonami i towarzyszami, a apetytu nie widać.

— Przyjdzie, gdy będzie za późno. Klasa robotnicza zawsze ze wszystkiem się spaźnia. — Mimo to, Koza radził kooperatyście Dusiowi spojrzeć na całą grupę zdaleka. Kozie, jako sekretarzowi i redaktorowi „Głosu Osady“ nie imponował żaden przepych kapitalistyczny. Było to rzeczą publicznie wiadomą oddawna.

— Czy jednak, powiedzcie, — grupa z leaderem nie wygląda, jak fragment zagranicznego przyjęcia, zdjętego przez wielki tygodnik stołeczny? Co to już dzień przedtem na cały świat telegrafują o wydarzeniu?

Duś odpowiedział na tę miłą szczerość głupią kpinką:

— A tu może później będą telegrafowali?...

Zwykłe warcholstwo. Koza zgromiłby je z łatwością tysiąc razy, niestety nie miał czasu. Obiad obiadem, — a przecie organizacja wiecu dalej szła!

Wciąż otwierali drzwi, przeciąg robili, aż wszystkie papierzane serwetki od ust chmurą w okna leciały, wciąż przychodzili meldować organizacyjne sprawy — bezrobotni.

Sam ich widok mógłby powiększyć apetyty. Dodawał blasku. Patrzyli na całe usposobienie uczty tak świdrującem spojrzeniem!

Niech orzą! Darmo mają na rękawach szarfy?! Ale bałagan robili! Jedni przychodzili do Kozy a drudzy, niby o nim nie wiedzieli. Tak kołowali, kołowali, aby na Dusia trafić.

Organizacyjny bałagan — był.

Zwłaszcza, gdy udało się towarzyszowi Kozie w przelocie, odniechcenia, na korytarzu usłyszeć następujące słowa takiego zziajanego rudego bezrobotnego, wyrażone do Dusia:

— Zdechłą, starą przeszłość czcicie mięsem pieczonem?!...

Do kogoż odnosiły się te słowa?

Właściwy adresat sam się wkrótce odezwał. Wychyliwszy się z pomiędzy opiekłej Drążkowej i chudej Martyzelki, — w ostatniej sekundzie zdążyły zdjąć narzutki i zostały w białych bluzkach, — leader syknął z syfona sodowego wodą i zapytał tak głośno, iż można to już było uważać za oficjalne pytanie:

— A czegoż tu chcą od nas szanowni, tak ruchliwi towarzysze?

Szwędanie się tych młodych ludzi wydało się leaderowi podejrzane. Dawno też nie widział tak zupełnych, straszliwych nędzarzy. Niektórzy bez bielizny. A ci co mieli odzież i bieliznę, — kurz z potem zagnieciony. Na to szarfa.

Duża, szeroka, bardzo czerwona szarfa.

Obłęd!

Pachniało od nich przestałem białkiem i prządł się syk spłoszonego pośpiechu...

Czy też samego głodu?

Draby te przywodziły posłowi na myśl sprawę zamachu. Anna... Kobiece intuicje bywają nieomylne. Nie mógł jednak powiedzieć synowi: — Uważaj na mnie. Nigdy!

Nie jadło mu się dobrze w tej konstelacji. Między kawałkiem cielęciny a kawałkiem wyrastały spiżowe złomy przygotowanych na wiec okresów i rozpadały się nagle wobec myśli, której nie spodziewał się po sobie: Iż na wypadek jakiegoś nieszczęścia, kto wie, czy nie najtrudniej będzie rozstawać się z synem?

Pan Mieniewski przypomniał sobie, że Tadeusz przywiózł mu z Borysławia jakiś podarek, — w dwóch dziwacznych garach. Patrzył przez stół na uśmiechniętą, piękną nawet może twarz syna i jakby odnajdywał w niej z radością, czego w sobie nadaremnie wyglądał:

Oto, właśnie, dziecko, poeta prawie, — natchniony głuptas.

Syknąwszy jeszcze raz syfonem, powtórzył oficjalne pytanie w sprawie towarzyszy, „luźnych“ towarzyszy przebiegających ciągle w prawo, w lewo?

Wyjaśnił wszystko Koza. Meldowali o postępach Dnia Lotniczego. Żeby aparat nie podsadził się w pobliże przemówienia. Oraz o placu wiecowym, czy wszystko w porządku? Mianowicie, jakie narazie zbierają się tam „elementy“? W elementach tych trzeba zawczasu przebierać. Aby zawczasu poznać, co się szykuje?!

Wionęło ciszą przez stół.

— A że ja, — mówił Koza z wdzięczną swadą, — jestem sekretarzem Związku, natomiast Duś sekretarzem

bezrobotnych, więc wychodzą zmyłki. A że Duś tyle partyj zmieniał, więc ludzie nie wiedzą, gdzie go szukać. Był już przecie u chrześcijan, narodowców, socjalistów, komunistów.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Dusia.

Patrzył szeroko otwartemi oczyma. W ciemnym związku powiek trzymało się spoiste światło, nie dające wcale rozróżnić źrenicy od tęczówki. Przez tę długą chwilę oblicze Dusia nie drgnęło ani na „włos sekundy", lśniące, ciemno-smagłe, jak oblicza postaci symbolicznych na drobnych miedziakach.

Tylko wpoprzek zaciśniętych szczęk poruszał się cień mocny.

— Jakie wasze zajęcie, towarzyszu? — spytał leader łaskawie,

— Sygnalista.

— Sygnalista?

— Sygnalista na kopalni Erazm.

— Zajęcie wasze polega na wielkiej uwadze?

Żadnej odpowiedzi. Wciąż patrzył na leadera wyraźnem, jakby z metalu odlanem światłem rozszerzonych źrenic.

— Czemuż to partje tak zmieniacie?

— Szukałem dobrej.

Przerwano tę rozmowę. Do leadera stała długa kolejka, każdy z obiadowiczów miał prawo do kilku minut. Dłużej — nie. Leader musiał już wrócić do tematu, którego słuchali wszyscy, — jak o Ziemi Obiecanej.

O Kostryniu, dyrektorach, ich manewrach w stolicy. Przeróżnych pociągnięciach. Nawet o tem, jak ka-

pitał kupuje ministrów. Za posady. Wszystko nader proste: płaca robocza najniższa w Europie. Urządzenia kopalniane najlichsze. Dolarami, co za ten węgiel biorą, biją walutę krajową. Nie chcesz — no, to ci grożą bezrobociem. Tak jest na wielkim rynku. Wasz Kostryń dużo bróździł na tym rynku!

Zebranych nie obchodził wielki rynek, tylko to, — co tu? Jak żyć tak dalej? Ale o tem, to jest o strejku, — co było ciągle w podszeptach komunistów, — nie śmieli mówić zbyt wyraźnie.

Pytali drogą dookólną, zapomocą przedstawienia swej nędzy. Nigdzie takiej prawdy o robotniku niema, jak w jego doli własnej. A gdzie jest ta dola?

Pod ziemią i w mieszkalnych barakach.

Poseł Drążek mrugał taktownie na Martyzela, że już czas przerwać te wszystkie spytki i wystąpić z toastem:

Oczywiście!

Martyzel nawet już raz zaczął, słowem bardzo łagodnem a biblijnem, że, — woleliby być Magdaleną myjącą nogi, niż Martą siedzącą przy kuchni.

Nikt tego nie zrozumiał.

Czas naglił, toast był od rana przemyślany, Martyzelowi aż w karku sztywniało od gotowości. Cóż tam te troski i kłopoty dnia? Chodziło o szerokie pojęcie. Rzecz dzieliła się na „ogólny stan ducha“, czyli podłoże filozoficzne i „światowe ludy“, — czyli właściwą politykę.

Wszystko razem niewiele, — smutny obraz spotkania człowieczego na tej ziemi!

Na poparcie wywodu wezwać filozofów i najszczytniejszych ekonomistów.

Tylu ich przecie czytał Martyzel, tylu znał w oryginale, tyle lat ich sprawdzał, — a oto teraz, zamiast w ducha ich wiecznego, patrzył na żonę swoją, zapłonioną po prawej stronie leadera, zawstydzoną, przez wielki zaszczyt dzisiejszego dnia tak pięknie odmłodzoną.

Sławne nazwiska pierzchły, kilku skłóconych filozofów świeciło w oderwaniu pamięci, a Martyzel myślał, nie o koniecznych ważnościach, lecz, jak się z żoną poznali, stracili, odzyskali i znów razem chronili...

Dlaczego? Ach, — dlaczego?

Uczonych nie przybywało do głowy, lecz niewiadomo skąd, coraz pełniejsze miał usta słów biblji. Pogardzał, oczywiście, choćby dzięki samemu Darwinowi całym „biblijnym traktatem", a tu właśnie zewsząd tłoczy się o Kanie galilejskiej, ślubach, różnych białych gołębicach.

Tymczasem dzwonią widelcem o szklankę, obejść się nie może bez toastu, rzecz zgóry umówiona, — poseł Drążek krzyczy:

— Martyzel ma głos.

Martyzel wstał i z miejsca go zatchnęło. Pokłonił się leaderowi uroczyście, a pod czaszką nie miał już ani jednego słowa ze swego przemówienia... Tylko widok żony przy boku leadera spłonionej, który to leader, fasonem, uśmiechem i sposobem tak był podobny do dziedzica. I jak tę żonę obecną kiedyś w dalekiej młodości do dworu przymanili, nęcili, znudzili, — że wkońcu miała dziecko z dziedzicem owym.

Jakież to przykre tony?! Z powodu uczty, piwa i dobrobytu chwili?!

Martyzel zamknął oczy, — głowa mu pękała z ożyłej nagle rozpaczy, serce biło upartą miłością. Przez myśli fałsz szybował, — twoje, moje, społeczne, zawsze wszystko cudze, — wspomnienie splątało się z zasadą, przeszłość własna na przyszłości społecznej zaległa, i oto Martyzel przemówił temi słowy:

— Wszystko w jednem: Czy robotnik ma się mnożyć, jak królik? Czy robotnik ma swem ciałem nową nędzę wytwarzać? Gdy moje ciało jest dla niego gnój?! Jest dla niego nawóz? Jest dla niego ściółką?! Dla kapitału! Jest dla niego beczką bezrobotnych?!

Poseł Drążek szemrał głośno podeszwą po podłodze, leader pił pobłażliwie sodową wodę, muzyka z ulicy wpadła i głos rozpędzonego śmigła wystawy lotniczej,— Martyzel dalej swoje.

Już całkowicie zabłąkał się w teorji, zdawało się, że skończy, gdy przeszedł do przykładów. Tchnąwszy promieniem czarnej nienawiści z za drucianych szkieł ukazał suchą, prochem ostrzelaną ręką w stronę Supernaka.

Oto on, Supernak, którego poseł Mieniewski „wszemobec“ opłakał przy zwiedzaniu Domu najszlachetniejszemi łzami nienawiści klasowej. Te łzy poselskie są kroplą w morzu jednakże, wobec łez, wylewanych w teraźniejszości i w przyszłości robotniczej z powodu takich Supernaków... Który miał już trzy żony, czwartą w śmierć zapędza, dzieci robi bez sensu, jak mysz, te dzieci mrą bez końca, zdychają!

Jak się stało, że od wspomnienia dziedzica, Martyzel publicznie omal zapłakał nad niezliczonym pomiotem starego portjera?!

Ale Supernak nie dał na siebie czekać.

— Kto ma ciało, — wykrzyknął chrypłym głosem z drugiego końca stołu, — dalej robi ciało. To jest bracia, — robotnik!

Przerwała tę kłótnię muzyka z Rady Kopalń i Hut, a przedewszystkiem parlamentarne powiedzenie leadera:

— Towarzyszu Martyzel, to są osobiste wycieczki.

Termin „osobiste wycieczki“ miał wielką i szanowną siłę. Tak, czy inaczej mowa Martyzela była tem przykrzejszą chmurą na horyzoncie objadu, że się jej nikt nie spodziewał.

Chmurę tę rozgonił długi, zasadniczy toast posła Drążka i czas, — najlepszy lekarz. Na placu targowym, gdzie miał być wiec, już zbierały się tłumy, a tu jeszcze musi się odbyć czarna kawa z przelotną konfrontacją kapitału.

Ruszyli. Przodem towarzysz leader w narzuconym á la Rinaldini płaszczu. Po prawej ręce poseł Drążek w kudłatym kubraku, po lewej Supernak rosochaty, sękaty, w rudej, jak zardzewiała blacha, surducinie.

Supernaka musieli trzymać na widoku, aby, chociaż przygodnie zademonstrować kapitałowi, jak wygląda robotnik po czterdziestu latach ciężkiej wysługi.

Wkroczyli do restauracji całą kupą. Mimo pomarańczowego światła wycieńczonych żarówek było tu ciemno. Jak zwykle u Cieplika.

Ale nawet u Cieplika rzadko zdarzało się, by tak

gęsto obsadzone były stoliki i, by wywarło coś takie poruszenie, jak wejście leadera.

Rzekłbyś, — woda wyprysła na rozprażoną blachę. We wszystkich kątach, zewsząd zasyczało.

Przychodzili tu zwykle ukradkiem i dość nieoficjalnie, — tylnem wejściem. W gruncie rzeczy była to przecież restauracja kapitału, ewentualnie, — służalczej inteligencji.

Dziś szli tu towarzysze z otwartą przyłbicą, w nastroju tak zwycięskim, że śmiech od tego w krtaniach kluczył. Twarze aż się ściągnęły a z pod warg zęby błysły, niczem zwierzęciu, gdy mu pod nos podtykać strawę obrzydzoną.

Kapitał ze swej strony robił dobrą minę. Owszem, — bawił się dalej! Trudno, żeby w kilka sekund z ciała spadli i zżółkli. Ale maślana tłustość twarzy, ta duchowa oliwa, w której ruchem swym każdym pływają, ścięła się na nich, jak na mrozie.

Mieli na szczęście zamówkę w Dniu Lotniczym. Czegoż tu dziś nie roztasowali?! Nad lustrami wisiały drukowane zielone afisze, czerwony wiec leadera ledwo się tam gdzieś chyłkiem czepiał jeszcze ściany. Z pośród wystawy migdałowych ciastek wyfruwał model skrzydlatego aparatu, a naprzeciw bufetu czuwała pilna kwesta.

Serce towarzysza Kozy doznało wstrząsu na widok tego, kto siedział za kwestą. Gdyby towarzysz Koza nie pogardzał wiarą, wykrzyknąłby na widok tego kogoś z głębi duszy: Rany boskie!!! Może nawet chciałby się pomodlić?! W jednej sekundzie całemi godzinami najgorętszych modlitw?!

Przed aksamitnym stołem, nad srebrnemi tacami i nad olakowaną puszką siedziała córka dyrektora wielkich kopalń „Erazm“, Huty, „Katarzyna“, i prezesa „Pracy Narodowej“ Zuzanna Kostrynówna. Srebrnym, zamorskim, długim widelczykiem wpychała do skarbonki banknoty.

Któż drugi na świecie umie tak sobie usiąść!? By twarz kwitła nad ochoczemi jabłuszkami piersi, by tułów spływał lekko, kształtem takiej syreniej wypukłości zakończony, że krzesło czuje się szczęśliwe pod nią?! Nie można było jednak napatrzeć się dowoli, leader przeszedł z asystą do drugiej sali, gdzie nie było żadnych ozdóbek, tylko blaszane stoliki wśród ścian nagich i wilgotnych.

— Nie naszą rzeczą, — stwierdził, — królowanie w knajpach.

Zapowiedziane picie czarnej kawy odbyło się, jakby wcale nie na parę minut przed poważnym wiecem, który był bądź co bądź obrachunkiem sił. Wszystko przesłoniła uroczą swą postacią Kostrynówna. Każdy miał z powodu niej do powiedzenia, ten śmiał się, ten się brzydził, tamten znów wszystko na jedwab i bogactwo zganiał.

Pani Drążkowa wiedziała najlepiej: Młoda Kostrynówna, nie mówiąc już o „klabzdrze“ matce, masuje się codziennie. Wcierają w nią kosztowne olejki. Wciera to miejscowa masażystka, nazwiskiem Knote, wdowa, kobieta silnie w tutejsze burżujstwo wrobiona.

Byliby o tem nie wiedzieć jak długo mówili i wszystkie bardziej jeszcze podejrzane sprawy panny Zuzanny

Kostryniównej wraz z nią samą byliby bez wahania do naga rozczłonkowali, gdyby nie sekretarz Koza, który w stosownej chwili wypowiedział następujący pogląd:

— Nie jest winien motyl, że ma piękne barwy, lecz ten jest winien, kto nieświadomego motyla przystraja w cudzą krzywdę. Czyż nie mamy ważniejszych spraw do omówienia?

Spraw ważniejszych było wiele. Skoro leader nie dopuszczał do siebie rozmowy na temat wiecu, skoro partja przesądziła już co do strejku, skoro nie można było przeniknąć, co leader myśli drobiazgowo o wszystkich szczegółach kapitalistycznego zamachu, — niech wie przynajmniej, w jakich osobnikach tai się źródło zła.

Osobniki te siedzą teraz tuż za ścianą, na twarzach nic nie mają wypisane, a powinnyby mieć ogniem i żelazem wszystko na czołach wyryte.

Najważniejsze, że obecni pracowali na „Erazmie“, — co się tyczy dyrektora Kostrynia. Teraz zmiękł, dawniej był wiele twardszy. Miękkości nabrał dopiero w Bolszewji. Gdzieś w nadkaspijskich kopalniach straszliwie go robotnicy obili, aż mu się „gruczoł płaczebny“ otworzył. Byle co — i łzy mu lecą ciurkiem.

O innym dyrektorze, któremu Zarząd wszystko daje podpisać *in blanco*. Francuz ręką stronicę zakrywa, a ten podpisuje, jeszczeby tego Francuza w rękę za to pocałował.

O innym, który wysłużonego górnika laską na śmierć obił. Teraz, czasu redukcji, bić już nie potrzebują, tylko masowo wydalają.

A sprawiedliwość? Przez inteligenta nie dojdzie tu robotnik do sprawiedliwości. Doktór inaczej zezna, in-żynier drży ze strachu, inspektor pracy, rok, czy dwa posiedzi, dom własny sobie stawia — nikt niczemu nie winien!

Podsadzili się pod swego leadera, z pod uchylonych głów szeptali trwożnie ku jego parlamentarnej twarzy, leader potakiwał, mrużył oczy, chłonął te wszystkie szepty, jak zatrute powietrze, aż spojrzał na swój zło-ty zegarek i rzekł głośno:

— Pójdziemy na wiec, towarzysze.

Gdy stanęli w drzwiach pierwszej sali, od strony migdałowych ciastek, wysunął się ku posłowi dyrektor Kostryń.

Znali się jeszcze z pierwszych czasów politechniki. Łączyła ich wtedy śmieszna, żałosna przyjaźń, — po-dziwu i litości. Kostryń podziwiał Mieniewskiego. Po-tem, z biegiem lat, w życiu, nienawidzili się wzajemnie coraz więcej. Żal tylko było leaderowi, że ów przed-miot nienawiści tak zmarniał: chudy, zżółkły, pomar-szczony człowieczek.

Pierwszy przemówił Kostryń. — O tem, kiedy się ostatni raz widzieli z leaderem.

Na to odpowiedział leader twardo: — Chyba w któ-remś ministerstwie?

— Półtora roku temu — podchwycił usłużnie Ko-stryń.

Gdyby nie Cieplik, który podczas tej rozmowy spo-kojnie zawijał coś przy ladzie, możnaby powiedzieć, że cała restauracja — oniemiała z wrażenia.

Kapitał mieszał cichuteńko lotniczą czekoladę w filiżankach, towarzysze stanęli murem, dech zatrzymując w piersiach. Tylko znowu z pod warg zęby błysły, niczem zwierzętom, gdy im pod nos podtykać strawę obrzydzoną.

— Łyżeczki dzwonią w filiżankach, jak łzy — zwierzył się Koza szeptem Martyzelowi.

Jeszcze raz Kostryń zaczyna: — Jak znajdujesz tutejszą okolicę?

Na to leader wyniośle i bynajmniej, bynajmniej nie na ty, — o okolicy i tegorocznej jesieni.

Zszczepili się takiemi zdaniami ku wielkiej męce robotniczej a także pochylonego nad czekoladą kapitału i nie mogli się rozszczepić.

Mieniewski patrzył cienką szparą oczu, Kostryń unikał spojrzenia, — obaj jakby złapani nagle na gorącym uczynku.

Wszystko ocalił syn leadera. Podszedł do Kostryniówney, skłonił się i kazał sobie przypiąć lotniczy znaczek.

Powstała z miękkim szumem jedwabiu i do klapy raglanu, błyszczącemi, jak różowe żuczki paznokciami przypięła małą, propagandową blaszkę.

Nie miał czem zapłacić, zarumieniony zwrócił się do ojca i tak, dzięki światowym przesądom młode pokolenie zdezorganizowało cały ten wypadek.

Nie było rady: pan Mieniewski z synem przedstawili się córce, potem, — zimno, — ale też i matce.

Siedziała opodal w pięknym kapeluszu, który Koza określał: — płacząca brzoza.

Leadera ubawiła przelotnie myśl stara, poczciwa, — że można jednak całe życie być kretynem, a przecież znaleźć piękną żonę, mieć z nią dorodne dziecko. Uśmiechnął się dość czule ku panience, patrząc, jak równocześnie Kostryń podaje rękę Tadeuszowi.

Podawał ją z tym dawnym, jeszcze z politechniki znanym uśmiechem podziwu.

Podziwiał teraz syna.

Uniesiony bezsensowną żałością minionego, pan Mieniewski zmienił tryb — na ty.

Doszło nakoniec do słów takich, jak brak teatralnego sezonu w Osadzie.

Do czegoż domówią się jeszcze? Towarzyszka Martyzelowa uśmiechała się już wcale ironicznie. Dusiowi poszła czarna żyła przez czoło, Drążek zacierał ogromne, suche łapska, jakby się deska o drugą deskę tarła.

Dopiero bezrobotni kres temu położyli. Za szybą ciastek migdałowych zamajaczyły trzy głowy. Tylnemi drzwiami weszło kilku oberwańców, frontowe wejście uchyliła wielka kosmata dłoń, — za nią rękaw z czerwoną szarfą.

6

TEN JAKIŚ DUŚ

Od Cieplika, z pomiędzy natłoku dyrektorskich samochodów wypadło skierować kroki wdół ulicy, przez kolejowe nasypy huty „Katarzyny“, łączącej się na żywem ciele miasta z niedalekim Erazmem. Stąd prosto przez nieszczęsną tymczasowiznę bud, domków i drewnianych kleconek (tak określał te miejsca Martyzel) w stronę wiecu, ku miejskiemu targowisku.

Wiec z jednej, pokaz lotniczy z drugiej strony wyssały z miasta wszystką prawie ludność. Kto gdzie miał pójść i przybyć, poszedł już i zapewne przybył.

Ulice były puste. Tylko z pięciu kominów Katarzyny i Erazma i sąsiednich cynkowni prządł się dym leniwy.

Tyle, żeby piece nie wygasły.

Leader kroczył szybko, wpatrzony w stóżki dymu onego, w oddech czarny a nikły, pasmami czarnych promieni rozniesiony po niebie.

Pan Mieniewski nie myślał o wiecu. Wszystko było zawczasu gotowe. Gotowe, przesądzone. Pozostawała wyłącznie mechanika działania: odgadać swoje, — potem wracać.

Miał zamówiony sleeping.

Szedł coraz prędzej, aby pozbyć się towarzystwa. Obok maszerował ktoś z asysty. Ten jakiś Duś.

Nie dadzą człowiekowi odetchnąć ani chwili. Czegóż znów chce ten Duś?! — Poseł mrużył powieki, wypatrywał z oddali, jak szczęśliwego końca, placu onego, na którym wygłosi ostatnie przemówienie objazdowe. Słyszał je już w sobie i już zawczasu bolały go wnętrzności od echa gromkich, tyle razy powtarzanych słów.

Sygnalista kroczył obok, grzecznie zmieniał nogę pod takt kroków leadera, aby broń Boże, nie trącić, czy choćby rąbkiem rękawa nie zahaczyć ważnej, doniosłej postaci. Nic nie mówił, widoczne jednak było z nieznacznych podskoków, odrzutów ręki, nagłych pochyleń głowy, że szykuje ważne objawienie.

Gdy nagle, — dotknięto posła w przedramię. Mocno, ciężko, jakby kawałkiem żelaza. Sygnalista kopalni Erazm wskazującym palcem lewej ręki dziobnął leadera Mieniewskiego, na którego obliczu życie całej partji wypisane było od a do z. Dziobnął posła w przedramię, — jakby gwoździem.

I zaczął mówić. Z wielkim bólem, z ogromnem udręczeniem. Z tak straszliwem udręczeniem, że znana przecież od tylu lat uliczka i bruk i wystawy sklepów i domki do placu targowego wiodące, że wszystko teraz mowie tej przeszkadzało usilnie: szkliste zakurzone boki Katarzyny, słupy telegraficzne, nawet niebo drgające w rozsupłanych dymach, nawet serce własne, — może nawet świat cały!

Przeciw takim zaporom, jak świat, Duś umiał zęby zaciskać i cel właściwy przeprowadzać.

Ostatnia próba: Ty, stary człowieku, lalko parlamentarna, ryzykujesz tu przebrzmiałe, kiepskie życie. Kompromisowe życie socjaldemokratyczne po parlamentach niepotrzebnie włóczone. Ryzykujesz z ręki proletarjusza, która nie będzie tu nawet ręką organizacji, ani rozkazu partyjnego, ale własną ręką gniewu...

Trzeba było na to wszystko największej odwagi. Dawno, od pierwszych afiszów o wiecu całe posłuszeństwo, cała dyscyplina partyjna oblewała się w myślach Dusia potem zgrozy...

Lecz cóż?! Lecz rodziny więźniów politycznych jeść co nie miały, „mopr“ ostatniemi groszami niedolę tę opędzał, za kratami szalała prowokacja, moloch kapitału wciąż nowe ofiary z szeregu porywał!

Ostatnia chyba godzina, by plunąć na ostatnie pozory!

Duś mówił z zamkniętemi oczyma, krew zalewała mu powieki. Samą treścią mówił, samą wiarą.

— Wyście jest poseł, leader! Wiecie: kapitał ma zewsząd zamówienia, ale nie przyjmuje obstalunków. Węgiel leży, pali się na zwałach, na hałdach, tyle go jest, ale oni go nie sprzedają. Nie chcą. Żeby ceny jeszcze wyżej śrubować. Pogwałcili wszystkie zdobycze robotnicze, a gdy pójdziemy potulnie do nowej umowy z kapitałem, to będzie jeszcze gorsza! I na cóż będziemy wtedy pracowali, — na śmierć własną? Wyście jest poseł, leader?! Powiedzcie sami!

Na co leader, widocznie słowami temi wcale z wła-

snych myśli niewyprowadzony, tyle tylko, — że prawicę położył na ramieniu sygnalisty. Położył i spoczęła dobrotliwie, ponętnem ciepłem złudnego demokratyzmu.

Ciepło to jeszcze więcej przysparzało męczarni Dusiowi. Wiedział przecie, że tam, w głębi za starą skórą pomarszczoną, za temi kośćmi leaderowskiej czaszki pełza mnóstwo gładkich, śliskich racyj, wypasionych na kawie, mięsie i grubych, tłustych książkach.

Przedarło się w piersiach Dusia wielkie uczucie i zstąpiło jeszcze dalej w głąb, gdy wymówił:

— Wyście dawno już chyba, pośle, a nawet może nigdy, nie stał w wodzie po kolana, w ciemności, trzysta metrów pod ziemią i wózków z toru na tor dziewięć godzin nie ciskał! Powiedzcie sami?!... Na śmierć naszą pracować chcecie — i na swoją?

Spotkali się spojrzeniem. Tyle światła polało się z bystrych oczu leadera, że przymknięte powieki sygnalisty rozlepiły się.

Pan Mieniewski nie zdjął dłoni z ramienia sygnalisty. Uśmiechając się wyniośle, poczuł nagle, że oblatuje go trwożne przeczucie. Płaska, pusta prawie twarz Dusia płonęła w bladem słońcu, światło źrenic zespoliło się z obwodem tęczówek, wypełniwszy powieki aż po brzegi.

Zacisnął rękę na ramieniu sygnalisty. Wpił się palcami głęboko, aż po kość obojczyka. Stali tak długą chwilę tuż przy sobie, trzęsąc się w niepojętem przerażeniu. Póki leader nie odwrócił się poza siebie i nie krzyknął:

— Mój drogi Tadeuszu, czemuż zostajesz wtyle?! Hallo! Hallo! Hallo!

Gdy młody Mieniewski, roztrąciwszy asystę stanął przy Dusiu, leader jakoby zesłabł. Wziął obydwóch pod rękę, wsparł się i dyszał ciężko. Czyż nie należało powiedzieć synowi: To komunista. W danym razie wal w łeb. Czyż nie należało powiadomić przez kogoś pana Kapuścika? Czy nie należało za łatwowierność zbesztać tego durnia, Drążka?

— Patrzcie, Duś, — rzekł leader z uśmiechem, — jaki doskonały raglan ma mój syn?

Przerwało się wszystko w Dusiu od tego powiedzenia. Tadeusz zarumienił się. Leader popatrzył na młodego robotnika z wielkim smutkiem. I dodał: — Tak, mój chłopcze. — Poczem wsparł głowę na ramieniu sygnalisty. Kilka sekund, nieprzytomnych prawie, — może najszczęśliwszych. Jagdyby przez wytartą bluzę Dusia usłyszeć można było — własną młodość zapomnianą.

Asysta uszanowała tę chwilę w rozumieniu, iż może zaszkodziło coś leaderowi przy obiedzie? Drążek, Martyzel, Supernak i różni nowi przybysze, ośmiu dobranych, bezrobotnych milicjantów, — przyboczna straż na wiecu, — patrzyli stropieni, zasłaniając tę scenę własnemi postaciami.

Rzecz działa się przecie na oczach ludzkich, wpobliżu targowiska. Taki leader nie wie nawet, że stoi już pod ścianą jatki. Wszędzie tu dookoła same jatki i stąd właśnie ten zapach.

Drążek i Koza chcieli posłać po konjak. Prawdziwy, nie do knajpy, lecz do pewnego sympatyka, sprzedawcy tytoniu.

Nie. — Leader odmachnął się dłonią, jak od naj-

głupszego cwiszenrufu. — Ba, — dodał, — nie dziwcie się towarzysze, któryż to już wiec zrzędu?!

Nikt nie zdołałby tego dokładnie przeliczyć! Rozstąpili się i odczekawszy szanownie „dycezji“ leaderowskiej co do chwili marszu, ruszyli społem. Każdy skwapliwie lepił się do tego towarzystwa, bo w ogonie tym idąc, miało się pewność, że się pod samą trybunę przybędzie. Patrzyli pilnie na siwą leaderowską głowę w czarnym kapeluszu.

Koza powiedział, — że patrzą jak za magnesem, lub piorunochronem.

Naprzód, wąską uliczką między straganami rzeźnickiemi. Gdyby tu był wyjątkowo obecny samorząd miejski, mógłby się po uszy zarumienić: co krok walały się, albo kości bydląt, albo też jakieś skręty wnętrzności nieumiecionych z wczorajszego dnia, a już tak silnie cuchnących.

Leader potknął się dwa razy na tych gnatach, dobrze, że go zaraz zręcznie podtrzymali bezrobotni. Krążyli czujnie wkoło, dla niepoznaki skrobiąc pazurami drzazgi z wielkich lach, w które byli przedpołudniem oficjalnie przez Kozę zaopatrzeni, — ze względu na porządek.

Sekretarz gniewał się na nich za jedno tylko, że „odnośnej postaci“ wciąż zazierają w oczy, — jakby z samego patrzenia w leaderowskie oblicze mogła korzyść jakaś wyniknąć dla nędzarza.

Tem bardziej, że leader wpadł już chyba w to swoje, znane zaszczytnie od lat tylu natchnienie parlamentarnego mówcy: na nikogo nie zwracał uwagi.

Cóż można wypatrzeć z ironicznego uśmiechu?

Uśmiech ów narzucała, zaiste przedziwna sytuacja: Oto Drążek, — spasiony wilk, przyćmiony Koza, szary ciąg Martyzelów, Supernaków, a oto straż — szczególna z pałami porządku partyjnego w bezrobotnych rękach. Ośmiu wydartych ludzi, w marynarczynach na gołem ciele, czy też na przedziwnych koszulach pływackich w biało-niebieskie prążki. Żałosne milicjanty za każdym krokiem niecіące kurz przydłużonemi szeroko, jak kowbojskie portki, nogawkami.

Trudno było zaiste nie pomyśleć o byku, torreadorze, — o niepożytym geście taniego igrzyska, — gdy właśnie uliczka weszła w plac: szerokie, przestronne klepisko, otoczone rudym wianuszkiem straganów, jednym bokiem sięgające sinych ścian stalowni.

Padał od niej fioletowy klin cienia. W sztywnych smugach pomroki twarze tłumu, jakoby zapalały się czerwoną łuną i znów gasły.

Poseł zdjął kapelusz i ostentacyjnie westchnął. — Wielka ciżba szumiała na całem targowisku, oraz na górkach sąsiednich, rozdołach i wzniesieniach. W głębi pod ścianami stalowni widać było czerwoną mównicę. Powiewały nad nią krótkie chorągiewki, co zdaleka sprawiało wrażenie, jakoby wrzątek czerwony raz wraz wybuchał z trybuny.

Więc to aż tam. — Leader chciał jeszcze coś mówić, lecz zamilkł. Już go zauważano. Szedł swobodnie, uprzejmie, niby na przechadzkę. Drogę rozgarniali w ciżbie bezrobotni. Pracowali żarliwemi dłońmi, pałką, albo jakim bądź kijem i krzykiem i całem ciałem.

Krocząc żłobioną w ciżbie brózdą, baczył pilnie na twarze. Znał się przecie na nich nie od dziś. Śpiczaste, śklące, jakby smalcem powleczone. Zaciśnięte. Zamilkłe. O brwiach wysoko wgórę uniesionych, oczach nadmiernie rozszerzonych, — jakby już zawczasu przejęte wielkim krzykiem.

Ludzie pracy.

Tuż za posłem zbierali zaszczyty towarzystwa Drążek i sekretarz Koza.

Posła Drążka gnębił szczery niepokój. Nie dlatego, że trzeba będzie wygłosić zagajenie przed wiecem. Nie uważał się za mówcę i zawsze grzał — prosto z mostu.

Nie o to, wcale. Lecz w czasie zagajenia nie zdoła już upilnować leadera przed Kozą. Nieznośny śpiczak naszczeka, co mu ślina na język przyniesie. Lepiejby było jeszcze kogoś przywołać do osoby leadera.

Naprzykład Martyzela.

Martyzel nie chciał. Szedł, bo szedł, ale oświadczył wręcz: — Dla mnie czasy wszelkich haseł minęły. — Posuwał się brózdą w tłumie uczynioną, obok żony — i to wszystko.

Uważał, wedle dzieła Micheleta „Miłość“, że kobieta wszystko dzieli z mężczyzną, jak równy z równym. Dlatego szli wcale nie pod rękę, a jedno obok drugiego, w koleżeństwie, na wszystkie przeciwności solidarnie gotowi.

Niby w ścisłym szeregu, który od nich zaczynał się i zaraz na nich kończył.

Postawa ta kosztowała Martyzela bardzo wiele. Aż serce do gardła skakało. I nie było na to rady, ani w socjologji, ani w filozofji, ani tem mniej w tłumie tu obecnym.

To jest, — że stary kulawiec portjer Supernak korzysta z tłumu i pcha się niewłaściwie na żonę. Lepi się do niej żywcem, przypycha i przyciska. Na takie rzeczy niewiasta, jako człowiek wolny, musi sama reagować.

Może powinna?

Martyzel nie mieszał się do tych spraw. Jeżeli ciało żonine przez takiego padalca naciskane brzydziło i bolało Martyzela na przykładzie własnego ciała — to rzecz inna. Żona reaguje na te czcze dotyki, jakby się o nią drzewo obijało, — widać, iż obrała taki sposób.

Dopiero, gdy znaleźli się wpobliżu trybuny, stanął twardo Martyzel między kobietą swoją a portjerem.

Niepotrzebnie.

Przedzieliła ich odrazu fala tłumu, ludzie bowiem chcieli widzieć, jak leader z posłem Drążkiem i sekretarzem Kozą smykają incognito za trybunę.

Stało tam kilka sosenek, wbitych doraźnie w piach. Uroczystościowych. W środku ławka nawet, przygotowana dla wytchnienia.

Robotnicy chcieli widzieć to miejsce ozdobne, tembardziej, że już od drugiej ściany stalowni przemykał wysoki rząd sztandarów partyjnych.

Kołysały się nad głowami ludzkiemi, jak czerwone ptaki, które zakręciwszy z połowy placu, obsiadają powoli trybunę.

Leader spoczął pod sosenkami, na ławeczce, w skromnem cieniu incognita. Gałęzie i igły sosnowe kłuły go w szyję, nieznośnie łaskotały w uszy, wolał to jednak, niż wystawiać się na widok towarzyszy.

Gdy na trybunę celem zagajenia wyszedł Drążek, poseł Mieniewski założył lekko nogę na nogę. Obliczał zagajenie na dziesięć minut.

Dziesięć minut spokoju.

Pomylił się, — spokoju nie zaznał. Trzeba było wysłuchać wszystkich możliwości, danych i warunków związanych z wiecem.

Koza twierdził, odrazu na wstępie, że w zasadzie wszystko jest względne. Pomijając jednak tę względność, należało przyznać, że poseł Drążek nie jest co do przebiegu wiecu należycie ugruntowany. A to z powodu kompromisów, dotyczących budowy Domu. Ze wszystkich stron trzymany jest poniekąd za włosy. Od strony samorządu umowami z cegielnią. Od strony kapitału kompromisem. Od strony rządu...

— Drążek, — szeptał Koza nabożnie posłowi w ucho, — niema z czem iść do ludzi!

Leader wyrzucał głową, jak koń cięty przez muchy.

— Ludzie też są ostatecznie — względni. Mówmy więc ściśle o samych bezrobotnych. Ci z akcji normalnej jedzą jeszcze. Lecz ci z akcji doraźnej dawno już w gębie nic nie mieli. To jest nasza milicja. W przepaskach, z grubemi lagami. Jak długo wytrzymają? Ja im obiecuję, — mrugał teraz do leadera porozumiewawczo, — fundusz Państwa na roboty publiczne. Do rozporządzenia organizacyj robotniczych. Naszych. Ale tu trzeba niezawisłego wystąpienia. To nie Drążek! Dlatego bezrobotni mogą się nam rozkruszyć, do komunistów przejdą?...

Pan Mieniewski przymknął ciężkie powieki: gdzieś

zdaleka ryczał gramofon arję operową, wiaterek przedwieczorny zaganiał woń padliny to w lewo, to w prawo.

Oto partja: młody podjadek szepcze ci do ucha, stary brytan ochrypłym wrzaskiem zagaja na trybunie, od dołu wszystko poderwane nienasyconym głodem, u góry władzą się opychają.

Nazywał to w poufnych szkicach swego pamiętnika: próbą przedmiotu. Pokolenie działaczy, które w świat wyprowadził, które za młodu tyle razy łba nawet nadstawiało, teraz w latach dojrzałych nie potrafi sprostać tępej próbie przedmiotu. Sprostać próbie posiadania. Wszędzie — kozy i drążki. A w istocie, zawsze nad głową Dusia, czy innego głupca wisieć będą pazury pana Kapuścika. Zawsze wystarczy przewiązać głodomora czerwoną szarfą...

— Na dowód tego —

Poseł obruszył się: — Czego, kochany sekretarzu?

— Na dowód wszystkiego, — Koza chował się wstydliwie w gałęzie sośniny, — raczcie przyjąć do wiadomości jeden przekrój. Mówili u Cieplika, że pani a nawet panna Kostryniówna zażywa bardzo drogich masażów. Otóż żona posła Drążka doznaje tych samych masażów od tej samej masażystki, za co regularnie płaci. To, panie pośle, przekrój dostateczny chyba...

Ewentualnie jeszcze jeden przekrój, o placu, o tym targowym placu, co do którego kapitał uzyskał już eksmisję.

I jeszcze jeden przekrój: o robotach górniczych, prowadzonych, — że miasto wszędzie rozpada się i wkląka. Gdzież tu interwencja Drążka?

Leader wstał z ławki, odsunął sekretarza, pełen już teraz wszystkich elementów partyjnych. Mocą nawyku, tresury, przeistoczyły się one nagle w znaną gotowość głosu, graniczącą z radosnem kwileniem.

Należało zaczynać. Leader splunął i rzekł do sekretarza krótko:

— Idę.

Koza poskoczył naprzód, ściągnął posła Drążka za kurtkę, — na trybunę wyszedł leader Mieniewski.

A więc to nie perkal, — pomyślał resztą potocznej uwagi, kładąc rękę na drewnianym parapecie. — Czerwoną bibułką wyłożyli. Racja, — o wiele taniej.

Spojrzał przed siebie: witano go gromkim okrzykiem. Ludzie wołali zewsząd, aż z pomiędzy straganów i z wszystkich sąsiednich pagóreczków i z okien małych domostw, kleconych w rozpadlinach gruntu.

Niebo zdawało się chwiać od tych wołań, różowe, nisko nad placem zapuszczone. Jeszcze teraz myślał leader o tem niebie, — że go za dużo, dwa razy za dużo chyba nad ludzką ziemią.

Wyciągnął ręce, po tłumie przeleciała cisza od krańca do krańca.

Z radością usłyszał pierwsze swoje słowa. Twarde, dźwięczne, spokojne. Zaczynał, — jak zwykle, w wypadkach dość złożonych, — od powojennej sytuacji Europy.

Było to przygotowawczą gimnastyką mówcy, która poprzedzać miała właściwy wyczyn. W gimnastyce tej ukryte były chwyty podstępne, obliczone umiejętnie na pożądane reakcje tłumu.

Reakcje te, wedle uznania leadera, wypadły korzystnie. Kilkoma okrzykami zmiótł z nad uniesionych ku trybunie głów rozkrwawioną Europę powojenną i szeregiem twardych, prostych zdań wypchnął naprzód sprawę strejku.

Tu się zaczęło: pierwszych kilka nieśmiałych głosów. Kilka słów spłoszonych, oderwanych, bezczelnych. A potem całe zdania, coraz śmielsze... Cała więź gwałtownych okrzyków.

Potem już stałe miejsca w ciżbie, wciąż wrzaskiem tryskające.

Do tych miejsc głośnych dopadali z pałami bezrobotni. Wiązał się tam odrazu wydęty tobół ramion, głów i rąk, ślizgało głuche szamotanie.

Leader mówił dalej. Dalej, dalej i dalej, bezlitośnie piętnując warcholstwo i brak dyscypliny.

Ale oto, jakby pod jednolitym zlepem tłumu ciemny ogień przeleciał. Tu i tam wzdymała się powierzchnia, tryskały wgórę ręce, kije, szarfy.

Leader szukał w tem kotłowisku chociażby kilku wybitniejszych twarzy.

Nie mógł ich już odnaleźć. Tylko nad brukowiskiem krągłych czapek robotniczych skupiały się gdzie niegdzie głowy młodych robotników.

Niby kupa równych, okrągłych kamieni.

Kupy owe rozbijał gromkim słowem, racją partji, drożyzną, która ze strejku wyniknie.

Wielki stentor leadera nie mógł już dalej nieść, jak po granicę cienia czarnych ścian stalowni. Pan Mieniewski zdawał sobie z tego sprawę.

Mimo to, mówił dalej! Przedewszystkiem zaś powiększał znacznie gesty. Na jedną chwilę nie ustawać, — biło mu w piersiach wielkim głosem stare doświadczenie, — cała misja sprowadza się do kilku trafnych gestów...

Jak czarny, wielki ptak, w czerwonej klatce, raz wraz wznosił się wgórę i opadał.

Nie ustawać!

Grupa skupionych głów rozprysła się i nagle, ponad gęstwą pięści wykwitł czerwony sztandar komunistów.

Uszu leadera doleciał piskliwy głos Kozy:

— Akcja doraźna, zmacajcie-no to kijem!

Kilkunastu półnagich wyrostków, w koszulkach pływackich, niby gromada błaznów w brudne, pasiaste prążki, poskoczyła mimo trybuny naprzód. Rozległ się mlaskot bitego głośno ciała, skowyt szarpanych twarzy.

Leaderowi zaschło w gardle. Miał pełne usta argumentów, — teror czerwony, nędza, tyfus, Trzecia Międzynarodówka, prowokacja.

Mówił, wrzeszczał, wrzeszczał wszystko głośno, w obliczu tej potwornej komedji robotniczego losu, tej nędzy, tej ślepoty: którzy mieli jeszcze pracę i którzy już nie mieli, nędzni i nędzniejsi, jeszcze żywi a tamci już straceni: Przerzucali się temsamem hasłem nienawistnie, na te same sztandary pluli, — uwolnić więźniów politycznych, — za kratami prowokacja, — podłe pachołki kapitału, — do Rosji, precz do Rosji!...

Leader drżał, przedarty niejako do dna świadomości.

Tajemna rutyna ukochania tych spraw, ludzi i okrzy-

ków kazała mu nie ustawać w gestach, wciąż nowe wynajdywać. Czynił je, proste, tanie, wspaniałe, zlany potem, a w głębi duszy chichoczący obrzydłym niesmakiem, porażony bezradną pogardą, z zamkniętemi powiekami piejący wielkie słowa. Z zamkniętemi oczyma czekający, że się to skończy wreszcie.

Ciskali kamieniami.

Może zabiją. Ktoś wreszcie strzeli! Niech zabijają...

Od jednej i od drugiej strony, w łomocie kijów, w dzikim, opłutym śpiewie darł się głos rozwścieczonej nędzy. Wyrzucali sobie wzajem wszystko, więźniów politycznych, kraty, zdradę, prowokację, węgiel, czas pracy, zdobycze i kradziony materjał wybuchowy, karbid, fleki, — jedni drugim, bezrobotni szmelcerzom, walcownicy, hakarze z oczyma zbielałemi od ognia, górnicy tłukący przed się rękami, jak młotem; suszeni w strasznych żarach rozlewacze żelaza, żywe, twarde szkielety z cynkowni; od prażalników i muflarze i stroiciele materji; ładowacze, spychacze, zapinacze, karowacze o plecach wypukłych, jak skiby, głodne dziewki z sortowni, ze zwału, z odkrywki, z płóczek, głuche od trzasku węgla, cieśle i murowacze i prześmierdli woźnice i zamulacze, wszystkie fachy zamułki, obrzękłe wodą ludzkie glizdy kopalniane, ramiarze, rurarze i palacze pełni kaszlącego rozpuku, sygnaliści z podszybia i nadszybia, jeden słuch, jeden duch, ręce śliskie, jak bigle, twardzi ludzie od śtosa — cała pomoc, umowa, pańska dniówka, czas zjazdu i wyjazdu i czas pracy, wszystkie akcje, zdobycze, wszystka, wszystka powierzchnia i dół!

I cały dół tutejszej pracy!

Przez plac pruły się wrzaski, jakgdyby olbrzymiego drapieżnika żywcem na części darto.

Leader krzyknął. Kopnął Drążka, który chciał wzywać policji. I znów krzyczał. Rrwał czerwoną bibułkę garściami z parapetów trybuny, ciskał strzępy przed siebie i oślepiony żarem, łkający najtajniejszemi łzami, zgryzem samym, płaczący smołą ostatniej rozpaczy, — wzywał ludzi ku sobie.

Spostrzegli go nareszcie. Kilku — kilkudziesięciu. Wskazali go oburącz, pięściami, niby hasło, tablicę, godło nienawistne.

Tłum wrzasnął srogiem podziwieniem. W bójce, tumulcie, tratując się wzajemnie, runęli ku trybunie.

Leciał przed niemi kurz, mdła spiekota oddechów. Kurz, przesycony wrzaskiem.

Pierwsze wybłysły wokół trybuny twarze kobiet. Krzyczące przeraźliwie, rozedrgane, o źrenicach rozlanych, zasnutych szkliwem łez.

Za niemi ciemne gęby górników, z jamą czarnego wrzasku w sinych ustach.

Leader uchwycił pierwsze wyciągnięte dłonie, przyciągnął najbliżej i pchając w nie pomięte strzępy czerwonej bibułki, wołał:

— Smarujcie ręce krwią! Gdzie macie, — matki, — noże na swoje dzieci! Gdzie macie noże?

Łapał, chwytał, porywał spocone dłonie, przeguby, palce, wtykał czerwony papier, wciskał, smarował tym papierem po drgających ramionach, przez piersi.

Kobiety jednem tchnieniem, jednym piskliwym zgrzy-

tem kładły mu do uszu wszystko, — wszystko naraz: dzieci po rynsztokach, wszelki brak mleka, redukcję, chleb tak drogi, — do trzech lat karmią małe piersią, bo na chleb nie mają, — mieszkania, od chlewów świńskich gorsze i korce węgla, — wstrzymane przez dyrekcję korce!

— Korce, — kartofle, — korce!!!

Usta świstały, jak proce, — z oczu łzy sznurem szklannych pestek, — za równemi zębami czarny żar, bity głośno językiem.

— Gdzie macie, matki, noże?! — biadał leader gładząc głowy, naoślep przebierając — gdzie macie noże na swoje biedne dzieci?!

Zaniosły się ogromnym jękiem. Przejęte rozpaczą, zasmucone przylegać jęły do skopanej trybuny, opadać, cichnąć.

Wrzask wsiąkał zwolna w tłum. Jeszcze tu i tam podrywaly się pięście, wzmagał się głos, jeszcze burza latała po placu, lecz coraz słabszym nawrotem. Na skrajach ciżby zrobiły się wyrwy i jamy w ściśniętej rzeszy. Kilku wlekło jednego, — tu i tam, czarną grudą roztapiali się w mroku, za straganami.

Pan Mieniewski obserwował bardzo dokładnie: przebrani po cywilnemu agenci wywlekają podejrzanych...

Tłum nic nie widział: ludzie cichli. Płakali rzewnie, olśnieni straszliwem pięknem swej niedoli.

Tylko on, leader, w niewyjaśnionym, beznadziejnym uśmiechu, łzami tryskający, on, na którego obliczu losy partji malują się od a do z, u stóp którego niedoszły morderca szlocha teraz może, — uczuł raz jeszcze, iż

doznaje najprzewrotniejszej na tym świecie rozkoszy — hasła.

Przerażony tragiczną sprawnością zawołania, jął mówić szarzejącym w mroku piętnom twarzy ludzkich — o czem innem. O rzeczach — wyższych. O świetle — i ciemności. O wiedzy — i niewiedzy. Rozsypce — i budowie.

O budowie, której niesposób wydźwignąć w ciemności.

Myśl aż śliska, tak jasna, zawsze w dziejach spóźniona, prosta jak ostateczność, nigdy przez ludzi nieuznana.

Rozlewała się stąd, z trybuny, niby oliwa po falach wzburzonych. Leader pławił się w rozpętanej wymowie, wielkiemi skokami dochodził już niebawem do szczegółowej organizacji idei „samokształcenia robotniczego". Kochane, wypieszczone szczegóły, drobiazgi, koła, kółka i kółeczka!

Raz tylko jeszcze z pod trybuny wyrwał się ktoś, dwie pięści wystrzeliły wgórę, — lecz oto spadły, zagarnięte skocznym rzutem, jakgdyby tadeuszowego raglana.

Niepodobna było rzeczy tych rozeznać w mroku, tem bardziej, że z przeciwka, od strony stalowni zabłysły światła wielkich lamp łukowych.

Mówić! Ani na chwilę nie ustawać! Dalej, dalej i dalej, nie zwracając uwagi na sylwetkę napastnika, zczepioną ściśle z grubą kratą raglana.

Zatoczyli się wbok, między ciemne, uroczystościowe sosenki. Ława chrupła, runęli na ziemię. Kotłowali się

chwilę, Duś uskoczył, Tadeusz za nim. Znów uścisk twardy, jednolity, od którego wszystek dech w piersiach ustaje.

Tadeusz ścigał prawą ręką rękę przeciwnika, uzbrojoną w browning.

— Oddaj broń, draniu, oddaj broń. — Zmagali się, twarz naprzeciw twarzy, owiana znojem walki. Przez uderzenia razów płynęły gęste słowa przemowy leadera.

Wspaniałe, uroczyste.

Z ugniecionej piersi Dusia wydobywało się rzężenie, lecz prawa ręka z browningiem wciąż jeszcze sterczała nad głową. Gryząc się, dławiąc, gniotąc, wytoczyli się z pomiędzy sosen, huknęli sobą o jakąś ścianę Tadeusz pchnął przeciwnika i z trzaskiem, przez wywalone deski runęli w głąb.

Do jatki.

Słowa przemowy leadera huczały tu, jak w akustycznem pudle. Nareszcie udało się Tadeuszowi wyrwać broń. Trzymał ją teraz wysoko nad głową sygnalisty a prawą pięścią walił raz za razem w szczękę. Trafił!

Duś zwalił się na ziemię pomiędzy wagi, misy, ochłapy śliskie, gnaty i ciężary.

— Masz dość, draniu? — Mieniewski uskoczył w stronę wąskiego otworu i tu czekał. Nie mógł teraz dojrzeć, co się dzieje wewnątrz jatki. Kurzyła się tam ciemność ruda, jedynie skraj klepiska błyskał zadrami poblasku.

Z ciemności tej zawył po chwili głos:

— Burbon sprzedaje klasę robotniczą z trybuny! Powiedz: masz ojca? Masz?

— Chcesz jeszcze w mordę?

— Powiedz, masz ojca, masz?

Znów się zczepili, skucząc, jak młode psy.

Duś był silny. Obejmował straszliwie przez żebra, tłukł pięściami, twardemi, jak kamienie, lecz nie trafiał. Tadeusz bił ciosem bokserskim, pracowicie ćwiczonym, celnym.

Uchwycili się, że ręka z ręki wydostać się nie mogła. Leżeli teraz na progu jatki, z dłońmi we włosach, wpatrzeni w rozeżglone oczy, w największem natężeniu mięśni bezsilni całkowicie, przeczący głowami, — jakoby słowom leaderowskiej mowy, której echa tłoczyły się pod stropem straganu.

Nastała krótka sekunda, gdy czoła ich mokre, gorące oparły się o siebie.

— Masz ojca, masz?!...

— Chcesz jeszcze w mordę?!

Słowa pomięły się im w ustach, nieznany poryw rozlepił zaślepione oczy, wciąż jeszcze trzymali się za bary, — złączeni jednym porywem niespodzianych łez.

Tadeusz cisnął browningiem w piersi sygnalisty i jął uciekać. Biegł z pomiędzy straganów ku miastu. Pełen nieprzytomnego żalu, niechęci przeciw ojcu, — rozpaczy.

Ktoś wyskoczył z bocznicy, jednym susem przesadził gościniec, krzyknął: — Stać! —

Pan przodownik, Kapuścik.

Działo się pod łukowemi lampami szosy. Owiał Tadeusza zapach konia i starej perfumy, przypominającej szczególnie zapach świątecznego ciasta.

Pan przodownik Kapuścik przepraszał. Duże, wyszczerzone zęby lśniły pod złotym wąsikiem.

Nie miał zaszczytu być przedstawionym, widział już jednak dzisiaj syna paną posła u Cieplika. Po południu. Przelotem. Z tylnej kieszeni szerokich granatowych breachesów wydobył srebrną papierośnicę. Przy manipulacji z zapałkami okazało się, że Tadeusz ma zakrwawioną rękę.

Nic dziwnego — w takim ścisku. Plasterka, oczywiście nie ma. Opatrunku — detto. Pan Kapuścik owiązał Mieniewskiemu rękę własną czyściutką chustką do nosa. Prosił przytem o wyrażenie podziwu panu leaderowi.

Taką opozycję opanować, — czem? Słowem, — gołem słowem!

Kapuścik wyobrażał to sobie całkiem inaczej. Co najmniej chyba w postaci kilku szarży. Poskakałoby się trochę, pogalopowało.

Szli razem w stronę miasta, ku stacji kolejowej.

Pan Kapuścik był z zasady sportowcem. Po tylu wojnach jedyna przecie dewiza ludzkości: — odreperować ciało. Ale w Zagłębiu sportu właściwego niema. Wszystko partyjne. Jedyny, jaki można uprawiać, to utrzymanie porządku. Cóż to za sport?

Pod stacją towarową stały trzy ciężarowe lory, na które ładowali policjanci uczestników wiecu, okutych już w kajdanki.

Młodzi ludzie i brodacze jacyś, gromadki chudych żydków i bezrobotny trykot w pływackie prążki. Dookoła błyszczały bagnety.

— Bijecie bardzo? — spytał nagle Tadeusz.

— Święty Boże, — Kapuścik przeżegnał się, — co najwyżej kupujemy, — za grosze. Z całego tego wiecu i przemówień i demonstracyj urobi się — kilku nowych początkujących prowokatorów. Co do bicia? Nigdy się to nie stanie, ale mógłbym panu śmiało życzyć, żeby się pan kiedyś dostał do naszego więzienia. — Istne cacko!

Lory już odjeżdżały, głowa przy głowie, pełne głębokiego milczenia, Tadeusz pobiegł za niemi, wpadł do Domu Ludowego, jechały dalej.

Odkręcił światło w przestronnej sali ojca. Gdzież gary?! W porządku, pod ścianą. Ustawił je na stole, otarł z kurzu i usiadł przy nich. Gwiżdżąc kolędę „Przybieżeli do Betlejem pasterze".

Ach, skądże ta kolęda? Wsparł czoło na stół. Dlaczego objęli się z Dusiem? Nad czem tam w jatce rozpaczali?

Ogarnął Tadeusza strach wielki, wzniosły i nieznany, aż całe ciało pokryło się gęsią skórką: Jechać stąd, jechać, jechać!

Na dole zawarczał samochód.

Pod naporem rozstąpiły się drzwi, rozkrzyżował się na nich ojciec, zastępując ludziom drogę.

W głębi czarnego korytarza przewalały się ciężkie stąpania, chrzęściło kotłowisko ludzkie.

— Wysłuchaliśmy was, panie pośle, leaderze nasz, — huczał głos, — ale żadnego światła nadziei przed sobą nie widzimy. My są z „akcji doraźnej", bezrobotni i już nam niewiadomo?! Czy kraść, czy się zabijać z dziećmi i z żonami?!

Leader wyciągnął ku nim pokorne dłonie: — Pomóżcie, dobrzy ludzie. — Wskazał, poczem pierwszemi ruchami sam rozpoczął osadzenie drzwi w zawiasach. Gdy bezrobotni skrzętnie dokonali pracy, leader drzwi przed nimi zatrzasnął. Do drewnianych skrzydeł przydusił oburącz Kozę i posła Drążka. Poczem śmiać się zaczął najosobliwszym śmiechem, obłąkanym powiedziećby można, gdyby nie tyloletnia wartość tej postaci.

W śmiechu tym szczerząc ogromne zęby, powtarzał raz za razem, —

— No, teraz wy gadajcie z nimi, teraz już może wy?!

7

NA WŁOS OD NAGŁEJ ŚMIERCI

Posłem Mieniewskim trzęsła nieprzytomna pasja. Żylaste ręce latały przed posłem Drążkiem o pół ćwierci sekundy — od policzka.

W postępowaniu partyjnem, — może za wyjątkiem ogólnoludzkich spraw erotycznych, — niema oczywiście policzkowania, jako takiego, słowa jednak, które teraz leader z siebie wyrzucał, gorsze były od najcięższych uderzeń. Poseł Mieniewski grzmiał najwyższem oburzeniem partyjnem, a w dodatku walił posłowi Drążkowi na głowę wszystko, czego się przed wiecem drobiazgowo dowiedział od Kozy.

Sekretarza natomiast, jako młodocianego niby, czy niedoświadczonego — oszczędzał.

— H-o-o-otel pan sobie załóż! Hotel, bajzel, dom schadzek — a nie okręgiem partyjnym kierować! — Schwycił osłupiałego Drążka za ramiona, potrząsnął nim wszechwładnie i nagle, niespodziewanie, innym, miłosiernym tonem:

— Samego Marksa, towarzysze, gdyby żył, odprawiłbym teraz, tak jestem zmęczony.

Drążkowi ręki nie podał, Kozę pontyfikalnie ucałował w czoło — i obydwóch wyrzucił za drzwi.

Nasłuchiwał przy progu, czy odchodzą.

Odchodzili.

— No, — mlasnął, — teraz dopiero zaczną sobie pan sekretarz z panem posłem bebechy wypruwać.

Nigdy jeszcze nie widział Tadeusz ojca w tak „fatalnej formie“. Rozpiąwszy kołnierzyk, koszulę, kamizelkę, stał pan Mieniewski pod drzwiami i bezmyślnie patrzył w białą politurę.

Dyszał tak ciężko, że mu głowa na piersi upadała.

Nakoniec z ochrypłem rzężeniem rozwalił się na łóżku. A raczej, — runął na nie. Mierzwił sobie włosy, rozcierał dłońmi oczy, miął usta, — rzekłbyś wyszarpywał z siebie zgryzotę całego tego dnia.

Ustatkowało się to dopiero po kilku minutach. Wyciągnął się, jak długi, i już nie zmieniał pozycji.

Jęczał.

. Piskliwy głos płynął mu przez wargi, — jakby się coś wewnątrz postaci otwarło, domknąć już nie mogło i taką oto skargą wciąż drżało w przeciągu.

Tadeusz głaskał ojca po ręku, delikatnie omijał palcami wielkie, nabrzmiałe żyły. Gdyby był wporę Dusia nie zatrzymał, możeby dawno już z tych żył wszystka krew wyciekła?!

Z myśli tej wyłoniło się tkliwe, najwrażliwsze współczucie. Współczucie, opieka i jakby nowe prawo do szczerości.

— Odpoczywasz, ojcze?

— Nareszcie odpoczywam.

— No, więc posłuchaj! Lecę przecie za tobą z temi sprawami aż z Borysławia. Ustalmy na wstępie pewną zasadę: Iluż to ludzi będących w twoim wieku zastrzeliłem, być może, na wojnie?! Wobec powyższego możemy sobie chyba pozwolić na swobodę. Różnica lat nie gra tu żadnej roli.

— Po drugie: pozwól, że streszczę wszystko w kilku prostych linjach, wytyczonych może brutalnie nieco, ale dalibóg, — z amerykańską ścisłością.

Pan Mieniewski wciąż dyszał, syn, gładząc go po ręku, mówił dalej:

— Masz sławę. Jesteś zasłużonym człowiekiem. Owszem. Wisisz szanownie w każdej budzie ludowej. Nikt tego nie neguje. Kierujesz sobie całym interesem partyjnym na prawo, czy na lewo, jak ci wygodniej.

Leader uśmiechnął się z pobłażliwą ironją, — nie przeczył jednak.

— A więc zgadzamy się. Nie jestem widać taki głupi. — Tadeusz uśmiechnął się do ojca dobrym, starym uśmiechem koleżeństwa. — A teraz popatrzmy na to wszystko trochę serdeczniej: tu jakieś wielkie sprawy, pociągnięcia społeczne, polityczne, — a tu życie. Własne życie. Twoje własne życie, ojcze.

Ciężkie dyszenie ustało.

Tadeusz na jeden błysk sekundy przestraszył się tej ciszy. Rzekł szybko:

— Wysłuchaj mnie cierpliwie. Własne życie, — kłopoty... Wiek, który idzie, maszeruje i nie czeka. Ba! Trzeba mieć na to pieniądze?! Ta, czy owa podróż. Dieta. Może jakieś masaże, czy kąpiele elektryczne?

Chociaż trochę pieniędzy. Masz je. Masz kilka pensyj. Obliczaliśmy to ze Stanisławem, całkiem rzeczowo. Chwała Bogu, że je masz! A to dobre?! Jesteś posłem, dwukrotnie redaktorem. Tu i tam, mimowoli może nawet, jakimś prezesem. Nie bez tego, żeby tu, czy owdzie nie przypytały się do ciebie jakieś akcje, jakieś tłuste udziały.

Jedna sprężyna nie zadrżała pod leaderem. Leżał bez ruchu, jak martwy.

— Oczywiście, — masz obowiązki. Nie mówię o nas, synach. Jeżeli ja mogłem był na wojnie strzelać do ludzi w twoim wieku, to możesz nie kłopotać się zbytnio o człowieka — w moim wieku. Ale masz oprócz tego jeszcze obowiązki. Matka. Trzeba ją zaopatrzyć. Poza tem, — twoja kobieta. A to dobre, — oczywiście! Jak człowiek siedzi na miejscu, to się tego wszystkiego nabiera i musi się nabrać. Nazwijmy to potocznie terminem — szanownego obrastania. Czy też może, — asekuracją życia. Podpórki. Ze wszystkich stron jesteś jakoś podparty. I dlatego, pewnego wieczora, gdy oszaleli z głodu ludzie doskoczą ci do gardła, wrzaśniesz im: „Uczcie się, durnie! Cóż wam mogę poradzić?!“

Wszystkie sprężyny pontyfikalnego łoża zagrały naraz pod leaderem. Odwrócił się gwałtownie na bok. Zapragnął wyrwać rękę z uścisku synowskiego.

Tadeusz zatrzymał dłoń ojca przemocą. Był o wiele silniejszy. Stara dłoń gięła się w synowskim uścisku, jak gruda wilgotna.

— Do czegoż to prowadzi? — Leader podniósł się na łokciu.

— Do niczego. Narazie charakterystyka: Oto ty, w krótkich, amerykańskich sztrychach. A teraz my, — synowie. Cóżbyś nam doradził? Pracować, — oczywiście. Pracować poto, aby znów jakiś ty, ze wszystkich stron podparty, szanowny i kochany zjawił się w przełomowej chwili i powiedział: „Uczcie się, durnie!“ A nam się nie chce. Patrzyliśmy tak długo na ciebie. Napamięć to już znamy. Cała konstelacja twego świata bynajmniej nas nie nęci. I obmyśliliśmy wyjście — lepsze od twojego. Nie chcemy nikogo straszyć. Pod żadnym pozorem, żadnemi hasłami, wielkościami, ideami.

Tadeusz rozłożył ręce, jak malutkie dziecko: — Mamy prześwietne wyjście. Nasze wynalazki! Owszem, głupie może, ale bardzo zabawne.

Przedstawił ojcu w skrócie idee Włazolinu i Zaprawy.

— Jak widzisz, prawie nic. Malutkie, drobne ułatwienia w czynnościach stosunkowo nieważnych, codziennych. Nic to nikomu nie szkodzi, a przyznaj, doprawdy zabawne! Chcielibyśmy, abyś to nam pomógł sfinansować. Żebyś dał pieniędzy. Niedużo, oczywiście, ale trzeba z czemś zacząć.

Patrzyły na niego szerokie, płaskie źrenice ojca, jak dwie rozbite główki dużych gwoździ.

— Wypuszczacie to pod swojem nazwiskiem?

Ogarnął Tadeusza bezsilny smutek. Naturalnie, — ojciec nic nie zrozumiał, zaraz rozpocznie kazanie, jeszcze jedno „darcie łyka“, miljon pierwsze wzniosłe kazanie objazdowe.

— Jestem przerażony, — żachnął się leader, aż

wszystkie sprężyny łoża zabrzmiały przeciągłym akordem, — jestem przerażony tą otchłanią banalności, w jakiej żyje pokolenie moich synów. Powiem krótko: Kiedy, swego czasu, odwiedziłem cię na froncie i kiedy leżeliśmy tak u ciebie w ziemiance, dumny byłem na myśl, że mnie twoje wszy obleżą. A teraz? Jeden z bohaterów wielkiej wojny — froterem posadzek. Fagasem! Fa-ga-sem!! Zastanów się, czyś nie zwarjował?

— Fagasem. I, powiadasz ze wzruszeniem, — moje wszy. Wszy twego bohaterskiego syna. Bardzo dobrze. Ale, czy to nie gorsze niż wszy?! — Tadeusz zaczął głosem spokojnym, gdy nagle, jakby płomień ogromny zapalił wszystkie słowa: —

— Czyż to nie gorsze, niż wszy, aby po całem życiu pracy, teraz z za płotu wszystkich podpórek gadać tym zdychającym z głodu ludziom: Uczcie się, durnie! No, przecież oszukujesz ich! No, oszukujesz! Sam nawet nie wiesz, dlaczego cię tam nie rozszarpali na miejscu?!

Chwycili się za ręce, za ramiona. Miłość ogromna, wierna, najpewniejsza mieniła się w rozszerzonych źrenicach — słowa obce, ani z woli, ani z uczuć powstałe cięły wciąż i raniły boleśnie.

— Jak śmiesz tak mówić?! Nie przed tobą będę zdawał rachunki, — rozumiesz?! Bo całe moje życie!...— Leader zamknął oczy. Ileż razy ciskał różnym ludziom na łeb całe swoje życie gwoli budujących przykładów. Rozwinęło się przed nim raz jeszcze, niby cyrk olbrzymi, szara rozległa arena, wypełniona po brzegi tłumem krzyczącym, płaczącym, wyjącym, który rozwiewa się, jak

mgła, przed wyciągniętą ręką oratora. W tym nieprzeliczonym tłumie dostrzegł teraz twarz syna, — jak jej nigdy w życiu dotąd jeszcze nie widział: uśmiechniętą żałośnie, pobłażliwie, podobną do własnej, a zarazem tak młodą i uroczą.

Nie śmiał się z nią prawować. Potężna i niezgłębiona istota życia i owoców jego, czy też trwania i nowych przemian, jakby prawda odmiennych, lecz koniecznych wcieleń zamykała leaderowi usta.

Patrzył na syna z goryczą bezradnego zdumienia.

Tadeusz zbladł. Ach, — trzeba to było przewalczyć. Przewalczyć już nareszcie te obrzędy szacunku, przeszłości.

— No, co? — krzyknął ze świstem, — no, co, to całe twoje życie?!

Pan Mieniewski jął łapać wokół siebie powietrze. W pasji, w nieprzytomnym już gniewie zdążył się jeszcze radośnie uśmiechnąć. Okazało się bowiem, że wielka, trudna, tajemnicza sprawa krańcowych porozumień ustępuje miejsca brutalnej kłótni.

— Nie pozwolę, żeby mi banda kretynów podczas rui sportowej nazwisko moje gdzieś w śniegi wcierała! W kraju, czy zagranicą? Może w Chamonix raczysz? Najlepiej w Chamonix?!!

Tadeusz wrzasnął:

— Ale można nazwiska tego używać, jak wytrychu? Na wiecach, — jak wytrychu?!?

Pod oknami huczało uroczystościowe auto Kasy Chorych, równocześnie zaczął śpiewać chór Lutni Robotniczej.

— Chciałem, — wrzeszczał Tadeusz, — bodaj raz w życiu pomówić z tobą szczerze. Bez komedyj. Żebyś ze mną gadał, jak człowiek. Porozumieć się. Że moje życie jest takie, — a twoje takie. I, że wkońcu my obaj, — no, niby co?! Jakieś tam biedne, małe wszystko jedno, — ale kochamy się. Banalne pokolenie? Tyś jest ojciec, — a ja pokolenie. Wcale nie banalne, — bo jeszcze wszystko ma przed sobą!! Tymczasem, tyś jest drążek, burbon, jubileusz, foto, sleeping i wieczny leader! Ja nikomu nie szkodzę. Latam — za swoją pastą. Ale ty wszystko trujesz dokoła! Ani słowa prawdy, — sama tylko zasada! Zasada, — zasada — i zasada!!!

Narzucił na siebie raglan, pochwycił oba szorskie gary, leader zerwał się z łóżka. Krzyczeli obydwaj, lecz zbliżyć się do siebie już na krok jeden nie zdołali. Długie, czarne ich cienie wiązały się i rozszczepiały wzdłuż białych ścian sali, niby jakowaś gra ciemnego kształtu, uwięzionego w nienawistnej przestrzeni.

— Przekonasz się, zobaczysz! — krzyknął Tadeusz z progu. Zatrzasnął drzwi. Echo wionęło po ciemnym korytarzu. Skoczył za owem echem ku klatce schodowej, stąd nadół, na podwórze.

Był tu gdzieś przecież rano w kącie za beczkami dół z wapnem.

Tadeusz ukrył tam swe gary i wybiegł główną bramą. Schował się w tłumie.

Zaprzyjaźniony rydwan Kasy Chorych wywoził właśnie ojca na dworzec.

W dymie benzyny, w rykach motoru, w klaskach

kopyt pędzącego plutonu policji, przetkani smugami acetylenowej jasności, śpiewali robotnicy swój hymn. Twarzy nie było widać, nogi tonęły w kurzu, ciżba twardych rozgłośnych tułowi pędziła szybko naprzód.

Tadesz śpiewał razem z nimi.

Biegł za samochodem i, chłonąc patos chwili, wołał z demonstrantami:

— Niech żyje poseł Mieniewski!!

Drogi ich rozeszły się przy wiadukcie: Tadeusz wybiegł schodkami na górę, auto leadera stanęło pod przejazdem.

Robotnicy wzięli posła na ręce i ponieśli w stronę stacji. Na czele kroczył Drążek z Kozą, dalej w luźnym czworoboku bezrobotnych, uzbrojonych w pały, płynął leader na ramionach górników.

Z opadającemi wdół połami płaszcza wyglądał, jak w triumfie niesiony, postrzelony ptak.

Tadeusz patrzył, oparty o żelazne balaski wiaduktu. Oto, — trzy buddystyczne minuty: czarna noc, — stacja czerwona, — skłębiony tłum... Oto nadjeżdża pociąg, robotnicy wnoszą mogoła swego do wagonu.

Amerykańska dosłowność pierzchła. Wraz z wiatrem nocy, długim świstem pociągu płynął przez Tadeusza nieznany dotąd podziw chwili, miejsca i tych więzów ludzkich, które tyle mają siły, iż nic ich chyba rozerwać nie potrafi! Ani gniew, pasja, ani nawet pogarda.

Teraz przecie, więcej niż kiedy indziej, współczuł ojcu. Z jaką paradą wsadzali go biedacy do wagonu?! Siedzi już stary w aksamitnym przedziale, może właśnie nadyma gumową poduszkę?

Trzeba wrócić do miasta, — jakieś spanie, jedzenie obmyśleć.

Na gościńcach błyszczało czarne błoto, kaprawe swiatła białych domków mrugały ku sobie, wzdłuż długich dachów biurowego kompleksu krzepła oślizgła polewa elektrycznego światła.

Huta zaczynała już pracować: z olbrzymich szklannych ścian pędziło tarcie żelaziwa, czarny dech węglowy raz wraz leciał przez miasto.

Na Boga, — jeść koniecznie!

Tadeusz wstąpił do Cieplika. Pusto tu było, z ozdóbek lotniczych ani śladu, sam pan Cieplik drzemał nad kloszami od serów. Dopiero w drugim pokoju pod ścianą jedli we dwóch pan Kapuścik z jakimś otyłym cywilem.

Cóż milszego, jak przysiąść się do nieznanych ludzi. W ciężkiem zmartwieniu, w onym chłodzie żałosnym, co myśli podcina, zacząć rozmowę przygodną! U brzegu cudzych obojętnych spraw popijać małe piwko i patrzeć, jak tacy obcy ludzie chłoną twój smutek, czas i wszystkie troski, niosąc je do ust szybko, z kawałami dymiącego mięsa?!

Pan Kapuścik właśnie, zajadał tak skrzętnie, jakby mu powiedzieli dobrzy jacyś ludzie, że tym sposobem ulgę bliźniemu przynosi. Aż się mundur opinał, skórzane pasy chrzęściły, aż po srebrnych wyszyciach kołnierza dreszcz szedł.

Musiał się najeść, za dużo miał na głowie! Taka wielka osoba polityczna przyjedzie ze stolicy, nagada i nagada, a któż po niej załatwi? Będziemy dzisiaj

przesłuchiwali całą noc w więzieniu. Wiec piękny, ale czy skuteczny? W masach wyczuwa się krańcową rozpacz. Dziewczęta za parę groszy oddają się po rowach. Mężczyźni kradną przy stacji, czy na zwałach. Trzeba do tego dodać komunistów.

— Istny wulkan!

Straszył temi słowami cywila, którym, jak się okazało z ceremonji przedstawienia, był niejaki pan Falkiewicz. Markszejder na kopalni Erazm, za jednym zamachem geolog, jeden z najdługoletniejszych tubylców tutejszych.

Człeczyna tłusty, a bez twarzy jakoby: pod ciemnym plastrem pomadowanych włosów zwierały się bezkształtne gruzły tłuszczu, tu i tam zaledwie przechwycone wątłym pozorem rysów.

Wymowa Kapuścika nie sprawiała na Falkiewiczu właściwego wrażenia. Markszejder wychylał twarz ku owym słowom z sennym uśmiechem, jak naprzeciw chłodzącego wiatru.

Kapuścik zagroził wulkanem, zrzucił już z siebie ciężką odpowiedzialność, złamał symbolicznie wykałaczkę, zadzwonił ostrogami, zapłacił, wionął perfumą waniljową, wyszedł, — wtedy dopiero uniosły się ciężkie powieki Falkiewicza.

Błysnął z pod nich szklanny blask bezgranicznej obojętności.

Siedzieli naprzeciwko, nic do siebie nie mówiąc.

Pan Cieplik cyknął parę razy pipą od piwa, przestawił szklanne klosze. Szybkie kroki przebiegły za oknem. Znów ucichło. Nagle, — zerwały się twarde, głośne

uderzenia: to wiatr darł blachę na dachu sąsiedniego domu.

Głosy te zakwitły nagle w Tadeuszu uczuciem bezpodstawnej radości. Spytał uprzejmie o jakiś hotel miejscowy. Nie chodzi, oczywiście, o żadne zbytki, lecz o zwykłą czystość.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zawstydził się. Jakże więc rozerwać ponurego partnera? Spytał, czy istotnie skutki bezrobocia tak bardzo dają się we znaki?

Ze zlepionych ust Falkiewicza wydobywać się jęły słowa, zdania, pomięte odrobiny wyrazów: o Kapuściku, leaderze, wiecach, ludziach tutejszych, położeniu.

Prószyło to z wąziutkich warg szybko, bezwolnie, — niczem kurz z rozpękniętej purchawki. Falkiewicz przypatrywał się swoim własnym słowom, jakgdyby przechodziły gdzieś widomie, same, bezradne.

Przeprowadzał je spojrzeniem.

— Cóż Kapuścik? Zjedzą go, kupią z kopytami. Cóż pan poseł Mieniewski? Mało ich tutaj przyjeżdżało? I cóż głód? I cóż to bezrobocie? — Głaskał marmurową powierzchnię stolika, zagarniał ją ku sobie, w pewnych miejscach zatrzymywał dłoń jakby nakrywał zręcznie pojmaną ćmę.

Słowa jęły układać się w rytmy, w senne nawroty, w instancje długiej, monotonnej litanji, pełnej ospałego podziwu.

— Cóż tutaj robotnicy? Mięso. Cóż tutaj my, inteligencja? Jeszcze mniej, niż mięso. Wszystko, wszędzie kapitał. Czyli rzetelna równowaga, — czyli najpraw-

dziwsze sumienie wszystkich rzeczy ludzkich. Kier, pik, tref — cała talja. Ma się rozumieć: wdzięczność się za to należy. Buty, piwko, ubranie, mieszkanie. Pan na stałe, czy przejazdem tylko?

Tadeusz obruszył się srodze: — jutro, pojutrze wyjeżdża!

Wówczas jął Falkiewicz bezdarnemi dłońmi urabiać jakieś miejsce w powietrzu. Jakgdyby skrytkę tajemniczą przysposabiał w przestrzeni. Gdy uznał, że jest już dostatecznie wyżłobiona, podsunął się do Tadeusza jak najbliżej i przez rurkę zwiniętej ściśle dłoni dmuchnął mu do ucha cieniutkim śmiechem:

— Czterdzieści lat tu mierzę i nic nie wiem. A Coeur wie i pik będzie wiedział i cała talja.

Mokre wargi dotykały nieomal ucha Tadeusza.

— Byłeś tam kiedy młodzieńcze? A widzisz, nigdy nie byłeś, nie widziałeś, nie słyszałeś, tymczasem zjedziesz sobie szybem, — powietrze cmoknęło, zawsze cmoka, woda ciurka po klateczce na wszystkie strony, aby tylko nie za kołnierz, uważaj. Jedziesz na poziom trzeci. Poziom trzeci, — na podszybiu światła eleganckie, — idziesz sobie przecznicą, — tyle lat, — przecznicą przez małe szyny, w błocie wzdłuż barjerki, — nowy pan zawiadowca postawił te barjerki, — masz światełka po drodze na pomiętem betonowem sklepieniu. Od ciśnienia pomięło się rozumiesz? Po drodze koniki ciągną wagoniki.

Falkiewicz lepił to Tadeuszowi prosto w uszy z mokrym, przymuszonym śmiechem: — koniki ciągną wagoniki. — Tak doszedłeś sobie do Krzyżowego, czyli droga się roz-

szczepia, rozjazd, żeby się wagoniki wymijały. Wagoniki — zaśpiewał Falkiewicz z podziwem tak bezmiernym, jakby w tem słowie zagadnienia jakieś ogromne spoczywały. — Do Krzyżowego. Wiszą tu zawsze nad ławką stare kurtki. Stare, śmierdzące kurtki, — moja też.

— A potem idziesz głównym przewozowym, długą, białą, betonową kichą pod górę i na wschód, aż do — pochylni A!!

Markszejder szukać jął nagle skrytki swej w powietrzu. Nie znalazł. Zbladł, zamachał rękami. — Idziesz dalej, na prawo pochylnia, ciemność się na niej kurzy, bo wagoniki tędy zjeżdżają na specjalnym pomoście, który zowiemy szczurem. Po bokach masz, jakby przewody, — schodowy zachodni i wschodni, równoległe z pochylnią a od nich w prawo, w lewo chodniki mniejsze, — pierwszy, drugi, trzeci, siódmy, ósmy, które łączą — bite w węglu przecinki. W ogromnym, czarnym serze idziesz, biały robaczku, i tu...

Falkiewiczowi zagulgotało w nieogolonej krtani, aż siwe włoski błysnęły na podgardlu: — Trzeci poziom — przy starych ogniach... Na wschód od pochylni A. Źle naniesione na ostatnim rysunku... To Falkiewicz, Falkiewicz naniósł źle ze starych planów?! Tak mówi pan dyrektor. Pan dyrektor wie lepiej.

Markszejder odsunął się od Tadeusza i wybuchł śmiechem, nad którym małe oczy trwały w nieruchomem przerażeniu.

— Nic nie rozumiem!

— Ja też nic nie rozumiem. — Grube dłonie Fal-

kiewicza jęły znów na stoliku nakrywać dłońmi niewidzialne ćmy i zgarniać je ku sobie. Śmiech rozpełzł po tłustych policzkach, zmięte słowa zaplątały się doszczętnie w wargach. Z pod przymrużonych powiek patrzyły obie źrenice, potem jedna, wreszcie ta jedna zgasła.

Było już około północy. Mieniewski poszedł na dworzec.

Herbata.

Przez godzinę udawał w drugiej klasie gościa, czekającego na pociąg.

Wreszcie dworzec zamknięto.

Wrócił do miasta. U Cieplika już ciemno. Przesadził parkan Domu Ludowego, jeszcze raz, opiekuńczo, zbadał położenie garów i wszedł.

Przysiadł na schodach pierwszego piętra. Zdrzemnął się. Księżyc świecił wyraźnie, zdaleka dochodziło fukanie jakichś maszyn. Jakże tu nie myśleć o tak przedziwnem położeniu? Nie miał prawie pieniędzy. Ani mieszkania. Jakże tu nie pomyśleć o samotności wśród ludzi?

Napełniała Tadeusza dumą, nadzieją, wesołością prawie. Przypomniał sobie nagle, że w „koronacyjnym“ apartamencie ojca śpią teraz murarze. Drzwi z pewnością na klucz nie zamknęli.

Wszedł cicho do środka. Pokój cały, kołysał się jakoby w równym oddechu śpiących. Przez wielkie okna bił blask księżyca na ścianę z siwym Marksem. Murarze leżeli w głębi długim szeregiem.

Stare, wojskowe doświadczenie doradziło Tadeuszowi skierować się ku oknu. Im zimniej, tem w takich miejscach bywa do spania luźniej. Położywszy się ostrożnie

na ściółce, odetchnął. Po lewej stronie było zupełnie cicho. Po prawej ruszało się coś ustawicznie, nie zwracał na to jednak żadnej uwagi.

Jeszcze raz przemawiał w myślach do ojca. Teraz dopiero przypominał mu Dusia. Gadałeś przecie stary na włos od nagłej śmierci!

Powściągliwy zrazu ruch od strony okna przeistoczył się w szept, — w gwałtowne szamotanie. Potem, — jakby się coś gwałtownie urwało. Na piersi Mieniewskiego spadł ktoś, całym ciężarem. Tadeusz chwycił tego kogoś przez pół, aby precz od siebie odrzucić — nie był to żaden murarz, ani robotnik, ani nikt, lecz właśnie dziewczyna.

Długo leżeli obok siebie bez ruchu, skłopotani i onieśmieleni.

Księżyc zeszedł z Marksa, srebrzył frygijski kołpak Marsyljanki, płynącej pierzastemi skrzydłami nad drukowanym tłumem.

Leżeli wciąż bez ruchu, słuchając swoich przyśpieszonych oddechów. Ogarnęło Tadeusza poczciwe, solidarne koleżeństwo niedoli. Skądże się bierze tu po nocy dziewczyna? Może trochę z łajdactwa, ale też pewno z nędzy.

Niedziela, — piękna uroczystość partyjna, — dlaczegoż mają sobie ludzie odmawiać?

Zasnął.

Przebudził się, objęty ramionami, odurzony suchym zapachem wapna, słomy, ściółki.

Twarzy własnych nie mogli prawie rozpoznać w ciemności. Księżyc stał już teraz w ostatniem oknie. Wi-

dzieli się jakoby przez mgłę, przez pasmo sennego domysłu.

Tuż przed oczami, zionąc ciepłem w zamknięte źrenice Tadeusza, szeptały coś jej usta.

— A z kim, naprzykład, dotąd wyrabiałaś?

Nic mu na to nie odpowiedziała, ani po raz pierwszy, drugi, ani trzeci. Uczuł, że pytanie to sprawia jej ogromny ambaras.

Zaprzestawała bowiem wszelkiego ruchu i pieszczoty, — niczem martwa.

Rozrzucił na niej szmaty i oplótł ramionami. Tyle radości doznał w tym uchwycie! Wiło mu się przez ręce ciało mocne i rzeźwe, tak szybkie i prężne, że nie mógł uściskami nastarczyć.

— Wstyd, — tak prosto z ulicy.

— Wstyd, — powtórzyła i wszystkie siły ją opadły. Ruchem ochrony, ucieczki wtuliła się w ramiona. I tu, na piersiach Tadeusza zwinąwszy się w kłębek, dodała:

— Wyrabiałam. — Wszyscy wyrabiają.

Dyszeli coraz ciszej i zgodniej. Może jeszcze coś mówiła? Nie były to już jednak słowa, — lecz raczej, jakby woda miejsce sobie żłobiła przez oporny grunt.

— Co ty tam opowiadasz?

Ręce jej przylegały do szyi Tadeusza, do piersi, brwi, do czoła na króciutką chwilę, by stwierdzić, poznać i w zawstydzeniu uciec. Ruch najprzeróżniejszy, niespodziany a czuły, niczem z gorącego kłębka wysmykał się ze skulonego ciała i bezlikiem więzów krępował.

Aż oto, niespodzianie westchnęli razem, — niby na widok olbrzymiego światła, czy cudu, czy czarów nad-

ziemskich: w tysiącu rozjątrzonych pocałunków zwarli się ze wszystkich sił, przystając do siebie twardo, szczelnie, nagle, — jak zatrzaśnięte drzwi.

Jeszcze i znów i jeszcze i nigdy dosyć, — znowu i znowu jeszcze!

Poczem głowę położyła mu na ramieniu, — jak w gnieździe. Czekali, razem czekali, aż ich znów porwie ogień drżącego milczenia.

Księżyc już zszedł z skrzydlatej Marsyljanki, — świecił na skraju legowiska, czekali z głową przy głowie ułożoną. Tadeusz przemyśliwał nad czemś, w śmiechu i we wstydzie, — że leader mknie sleepingiem do swej pelargonji i że nic w życiu niewiadomo... Gdy oto uczuł, że po ramionach i szyi spływają mu łzy.

— Czegoż beczysz?

Podgarnąwszy się bliżej, utrwaliła się mocno we wnęce jego ciała.

— Przy niedzieli, — westchnęła przeciągle, — dobrze też jest popłakać.

— O co?

— O to.

— Czyli o co?

Powiedziała mu do ucha najbardziej tajemniczym szeptem: — Nie wiem, o co.

Przebudzili się, objęci uściskiem. Już świtało. Wyrwała się z barłogu. Skoczył za nią do sieni, dopadł na pierwszem piętrze, przy zakręcie schodów.

Twarz dłońmi zasłaniała, przygarniał, schlebiał, — tak się sobie nadarzyli, chciał koniecznie wiedzieć, — jak ma na imię?

Wtedy nareszcie okazała mu twarz swoją. Bladą, okrągłą.

Nieskładny profilek znaczył się na perlistem niebie szarym rąbkiem chłopskiej wycinanki.

Spojrzeli sobie w oczy.

Źrenice miała duże, szare, pełne światła.

— Więc, jakże ci na imię?

Przez rozchylone zęby zionęła pośpiesznym oddechem:

— Wołają mnie Lenora.

— To znaczy Leonora?

— Lenora.

— A na nazwisko?

— Nazwisko jest rzecz policjanta.

— A gdzie mieszkasz?

— Tego wcale nie trzeba.

Przyparł ją do framugi.

— No, to mieszkam. — śmiała się, kręcąc szyją wśród twardych pocałunków, — u starych Szymczyków, daleko — za Zielonem.

Tu nagle wydarzyło się jakoby go pożegnać chciała uroczyście: i czoło i oczu oboje i jeszcze raz usta z ustami i nakoniec jednem objęciem przez pół. Objęciem, które nie siła kończy, lecz dopiero dech ludzki.

I uciekła. Widział, jak pędzi podwórzem, obok beczek z wapnem, obok ukrytych garów, jak się przegina przez płot, jeszcze raz w skoku nogi odsłaniając białe i strzeliste.

Przez chwilę słyszał prędkie kroki po kamieniach i znów wszystko umilkło.

Patrzył na czerwoną fasadę Domu Ludowego, rozpostartą w głębi podwórza, niby zapuszczona kurtyna. Listwy okien i wrót dziergał przymrozek białą, ścisłą koronką. Tuż pod wysoką ścianą leżała wiecha, wytrącona jeszcze wczoraj leaderowi przez Drążka. Oszronione badyle i liście sterczały z czerwonego papieru, jak ze krwi.

— Szymczyki na Zielonem, — powtórzył Tadeusz. Otrząsnął się i wróciwszy na swe legowisko zasnął znakomicie.

KOSTRYNIE

1

USTA MAŁEJ, BIEDNEJ KNOTE

Tadeusz siadł na słomie i z trudem rozwarł oczy. Równy głos wielu syren warczał tak przeraźliwie, jakby w stalowych gardzielach pękało wszystko.

Dwa porzucone trzewiki znaczyły drogę od barłogu ku gromadzie murarzy, która miotała się u drzwi, przeciągając ku sobie raglan.

Gdzież się to wszystko dzieje do stu djabłów? Ach tak, — tronowa sala ojca, trzy okna, — w głębi Marks, — opodal Marsyljanka.

— Cóż to za głupie kawały, — krzyknął, — oddać mi moje palto!

Wyskoczył z barłogu na środek sali.

— Pa-a-alto?...

Dostał w głowę, pod oko, w kark.

Biją. Biją, walą, — ani chwili do stracenia. Nie było czasu na honor, czy obrazę; — Tadeusz nie oddawał w pysk, czy w papę — tylko swingiem, grzbietem ręki, — fachowo, — prosto w brzuch. Wracała mu w tem szamotaniu pamięć najzbędniejszych szczegółów. Jak wczoraj wieczorem bezrobotni przed temi samemi drzwiami

o litość skamlali, jak takiego samego ranka stał na schludnej słomiance, a „izdebka“ zgrzytając zamkiem pytała, — czy to mleko?

— Ja ci tu, draniu, — powtarzał, łomocąc po brzuchach, — ja ci tu draniu mleko wypuszczę!

Kopali ciężkiemi butami i klęli potwornie.

Najbliżej doskakiwał czarny, wielki wyrostek, póki nie dostał uppercutem w szczękę. Wtedy jednak czterej mniejsi, tłukąc naoślep, oblepili Tadeusza zewsząd. Czuł coraz więcej uderzeń zwłaszcza jedno, szczególnie groźne, zadawane podniesionym z ziemi trzewikiem.

Jeszcze raz wyrznął jakiegoś murarza w rozchylone zęby, gdy oto okazało się wielkie, puste okno i mignął przed oczami własny but...

Tadeusz zatoczył się i upadł. Nie pamiętał, kiedy murarze uciekli. Ocknął się ze smakiem krwi w ustach.

Przebudzenie, — godne zaiste amerykańskiej dosłowności.

Gdzie płaszcz? Nowy, reprezentacyjny raglan? I gdzie buty?

Jeden leżał tuż obok na słomie, drugi stał samotnie przed drzwiami. Z raglana — ani śladu. Trzewików, głupie chamy, zapomniały ukraść.

Podniósł głowę, lecz sama upadła na ściółkę. Potłukli go boleśnie.

Przedewszystkiem — sprawdzić obie ręce. Coś zlepiało nieznacznie palce lewej dłoni. Jakby cieniutka pajęczyna. Z obrzękłych palców ściągnął dwa długie szare włosy. Malutka, śmieszna radość przeleciała przez myśli:

No tak, to będą długie włosy tej dziewczyny. Lenory.

Zegarka nie ukradli, ale rozbili szkło. Zmiażdżyło się na godzinie szóstej.

Musiało być już znacznie później.

Ruszył na czworakach w poszukiwaniu trzewików i małego zawiniątka z rzeczami. Ledwo się poznał w srebrnem wołyńskiem zwierciadełku: lewe oko wysadzone z orbity. Na czole krwawe kroki obcasa. Wargi opuchłe. Włosy, wydarte ze skroni.

Nie ukradli browninga! — Tadeusz schował broń do kieszeni i ostrożnie wyszedł na schody. Tu dopiero przekonał się, jak dokładnie murarze porachowali mu kości. Kroczył z wielkim trudem, ale przecież w lennym gmachu ojca — musi się ktoś znaleźć, kto opatrzy człowieka!

Lewe drzwi pierwszego piętra zastał na głucho zabite. Zawrócił w prawo przed napis: A n t o n i D r ą ż e k.

Niema co, dobrze pan poseł tresuje tych murarzy.

Nigdzie żadnego dzwonka. Mieszkanie otwarte, — Tadeusz znalazł się w ciemnym przedpokoju, zawalonym wysoko aż po strop wszelakiem budownictwem.

Skrzynki, heble, wory jakieś i rury blaszane. Stąd do jadalni. — Cerata błyszcząca na stole. — Coś dziwnego działo się w tem mieszkaniu, — jakby gdzieś w głębi bił ktoś komuś brawo?...

Pulchne oklaski, to się leniwie włokły, to znów wzmożone, śpieszyły niepomiernie.

Z jadalni dalej: gabinet pana posła.

Biurko, bronzowy garnitur, fotele, na ścianach fota towarzyszy, leader wiekopomnie sepją wyciągnięty w ramie orzechowej.

Tadeusz zatrzymał się przy biurku, zdumiony.

Za gabinetem w głębi następnego pokoju, ograniczonej drzwiami, ujrzał znaczny wycinek białych, kobiecych pleców, rozłożony na niebieskiej kanapie.

Nurzały się w nich czerwone, połyskliwe ręce, mięszące ciało, jak ciasto.

— Tam do djabła — krzyknął przez zapuchnięte wargi.

Rozwalone na kanapie plecy jęknęły wstydliwie głosem pani Drążkowej. Drzwi zasłoniła osoba w białym szpitalnym fartuchu.

Szła prosto na Tadeusza, przedstawiając się co krok, między stołkami, nad ceratą w szarym odmęcie jadalni, w ciemnym przedpokoju pośród worów z cementem.

— Jestem masażystka Knote, — Knote jestem, — Marja Knote.

Jak później opowiadała wtajemniczonym — wszystko trzęsło się w niej ze strachu na widok takiego sobowtóra z rozbitą twarzą, poranionem czołem i słomą w wystrzępionej fryzurze.

Chciała go koniecznie przytrzymać, uchylał się jednak przed dotykiem śliskich od wazeliny rąk.

— Jestem Mieniewski, syn posła Mieniewskiego, rozumie pani?

Zrobiło mu się niedobrze, wyprowadziła go na górę, do sali murarskiej, tu złożyła na słomie.

Po długiej chwili otwarł oczy: pochylała się nad

nim twarz czerwona, okrągła a przecie, jakby sowia. Półkule mięsistych policzków rozgradzał krótki, ostry nos, nad którym w dziwnej bliskości płonęły duże piwne źrenice.

— Pani jest masażystką? Może pani zobaczy, czy mi gdzie czego nie złamali?

Złamania żadnego nie było, pobicie natomiast gruntowne.

Skutki wiecu?!... Kto mógł tak pobić syna posła Mieniewskiego?! Zbiegła nadół. Trzeba opatrzeć rannego.

Nie powiedziała Drążkowej, co za jeden...

— Czy ma tu pani gdzie pod ręką szmatkę, watkę, jodynę, sublimat? — Knote miała to wszystko w torebce z przyborami, pocóż jednak — rozchodować bezzwrotnie?!

— I sublimatu niema? No, to chociaż trochę spirytusu!

Bądźże tu teraz mądry: pani Drążek czeka na dole, ledwie rozmasowana, — na górze krzyczy syn wielkiego człowieka, że mu krew upływa.

Pani Knote miała do opatrunku — ręce jedyne! Lekkie, jak motyle. Gdy jednak w tylu miejscach twarz człowiekowi rozbiją, to i motyle nie poradzą bez wyrządzenia bólu. Rzekła więc Tadeuszowi na pociechę:

— Co się tylko dało, wypisali panu na policzkach.

Nie pytała, kto. O, nie. Jeszcze nie.

Obrażony tak głupiem ujęciem sprawy, odwrócił się na bok, przyczem browning wypadł z kieszeni na słomę.

Pani Knote zbladła śmiertelnie. Nikt z rewolwerem

w kieszeni nie śpi darmo między ludźmi. Nikt, jako syn wielkiego posła nie ma darmo porozbijanej twarzy...

Zstąpiło na nią jakby nagłe olśnienie. — Zwiastowanie! Całe życie może człowiek czekać napróżno, potem, nagle chwila taka przychodzi. Pan młodzieniec, Tadeusz Mieniewski poruszany tu jest jakąś ukrytą ręką?! Dlaczegoż nie odjechał razem z ojcem? Został? W jakim celu? Został, — bez żadnej wiedzy towarzyszy?

Pod zamówką kawy, zbiegła co żywo nadół.

— Kawy, kawy! Moja pani Drążek, skończę panią przy blasze, na stojąco.

Poczłapały do kuchni, zasłoniły okno. Zdaniem pani Drążkowej Knote była kobietą-zuch, do tańca i różańca.

Jedną ręką nalewała kawę, drugą masowała nerkowe krzyże pani posłowej, zwrócone ufnie do drzwiczek kuchennego pieca.

Zalewać kawę, masować, a równocześnie dobrze uważać, co się mówi!

Taki Tadeusz Mieniewski może okazać się złotą żyłą, — wielkim losem na loterji. Jest na pewno nitką niewiadomego kłębka ciemnych intryg. Niestety, — pani Knote nie mogła ukryć całej tej nitki na własny użytek. Taki jest los człowieka biednego.

Biedny musi się ciągle ze wszystkimi dzielić.

Ostrożnie podzielić sie z Drążkową. Bardzo, bardzo ostrożnie. Jądro rzeczy musi pozostać nietknięte do wieczora. Wieczorem usta małej, biednej Knote wyjawią rzecz — dyrektorowi.

Poleciała na górę z świeżutką czarną kawą. Chory wypił. Całkiem pospolicie otarł usta ręką. A potem zaczął gadać. Po kawie. Oczywiście. Nic tak nie otwiera zaufania, jak ten gorący napitek.

W gadaninie chorego były dwa ciemne miejsca. O jakichś szujach i złodziejach, — pierwsze.

Od drugiego zatrzęsła się pani Knote w swoich skromnych posadach: gdy chory wspomniał — o piorunującym wynalazku, ukrytym w dołach z wapnem.

— Jeżeli pani piśnie o tem komuś słówko!

— Nigdy w życiu! — Wszystko, co tylko było w pani Knote z dziedziny duchowości, ugięło się. Cała rzecz nabierała groźnych, — groźnych cech zupełnej prawdy. Cóż tu w Zagłębiu w takich czasach wiecowo-strejkowych, wśród tych wszelakich mętów mogło być — piorunującym wynalazkiem?!

Bomba!!!

Pani Knote, zaparłszy dech w piersiach, ujrzała samą siebie w pysznym gabinecie wielkiego dyrektora z takiemi oto słowami w swoich małych ustach:

— Twoja biedna Knote ocala ci życie.

— Pan tu nie ma nic do roboty, — rzekła do Mieniewskiego. Łzy napłynęły jej do oczu.

— Najlepiej będzie u mnie przeleżeć, wypocząć. Pod umiejętną opieką. Mam wolny malutki pokoik. Będzie panu, — jak w puchu.

Tadeusz przyjął zaproszenie. Nie miał narazie nic lepszego do roboty.

Brała w postaci tego Mieniewskiego krzyż Pański na siebie. Ale ostatnie tygodnie z temi wszystkiemi wie-

cami, pochodami tak już były straszne! Jeżeli teraz przyniesie tam do gabinetu dyrektora rozwiązanie zagadki?

Trudno było sobie narazie wyobrazić, by tak nieznaczna osoba mogła przynieść pomoc w tak ogromnych sprawach. Na myśl o tem serce mogło się chyba roztopić ze wzruszenia.

Zeszła nadół, cichutko, — na palcach.

Pani Drążkowa grzała się przy kuchni, goła jeszcze, nakryta tylko żółtym sweterem.

— Stoi pani tutaj, — masażystka kończyła szybko rozcierać duże zimne uda, — a tymczasem na górze w waszym Domu Ludowym leży sobie na słomie, pobity, pokrwiawiony — syn leadera Mieniewskiego.

Trzeba było powiedzieć wkońcu, że to on. Tylko o bombach, — o bombach ani słowa.

— Na słomie?! — wrzasła pani Drążkowa.

Jak się potem stało, to właśnie, co się stało, — trudno było zrozumieć. Masażystka nie umawiała się przecie z Drążkową. Stało się samo: takie cuda zdarzają się tylko jeszcze przed wyrwaniem zęba:

Drążkowa narzuciła na siebie letni płaszcz mężowski i we dwie, razem podkradły się na górę. Klucz był w dziurce. Nacisnęły klamkę, wyciągnęły klucz i na wszelki wypadek zamknęły ową salę na dwa spusty.

Poczem przywołały co prędzej posła. I sekretarza Kozę. Kogoby jeszcze?

Już dość, — nikogo więcej.

Nie powiedziały ani słowa, póki poseł nie usiadł za stołem i Koza z czarnemi drelichowemi ochraniaczami na rękawach nie stanął przy kredensie w jadalni.

Wtedy dopiero — powiedziały.

— Nie wiem, czy będzie dobrze, gdy się tam leader dowie, jakie „szprince“ dzieją się tu z jego synem? — Tak zakończyła Knote.

Bardzo ciężkie położenie. Leader partji nie nato przecież przyjechał tutaj uspokajać opinję, aby ta opinja w podziękowaniu tej samej nocy synowi gębę rozbijała?! A może syn na kogoś dybał? A jeżeli dybał z rozkazu ojca i rzecz się nie udała? A może zamachu tego dokonali komuniści? A może kapitał?

Poseł Drążek nie mógł iść na górę. Nie mógł się teraz do niczego mieszać. Nie pozwalała mu nato powaga stanowiska.

— Wy to zbadacie, towarzyszu Koza.

Musieli go błagać we troje, wypił przytem dwie szklanki kawy z mlekiem, zagryzł bułką, zbladł, zgodził się i, jak stał, z czarnemi płóciennemi ochraniaczami na rękawach, poszedł prosto na górę.

Długą chwilę wrzeszczeli równocześnie, Koza słowo — szacunek, — Mieniewski, — bezczelność. Koza per — towarzyszu, Mieniewski, — że gwiżdże. Koza zaklął ostatecznie Tadeusza na ogólne dobro. Nic więcej: zwykłe, ogólne dobro.

Po długich targach uchwalili, że w przeciągu pięciu minut Tadeusz zejdzie bez żadnych przeszkód na podwórze do miejsca beczek z wapnem, wydostanie swoje naczynia i z ogromną radością opuści Dom Ludowy. Tadeusz żądał, by przy bramie czekała na niego masażystka. Dla określenia pięciu minut pożyczył sobie od Kozy zegarek.

Oto wszystko. Co miało znaczyć — miejsce beczek z wapnem? Kto dokonał pobicia? Na te pytania nie dał Koza żadnej odpowiedzi. Poseł Drążek pękał ze wściekłości, jakże tu jednak używać przemocy, gdy w grze rodzina leadera?...

W obrębie pięciu minut ukazał się Tadeusz na podwórzu. Ludzie pracowali, jak zwykle przy budowie, nikt nie mógł przypuszczać, że dzieje się tu coś ważnego. Tadeusz ruszył w stronę dołu. Oba gary, niczem brat i siostra, stały spokojnie pod deską. Postawił je na klepisku, zawiniątko oddał do potrzymania masażystce i przystąpiwszy do Kozy rzekł:

Nie oddam wam zegarka, póki się mój raglan nie znajdzie. Złodzieje, — murarze, — raglan był bronzowy w kratkę.

I poszli. Razem z masażystką. Zabłoconą przecznicą, wśród krzywych parterowych domków za węgieł Rady Kopalń i Hut.

— Czemuż to pani w chustce chodzi? — spytał po drodze, — a nie jakoś po ludzku?

— Trzeba znać swoje miejsce, — odpowiedziała, — panie tylko chodzą w kapeluszach.

Minęli koślawą furteczkę.

Tadeusz przeleciał spojrzeniem dookolne drewniane schowki, chlewiki, wychodeczki, kasztan w środku podwórza uschnięty i skosem warg zapytał panią Knote:

— Tu mi będzie jak w puchu?

2

RĘKA Z SYGNETEM POCHODZENIA

Gdzież tu postawić gary?

Pani Knote zrzuciwszy z pleców chustkę biegała w szpitalnym fartuchu dokoła, niczem biała, wystraszona mysz. W pracowni będzie niewygodnie, może lepiej w nyży?

Przeszli więc do tej nyży.

— Jak tu ciemno?!

Knote zapewniała Tadeusza, że rano, zwłaszcza w lecie jest całkiem jasno.

Postawił gary ostrożnie na stoliku pod oknem. Okno malutkie i zakratowane, — jak w więzieniu.

A więc odrazu, odrazu padło to złowieszcze słowo!

— Całe zagłębie, proszę pana, to przecie jedno więzienie.

Przeprosiła go do pracowienki.

Układał w myślach list do ojca. Że z tem życiem robotniczem to zupełnie tak samo, jak z wojną. Tyś był ojcem narodu na tej wojnie, a ja zwykłym żołnierzem. Ty jesteś, — oczywiście, — ojcem robotniczego

ludu, a ja zwykłym nędzarzem. Wcale duża różnica? I, — że mogliby się jeszcze porozumieć, należałoby jednak w tym celu zasypać jakiś rów ogromny i głęboki, zasypać go prostą, a tak pospolitą, a tak trudną szczerością...

Gdy zamykał oczy — zasypiał. Gdy je otwierał, patrzył z podziwem na urządzenie pracowienki, tak podobne do klozetów przedwojennego D-zugu. Ręczniki równo złożone w czworobocznej puszce blaszanej, nad wywrotną miską umywalni kureczek kolejowy.

— Czy pani jest Niemką?

— Mój tatuś był Niemcem.

Klozet D-zugu przechodził pod jednem oknem w wyłożoną poduszkami sypialnię, pod drugiem przeistaczał się w ambulatorjum chirurgiczne. Stały tam w szklannej szafce rozmaite szprycki.

Powyżej, — niby czerwony znak zapytania wyginał się na ścianie gumowy zwój hegara.

Pani Knote zaprosiła Tadeusza do nyży. Kołdra wysoko zaścielonego łóżka kokieteryjnem odchyleniem zdawała się zapraszać. W popękanym piecu trzaskał szybki ogień, chwiejąc rózgą promieni na podłodze.

Tadeusz, mimo, że mu to przyszło bardzo trudno, przywlókł krzesło aż pod okno, żeby zobaczyć widok. Nie zasnąłby inaczej.

Pani Knote wydała straszny okrzyk.

— Co się stało? — spytał, nie odrywając spojrzenia od ściany przeciwległej, oddalonej nie więcej, niż na łokieć.

— Nic, — odpowiedziała Knote. Teraz — miała

pewność. Wszyscy zbrodniarze oglądają zawsze swoje drogi odwrotu.

— Cóż to za djabelska ściana tak się tu blisko rozsiadła?

— Bynajmniej nie djabelska. To tylko tylna ściana Rady Kopalń i Hut.

Pani Knote wycofała się do pracowienki.

Czy można opanować tysiąc myśli naraz? Strach, i tyle niebezpieczeństw? Przez te myśli przeświecał jednak w głębi mały, skromny obraz: jak taka sobie Knote przykłada rękę dyrektorską, z sygnetem szlacheckiego pochodzenia do bezbronnej, pracującej piersi i oświadcza, — jest u mnie on i jego bomba...

Wtedy dyrektor podejdzie do niej i bez jednego słowa pocałuje ją w rękę, — jak matkę. On, — dyrektor, który rządzi tyloma zakładami i tyle ma z tem zmartwień.

Ustami jego wszystkie te zakłady pocałują ją w rękę. A potem pójdzie dyrektor przed tego swego przeklętego Coeura i tak wysoką kartę rzuci na stół?!

Słońce padało skosem przez okna pracowienki, zegar tykał spokojnie, jak wszystkie zegary, — bez uwagi na straszne życie ludzkie. Pani Knote słuchała rytmu sekund z rozczuleniem, — gdyż każde nowe uderzenie przybliżało ukochaną nadzieję.

Nie chciała przecie cudów, — żadnych cudów.

Niech sobie chore przychodzą tak skąpo, niech nawet tak skąpo jak dotąd opłacają te wszystkie usługi, byle już tylko miał człowiek człowieka swojego na świecie. Nie pana, — okrutnego sekutnika.

Jakże to dziś inaczej szła robota?! Już szczegółowo zapendzlowała młodą sztygarkę z „Paryża“, już zadała drugiej chininę z gorącemi kąpielami, — ile tylko wytrzymać można, moja pani, — już Felce Domagało założyła czarodziejską gumkę, po której przyjdzie poronienie, jak mur.

Woda, dla niepoznaki odgłosów płynie z kranu, rozkładają się przed tobą te młode ludzkie żaby i składają, a ty lecisz myślą zabłąkaną w swą coraz lepszą przyszłość.

Przypatrzyła się jeszcze gościowi swemu przez dziurkę od klucza: siedział na łóżku. Pisał przy świecy, w wytarganej, zbójeckiej koszuli. Odegrzała mu wczorajszych zrazów z tureckim pieprzem i przyniosła z szafy koszulę nocną swego dyrektora.

Miała ich kilka u siebie, od wypadku, gdyby się kiedyś jakoś zapóźnili we dwoje...

Tadeusz spytał, czy to męża.

Wątpliwi ludzie zawsze będą mieli taki węch...

Odpowiedziała prawdę, że jest wdową. Mąż, Niemiec tutejszy, umarł w pierwszym roku wojny, — jako nigdy nieodżałowany człowiek.

— A widzi pani, — chrząknął Tadeusz i jeszcze raz przemruczał sobie list do ojca:

Skutki wiecu wysoce opłakane. Musiałem się bić bardzo zażarcie i mimo wszystko okradziono mnie. Twoi kochani stronnicy. Teraz z połamanemi bokami leżę w wilgotnej konurze, otoczony podejrzanem miłosierdziem. Opiekunka moja chodzi na palcach i uśmiecha się, jak bydlę.

Piszę przy świecy. To nie ważne.

Za ścianą warczy motor, puszczają śmigę pokazu lotniczego i odkręcają solidnie wszystko, coś wczoraj na wiecu zakręcił. Bądź spokojny, na urzędowych Twoich cymbałów nie liczę wcale.

Wystraszone osły. Może zechcesz jeszcze raz pomyśleć: King of England czeka!!!...

Zalepił kopertę, poprosił Knote, by nadała poleconym i zdmuchnąwszy świecę odwrócił się do ściany.

List. Dowód pisemny! Z listem tym weszła w panią Knote pewność, że zagłębie lada dzień wybuchnie. List ten otworzy dzisiaj pan dyrektor. Dziś wieczorem. Do tego czasu nikomu ani słowa.

Jedno tylko — jeszcze gruntowniejsze sprawdzenie położenia: gdyby przewąchać sprawę u Supernaka?! Supernak wiedział zawsze wszystko, zamówkę miała jedyną w wypożyczonej Supernakom maszynie do szycia.

Myśl o maszynie była drugim dowodem, że zagłębie stoi nad przepaścią. Ponowne zwiastowanie, — od którego pani Knote chwyciła się za serce: w poprzedniej rewolucji tak samo przecie straciła maszynę. Tak samo pożyczyli od niej, potem gdzieś uciekli i musiało się po kościach rozejść.

Supernak nie ucieknie. Wszyscy zginą — a Supernak zostanie. Supernak umiał być dobrze może nawet z panem dyrektorem Coeurem?...

Nie wolno o tem myśleć. Czemże byli Kostrynie wobec Coeura!

Nie wolno o tem myśleć! Prędko, — szpryce do

szafki, biały fartuch na kołek, list Mieniewskiego za staniczek na piersi, — całe mieszkanie na klucz.

Gość nie wysadzi chyba mieszkania razem z sobą w powietrze?!

W samych drzwiach spotkała się z Kozą. Oko w oko.

Dom Ludowy nie miał widać czystego sumienia, gdy już węszył.

Uśmiechnęli się do siebie krzywemi twarzami — i cóż jeszcze? Wiedziała, że miał pełne usta różnych pytań. Niech próbuje. Nie był dla niej poważną figurą ten cały sekretarz. Mało to dziewcząt zepsuł, mało to płókała po nim i gumek zakładała?!

Koza zapytał nagle, czy syn leadera nie wspominał, przypadkiem, o zegarku?

— O zegarku? — Knote roześmiała się udatnie. Nic jej nie było wiadome o żadnych zegarkach.

Minęli elektryczną lampę Rady Kopalń i Hut, pod którą ustawiony w podwórzu aeroplan warczał okazowo przed nielicznemi widzami.

— Pani się śmieje, — Koza wziął ją mocno pod rękę i posunął aż na brzeg chodnika, — a tu niema nic śmiesznego. Lepiejby było, żebyśmy się razem trzymali. Wie pani?!

Oto, co głośno wyraził zapomocą słów. Tylko tyle. Ale uśmiech zdradził wszystko inne. Koza drżał ze strachu. Z niepewności. I z nieświadomości. Jak wszyscy teraz w tych ostatnich tygodniach.

Drżał, — niby pies zmoknięty.

Wzruszyła ramionami. Ponieważ stali już przed apteką, więc ostatecznie, rzekła:

— Aptekarz kręci swoje, żyd w owocarni swoje, a ta lokomotywa za hutą znowu swoje. Tyle wiem, co i każdy.

Jemu miała powiedzieć, takiemu smarkaczowi?

Wstąpiła do apteki po talk i tym sposobem Koza został na dziś spławiony.

Z apteki, prosto, prosto przed siebie, nieprzerwanem władztwem dyrektora Kostrynia.

Od tego muru ciemnego, od lamp wysokich w kurzu promieniejących, od stuku ludzi, co się wędzą za szklanną łuską huty — do iskier drżących pod niebem, łunami przypieczonem — wszystko było we władztwie.

Nawet w sobie samej nie śmiała nazwać go imieniem chrzestnem, — które brzmiało Feliks.

Myśl, że wielki dyrektor, choć ciała nikłego, nią właśnie, taką sobie masażystką raczył się zajmować, napełniała panią Knote bezgranicznem uznaniem. Uznaniem, które przechodziło w nieustanny strach.

A z tego strachu lśniły wielkie brylantowe litery, piszące jedno słowo w głębi oddanych piersi, cudne słowo: — Dyrektor.

Czy nie wstyd z literą taką obnosić się wzdłuż coraz lichszych ruder, po rozjeżdżonem błocie? Czuć takie wyniesienie — bez ludzkiego świadectwa, nadaremno?

Za ostatnią budowlą Osady leciała w noc pustka przeogromna, miękka od sadzy i wilgoci, wstrząsana twardym stukotem tysiąca różnych maszyn.

Do Szymczyków, przy których mieszkały Supernaki, trzeba było przejść po wielu kładkach, nad smrodli-

wemi stawami, co je aż tu huta z pod siebie wypuszczała. Na owych kładkach między umarłą wodą a otrutem powietrzem zdało się pani Knote, iż może nawet niema w jej życiu żadnego wyniesienia a zwyczajna nagroda zasługi.

Gdyby tak każdy cierpiał, od dzieciństwa tak służył po domach, po szpitalach i tyle się namilczał dla jednego tylko otrzymania patentu z masażu, to też doczekałby się wreszcie swego dnia.

Trzeba wiary w ten jakiś niespodziany, pierwszy dzień wielkiej łaski i własnego dobrodziejstwa.

W takim dobrym i serdecznym stanie weszła do chaty Szymczyków.

Przyjęli ją ogromnie uczciwie. Stary był palaczem w kotłowni na „Erazmie“, człowiek cichy i słaby. Wiedział, że co się koło Zarządu i Dyrekcji obraca, to jest władza. Takim ludziom bez ogródek wszelkich oddawał cześć, — jak sakramentom.

Co żywo podkręcili knota w lampce, Szymczykowa zaraz do miotły. Szymczyk wytarł stołek i uroczyście postawił na środku izby obrzękłemi palcami.

Od zbytniego ognia pieców wciąż mu wodą napływały.

Knote, mocno usiadłszy, kilka chwil syciła się w milczeniu tym popłochem.

Biedę tu mieli teraz, że kto zna tę biedę, to ją przeziera docna. Parę desek i parę cieniów nakrzyż, — to ich meble. Nad kominem kilka garnuszków, które świecą suchością z długiego odpoczynku.

Świecą tak ostrym błyskiem, że od blasku onego

sucho się w gardle staje, przełykać trzeba śpiesznie, a niewiadomo, co?

Pani Knote, gdy się już wobec jej powagi dosyć milczenia najedli, zaczęła sama od wychowawczej troski, to jest od syna. Sprawy takie wie się w Zagłębiu, jedni o drugich wszystkie. Szymczykom dzieci umierały, jak muchy, ten jeden chłopak został, ale nie mógł do swego fachu trafić. Prosił się do warsztatów, — wzięli go do murarki.

— Moja pani, — jęczała z pod pieca Szymczykowa, — na taki czas przychodzi dziecko, codzień, codzień i codzień z rozmarzłemi nogami, z zapuchniętemi rękami. To przecie małoletnie jeszcze.

Powiedziane było wcale nie obraźliwie, z żałością tylko. Pani Knote nie odpowiedziała i na tem urwał się początek bytności.

Nic nie można było wyczytać z Szymczyka. Miał twarz, jak jeden kłak, chłopisko zarośnięte, zwichrzone, kostropate. Tak się bał, tak się ciężko z sobą nosił, tak mu grało w wysuszonych płucach i wnętrznościach!

Za oknami jęczał czarny przeciąg, przez ścianę darły się okrutnie dzieci, obluzowany oddech starego palacza tak jękliwie przechodził, że naraz wszyscy troje przycichli w izbie.

Ni w prawo, ni w lewo, czas gniótł się nieustannie, wcale nie przemijał. W pani Knote złość rosła, a Szymczyk wciąż się łasił, chował głowę w ramiona, jakoby przed ciosem.

Zadrapało do drzwi, wcisnął się malutki brudny

piesek. Poszedł sobie dokoła, obwąchał stare graty i siadł grzecznie pod piecem.

— Buruś — rzekła pojednawczo pani Szymczykowa.

— Wasz? — westchnęła Knote.

— Gdzie ta nasz. Supernaków.

— A cóż wiecie o strejku? — spytała nagle pani Knote. Możnaby powiedzieć, że się w izbie jasno zrobiło od tego pytania. Wszyscy troje przymrużyli oczy. Szymczykowa obie ręce przyłożyła do wyszarzałych skroni, jak na widok świętokradztwa.

Palacz pochował oczy w kłakach rosochatej twarzy i zabiegliwie świszcząc rozdętemi płucami, wystąpił na środek lepiska:

— Pracy chcemy, moja pani Knote. — Na dowód czego okazał swe ręce poranione, kosmate z końcami palców wodą nabranemi, jak zgniłe agresty.

— No, — Knote mocno strzeliła językiem, — a coście wczoraj słyszeli na wiecu?

— Na wiecu?! — Wydawszy ten okrzyk Szymczykowa cicho zapłakała. Skąd weźmie człowiek sił do takiej rozmowy, gdy z pożyczką zalega? Pożyczyli przecie u tej Knote, — kiedy — a jeszcze nie oddali!

Ale Szymczyk ruszył znowu z pod ściany, znów pod światło z twarzą żałosną, zaciśniętą.

— Wczoraj? Wszystkiego, co siedzieli w słońcu, pod laskiem nad wodą. Tam sobie oddech chłodził, — tyle było, nic więcej.

Knote stała na środku — czarny nieporuszony posąg. Naprzeciw niej drżał Szymczyk, kosmatym, roz-

chylonym śmieciem i kłamał w żywe oczy: za prawdę, nigdy nie sprzedaną, swoją i Supernaka i Dusia i wszystkich ugniecionych towarzyszów stąd aż po wszystkie krańce.

Nie dogadali się w tej sprawie. Jakoś inaczej trzeba było kluczyć koło takich chamów, ale na to nie starczyło pani Knote serca. Dopiero, gdy wspomniała o procentach, z któremi tak bezwstydnie zalegają, — każdy zleciał na własne podwórko.

Nie mieli z czego oddać. Na dowód prawdy Szymczykowa ręce Knote ucałowała prędko, mokro z zupełną szczerością.

— To ci dopiero nędza. — Temi słowy zakończyła tu swą bytność pani Knote i przez sień wstąpiła do Supernaków.

Supernaka nie było. Można wszystko wypompować z żony! Pod obrazami przy łóżku piętrzyła się aż do poduszek góra kapuścianych głów. Nad tą górą skrzypiącą białym ścisłym liściem, płonęły oczy Supernaczki, czarne, bystre, zda się aż dosłyszalne, tak niezmiernie gorące.

— Czy się nie mylę, — zaczęła Knote tutejszą swą bytność, — chyba na szkielet pani wyschła?

Supernakowa, wyciągnąwszy ręce nad kapustą, poświadczyła chudemi ramionami.

— I to przy takiem bogactwie! — Knote bez ogródek oskarżała starego przed żoną o skąpstwo. — Chyba już panią, czwartą, na tamten świat wyprawia! A dwa pokoje ma z łaski kopalni, gdy ludzie duszą się w jed-

nym po dwadzieścioro. Niech-no otworzy tę swoją drugą izbę, — ileż tam kryje wszelakich pięknych mebli! Umierasz pani przez to!...

Chora — nic.

— Umierasz pani przez bogactwo i przez fałszywe leczenie.

Wiadomem było, że portjerka leczy się u nowego księdza. Wyklętego. U tego Kani. Na Zielonem i wszędzie przepadały za nim kobiety. Ziół zadawał portjerce różnych i huśtanie na huśtawce, żeby płuca wietrzyć.

— Cóż pani ma z huśtania? Wymioty i nic więcej.

— Ma, co ma, — odezwał się dziewczęcy głos z szafy.

Lokatorka Supernaków, Lenora. Pani Knote dawno sobie łamała głowę, czem się to działo, że taki koń-dziewczyna nigdy jeszcze nie była w pracowience z „kobiecą dyskrecją".

Ale co? Zamiast podejść te baby i wyciągnąć z nich wszystko, co się w burzliwym czasie między ludźmi gotuje, pani Knote narzuciła się niepotrzebnie na księdza. Z pożycia małżeńskiego wdrożona do ewangelicyzmu, nie stała o żadne obrządki, zwłaszcza, że z fachu należała do medycyny. Ale, żeby między księżmi wyrobił się taki odmieniec, co wiarę wywraca, rozwody daje a tem samem miesza się do spraw rozpłodowych?!

Narzuciła się na księdza: spiskują tu z nim! Na dowód czego ukazała druty przez sufit wyciągnięte i zakręcone. Druty radja. Poco takim ludziom, — kto to płaci?! Czego się z takich słuchów dowiadujecie?!

Otóż to: trzeba mieć serce zimne, kamienne, chytre na wszelki podstęp. Umieć zmilczeć. Knote nie umiała. Naskoczyła na księdza, baby zamurowało, — wtedy oblana nagłą „szewską“ pasją zażądała maszyny!

— Oddajcie mi maszynę, potom przyszła i możecie pozdychać.

Tu Supernaczka w płacz. Jak głowy do kapusty nie przyłoży, jak białe kaczany łzami oblewać zacznie!

Maszyna z pod obrazów znalazła się na stole. Zaglądnęły z Lenorą do czółenka, dla sprawdzenia pokręciły korbą.

Niklowane kółeczko mieni się białością, w izbie aż cicho od gładkiego szumu, portjerka płacze, że jej ostatnie życie zabierają, a tymczasem na panią Knote jakgdyby znowu zwiastowanie zstąpiło: Ostatnie dnie pośród tej nędzy spędza, odmiana ku lepszemu nadchodzi...

Wobec czego oświadczyła, że maszynę sprzeda, już stąd wyjeżdżać musi, pisał do niej stryjek, — odjeżdża stąd daleko do tych, co jej czekają.

Nikt nigdzie nie czekał i skąd tam jaki stryjek i dokądżeby jechać, — ale z dobroci serca kłamstwo ją poniosło, przez litość dla tej chorej, żeby wiedzieli, czuli i umajone mieli te swoje ciężkie łzy.

A potem korzyść z tego wyszła, niespodziana:

Na powrotnej drodze gadały tylko o Supernaczce, która całą duszą wisiała na maszynie. W lecie tak się jej rozszerzyła klientela, że miała wcale niezłe zarobki. Stary wyjechał, stróżować na galmanach, — wszędzie było czysto zamiecione, dzieci pięknie obszyte. Ale

wrócił i powiada możesz szyć, to możesz robić. Zagnał ją do kamieniołomów, żeby ją wpisać zaraz do Kasy Chorych. I wpisał, — aby nie umierała darmo.

Nie takie rzeczy widziała i słyszała tutaj Knote, — nie to było korzyścią. Gdy weszły do mieszkania i już maszynę postawiły i irchą z wilgoci przetarły i lampę zapaliły, a Knote przez otwarte drzwi spojrzała do nyży...

Lenora, jak nie wrzaśnie!

— Skąd go znasz?!

— Ja go znam?

— Skąd go znasz?

— Wcale nie znam. Śmieję się, że go tak murarze urządzili.

— Skąd wiesz, że murarze?

— A bo kto?

— Znałaś go?

— Może znałam?

— No, to znałaś? — Kolana ugięły się pod panią Knote. Wiadomo, że Lenora była szlaja. Ale oto patrzyła teraz przed siebie z taką zaciętością, takiego niezbłaganego milczenia!

Do kłębka przybywała nowa nić...

Rozstały się najgrzeczniej, — mieszkanko zamknąć i, długi mur huty minąwszy, z czemże podejść pod bramę dyrektorskiego domu?

Siedem okien pierwszego piętra świeciło w złotym szeregu. Story pospuszczane. Trzy okna, salon, dwa, — jadalnia.

Na ów widok doznawała Knote zawsze uczucia — wody w uszach. Jakby jej do połowy odbierało słuch,

a nawet władzę wszystkich innych zmysłów, — bo to jest twoje miejsce i nie twoje, — tobie świecą te okna i nie tobie.

Przed samemi drzwiami napełniło panią Knote jeszcze ważniejsze uczucie, — modlitwy. Żyła przecie z tym człowiekiem, żonę jego i córkę masowała, — ciało całej rodziny szło codzień przez jej ręce.

A gdy trzeba zadzwonić, w dołku ściska i ssie...

Zadzwoniła.

Przez całe schody, na czerwonym dywanie, — uczucie modlitwy. Na piętrze, przed szklannemi drzwiami zaczynała się — wstydliwa niepewność.

Jak przyjmą, co powiedzą?!

Bogaty zapach przedpokoju. Perfumy, futra i dziwnie salonowa politura. Jakgdyby elektryczność nawet miała tu swój zapach.

Pani Knote złożyła chustkę na krzesełku, powiedziała staremu służącemu: „Dziękuję bardzo“, — uniżonem spojrzeniem powitała wiszące na szaragach okrycia — i już ją oczy swędzą, a uszy stoją w ogniu...

Zawczasu, w przedpokoju jeszcze przybrała drobny, cichy krok wiewiórki.

Kroczkiem tym weszła do oświetlonego suto stołowego. Tu musiała odetchnąć.

Z wrażenia.

Nie zdążyła przymknąć powiek, gdy z salonu pan dyrektor Erazma i Katarzyny Feliks Kostryń, przeliczył głosem, od którego zawsze dostawała wypieków:

Raz, — dwa, — trzy, — cztery.

Zaczęła się muzyka.

Był to przecie dzień kwartetu, poniedziałek, co tydzień, najszczęśliwszy wieczór w zobopólnym stosunku. Pani Knote wyprosiła sobie u swego dyrektora, że „muzykalny“ wieczór spędza razem w mieszkaniu i pod pozorem pomocy do kolacji napawa się graniem.

Chwile te zaliczała do szczęśliwych. Przez jej ręce szły wtedy cała zastawa, serwis, srebro, piękne, wysokie kryształy. Rządziła całym domem, gdyż żonie, Stanisławie (o żonie dyrektora mogła dowoli chyba myśleć po imieniu) nigdy się nie chciało.

Jeden oddałby duszę, gdy drugi palcem kiwnąć nie chce. —

Rządziła pocichutku tym ogromnym dostatkiem i czuła się serdecznie, — „siostrą żony swego męża“.

Nakrywszy, mogła stanąć na ulubionem miejscu, między salonem a jadalnią. Plecami uważała jeszcze niejako na stołowy a pełną, szczerą piersią — „do łez“ słuchała muzyki.

W obliczu tej muzyki topniało wszystko, co ludzie wszędzie mówili na dyrektora Kostrynia. Mówili, — ścierwo, świnia, drań, — bo go nigdy nie widzieli przy graniu.

Trzymał głowę przytuloną do skrzypiec, — jak dziecko do łona. Można było nie bać się, — nic a nic. Łysina dymkiem rzadkich włosów zaciągnięta błyszczała mu wesoło, wielkie, czerwone uszy aż drżały z zajadłej ciekawości. Możnaby przysiąc, że po wszystkich ostrych rysach miękkiej, owisłej twarzy krąży mu rzewne miłosierdzie.

Zielone, wypukłe źrenice stały „całe“ w nutach.

Widok tych źrenic utwierdzał w pani Knote przeświadczenie o dobroci dyrektora.

Jakież tu porównanie z panem Coeurem?

Żadnego porównania.

Na sam widok Coeura czuła się pani Knote nie kochanką, metresą, czy chociażby zabawką, lecz zranioną matką swego dyrektora. Tyle Francuz wyrządzał tu krzywdy.

Lepiej nie myśleć teraz o tych wszystkich wstydach...

Dyrektor Feliks Kostryń wystawiał koniec języka przy muzyce, ślizgał się palcami po strunach przemyślnie, giemzowym bucikiem bił takt o posadzkę — jak do tańca. Grał takiem sercem, — aż mu nogawka dygotała nad jedwabną skarpetką.

Coeur — siedział nieruchomo. Skąd mu się brały te białe połyskliwe piętna na czole i brunatnych policzkach? Ciemny był przecie, a błyszczał, jak metalowa mutra, oczy czarne patrzyły nieruchomą iskrą.

Przez krótkie, krucze włosy miał wytyczony rozdział, prostą, białą linijką, — od widoku której krzyczeć się nagle zachciewało człowiekowi ze strachu.

Czemu?

Pani Knote wolała nie patrzeć i choć to był wielki bezpłatny zaszczyt sycić oczy widokiem tak możnego człowieka, spozierała na starego zawiadowcę Erazma, czy też na pana Stypka, donajętego dla wiolonczeli z miasta.

Biedni ludzie zawsze zostaną sercu człowieka bliżsi.

W instrumentach zaczął się wiadomy pośpiech. Czuły, niecierpliwy, jakby głos zdrowej, mordowanej świnki.

Pani Knote wyrozumiała z tego, że muzyka dobiega już kresu.

Skończyli.

Do salonu wtargnęły obie panie. Stanisława, żona i córka panna Zuzanna. Zuzannie można było przydomka panieńskiego „śmiało“ nie żałować...

Może weszły, a może też wbiegły, jak to czynią kobiety wysokiego świata, — szum powstaje z tego dokoła i woń zachęcająca.

Jasne, świeże, rozdźwiękłe brelokami nie potrzebowały, oczywiście, zwracać uwagi po drodze na tak nieznaczny szczegół, jak domowa masażystka, przytulona do otwartych drzwi salonu.

Patrzyła pilnie z „dzikim smakiem“ na dyrektora Coeura: żeby mu też jedna zmarszczka drgnęła w nieruchomej twarzy!

Ani śladu niczego...

Powstał, powitał się równiutko z matką, z córką. Uśmiechnął się swoim strasznym uśmiechem... Rozsuwanym bezgłośnie, — jak na gumowych sprzączkach.

Co obie panie mówiły — niewiadomo, ale, jak zwykle w tak wzorowym świecie ubiła się z wszystkiego, — niby wysoka, głośna, niewidoczna pianka!

Wtedyto dyrektor Kostryń postanowił napić się sodowej wody i wtedy pani Knote, podając syfon na małej srebrnej tacy, rzekła wtajemniczone słowo!

— Ważne...

Kostryń przymrużył oczy i westchnął:

— Co takiego?

Gwizdnął cichutko, — poszli korytarzem do dyrektor-

skiego gabinetu, któremu w wezbranej piersi niosła pani Knote, może ocalenie, uspokojenie, — zawsze jak najwięcej serca!

Jeżeli w korytarzu, czy w salonie pachniało wielkim światem, jeżeli na czerwonym dywanie schodów słyszała pani Knote w sobie jedno słowo, — „modlitwa“, to o całem urządzeniu gabinetu myślała w jednem tylko wyrażeniu: — Sprawiedliwość.

Wszystkiego tutaj przedziwnie wypadało po dwa: dwa okna, dwa ogromne fotele, dwa kandelabry elektryczne, dwie szafy notarjalne. Tylko biurko było jedno, z ciemnego drzewa, tak „dyrektorskie“ na tle myśliwskiego koloru tapety i mebli!

Czyż nie było rzeczą piękną, że właśnie nieznaczna osoba, jakaś tam uboga masażystka przynosi tu tak ważne wiadomości?!

Zamknął drzwi na klucz.

— Ty wiesz, panie dyrektorze — rzekła na środku pokoju.

— Nic nie wiem, moja złota, — odpowiedział dyrektor. Wciąż jeszcze trzymał głowę, niby do skrzypiec, przytuloną do niewidzialnego łona. Po twarzy przechodził mu uśmiech tkliwy i dziecinny, jak u ssących niemowląt.

Pani Knote opowiadała z żarem wszystko po kolei. Każdy szczegół mógł mieć przecież znaczenie.

Nie potrzebowała chyba wspominać, jak wszystko teraz chyli się w Zagłębiu do upadku, a może rozgromu. Więc, — nie to. I nie to, że zamieszany jest w tę całą robotę palacz Szymczyk, z kotłowni Erazma.

Czemuż nieszczęsnego Szymczyka wspominała, gdy właściwe ostrze pragnie zwrócić przeciw Supernakowi?!

Działo się to z powodu braku zimnej krwi i, — gdy się mówi przed tak wielką władzą, samo mówienie jest prawie podarunkiem!

Twarz dyrektora Kostrynia powróciła niespodzianie z muzykalnych rysów do codziennej twarzy dyrektorskiej.

Patrzył teraz na panią Knote rozmiękły, zimny wosk, z którego zielonkawych źrenic wyprysły, — znane w całem Zagłębiu, — bryzgi czerwonych łez.

Opowiedziała wszystko od początku, od masażu Drążkowej, zjawienia się nagłego sobotwóra, czyli Mieniewskiego, syna, który ma z sobą co, — jeżeli nie bomby?! W dwóch oszukańczych garnkach? Przejęła list, — jest teraz za stanikiem na piersiach. Mieniewskiego zamknęła w pracowięnce. Leży, mocno pobity po tym wiecu ojca. Plączą się w tem także i dziewczyny.

Dyrektor wahał się na giemzowych kapkach. Przełykał te dziwne wiadomości, poczem, jakby mu znów, z żołądka do ust powracały.

Żuł.

Pomagał mu w tem język, którego pełno było po jednej, to znów po drugiej stronie szczęki.

Masażystka opowiedziała wszystko najdokładniej raz jeszcze. Nie słuchał. Tak umiał nie słuchać, tak na strony obojętnie patrzeć, że mówiącemu krew mózg zalewała.

Nie słuchał, — a wciąż wypytywał. Umiał pytać: rozpalonem żelazem przypiekał każde słowo.

Już miała po raz trzeci wszystko opowiedzieć, gdy dyrektor wykrzyknął cicho — tylko on umiał tak cicho, przejmująco krzyczeć:

— Żyć mi nie dajecie! Nie dajecie mi żyć!... — Ciurki płaczebne szły mu z oczu. Powtarzał swoje smutne słowa bynajmniej nie do Knote, przeciwnie, jakby mówił do okna, przez powietrze, przed siebie do głuchych wstrząsów przylegającej huty.

Całkiem inaczej myślała pani Knote o tej chwili, inaczej zwiastowały o tem miłe przeczucia dzisiejsze! Obie ręce religijnie złożyła na piersiach, na dowód niewinności.

Zbliżył się, uczuła woń eukaliptusowych cukierków, które ssał przy muzyce, by nie palić.

Z salonu, przez pachnący korytarz donosiła się aż tu przenikliwa pianka śmiechów.

— Więc jeszcze nie wiesz, — powiedział żałośnie, — że o tych rzeczach nie mówię przy muzyce?! Pogadamy jutro w biurze. Prawda?

— O której godzinie, panie dyrektorze?

Nie odpowiedział.

— O której godzinie? — spytała z bezładnym uśmiechem.

Jakgdyby przypominając sobie nagle coś całkiem innego, — poklepał ją po twarzy, piersiach, biodrach.

Niczego nie bała się, jak niespodzianych pieszczot, gdy mówili o sprawie...

Patrząc pilnie w oczy, dotykał zwierzchu jej po-

liczków. I odskakiwał od nich poduszkami palców, nito od zbyt gorącej wody.

Knote stała, — przerażona.

— Więc jeszcze nie wiesz? Jeszcze? — Klepał ją znów, wciąż pilnie patrząc w oczy.

Nagle, — z obu stron, obiema dłońmi, sztywnemi, jak packi, uderzył po twarzy z całej siły.

Zapłakała.

Chwyciwszy końcami palców za końce małych uszu, jął prowadzić jej głowę dookoła. Gabinet wirował coraz prędzej w oczach pani Knote, — zachwiała się na nogach.

Puścił nareszcie jej uszy.

— Ja się staram, panie dyrektorze, — płakała Knote, — ja się staram.

Nie słuchał. Siedział przy biurku i skrzętnie notował.

Wtedy nagle wyrzuciła pani Knote przed siebie obie ręce, — jakby łódź jakaś odbijała od brzegu raz na zawsze.

Nie słuchał, wciąż notował.

Zdało się pani Knote, — mimo, iż przedtem lubił ją czasem bić w pieszczocie, że teraz głowa pęka jej na kawałki, a serce wszystkie węże świata rozerwały.

Nie patrzył na nią.

Podeszła do biurka, ostrożnie ucałowała rękę z sygnetem pochodzenia i kroczkami wiewiórki wyszła prędko przez pachnący korytarz.

Gdzie?

Na miasto, na powietrze. By ochłodzić policzki — i żeby łzy nie kapały na czerwony dywan.

Lepiej — w błoto.

3

PO BRZEGI SWEGO ŻYCIA

Dyrektor Kostryń zapisał w notesie:

Palacz Szymczyk (kotłownia Erazma) zredukować.

Knote o godz. 11-tej w kancelarji huty. — Zapłacić i nagrodzić.

Spojrzał na zegarek. Przykra i nerwowa scena z Knote nie trwała dłużej, niż pięć minut. Można jeszcze nie wracać do salonu.

Wetknął notes do wewnętrznej kieszeni kamizelki, przesunął krzesło na właściwe miejsce przed biurkiem i uciekł za firankę przy oknie. Schował się tam wraz z głową.

Gdy do wszystkich starych kłopotów, spraw i wiadomości dochodziło jeszcze coś nowego, Kostryń tracił przytomność. Musiał odczekać, aż nowa sprawa ułoży się pomiędzy staremi i sama miejsce sobie znajdzie.

Przez ten czas najlepiej patrzyć na tapetę. Srebrny jej deseń pobłyskiwał w mroku, — nie przynosiło to żadnej równowagi.

Ach, Knote, biedna Knote... Czemu Kapuścik nie

telefonował?! — Jaki ostatecznie był połów na wiecu?... Coeur na pewno już wiedział? — W Radzie Kopalń i Hut nic ściśle nie umieli powiedzieć. — Czego chciał dzisiaj znowu ten idjota Falkiewicz?

Kostryń wciąż czekał jeszcze za firanką. Między srebrne desenie tapety wplatać się jęły motywy tylko co przegranego kwartetu. Możnaby tak stać godzinę, dwie.

— Wierzę w Boga, — powiedział nagle, prawie głośno.

Jakże nie wierzyć: Iks lat temu znali się z leaderem Mieniewskim na politechnice zagranicą. Kiedyś, całą gromadą wracając z zebrania, śpiewali pieśń rewolucyjną. Dziś już połowa z nich nie żyła. — Kostryń szedł wtedy w pierwszej czwórce i, by się zagrzać, śpiewał pełnym głosem: B o w p i e r s i t w e j g ł o s p i e ś n i m e j. — Mieniewski zatrzymał pochód pod zaśnieżoną latarnią, chwycił śpiewającego za kołnierz i huknął prosto w ucho: — Zawsze fałszuje ta cholera!

Od tej chwili znienawidzili się na całe życie.

Com robił całe życie? — pomyślał Kostryń z rozrzewnieniem. — Pracowałem.

A co on robił? Przeszkadzał pracować i szczekał. Szczekał po całym świecie. Teraz go Pan Bóg karze i syna tu sprowadza.

Właśnie tu.

Przeciw komu? Przeciw „Narodowej Pracy“? Kostryń sam gardził swoją organizacją. Trochę pieniędzy i kanonik, który opornym nie dawał rozgrzeszenia?

Przeciw komunistom? Socjalistom? Mimo, że po-

zycje te znane były nawylot, nowa pozycja, à la „syn leadera Mieniewskiégo“, odpowiednio użyta, mogła stanowić duży, — duży atut.

Dyrektor wyszedł ostrożnie z za kotary i uśmiechnął się do jasnej ciszy gabinetu. Ach, wierna Knote nie wiedziała nawet, co przynosi!

Usiadł naprzeciw biurka, — jakby za tym biurkiem czekał już dawno Coeur.

Vous soutenez toujours, — lepiej ułożyć sobie wszystko zawczasu, po francusku, — że się nie rządzi, nie przewiduje dostatecznie. A oto przewidzieliśmy!

Tu — listy i dowody w sprawie Mieniewskiego.

Kostryń skłonił się pustemu krzesłu i wrócił do salonu, przejęty gorącą radością.

Gdy zajęli miejsca przed pulpitami, — radość owa pierzchła.

Naprzeciw siedział Coeur. Spokojny, nieporuszony, sztywny. Kostryń uświadomił sobie nagle, że żadne donosy nie wystarczą. Ani teraz, ani już nigdy może.

Nie zdołała zaradzić temu muzyka. Kostryń grał, patrzył najusłużniej w oczy, a tymczasem, — jeden ruch podeszwy, kilka nieprzewidzianych zmarszczek na kamizelce Coeura może wydać całkiem nieoczekiwany — wyrok!...

I co wtedy?

Kostryń poddawał się akordom, niby je słyszał, niby wyciągał w przepisanym rytmie cieńszą od przędzy melodję Mozarta, lecz równocześnie, jakby jakimś uroczystym hymnem, albo też może słowami najskromniejszej troski błagał Francuza o łaskę:

Czemuż ciągle milczysz? Chcesz wkońcu tego strejku, czy go nie chcesz? Zrobiłeś tę konwencję węglową dla kawału, czy serjo? Jakież teraz dostajesz rozkazy z Paryża? Dlaczego właśnie teraz zmieniasz całą rachunkowość? Powiedz, przynajmniej, jaką chcesz mieć politykę przy redukcjach?

Gdy przy muzyce zabawiali się towarzyską rozmową, zdało się Kostryniowi, że cała tajemniczość Coeura polegać może równie dobrze, — na błahostkach. Bywają przecie w życiu takie śmieszne pomyłki: szuka się głęboko, a rzecz leży na wierzchu!

Może tylko nieumiejętność patrzenia? Tymczasem, — sprawa lin do maszyny wyciągowej mieści się w ruchach dłoni Coeura, upór w procesie o wodę, która zalewa „Zielone“ tkwi w rowku nad górną wygoloną wargą, cała zaś zagadka strejku schowana jest w kącie ciemnych powiek?!

W pewnej chwili Kostryń poczuł z obrzydzeniem, że żarliwą wolą ogarnia, przenika chłonie w siebie wszystkie szczegóły ciała tego człowieka.

Wstrętna męczarnia.

A jednak doznawał ulgi, gdy tamten bawił się lub odpoczywał.

Gdy Coeur przysunął się do pani Kostryniowej, — Kostryń nie mógł uczciwie nie ocenić, — żona była jeszcze piękna. Gdy Coeur powiedział jej, że wygląda, jakby zstąpiła ze stylowego medaljonu, — dyrektor Kostryń odszedł zręcznie pod piec ku parawanowi, wyklejonemu obwódkami od cygar, aby przeżyć w pokorze tę radość.

Rozmawiały z Coeurem we dwie, Stanisława i Zuzanna.

Obie w radosnej łunie ciepłych spojrzeń. Stanisława płynęła w rozmowie, jakgdyby przeciw fali, z uśmiechem — sennego zwycięstwa.

Kostryń znał doskonale ów uśmiech ze wszystkich balów, redut i reprezentacyj.

Zuzanna ciągle wybuchała świeżym śmiechem,

Może za wysoko odsłoniła nogi? Bardzo piękne, — to fakt. Prawie za kolana?

W najlepszych pończochach jedwabnych.

Kostryń czuł, że gdyby nie ręce, to nawet same jego powieki przyczynićby się mogły, by zakryć te kolana. Gdyby to było w czasach dawnej mody. Dziś zmieniły się wszystkie pojęcia.

A gdy, ostatecznie, może z powodu jakiegoś dowcipu, a może właśnie dzięki tym kolanom Coeur roześmiał się nagle... Ludzkim, głośnym śmiechem, trochę twardym, lecz chyba bardzo miłym!

Równo, szczerze, wesoło!

Śmiał się tak u swego podwładnego, któremu z półroczną odprawą może wymówić miejsce...

Na odgłos tego uśmiechu wszystkie obawy pierzchną, a w sercu, niespodzianie, zalęga się dziecinna myśl, — że życie jest piękne! Wiadomość o Mieniewskim, którą jutro-pojutrze przyniesie się Francuzowi uporządkowaną gruntownie, okryła się, jakby puchem świeżego owocu.

Słodycz tego puchu przeleciała przez palce, przez oczy.

Coeur powstał. Żegnał się już z paniami. Jaka szkoda!

Odprowadzili go we troje, całą rodziną, do przedpokoju. Całą rodziną czekali, aż zapnie guziki szerokiego palta.

I tu, dopiero tu powiedział ten Coeur rzecz zgoła nieoczekiwaną, za którą należałoby mu chyba płacić grubemi dolarami...

Powiedział, że za parę tygodni przejeżdżać będzie tędy słynny kwartet francuski. Trzeba skorzystać i zaprosić sławnych muzyków na jeden wieczór.

Liczył więc, że za parę tygodni nic się jeszcze nie zmieni! A więc nie będzie strejku do tego czasu, a więc konwencja węglowa nie rozleci się jeszcze, a więc i Rada Kopalń zawrze umowę ze Związkami, to on liczył, — sam Coeur!

— Taki kwartet — u nas. Prześliczna myśl, — szepnął Kostryń wzruszony.

Obie panie wychyliły się z drzwi przedpokoju, niby pożegnalne girlandy.

Po schodach zeszli we dwóch. Czarne palto Coeura zstępowało w zupełnem milczeniu.

I znów stracił dyrektor Kostryń wszelką wiarę w przyszłość. Nie można było nigdy wiedzieć, czego Coeur chce, ani nawet — gdzie się właściwie znajduje! Szedł przecie schodami, po czerwonym dywanie, a jednak patrzył i tak nieobecnie poruszał się, — jakby szedł wszędzie indziej.

Gdy zatrzasły się drzwi i już fuknęło auto, Kostryń, z rękami na klamce, śmiejąc się jeszcze do opustoszałego podjazdu uczuł, że wypełniony jest Coeurem po brzegi.

Po brzegi całego swego życia.

Uśmiechał się i czekał, czekał jeszcze, drobnemi łzami pryskał na czerwony dywan, lecz wewnątrz nie ubywała z tego strasznego morza ani jedna kropla...

Wróciwszy do gabinetu, uciekł za firankę. Odczekać tu wiadomość: całych kilka tygodni spokoju. Nie będzie strejku i wogóle nic, — Coeur zaprasza kwartet!...

Z salonu buchło głośne schimmy. To Zuza.

Nie dali mu odczekać wiadomości.

Zadzwonił na służącą, kazał sobie pościelić w gabinecie.

Spanie dyrektora w gabinecie oznaczało dla domu stan naprężenia w zarządzanych instytucjach i wogóle w Zagłębiu.

Dyrektor sypiał wtedy zawsze u siebie, — przy papierach.

Papierami temi był rulon dolarów papierowych. Wszystko inne tyle razy zawiodło. Coeur jednego rąbka lepszej kombinacji giełdowej nie uchylił nigdy!

Rulon mieścił się „niewinnie“ w okrągłem tekturowem pudełku po dziecinnym pudrze od oparzeń.

Kostryń położył na biurko złoty zegarek, portfel, chustkę do nosa, drobiazgi ze wszystkich kieszeni.

Jakże niemiłosiernie grała Zuza to schimmy! Na kwintet Schumana nie mógł jej namówić, — każdy taniec idjotyczny gra odrazu z pamięci.

A jednak na myśl, że Zuzanna jest całkiem inna, niż można się było spodziewać, uczuł Kostryń nadludzką niemal wdzięczność. Nie umiał sobie tego uzmy-

słowić: uczucie tak wielkie, tak szczęśliwe, — że niech lepiej przemija, szkoda tego na codzień.

Przestali grać. Prawdopodobnie służąca obwieściła „domowi“, że pan śpi w gabinecie.

Niech się pomartwią.

Było mu doskonale tutaj, nawet w chwilach najcięższych zaburzeń. Ewentualnie, — pięć tysięcy ludzi biega po placu kopalni. To prawda. Ryczą, wrzeszczą, chcą bić. I to prawda. Ale wkońcu wieczorem rozbiera się tu człowiek — i może sobie gwizdać. Cichutko gwizdać w naprężonej ciszy. Albo leżeć i myśleć, — bez żony.

Bez żony — myślał zawsze o wspomnieniach dzieciństwa.

W chwilach dramatycznego napięcia, gdy grozili zagaszeniem pieców czytał stare rachunki domowe, ocalone z Rosji. Widać było z poszczególnych pozycyj, że mimo wszystko, życie jest niezniszczalne. W jednostkach, tysiącach, czy miljonach, — wszystko jedno.

Podczas wielkiego strejku, gdy z Paryża leciały depesze za depeszami, dochodziło do tego, że czytał listy Zuzy z przed lat dziesięciu, gdy była małą dziewczynką. Jakiż świetny wywierały skutek kochane te bazgroty!

Na dziś przygotował sobie dla ochłody parę ostatnich numerów Gazety Policyjnej. Drukowano tam bardzo ciekawe studjum o Badaniu Przestępstw.

Rozprawa ta napełniała Kostrynia energją i dziwną wiarą w przyszłość.

Lepsze ustępy można sobie było odczytywać głośno. Nikt w gabinecie nie sterczał człowiekowi nad głową.

W jednym trzewiku a już jedną nogą boso zaczął Kostryń szukać noża do rozcinania kartek.

Znalazł.

Zapatrzony w elektryczne światło, grzebał jeszcze chwilę we własnem ciele. Pachniało grzybkiem, kwasem, piwnicą, czy też może zleżałą trucizną? Jak codzień chyba po pracy ciało każdego człowieka.

Dlaczego jednak na tem zwykłem ciele spoczywa tak ogromna odpowiedzialność?! Cała huta, cała kopalnia gniecie te wąskie barki za marnych kilka groszy.

Poklepał się po obojczykach z litością. Jak do osoby trzeciej rzekł do samego siebie, — idziemy spać, — już wsunął się pod kołdrę, gdy oto weszła żona.

— Cóż nowego? — spytała osobliwie dźwięcznym głosem.

Kostryń niecierpiał tej dźwięcznej odmiany. Nie odpowiadał, skrobiąc się żałośnie po łopatkach.

— Zaszkodziło ci coś może, Feliksie? — Przechadzała się cicho po dywanie.

— Dyrektor czuł, że żona ma coś ważnego do powiedzenia. Wyczytał to ze spokoju jej klasycznej twarzy. Spokój świadczył u Stanisławy zawsze o wielkiem wzburzeniu.

Chodziła tam i napowrót, stąpając uroczyście.

Nienawidził urody żoninej. Napawała go zachwytem, lecz nigdy nie mógł się do niej przyzwyczaić. Z głupią, pulchną Knote robił przecie, co chciał i mógł się przyzwyczaić i nieraz — szaleli. Do żony nie mógł się przyzwyczaić nigdy. Ulegała mu zawsze we wszystkiem, — lecz niczego od niej nie chciał.

Naturalnie: by ukryć zakłopotanie, usiadła przy biurku i zaczęła coś czytać. Byle co, — rachunek, raporty, — chustkę do nosa, — zegarek!!

— Dbam o dom, — warknął ostro z łóżka, dbam o żonę, dbam o córkę, o wszystko dbam. Nie należy mi przeszkadzać, gdy nawet w nocy jeszcze, jak pies waruję.

Przestrzegając zasad sprawiedliwości, uważał, że skoro Knote dziś oberwała, to tyleż samo należało się żonie.

— Dbałem nawet, gdy zbóje kołem mnie łamali, — była to aluzja do bicia w nadkaspijskich kopalniach, — a tyś, jako westalka, czekała w oknie salonu, kiedy skończą.

— Masz dużo zmartwień teraz, — wiem. — Stanisława westchnęła pokornie. — Sprawa jednak jest na tyle ważna! Zwłaszcza obecnie. Chodzi mi o Zuzannę...

— Tak — Kostryń przymknął powieki, — za wysoko unosi suknię w towarzystwie.

Pani Stanisława mówiła dźwięcznym, czystym sopranem, dodając do niego jeszcze liryczne drżenie. Chodziło tu o rzeczy poważne, — o których myślała dzisiaj całe popołudniu u siebie, w bibljotece.

W bibljotece publicznej imienia Staszica. Kostryń cierpliwie tolerował tę duchową dobroczynność, jako skuteczny gromochron przeciw wszelakim składkom.

— Nie cisną się ludziska po książki, skoro masz tam tyle czasu do rozmyślań.

Myślała o Zuzi i o Coeurze. Na twarz pani Stanisławy wystąpiły wstydliwe rumieńce.

— Sądziłam początkowo, że pan Coeur, często u nas

bywając i od tak dawna, na mnie tyle czasu traci. Było mi to zupełnie obojętne. Okazuje się jednak, że chodzi o Zuzę. Uśmiechają się do siebie tak znacząco. Należy to koniecznie wziąć w odpowiednie ramy. Zwłaszcza teraz, w tak niepewnych czasach. Dość znaczna różnica lat, — do rozważenia. Gdyby się jednak pobrali? Zuza nie znajdzie lepszej partji w Zagłębiu.

Wymawiając ostatnie słowa, pani Stanisława odwróciła oczy od światła, by spojrzeć na męża.

Głowy jego nie było na poduszce. Schował się!

Zobaczyła tylko końce palców, przytrzymujące kołdrę.

— Nie niecierpliw się, posłuchaj. — Podniesionym głosem, aby przekrzyczeć kołdrę, powtórzyła raz jeszcze całą propozycję.

Kostryń milczał. Dusił się i dławił. Serce mu tak waliło! Ach, — słyszał je kujące głośno, — jakby ktoś słupy w ziemię wbijał!

Zostanie teściem, — ojcem tego Coeura! Wnuki będzie miał od Coeura! Córka mu w ciążę zajdzie, — właśnie od tego Coeura!!!

Stanisława wciąż jeszcze mówiła z lirycznym drżeniem.

Skurczył się, zwinął w kłębek, zatkał uszy dłońmi — i począł wyć.

Równo, nieustannie.

Wzięła go dobrotliwie za ręce.

Pokopał kołdrę i wył coraz łagodniej. Przewalał, przewalał się w nim ten Coeur, — jak roztopiona stal!...

Pani Stanisława zrozumiała inaczej. Po swojemu. Że

mąż nie chce mówić o tem na razie. Ma tyle innych, tak poważnych kłopotów. Obetkała go starannie kołdrą i na palcach wyszła.

Kostryń wiedział już dawno, że jej niema, — lecz wył dalej.

Skuczał.

Mogła słuchać pod drzwiami. Zresztą, — skuczał dla samego siebie. No tak, — partja była świetna. — Świetna!!

Potem już, — żadnych obaw. Oczywiście. Koneksje — do samego Paryża. Do centrali.

Przypomniało mu się, że Towarzystwo utrącało karjery Francuzów, którzy żenili się z Polkami. Zaskuczał jeszcze głośniej, — w bezsilnem przeświadczeniu, że Coeura Towarzystwo nie utrąci. Zanadto wtarty we wszystko i rozgałęziony.

Nie myśleć więcej. Czytać. Ułożyć się spokojnie i czytać Gazetę Policyjną. O zamkach, „kłódce z cierniem“, kluczach obrotowych, systemach Yales, Chubb i Bramah.

Zawiłe rysunki i przekroje tych systemów dawały spłakanym oczom dyrektora błogi wypoczynek. Rozranione, bolesne myśli jęły się uspokajać, przekręcać i odkręcać, jak rozumne sprężyny. Do serca spływać jęła potulna, błoga cisza.

Kostryń, omal nie wyskoczył z łóżka i nie zapisał w notesie pewnej myśli, która mu się tak jasno objawiła przy lekturze.

„Bóg, — to jedno szczelne, dokładne zamknięcie“.

Gdy oto pękły nagle wszystkie myślowe sprężyny!

Schował głowę pod kołdrę. Zakrył się ramionami, czując w ustach takie samo milczenie przeraźliwe, jak wtedy, wtedy, wtedy, — na placu nadkaspijskiej kopalni, — gdy czarne pięści uniosły się nad nim niespodzianie...

Patrzył ze zgrozą, zjawiały się bez liku! Zaciskał powieki, otwierał, póki nagle przeraźliwem milczeniem zeschniętych warg nie powiedział samemu sobie:

— Zredukować Szymczyka!!!

4

TAK ZWANY ZLEWEK

Knote zjawiła się w poczekalni huty już przed godziną dziewiątą. Usiadła skromnie na brzegu krzesełka, przerażona bliskością rozmowy z dyrektorem a równocześnie, — jak przy każdej tu bytności, — oczarowana srogą powagą zakładu.

Cztery nagie ściany, solidne, olejne, osiem krzesełek pod rząd, tensam woźny od lat, na stole bibuła w czarną skórę oprawna, bloczek papierowy, ołówek na sznureczku — i znikąd ani słowa.

O godzinie dziewiątej, punktualnie zajechało auto i wszedł dyrektor Feliks Kostryń.

Czyż nie składał głowy na jej piersiach, czyż nie całował nieraz w bardzo małżeńskie miejsca, czyż nawet ufnie nie zasypiał na jej ciepłem ramieniu?!

A jednak natychmiast przypowstała, zalękniona.

Nie dał żadnego znaku, udał, że nie widzi i poszedł prosto korytarzem.

Innym krokiem, niż zawsze. Szybkim, głośnym, blade policzki trzęsły mu się znacząco, — jakby sto telegramów czekało do podpisu.

Stary woźny mknął cichutko ztyłu.

Odebrał od dyrektora płaszcz, otworzył grube, wojłokowe drzwi do kancelaryjki.

Kostryń wszedł, rozejrzał się nieufnie i stanął za biurkiem.

Parę chwil — odczekać!

Stwierdzić, czy wszystko na miejscu? Biurko, ranne raporty, stolik z karafką, patenty w złotych ramkach na ścianie, dygocące z okna, za niemi wielkie hale walcowni.

Straszliwy ryk tarczowej piły, plusk wody, głuche westchnienia pieców, huk dźwigów mechanicznych, sypkie oddechy pary zlewały się w jeden gwizd przenikliwy, spleciony z wszystkich innych głosów, trwający równomiernie wysoko pod szklanemi dachami.

Znany, wierny, wypróbowany, świadczył o normalnej pracy w hucie.

Dziś nie mógł Kostryń delektować się tym doświadczonym głosem. W piskliwe jęki śrub, w gardłowy wrzask młotów, w rozdęte tchnienia pary wpadały raz po raz ciche a przecież dosłyszalne, lekkie, aksamitne kroki...

To serce!

Biło już tak od rana. Opanować je, — nakazać spokój!

Usiadł, otworzył szufladę, wydobył pilnik do paznokci oraz porcelanowego papierosa z ślicznie odlanym popiołem i ogieńkiem. I blaszane pudełko z eukaliptusowemi cukierkami.

Nie dać się, robić wszystko, jak codzień.

Ssał szkiełko, czyścił starannie paznogcie, — gdy oto maleńkie bryzgi łez wytrysły mu z oczu...

Za dużo na jeden dzień: raport Kapuścika, — przeprawa z Knote, — ciężka rozmowa z Drążkiem, — sondowanie młodego Mieniewskiego! Jeżeli relacja Kapuścika wypadnie dobrze, jeżeli zatem Coeur nie dąży do strejku? Jeżeli młody Mieniewski da się skompromitować, — tak: ojciec uspokaja tłumy a podrzuca im syna z bombami... Jeżeli Drążek da się kupić?!...

Z takim kapitałem można już iść do Coeura, dać mu to, ale wzamian zażądać...

Kostryń zdmuchnął opiłki od paznokci, — przerażony: od wczoraj na wiadomość o kwartecie francuskim, za perspektywę kilku spokojnych tygodni, — kochał Coeura! Kochany Coeur, — temi wyrazami ułożyło się dobitnie, że ani zmazać tych słów, ani ich wyrwać. Rozrastały się w całej świadomości, wstrętne a tak prawdziwe!

Z aferą Mieniewskiego, z zakupionym Drążkiem przynieść dyrekcji plan uspokojenia na Erazmie, może w całem Zagłębiu, a w nagrodę — oddać za to Coeurowi córkę?!... Niemniej, Kostryń wiedział, że będzie gadał, biegał, radził i donosił, że wszystko przygotuje, że z poczuciem świętego obowiązku zastuka do Coeur'a, prosić będzie o zdanie...

Zapatrzywszy się w głąb olbrzymiej walcowni, spytał samego siebie cichutko, prawie ukradkiem:

— Dlaczego?

Pod olbrzymim stropem, niby ogniska wytężonej uwagi, skupionej nieruchomo, płonęły elektryczne lampy.

Właśnie wyjeżdżał z głębi na rozłożonym dźwigu, rozżarzony do białości prostokąt żelaza.

Tak zwany zlewek.

Białe światło słaniało się wzdłuż roziskrzonych płaszczyzn, nasycając ciemne zakamarki hali falującą poświatą.

Kostryń skubał mięsko z kąta paznokcia i czekał, kiedy do rozprażonego zlewka przyskoczą hakarze i walcownicy z metalowym taranem.

Obserwował tę scenę codzień prawie, od tylu lat. Zjawili się wśród kół, stromych śliskich blach, — niczem ruchliwe bałwany, ulepione z błota.

Obstąpili gładką skałę żaru, z pomiędzy zasmolonych kabatów wysunęły się żelazne żerdzie.

Niechby córkę któregoś z nich chciał pan Coeur za żonę! Nogi całowaliby z wdzięczności!

Córkę któregoś z nich? Kostryń obraził się na samego siebie za to porównanie.

Łomotali taranem, by zionącą kłodę metalu wepchnąć w system walców, spryskiwanych ustawicznie wodą. Walce te gniotły lśniącą kłodę siwemi biodrami, ogień białych kosmyków strzępił się z pod nacisku.

Z kłody rósł pień, czerwony pal, wąż długi, coraz dłuższy, coraz cieńszy, pryskający śnieżnemi iskrami.

Głupie bydło, przez które nie ma się jednej chwili spokoju, drży się o każdy kęs chleba, własnego dziecka nie ma się dla siebie!

Nadjeżdżał nowy zlewek. Stanęli w siedmiu, rozkrzyżowali szeroko ramiona i znów kupą dymiącego błota oblepili prostokąt żaru.

Kiedy wszedł Kapuścik? Coprawda ułożyli między sobą, że gdy niema nikogo obcego, może wchodzić bez zameldowania.

Kostryń rozpłakał się na widok oficera. Malutkiemi, czerwonemi łezkami. Z samego przedenerwcwania. Zbyt ważna chwila.

Przy Kapuściku można sobie pozwalać na szczerość. Wszystko dokoła podminowane było przez obcy kapitał, — jeden Kapuścik — nie.

Kostryń i kilku innych jeszcze panów z mniejszych kopalni obrobili porucznika wyłącznie dla siebie. Trzeba przecież wreszcie czuć się gdzieś na pewnym gruncie. Kapuścik wśród ogromnego oceanu obcych wpływów stanowił prywatną, narodową wysepkę. Oprócz stałych drobiazgów obiecali mu rzecz małą, lecz konkretną: na wypadek jakichś przeciwności doskonałą posadę inspektora ładunków węglowych w porcie.

Odpowiednią rozmowę zakończyli na Nowy Rok w resursie okrzykiem: Niech żyje nasze morze.

Kostryń poczęstował gościa eukaliptusowym cukierkiem, papierosem, podsunął popielniczkę, zapałki. Poczem obie ręce położył na granatowem suknie breachessów, aby czuć dokładnie ciepło tego człowieka. Organizmu. — Ustroju. — Prawdomowne ciepło ciała.

Niema innej kontroli.

Ciężkie, aksamitne uderzenia zdwoiły kroki, Kostryń przytrzymał serce portfelem, leżącym w bocznej kieszeni na piersiach. Waliło jak młotem. Tymczasem:

Wiadomości były dobre. Doskonałe! Nikt nie potrafiłby wyłożyć ich z większym od Kapuścika smakiem.

Tak wporę, tak służbowo mlasnąć mocnym czerwonym językiem.

Ustalono — przodownik referował zawsze w trybie bezosobowym, — że zainteresowanych po wiadomej stronie (Coeur) w sprawie wybuchu strejku nie wyczuwa się wcale. Nie zauważono żadnych śladów prowokacji. Wiadoma strona nie działała wiadomemi środkami, ani od góry, ani też od dołu.

Kostryń śmiał się cichutko, rzewnie. Nie pojmował, skąd ten uśmiech pochodzi? Rozumiał jedno tylko: bez względu na wyniki, rzecz układa się pomyślnie. I cóż?! I pójdzie się do generalnego dyrektora, stanie się tam mimo wszystko przed biurkiem, wyłoży się swój plan.

Doznał niesamowitego zgoła wrażenia, jakoby takim drobnym, równym śmiechem śmiał się ze swojej własnej śmierci...

— Wiadoma strona, — nikt w takiej chwili nie chrząknie, jak Kapuścik, — nie prowokowała zgóry. Starostwo nie otrzymało żadnych urgensów, żadnych poufnych telefonów z wiadomego źródła. To jest — od Coeura. Tak samo na bieżący tydzień nikt z generalnej dyrekcji nie urguje o wzmocniony konwój dla pieniędzy na wypłaty.

Kostryń roześmiał się do sunącego przez walcownię rozprażonego zlewka, i szepnął z nabożnem skupieniem:

— Coeur nie chce strejku.

Dlaczegoż jednak dalej prowadzi redukcje, nie przyjmuje zamówień na węgiel, wypowiedział starą „Umowę“ ze Związkiem górników, a do nowej nie dopuszcza? Wyobraża sobie, że ustąpią?!... Że górnicy ustąpią?...

Piersi Kostrynia uniosło westchnienie zachwytu: niesłychana siła charakteru!

— Wiadoma strona nie działała też od dołu. — Kapuścik referował sumiennie: — W tym względzie najlepszym barometrem jest zawsze Supernak. Gdyby wiadomej stronie na tem zależało, to zaraz tam powsypywaliby się znajomi Supernaka.

Nie warto było dyskutować nad tem, zwłaszcza dzisiaj. Porucznik utrzymywał stale, że portjer jest człowiekiem Coeura i zalecał ostrożność. Kostryń, wszystkie inne dowody pomijając, tłumaczył przodownikowi, że nawet kaleka, tak zbity po pysku publicznie, jak Supernak zbity był przez Coeura, — nie daruje nigdy.

Chwila zbyt ważna, — nie warto dyskutować. Na dłoniach wspartych o opięte, granatowe sukno nie czuł Kostryń ani jednego drgnienia, ani jednej rysy fałszu.

W związku z tym Supernakiem i zeznaniami aresztowanych bezrobotnych obiecał porucznik Kapuścik przyglądać się baczniej aferze księdza Kani. Stąd najchętniej wystrzeli nieszczęście!

— Jeżeli na te głodne brzuchy — rzekł, wstając z brzękiem ostróg, — przyjmować zaczną jeszcze jakąś nową wiarę, to nikt się nie rozezna.

— Rozeznamy się! — krzyknął Kostryń. Za głośno. Trzeba lepiej panować nad sobą. Ucałowali się z porucznikiem po staropolsku, w ramię.

Dyrektor został sam, pełen cichej, pokornej radości: przewidział plany Coeura:

Coeur nie chce strejku.

Zadzwonił, by wprowadzono Knote i zapatrzył się

w okno. Siedm dymiących cieniów wyskoczyło z pod ściany walcowni. Olbrzymiemi hakami wpili się w rozprażone żelazo.

Na głodne brzuchy nowa wiara? A od czegoż miejscowy kanonik! Do wszystkich starych kombinacyj, podejrzeń przybywało nowe ognisko niepewności. Kostryń nie znał się na sprawach religijnych, uważał jednak, jako oficjalny bywalec wszystkich uroczystości kościelnych, że „historja ta" zorganizowana jest lepiej, od innych. Gdyby naprzykład dyrektor huty mógł rozporządzać czemś, przed czem ludzie musieliby klękać?

W Boga już nie chce się im wierzyć... — Odwrócił się ze wstrętem od walcowników, — na środku kancelarji stała Knote.

W chustce na ramionach, bez jednego drgnienia czerwonych policzków, bez jednego mrugnięcia dużych, piwnych oczu, cierpliwa, obojętna, jakby czekała w aptece, u rzeźnika, czy przed kasą kolejową.

Przeczucia nie powiedziały jej, jak ma postąpić, tyle zaś obaw doświadczyła przez noc i tu, ostatnio na krzesełku w poczekalni, że z wszystkich strachów utarł się — jeden martwy spokój.

Kostryń nie zwracał na nią żadnej uwagi. Podpisywał raporty. Chciał odczekać. Gdybyż to w Radzie Kopalń i Hut umiał tak odczekiwać, — jak z Knote?!

Odczekać, — nic prostszego.

Myślał dowolnię w kilku innych kierunkach, byle nie o Knote. Oto naprzykład w sprawie zamążpójścia Zuzy można było znaleść wyjście: Stanisława przywiązywała dużą wagę do szlacheckiego pochodzenia. Sama była

ze szlachty, Kostrynie też szlachta. Biedna, ale stara. Stoi w herbarzu, — jak wół. Zuza opowiadała swego czasu jakieś intymności o Coeurze. Pochodził, pono, z całkiem marnych stróżów....

Przekonać Stanisławę, że córki za nieszlachcica wydać nie można.

Spojrzał z nad papierów na Knotę.

Purpurowe policzki masażystki zdawały się błyszczeć, górną wargę okryły drobne kropelki potu.

Przypomniały się dyrektorowi ostatnie ustępy wczorajszego kwartetu. Tak wyraźnie, tak czysto. Melodja, — jak promyczek.

Było to chyba doskonałą wróżbą: gdyby się Knote nie udało coś z Mieniewskim, dawnoby już tu gadała.

Wyczekać jeszcze.

Od strony wielkich pieców zbliżała się ku kancelarji lokomotywa, manewrująca na torach huty. Ściany domu zaczęły trząść się, potężny oddech huczał coraz głośniej. Cielsko lokomotywy przetoczyło się wzdłuż okien. Kancelarję pogrążył mrok, miał dymu węglowego zastukał po szybach. Stoły, stołki, biurko, oprawne w złoto patenty i dyplomy zdały się łamać od nagłego wstrząsu.

Dym rzedniał, czarne skrzydła uleciały z przed okien, w głębi walcowni siedm mokrych cieniów oblepiło nowy zlewek.

Knote chrząknęła...

Odczekać jeszcze. Doprowadzić stopniowo do tego, by w nie swojej sprawie sama prosić zaczęła dla siebie.

Nareszcie—jęła cichutko donosić o Mieniewskim. Spał w nocy spokojnie. Otłuczenia i siniaki goją się „przeciętnie“. Przyznała się do niego przypadkiem jedna robotnica. Szlaja osadnicka. Widocznie nie od dziś Mieniewski obraca się w Osadzie.

Do garnków z tem jakiem czemś, z tym jakimś materjałem niewiadomym dostąpić nie można. I to jeszcze: Towarzysze z Domu Ludowego bardzo jakoś niespokojni. Tak się kręcą tak węszą.

Kostryń udawał, że nie słyszy. Podpisywał i jeszcze raz obliczał. W dzisiejszych czasach, przy tak strasznem rozluźnieniu, — na pewno tutaj syn zdradza ojca... Jeszcze takiego, jak leader! Przypomniały się dyrektorowi wszystkie spotkania z tym ludowym Dantonem w sejmie, na posiedzeniach w Ministerstwie Przemysłu.

Trudno o lepszy fant dla pana leadera i trudno o lepszą sposobność zaszachowania miejscowych partyjników.

Knote umilkła. Przełożywszy wszystkie papiery z jednej strony na drugą, jął Kostryń uważnie temperować ołówek.

— Nie wiem, — westchnęła cicho, — czy to bezpiecznie, abym w takiej bliskości podejrzanych materjałów przebywała? Życiu może to zagrażać.

Dyrektor dmuchał na tryskający z pod ostrza czarny pył grafitu.

— Nie stoję znów tak bardzo o to życie ale... — Przestąpiła z nogi na nogę, podłoga zatrzeszczała, — nie popatrzył.

— Nie dbam znów tak bardzo o to życie. — Go-

rąco szumiało jej w skroniach. Przynosiła mu wczoraj ocalenie, zbił ją za to po twarzy, wszystko dalej spełniała najwierniej, — nie patrzył nawet.

Ściany całego budynku zadrżały, kwadraty posadzki trzeszczeć jęły donośnie, jeszcze raz przeleciała lokomotywa wzdłuż okien.

Dyrektor Feliks Kostryń pochylił się, całkowicie zajęty ołówkiem.

Okna przesłonił dym, opadł, — maszyna odjechała. Znów w głębi ukazały się hale walcowni i hakarze przy zlewku, uzbrojeni w długie metalowe żerdzie.

Ciemne figury ludzkie kurczyć się zdały, topnieć i ulatniać w gorącu.

Wtedy właśnie, jakgdyby nagły pożar, wybuchł w pani Knote. Palił serce, a z ust wydostawał się w słowach nieprzewidzianych.

Niepotrzebnych, — tak strasznie niepotrzebnych!!

Skarżyła się dyrektorowi, że już dwa dni nie odrabia masażów. Traci wszystkie godziny. Choćby dziś o tej porze miała odbyć panią dyrektorową i pannę Zuzę, — a gdzież inne klientki? Gotować musi obecnie na dwoje: Dla siebie dla i tego sobowtóra! Z choremi po południu też mnóstwo utrudnień!

Pocóż mówiła te wszystkie niepotrzebne rzeczy?! Poco...

Nie spojrzał, kątem oka nawet jej nie obrzucił. Rozłożywszy na stole portfel, jął paznokciami wydobywać drobne banknoty. Rozkładał je uważnie na trzy oddzielne kupki. Rozłożywszy i palcem ukazując pokolei, przemówił:

— To, — za stracone przez dwa dni masaże. To, — strawne za Mieniewskiego. To będzie, — za fatygę osobistą.

Gdy wtem napełnił kancelarję przeciągły jęk.

Knote runęła na kolana. Łzy gradem padały jej z oczu na posadzkę. Płacz był tak gwałtowny, że musiała się wesprzeć rękami o podłogę.

Kostryń schował szybko portfel do kieszeni: Nie poddawać się! Jeszcze, — czekać.

Knote, przylgnąwszy czołem do parkietu, zaczęła się spowiadać, błagać, zwierzać.

— Ja jestem sługa... Biedna sługa. Ale staram się, panie dyrektorze. Staram się wedle sił. Ja też chcę ofiarować swojemu człowiekowi swoje życie. Niezawsze można mi zapłacić! Cóż tu znaczą pieniądze? Nie zawsze można mi zapłacić!

Wzniosła ku niemu twarz czerwoną, błyszczącą od łez:

— Chcę kochać! — Wolno mi chyba także!

Kostryń wyszedł z za biurka i zbliżył się do niej.

Nie podnosząc się z podłogi, przylgnęła do swego dyrektora całem ciałem.

Spojrzał rozważnie w okno: przez podwójne szyby nikt nie mógł zobaczyć z walcowni. Szarzy ludzie pražyli się dokoła zlewka z kilku stron, jak pomdlałe szczury.

Ujął ją pod podbródek, głaskał drżące policzki, przejęty nagłą, dojmującą żądzą.

Knote wciąż jeszcze garnęła się namiętnie, bełkocąc:

— Ja też chcę kochać! Ja też!...

Odchyliwszy twarz masażystki, zajrzał jej w oczy: Piwne źrenice zalane były łzami. Przytrzymując jej brodę, drugą ręką sięgnął szybko za stanik. Wydobył stamtąd list w niebieskiej zaklejonej kopercie.

Knote wzdrygnęła się.

— A widzisz! — syknął, — nie mogę sobie pozwalać na liryzmy, jak ty. Zapomniałaś o tym liście.

Podszedł do biurka, odkleił kopertę nad zapaloną świecą i list, niby organ obrzydliwy wstrętnego ciała wydobywszy paznokciami ze środka, przeczytał uważnie.

Skutki wiecu opłakane. — A więc syn miał tu pozostać gwoli odczekania skutków?... *Leżę z połamanemi bokami.* — Przez kogo? Komuniści? — *Otoczony podejrzanem miłosierdziem.* — Czyżby Mieniewski też wiedział już coś o Knote? *Na urzędowych cymbałów twoich nie liczę wcale.* — W czem?...

King of England czeka.

Anglicy nie mieli żadnych interesów w Zagłębiu, był to więc raczej jakiś umówiony termin? — Kostryń zmarszczył brwi.

Knote nie powstając z klęczek również zmarszczyła czoło. Czyż nie było rozkoszą brać udział w tych ciężkich, trudnych sprawach, — przy boku swego dyrektora?! Miała nadzieję, że Feliks (w takiej chwili mogła go chyba nazwać po imieniu) — odgadnie tajemnicę. Wtedy podejdzie i podniesie swoją małą z klęczek.

Czekała cierpliwie. Wciąż jeszcze trwał przy biurku.

Nie! Nie należało mu teraz przeszkadzać, — i tak wkońcu, — łzy przyjął. Podniosła się z klęczek i rzu-

ciwszy ku niemu najlepsze swe spojrzenie zranionej sarny, na palcach wyszła.

Z głębi walcowni sunął nowy zlewek, siedem dymiących cieniów jęło weń godzić ogromnemi hakami. Kostryń, bryznąwszy drobnym ciurkiem łez, — postanowił nie płacić masażystce za wikt Mieniewskiego ani grosza.

— Nie trzeba pieniędzy, — uśmiechnął się do nadbiegających z daleka walcowników, — i tak musicie kochać...

5

DOBRE ORZECHY

O godzinie pierwszej wyjechał dyrektor Kostryń z huty Katarzyny do Rady Kopalń i Hut. Można było przejść ten kawałek piechotą, lepiej jednak, by mieszkańcy Osady i wszelakie miejscowe czynniki widziały swoich potentatów, przejeżdżających normalnie przez miasto.

Mijając prywatny park, dostępny jedynie dla najwyższych członków dyrekcji, spostrzegł Kostryń za szeregami bronzowych australijskich buków Zuzę, grającą na placu tennisowym z Coeurem.

Dlaczegoż mieli nie grać i nie korzystać z ostatnich dni słonecznych!

Przejazd wzdłuż parku trwał około pięciu sekund. W czasie tych pięciu sekund przeżył dyrektor Kostryń, więcej, niż mógł ogarnąć.

Zuza wtył pochylona. Jej głowa w słońcu...

Moja córka.

Wiadome od samego początku, — nic z tego nie wynika, a jednak wszystko trwa w tej myśli, jak w świetle.

Przechylił się na poduszkach samochodu i oddał ukłon — Kozie, który stał przed sztachetami parku.

Sekretarz okręgowy, redaktor, — wielbiciel Zuzy. Swego czasu pękali w domu ze śmiechu, gdy im pokazywała płomienne anonimy Kozy.

Stał demokratycznie w całym tłumie biedaków. Niewiadomo skąd brało się ich w mieście coraz więcej. Mimo, że byli obszarpani, zieleni z głodu, mnożyli się ciągle.

Bezrobotni. Czemuż nie szli na wieś? Nie najedzą się przecie widokiem Zuzy, grającej w tennisa! Biedna Knote oddawna już odradzała tych pańskich pokazów. Że ludzie patrzą i — kiszki im się od tego skręcają Nie rozumiała, że widok ten wiele rzeczy reguluje. Ludzie widzą, że córka odpowiedzialnego dyrektora gra z Francuzem, i uspokajają się.

Całe balaski od jednej strony do drugiej oblepione były włóczęgami.

Doniedawna doświadczał Kostryń na widok tego tennisa wcale zabawnych uczuć. Wszystko służyć musiało w Osadzie Francuzowi, on sam jednak w godzinach południowych, przy sprzyjającej pogodzie — służył Zuzie.

Dla ruchu, higjeny i zdrowia. Dziś już nie można było cieszyć się tą myślą. Któż wie czy zdrowia Zuzy nie rozwija Coeur — dla siebie!?

Kostryń odetchnął z ulgą, gdy wydostali się już na ulicę Przemysłową, t. j. Rady Kopalń i Hut. Jechał tam, by poprostu — nasiąknąć inną atmosferą. Atmosferę Rady bardzo lubił. Oddychało się tam całkiem innem powietrzem.

Powietrzem ładu. Wszędzie dużo zielonego sukna, w sali konferencyjnej mnóstwo fachowych pism. Nie czytał ich nigdy. Kiedyś wszakże sam pisał pracę o przewietrzaniu kopalń. Sprawiało mu przyjemność, że teraz inni piszą, że mimo wszystko, nie ustało to na świecie.

Gdy przechodził przez pokoje, referenci wstawali z szacunkiem. Wstawali chyba — szczerze.

Rozsiadłszy się w gabinecie dyrektorów, zadzwonił na sekretarza. Sekretarz, — wymarzony. Szlachcic, — dla Francuzów miał „de" na wizytówkach, nawrócony socjalista. Przytem blondyn, godny, jak z Matejki. Kostryń zawsze lubił blondynów, od czasu Coeura brunetów wogóle nie znosił. Knotę była szatynką.

Sekretarz R. K. i H. Junosza-Skierski. Taki właśnie typ powinien był ożenić się ze Stanisławą. Piękny. — Zuza mówiła o nim: kamień posmarowany masłem.

Pan Skierski wszedł, skłonił się taktownie. Kostryń spytał, czy nie nadeszło pismo z naprzeciwka? Ze Związku. Co do ustanowienia terminu w sprawie nowej Umowy. Wiedział, że nie mogło nadejść, skoro dziś po południu rozmawiają z Drążkiem.

Pan Skierski zmarszczył uważnie złote brwi i po namyśle odpowiedział: — Nie nadeszło.

Kostryń został sam. Zapalił prawdziwego papierosa (pierwszy od śniadania). Rozmyślał jeszcze nad sensem zakończenia listu: King of England?

Przez okno widać było fasadę Ludowego Domu i tłumy bezrobotnych. Kostryń wiedział, że nie mają na co czekać.

A można było i tych ludzi uszczęśliwić i samemu skorzystać!

Podwinął nogi na fotelu, jak do drzemki.

Można było wyjednać od rządu kredyty, w wysokości sum, rozdawanych tym ludziom. Dać im pracę. A potem zniżyć stawki swoim robotnikom, — dla wyrównania.

Myślał o tem, i o swoim planie: Drążkowi przyobiecać zaniechanie kroków w sprawie upłaty podatków. Przedsiębiorstwo mogło podatki te płacić tu, a mogło w centrali, w Warszawie. Jak będą wyglądały fundusze gminy, a co za tem idzie budowa Domu Ludowego, gdy zapłacimy nie tu, a w Warszawie?

Związać Drążka, czyli socjalistów, potem dopiero skompromitować wszystkich aferą młodego Mieniewskiego. Czyż na rynku warszawskim w sferach wielkiego przemysłu nie mógłby się był Kostryń wybić znacznie lepiej, gdyby nie leader Mieniewski?!

Myślał o bezrobotnych, o Mieniewskim, jeszcze o Skierskim, o musze, która brzęczała na parapecie okna, nawet o wodzie w karafce.

Gdy nagle spojrzał na kalendarz: termin następnego posiedzenia Rady. Kostryń występował tu, poufnie, jako pełnomocnik Coeura. Inni dyrektorzy, jako pełnomocnicy swoich „Coeurów“. Żarli się, zwykle, do samego rana, potem jechać trzeba było, a raczej iść, pokryjomu, do samotnej willi i przed łóżkiem mocodawcy swego zdawać sprawę.

Kostryń brzydził się Coeura fizycznie. Uważał już oddawna, że Francuz śmierdzi nadmierną perfumą. On i jego sypialnia i wszystko, — jak dom publiczny.

Wstał, pogłaskał litościwie fotel i odjechał. Na rogu w owocarni kupił świeżych orzechów włoskich. Do czarnej kawy po obiedzie. Półtora kilo. Były ogromne.

Paczka, owiązana czerwonym sznureczkiem, zmieniła niespodzianie cały bieg myśli dyrektora. Roztkliwił się: kupił to przecie dla nich, — dla domu.

Krocząc pod górę czerwonym dywanem odczuwał naprzód wszystko, co go w mieszkaniu czeka. Siedm pokoi, przedpokój, kuchnia, łazienka, — wszystko to istniało objektywnie, a jednak codzień wyrastało też z marzenia.

— Moje jarzmo — pomyślał w połowie schodów. Surowa nazwa była tylko pozorem. Kostryń rozumiał, że rodzina stanowi jego jedyne szczęście.

Dość ciche, może nawet nie wesołe, ale to nieprawda, by szczęście musiało zawsze dygotać z radości.

Jednego tylko nie lubił u siebie: drzwi wejściowych. Zamykały się tak osobliwie, że niewiedzącemu klamka przygniatała ręce. Ojciec dyrektora za ostatniej bytności przygniótł sobie tak palce i żałośnie zapiszczał. Stary człowiek, siedmdziesiąt lat, piszczy, jak nadepnięty piesek. Kostryń puścił wtedy coprędzej klamkę, w szparze ukazały się trzy drżące palce, chciał opatrzeć, ale ojczysko machnęło ręką, poszło i więcej już się nie widzieli w życiu.

Dlaczego wtedy, na widok dłoni ojca, drżącej w uchylonych drzwiach, wybuchł śmiechem?!...

Od tego czasu mijał owe drzwi tak szybko, by idjotyczny incydent nie odzywał się w pamięci.

Zuza przebierała się u siebie, — na biurku poczta, nic ciekawego dzisiaj, — przechodząc do łazienki poczuł z przyjemnością pomidory, wieprzowinę, — w każdym razie na pewno racuszki z jabłkami.

W jadalni trafiła dyrektora myśl, której, ku własnemu przerażeniu, ucieszył się niepomiernie: — Dopiero, gdy Zuza wyjdzie za Coeura, można będzie czuć się w tem mieszkaniu, jak u siebie w domu. Któż odważy się wymówić posadę — teściowi?

Zabronił sobie myśleć o tych sprawach. Usiadł na swem miejscu przy stole i układał w piramidę orzechy. Na wyprawowej salaterce żony.

Dzielili zawsze wszystkie rzeczy w domu na twoje i moje.

Ileż to znajdzie się podstępu w takim zwykłym owocu? Pomarszczona, zaśniedziała skorupa, a tyle soku i świeżości w białych toczonych chrząstkach.

Przypomniały się dyrektorowi małe uszy Knote, — w przedpokoju odezwał się podwójny dzwonek Stanisławy.

Kostryń nie lubił urody żoninej, ale ją cenił. Obcy uznawali ją zawsze.

Weszła, pocałowała męża w czoło.

A jednak zaraz powiało po jadalni podniosłym chłodem i bladością jesieni. Jakgdyby przez twarz Stanisławy pustą i piękną właśnie przed chwilą burza jakaś przeszła, zostawiając w pociągłych rysach wyraz nieśmiałego zdumienia.

Możnaby to samo powiedzieć o ruchach jej ciała. Każdy był, — jakgdyby już ostatnim.

Twarz taka i postawa winna raczej znajdować się w muzeum, niż rozlewać pomidorową zupę na talerze.

Weszła Zuza. Kostryń zaczął klaskać w dłonie, robił śmieszne miny, — jakby miała wciąż jeszcze cztery lata.

— Widziałem dzisiaj twego Kozę! — Zwracał się do córki, patrząc umyślnie w bok, w kąt, na jakikolwiek przedmiot obojętny. Tak wielka była przekora ojcowskiej miłości. Mówić, nie patrzeć wcale, by, gdy spojrzy się wreszcie, zobaczyć zawsze więcej, niż się przypuszczało.

Wzruszyła ramionami.

— Graliście dziś w tennisa?

Nic nie odpowiedziała.

— Dobre orzechy przyniosłem, prawda?

Podniósłszy oczy z nad talerza, patrzyła na ojca obojętnie, wielkiemi zielonemi źrenicami w głąb jego wyłupiastych oczu, jak się patrzy w daleką perspektywę kolejowego toru.

Kostryń przestraszył się, na szczęście Stanisława zaczęła mówić o swej bibljotece.

Ruch wzmógł się tam obecnie w trójnasób. Zachodzi tylko obawa, czy ów ruch nie wróży nowej zawieruchy? Zawsze przed gwałtowniejszemi awanturami urzędnicy na dowód lojalności zaczynają pilnie wypożyczać książki.

— Mnie to nie zraża, bynajmniej, — potrząsła głową, — postanowiłam rzecz doprowadzić do końca.

— Do jakiego końca? — przerwał Kostryń.

Umilkli.

Czuł na sobie długie przenikliwe spojrzenie córki.

Rysy jej uroczej twarzyczki rozchylał uśmiech grzeczny, lecz obojętny.

Kostryń zaczął się domyślać, przy mięsie wiedział już na pewno: „bomba z Coeurem pękła“. Nie mógł jeść. Wieprzowina rosła mu poprostu w gardle. Rumieńce wstydu wystąpiły na policzki.

Nagle, — Zuza odłożywszy nóż i widelec, rzekła:

— Knote już drugi dzień nie przychodzi wcale. Może chora?

Wydało się Kostryniowi, że córka patrzy na niego, opuszczając domyślnie wdół lewą powiekę.

— Knote chora? — podchwycił leniwie. — Nie sądzę. Była dziś rano u mnie, w hucie.

Po wargach Zuzy przeleciał wąski uśmiech, jak gdyby światło przesunęło się do nich i zgasło.

— No, więc przychodzi do ciebie, a u nas opuszcza masaże.

— Ba, któż mógł wiedzieć! — Następne zdania poleciały Kostrynowi z ust płynnie, ślisko, bez jednego przestanku:

— O tych biednych ludziach nic nie wie się, właściwie. Chodzą po naszym domu, wnikają wszędzie, ale, co myślą? Między nimi a nami niezasypana przepaść. Najlepiej zamykać się na wszystkie spusty.

Odczekał, aż służąca obniesie półmisek. Pragnął dodać potem jeszcze od siebie parę słów prawdy o tej biednej Knote, gdy Zuza, z racuszkiem na widelcu, odrzekła nagle.

— Powinno się ją zamąż wydać.

Pochylił głowę nad talerzem, by ukryć rumieńce.

— Miała już przecie męża — przypomniał sobie. Nie pamiętasz Knotego? Ten felczer? Znakomity felczer. I bardzo dzielny człowiek. Widać nie spodobało mu się, no, — i umarł.

Powtórzył parę razy, za szóstym śmiać się zaczął, cierpliwie, pracowicie, póki wreszcie Zuza nie przywtórzyła.

Kawę i tacę z orzechami zabrali do salonu. Kostryń usiadł na swojem miejscu pod parawanem z pierścionków od cygar. Łupał skorupy dziadkiem, obierał cząstki starannie z miękkiej skóry i żuł pilnie. Czyżby Zuza domyślała się stosunku z masażystką? Potworne, — wręcz potworne. Równocześnie zaś myślał o wydaniu Knote zamąż. Za jakiegoś sztygara — naprzykład? Z Erazma. Stanisława nie może dowiedzieć się — nigdy.

Przeraził się tej prostej myśli: córka mogła go szantażować zapomocą Knote...

— Czy trzeba odsiadywać czarną kawę? — Zuza wstała, niestety, już było za późno... Kostryń schował głowę w ramiona, gdy rozległy się pierwsze słowa uroczystego tenora żony.

Wyliczyła cały szereg faktów.

— Sami chcieliście, bym grała w tennisa, — krzyknęła Zuza.

— Grasz w tennisa, jak ojciec grywa z nim kwartety, to całkiem zrozumiałe. Jest szereg innych, oderwanych faktów.

— Jakich? Proszę powiedzieć, jakich?! — Zuzanna raz jeszcze sprawdziła wszystko w myśli od początku, aż po dzień dzisiejszy. Żadnego listu, świstka...

Nic nie mogli wiedzieć. Patrzyła im w oczy prawdomownie, ostrym blaskiem wielkich źrenic.

Pani Stanisława szukała bezradnie w pamięci.

Kostryń łupał orzechy, zgniecione skorupy, niby połamane kosteczki, odkładał delikatnie na brzeg talerzyka.

— Bardzo trudno mówić mi o tem, jako matce. Otóż — pewne spojrzenia. Uśmiechy. Pewne słowa francuskie, nowe, których my tu naogół nie znamy. Uśmiechy. Jakieś uściski dłoni. Pewne familjarności. Sądzę więc, że pan dyrektor Coeur zdobył sobie do tego pewne prawa. A zatem, — że nosi się z jakiemiś zamiarami. Że je ma. A zatem —

Zuza wybuchła śmiechem, który przeraził Kostrynia. Śmiech ów ślizgał się po twarzy błyskami jasności, nie rodząc prawie dźwięku.

— Macie dziwne pomysły. — Wstrętne, — krzyknęła nagle, tupiąc nogą. — Wstrętne! Bo już, jeżeli chodzi o jakieś fakty, to wydawało mi się, że jest wprost przeciwnie! Że to raczej pan Coeur chce mamę otoczyć, czy też otacza względami. Że mama właśnie, sądząc z pewnych familjarności... W każdym razie mnie nigdy pan Coeur medaljonem nie nazywa!

Łupanie orzechów ustało. Głęboki chrzęst jął dobywać się z piersi dyrektora... Oddarte skórki zsunęły mu się z palców na talerzyk cicho, płynnie, — jak woda.

Pani Stanisławie odjęło mowę. Dopiero po chwili, rozgarniając przed sobą powietrze, jęła dowodzić.

Cichutkim drżącym głosem, — że każdej chwili może mężowi spojrzeć w oczy, bez drgnienia powiek. Czy była szczęśliwą, czy nie, to nikogo nie obchodzi. Prze-

świadczenie o tem zabierze ze sobą do grobu. Nie przeżyła jednak jednej chwili, z której nie mogłaby zdać otwarcie rachunku!...

Rozpłakała się. Nie marszcząc twarzy, łzami, które z pogodnych jej oczu płynęły równo, jak ze źródła.

— Ja też mogę wam śmiało patrzeć w oczy, — krzyknęła Zuza. — Więc skąd wogóle te warjackie pomysły? Wyższa polityka? Sprzedać mnie może chcecie?!

— Ależ nie, ależ nie. — Radość skuliła, zebrała, zewsząd otoczyła Kostrynia. Więc Zuza nie chce Coeura!!!

Pochylił głowę nisko nad talerzykiem i znów żując orzechy, zaczął mimowoli przypominać pewne rzeczy. Rzeczy, o których wszyscy tu zresztą wiedzieli. Rzeczy głośne, będące publiczną tajemnicą.

O pochodzeniu Coeura, — chociażby. Niezmiernie, pono, marnem pochodzeniu. Ze stróżów, czy konsjerżów, coś jakby, — dajmy na to, — z naszych Supernaków. Nie mówiąc już o inżynierstwie Francuza, o którem lepiej wogóle nie myśleć. Nie mówiąc też, oczywiście, o jego przeszłości...

— Wszyscy twierdzą, — seplenił przez trzymany za zębami kawałek cukru, — że to straszliwa, straszliwa kanalja.

Z pod nasuniętych brwi popatrzył na córkę. Blada, jak płótno, siedziała nieruchomo.

— Więc nie chcecie tego małżeństwa? — rozległ się nagle jej głos wyraźny.

Pani Stanisława przyłożyła ręce do piersi. Kostryń rozejrzał się śpiesznie po salonie. Mimo zapadającej już

szarówki obszerny pokój wydał mu się nagle ciasnym. Wszystkie meble, jakgdyby podeszły bardzo blisko, ciężkie, grube, obrzękłe.

— A ty? — szepnął Kostryń. Mówił cicho, podstępnie, jakgdyby kusił, czy sam namawiał córkę. — A ty?

— To ja się pytam teraz! Chcecie, bym za niego wyszła, czy nie chcecie?

Słyszał te słowa, nie wiedząc zgoła, kiedy je wymówiła. Nypał po talerzyku, wodził dokoła oczami, — szukając zwłoki... Czyż w stosunku do Coeura mógł cokolwiek postanowić?! Zimny dreszcz wstrząsnął dyrektorem.

— Nie jest to, — rzekł nakoniec, — zależne od nas...

Zuza syknęła przeciągle.

Wszyscy troje umilkli. Poczem nagle przeleciał śmiech Zuzanny. Wysoki, lekki, jakże obrażający!

— No, bo jakże? Koledzy tatusia pozajmowali całkiem inne stanowiska. Nie mieszkają w siedmiu pokojach! W całych willach. Karśnicki, Olech. Biorą w dolarach! I jak koło nich chodzi kapitał zagraniczny! A wy? — Chcieliście i nie umieliście. Czy może być coś nudniejszego?!

Wskazała na nich, jakby przedstawiając komuś obcemu parę ciekawych okazów.

Zuzanna pochyliła się nad ojcem. Kąciki małych, różowych jej ust opadły pogardliwie wdół:

— Dużoby ci znaczył Coeur, jakiś tam Coeur? Cham, oszust, — podejrzany oszust?!

Wziąwszy z tacy orzecha, rzuciła go niedbale na podłogę. I znów ten śmiech wysoki, lekki, — obrażający. Wyszła, zamykając dokładnie drzwi za sobą.

— Chcę być sam, — warknął Kostryń z kanapy.

Gdy został sam, przyłożył głowę do oparcia i zapłakał. Ani łezkami czerwonemi, ani ciurkiem płaczebnym. Oczy miał suche. Załkał straszliwem milczeniem, głuchotą wszystkich myśli, żmudą tylu lat!

— Nie mam pieniędzy, — rzęził, lepiąc wargi do zimnego szkła na parawanie z pierścionków od cygar, — nie mam pieniędzy, — rodzinę mi zabiorą...

Zasnął w ciężkiej rozpaczy, z której obudziły go niespodzianie czyjeś ostrożne kroki.

— Kto tu?!

W otwartych drzwiach salonu chwiała się ciężka postać.

— Kto tu?

— Meldowałem się przecie. Geometra Falkiewicz. — Zwalista bryła, minąwszy drzwi, toczyć się jęła naprzód po dywanie.

6

W CHARAKTERZE PRYWATNYM...

— Pan Falkiewicz? Dobry wieczór panu — jęknął Kostryń z kanapy. — Pozwoli pan, że nie zapalę światła. Mam tak zmęczone oczy. — Zakrył dłońmi policzki, przyciskając je mocno, jakgdyby sobie pośpiesznie maskę wkładał na twarz.

— Jeszcze widno — odpowiedział sennym głosem geometra. — Całkiem dobrze rozpoznaję pana dyrektora na kanapie. Tak. — Przepraszam za śmiałość. Za nieproszoną wizytę. Nigdy przecież nie bywałem u państwa w charakterze prywatnym.

Zdania te sypały się równomiernie, bez przerwy, bez intonacji.

— Krótko mówiąc, jako człowiek, który pracuje na kopalni lat już czterdzieści, uważam, że mogłem sobie pozwolić na taki wybryk.

Kostryń nie słuchał. Cóż go mogła obchodzić ta gadanina? Za parę minut musiał widzieć się z Drążkiem. Przeprowadzić do końca cały plan. Okrążenie. Z żałosnym wyrzutem spojrzał na orzecha, leżącego pod fortepianem.

— Czterdzieści lat pracuję w naszem Towarzystwie. Tu młodość moja upłynęła, tu przeszedł wiek dojrzały. — Geometra wyciągnął przed siebie ręce. — Tu młodość, tu wiek dojrzały, tu starość nadchodzi. — Reszta słów rozpłynęła się w nieuchwytnym pomruku, który wynikał, zda się, nietylko z ust, lecz tchnął wszystkiemi porami ciała geometry.

Słupy telegraficzne szumią podobnie. Od góry do dołu jednolitym szumem.

— Tak, — ziewnął Kostryń, — wszyscy życie tu kładziemy. — Niech pan siada.

Geometra wgłębił się w oparcie krzesła, rozstawił nogi, umieścił wygodnie brzuch pomiędzy stołem a kolanami i umilkł.

Mogło się zdawać, że zasnął.

Jakto układał sobie niedawno jeszcze, tu na schodach, a jak inaczej układało się teraz?!

Krocząc schodami, zaczynał rozmowę w następujący sposób: — Jesteśmy stare biedne świnie. Świnie. Ale rozumiesz, kochany dyrektorze, że ta odrobina uczciwości, która nam pozostała, obowiązuje?!

Gdzież zapodziały się te słowa? Falkiewicz kłaniał się w mroku meblom i obrazom, stopy grzecznie opierał na dywanie, a wewnątrz gniło dalej...

Jak padlina.

Małoż to widzi się między hałdami zdechłych psów?

Zerwał się z krzesła i ryknął gęstym, bawolim głosem: — Czterdzieści lat pracuję tu uczciwie!!

— Niech się pan uspokoi. — Kostryń bryznął drobnemi łzami do chusteczki. Widocznie redukują Falkie-

wicza — pomyślał. Wypłacą trzymiesięczną pensję i wyrzucą. Stary już może trochę, ciężki, ale dobry jeszcze geometra. Czterdzieści lat. — Wszystko jedno wkońcu.

Co innego zaprzątało uwagę dyrektora. Przez mrok, tam i zpowrotem sunął przedziwny pająk — o uroczej głowie Zuzy. Pająk ten wynikał z Kostrynia, każdym ruchem gnieżdżąc się w jego ciele.

Szachuje cię twoją własną metresą, matkę szachuje Coeurem. Przysłuchiwał się tym myślom, niby muzyce obcej, której nieznane brzmienia wprawiają w osłupienie.

Nigdy jeszcze nie kochał córki, jak w tej chwili.

— Przyszedłem po poradę — ględził Falkiewicz. — Obiecują mi w Szkole Sztygarów miejsce nauczyciela. Jest to, w każdym razie, posada rządowa. Co mam robić? Coby mi pan dyrektor radził?

— Cobym panu radził? — Nie miał zamiaru radzić. Przez wspomnienia, chwile dawne, okazje, przypadki śledził teraz córkę, jakby siebie samego śledził.

— Na Erazmie, — mówił Falkiewicz, — po czterdziestu latach, boję się ewentualnie, czy już nie zawadzam? Spoczywa tu przecież na mnie wielka odpowiedzialność.

Kostryń zwinął się na kanapie i nastawił uszu. Poważne, groźne słowo, — odpowiedzialność. Dużo może kosztować.

— To właśnie chciałem zaznaczyć — rzekł Falkiewicz. W jego tłustej piersi otwarły się wysokie, marzycielskie rejestry. — To właśnie chciałem zaznaczyć.

— Wszyscy ponosimy odpowiedzialność, — zaskrzeczał Kostryń. — Wszyscy. Odpowiedzialność, to beczka Danaid, wiadome rzeczy. Do czego pan prowadzi?

— Do czego prowadzę? — Już szła, już szła, przenikała ściany i zapory, pachniała świeżym owocem: Prawda! Uczciwa prawda... Czuł ją w piersiach i w gęstych kroplach potu na całem ciele. Ale szkoda było wyrzucać ją z siebie, wyrzucać i wydawać i wypowiadać marnemi ustami.

Rzekł obcym sobie, marzycielskim głosem:

— Przepraszam. Zdaje się — piękne mebelki. Mahoń. Bronzy. Fortepian. Obrazy. Zapewne, — portrety rodzinne. Przodkowie. Całe mieszkanie pewno bardzo dogodne. Należy się to na tem stanowisku. Pan Coeur, cudzoziemiec, za nic nie odpowiada, nic nie podpisuje, ale pan podpisuje i za wszystko odpowiada. Przed ludźmi, — przed prawem.

Kostryń przesiadł się na kanapie, Falkiewicz mówił coraz prędzej, tak cicho, że słowa niedosłyszalnie prawie wsiąkały w mrok:

— Dziś obkładamy ludźmi drugi poziom, jest dobrze, nikomu nic do tego, jutro pole zachodnie, jest dobrze, nikomu nic do tego, źle wietrzymy kopalnię, jest dobrze. A gdy jutro obłożymy poziom trzeci...

Słowa „poziom trzeci“ wyleciały z ust Falkiewicza z przeciągłym świstem.

Dyrektor i geometra zerwali się na równe nogi.

Kostryń skulił ramiona, zacisnął oczy, pod powiekami rozsnuł mu się czarny motek kątów, linij, kół, cały plan trzeciego poziomu...

— Jesteśmy przecie zawsze o milimetr, — szeptał Falkiewicz, — o milimetr od nieszczęcia. Milimetr, może dwa, może trzy. Może dwa?..

Wiedział, że teraz powie dyrektorowi, nieodwołalnie: trzeci poziom na wschód od pochylni A, przy ósmym chodniku... Jest tam błąd na nowym planie! Naniesione dobrze z dawnych, ale Coeur przesunął na planie granicę starych ogni o dwa milimetry. Może trzy, — może dwa, dwa, czy trzy, — liczby jęły się huśtać wgórę, wdół, — równoważyć, spychać, strącać... — Falkiewicz nie powiedział ani słowa.

— Więc o co panu chodzi?! — Kostryń zapomniał nagle o Falkiewiczu i o wszystkich planach. Doszedł, dobrnął pamięcią, — że Zuza używała tych samych perfum... Wstrętnych perfum Coeura!!!

— O milimetr, panie dyrektorze! —

Spadły na niego ciężkie ręce Falkiewicza, objęły za szyję.

— Odpowiedzialność! Niech to będzie w porządku!! — Geometra zacisnął chudą szyję Kostrynia, pchał się na niego, ciężkiem ciałem oblepiał, przesuwał mokremi wargami po kosmatych uszach, lecz prawda utkwiła mu w gardle.

Donieść, rzucić cień na Francuza, to przecież — wylecieć z kopalni?!

— Czterdzieści lat pracuję tu uczciwie, — zaryczał, — czterdzieści lat!

— Odczep się pan! — Kostryń chwycił oburącz krawatkę Falkiewicza. — Piwem od pana jedzie. Przychodzisz pan pijany do swego dyrektora?! Pijak!

Falkiewicz pogardzał Kostryniem od lat. Jako człowiekiem lichym, zaprzedanym. Przyszedł tu, by ratować siebie i, — tego nędznego człowieka. A oto zło-

żył głowę na piersi dyrektora, — jak się składa na matczynem ramieniu — i jął przepraszać.

Za chwilę słabości: — chwila słabości przed zwierzchnikiem...

— Pan oglądał te plany, wszystkie uzyskały pański podpis. Rzecz oczywista. Ale, — Falkiewicz zakrył twarz dłońmi, podniósł wgórę ramiona, jakby w oczekiwaniu wielkiej fali, która zmiecie obydwu.

— Proszę nie zawracać głowy, panie markszejderze! Chya sam wiem, co podpisuję!!

W świetle przedpokoju przypomniał sobie Kostryń, że Coeur dawał przecie raz jakieś perfumy obu paniom. Po swym powrocie z Francji.

Ucieszył się! Ucieszył się tak niezmiernie, że starego Falkiewicza pogłaskał po głowie, że sam mu podał palto.

Auto czekało pod bramą. Geometra pomógł wsiąść dyrektorowi.

Wieczór zapadał szybko, od strony huty wiało przez ulicę ciemnym, sinym tumanem.

— Ja wiem, czego panu brak — zaśmiał się Kostryń, okrywając nogi skórzanym fartuchem. — Musi się pan ożenić.

Falkiewicz zdjął kapelusz.

— I mam dla pana żonę. Zacna, dzielna kobieta. Wdowa po felczerze. Pani Knote...

Geometra zatoczył się pod mur, fala czarnego dymu zjeżyła mu polepione włosy, Kostryń bryznął łezkami, samochód ruszył naprzód.

7

ŚWIATY UTĘSKNIONE

Dyrektor Kostryń zatrzymał auto na rogu ulicy Przemysłowej i, zamiast — „Wracaj pan do domu“ — powiedział szoferowi Smolakiewiczowi:

— Mieszkanie Mieniewskiego. — Tak dalece myślał nad swym planem. Po chwili dopiero dodał:

— Wracaj pan na kopalnię.

Ulicą Przemysłową, pod górę w stronę Cieplika szedł Kostryń, pełen najlepszej nadziei. Czy nawet poczucia zwycięstwa. Poczucie owo zdawało się już zawczasu błyszczeć ostremi drzazgami światła w oknach niskich domów, za każdą szybą wystawową i wzdłuż blaszanych rynien.

Nie zmniejszyło się nawet na widok bezrobotnych, którzy niczem kupy odgarniętego błota trwali na chodniku przed Domem Ludowym.

Nie trzeba nigdy ulegać wrażeniom: wali się na człowieka, wali, wali, — a za jednym zamachem może się odkręcić. Falkiewicze tylko — poddają się wrażeniom. I po pijanemu straszą ludzi.

Trzeci poziom?... Cóż to znowu ma być z tym trzecim poziomem?

Nie zapisał tego w notatniku, trudno bowiem pisać na ulicy. Niemniej do wielu innych spraw, które przygotowywał Coeurowi, dodał w myśli, bardziej stanowczo, niż, żeby się to na papierze zapisywało: — usunąć Falkiewicza.

Krótka, prosta decyzja przywróciła dyrektorowi wiarę we własne siły. Rozmowę z Drążkiem zaczął całkiem spokojnie od obojętnego przywitania:

— Dzieńdobry panu, panie pośle.

Działo się w prywatnem pomieszkanku, przy restauracji. Cieplik był w tych wypadkach — nieoceniony.

Tylko tłuści ludzie, a do tego blondyni, mogą się zdobyć na tego gatunku dyskrecję i takt.

Cieplik, bez zielonego fartucha, w prywatnej marynarce podał kawę, sam, osobiście, — w domowych filiżankach. Pokazał, gdzie jest dzwonek, przekręcił parę razy światło, na dowód, że funkcjonuje — i znikł.

Niby przechodził jeszcze parę razy, czegoś szukał w szafie, ale, zasadniczo, — znikł.

Dyrektor Kostryń i poseł Drążek pozostali w paltach. Dyrektor w granatowem, dostatniem, poseł w wilczym, budowniczym kubraku. Konferencje tego rodzaju odbywali zawsze prywatnie, lecz w płaszczach: Aby nie było żadnych złudzeń co do oziębłości towarzyskiego charakteru.

Ty w płaszczu i ja w płaszczu, — jak w publicznem miejscu.

Poczęstowali się wzajemnie papierosami. Kostryń wolał ssać swe odlewane szkiełko. Drążek palił dyrek-

torskiego papierosa. Pewno reprezentacyjny, — płaci Towarzystwo, — ba, ma z czego!...

Z papierosa, kosztów, z tego, co, kto, ile i na co ma, można było odrazu zjechać na właściwe tory.

Za wcześnie jednak! Jeszcze się atmosfera nie rozgrzała. Utyskiwali obustronnie na zbyt ciężkie warunki. Wymienili między sobą statecznie — dumping, — koszta własne, — brak zamówień, — bezrobocie, — ostrużyny ziemniaków, — brak mieszkań.

O właściwej rzeczy ani słowa. Za siedmioma rzekami, lasami, — i gdzie tam jeszcze owa rzecz właściwa!

Kostryń siedział i cyckał wciąż szkiełko. Gardził tem chamstwem socjalistycznem do szpiku kości.

Drążek brzydził się limfy dyrektorskiej aż go w dołku ściskało.

Patrzyli na siebie krótkim błyskiem źrenic, mętnych z pogardy.

Dla dodania sobie ducha zjadał Drążek już czwarte ciastko zkolei. Mlaskał na całą izbę, popijał głośno kawą, a Kostryniowi od twardego zacisku poselskich szczęk dreszcze latały po grzbiecie.

— Żeby nie wspólny interes, tobyśmy tutaj razem nigdy nie siedzieli — rzekł Drążek, uważnie oglądając ciastko. Żygać mu chciało się od tego towarzystwa!

Macał oczyma wątłe ciało Kostrynia i w duszy łamał mu chude, wydmuchane piszczele na czterdzieści kawałków.

Kostryń zaś — czekał. Oczekiwał. Jeszcze minutę. — Jeszcze dwie. — I cztery jeszcze...

Nakoniec zatrzęsło posłem od stóp do głów. Szurnął podeszwami po podłodze i stało się, co się działo przy takich rozmowach: cholera!!!

Musiał był potem wygolić u Cieplika w restauracji kilka ciężkich wódek, sporo piwa i salcesonu i kotlet cielęcy z cytrynką tak strasznie z ogromnej pasji zgłodniał.

Cholera tu przez niego szła, najjaśniejsza cholera:

Nuże więc wylać dyrekcji na łeb wszystkie kubły. Mało to tego było?

Było aż nadto. Zbierało się i zbierało bez końca w żale, w wyrzuty, w przykazania przeklęte, które ludność cała powtarzała bezradnie na każde zawołanie. Tych grzechów kapitału, — rany boskie!

Nieszczęśliwe przedmieście Zielone, pod laskiem, które huta Katarzyna raz po raz, dzień po dniu zalewa parszywą wodą, ale rur do poziomu pobliskiej rzeczki nie przeprowadzi i ludzie w odchodach huty gniją, jak — tfu!

O Zielone, o eksmisje placów, z których dyrekcji nic, starem prawem dzierżawi od rządu za parę groszy, żytkiem je obsiewa w środku miasta, a miasto dusi się, ulicznego ruchu nie może racjonalnie przeprowadzić!

O Zielone, o place, ulice, o wodę: — z kopalń ją odprowadzacie, miastu mieliście prowadzić, filtrować, przez filtry na stopięćdziesiąt metrów lejecie tysiąc pięćset, baby stoją przy kranach z gnojówką, ręce łamią, a dzieciom po szkołach do mycia brakuje! Drańcie!!

O Zielone, o place, wodę, o węgiel, samego miału

półtora tonny pada z kominów na obwód Osady, w przeciągu doby jednej, ale stawiacie kominy, drańcie, bez komór ochronnych.

— Drańcie, drańcie, drańcie, — krzyczał poseł, aż mu w płucach pękało. W tych samych płucach, któremi umiał każdych komunistów przekrzyczeć!

Kostryń uśmiechał się pod temi zarzutami, — jakby stał w deszczyku majowym. Przeczekał, — i dopiero powiedział swoją prawdę. Wypowiedział ją z uśmiechem, skierowanym omylnie niby, do drzwiczek od pieca, czy do deseniu na tapecie?

O radcy prawnym, który teraz radzi Towarzystwu w sprawie upłaty podatków...

Łydy posła Drążka zatrzęsły się w cholewach i — na mydło zmiękły.

— Jak do zgody nie dojdziemy, — skarżył się rzewnie Kostryń, — to nie tu w Osadzie będą płacili podatek, a w Warszawie, gdzie mają centralę. Swoje miejsce prawne.

Dlatego gmina niema co zanadto narzekać, że biura paryskie wsadzili w swym wykazie do brutta. Ani o to. Ani wogóle, o nic.

Od takich możliwości, choć na jawie pod czwarte piętro wyciągnięty, walił się cały Dom Ludowy, jak z kart, — za jednym podmuchem.

Drążek nie dał po sobie nic poznać. Brońże Boże! Żarł ciastka głośno, aż mu światła po szczękach latały, ale serce — ustawało z rozpaczy.

Kostryń wcale nie patrzył, do kogo mówi. Poco? Z zamkniętemi oczami ciął — i aby tylko ciął tym

swoim kapuśniaczkiem. A tu radca prawny, a tu przeniesienie podatków, a z tego, co najwyżej proces, a jak procesy takie wyglądają wiadomo chyba!...

A co znów Województwo zacznie mówić na wszystkie kosztorysy gminne?!

Kiedyż zjawiło się rozstrzygające słowo, kiedy zachybotało w mroku alkowy Cieplika i kiedy przeminęło bezwstydnie?!

Oto dyrektor dogadał się do tego, by Związki umilkły narazie o strejkach... Do nowej Umowy niech przyjdą na Radę Kopalń i Hut ze — *status quo*. Za co: nie będzie przeniesienia podatków, — wszystkie pomoce przy Ludowym Domu i wpływ na cegielnię.

Poseł Drążek spijał nieustraszenie kawę, a w myślch rozpaczał: Była to bowiem gremjalna sprzedaż klasy robotniczej dla lokalnych korzyści. Wiedział nie głową samą, ale rozumem, sercem i własną skórą, ile zarobi każdy z nich na placu, dole, na powierzchni, przy maszynie, na odkrywce, przy płóczce, a ile każdy musi kupić, aby zjeść. Nie starczy ludziom i znowu płacze dzieciek w izbie a nogi głodnego za wózkiem nie nadążą.

Miał na to jednak czarną tarczę przed swojem własnem sercem: Jak ich nie sprzedać, to się pożrą między sobą i sami się sprzedadzą...

— Status quo?! — warknął Drążek. — No, — a drożyzna?

— Status quo — przywtórzył Kostryń.

Poseł splunął straszliwie przez szparę w przednich zębach, Cieplikowi na posadzkę.

Co splunięcie takie znaczy, wiedział dyrektor Kostryń nie od dziś. Znaczyło pogardę, niemoc, — mokra kropka chamskiego zakończenia: Zgodę do dalszego zakrętu...

Kostryń powstał, dwoma palcami dotknął ramienia Drążka, bardzo ostrożnie, jakby się bał palce łajnem pobabrać — i wyszedł na powietrze.

Strzepnął poły płaszcza. Status quo na zimę — niemal, że w kieszeni. Cisza i święty spokój w Związkach... Nie odczuwał radości. O wiele więcej: prawdę i jakąś dobrą, łagodną mądrość. Mądrość życia. Tak wielką, że aż z humorem graniczącą. Jest na świecie wszakże taki humor, z którego nikt się nie śmieje nigdy, a który wszystkim i wszystkiemu pomaga!

Podreptał teraz do Knote, koło gmachu Rady Kopalń i Hut, koło aeroplanu, ustawionego uroczyście na podwórzu Rady. Wybił znak umówiony w pobielone okienko kuchni.

Knote otworzyła dyskretnie, ubrana w biel szpitalną. Zamknęli za sobą na klucz, w ciemnej kuchence zostawił laskę między skrzynią a szafą i weszli do pracowienki. Drzwi do nyży były zamknięte.

Dyrektor na migi kazał odkręcić kran.

Robiono tak zawsze, gdy pozostawał w nyży i podglądał — ciekawsze chore.

Biedne żabki ludzkie, — było to przecie wyrażenie Feliksa!

W plusku wody, jak w płynącej grocie mogli rozmawiać półgłosem, bez obawy, że Mieniewski usłyszy.

Kostryń, usiadłszy na brzegu kanapy, spytał masa-

żystkę, czy nie miała dziś do czynienia z wenerycznemi wypadkami? Ostrożność przedewszystkiem.

Jakże inaczej wyobrażała sobie to widzenie! Jakże inaczej wróżyły jej o niem przeczucia dzisiejsze! Mówiły o cichem pojednaniu. O nagrodzie. O nagrodzie, zapomocą duchowej serdeczności!

— Nie było dzisiaj żadnych zaraźliwych wypadków. — Uklękła obok na ceratowej kanapie w skromnem pragnieniu wytworzenia stadła. Bardzo często tworzyli je dawniej. Składa się sobie głowy wzajem na szyjach, jak konie — i jest stadło. Czuje się wtedy zobopólne pulsy. Bez zmysłowej korzyści, — dla zasycenia idealnych uczuć.

Lepszemu człowiekowi jeden uścisk ręki, pogłaskanie, pieszczota wyrazić może nieraz całe utęsknione światy.

Czekała na nie dziś, jak nigdy jeszcze!

Kostryń nie był jednak usposobiony do stadła. Pragnął skończyć, przyjrzeć się gościowi nyży i coś postanowić. Wzgardził potrzebą stadła.

Poszli do Mieniewskiego. Knote z lichtarzem, w nyży bowiem nie było elektryczności.

Kostryń cofnął się od progu. Posiniaczona twarz Tadeusza, z plastrami przylepionemi na policzkach wyglądała dziwacznie, — jakby ją obsiadły białe, sztywne motyle.

Jakże tu nie pomyśleć o śmierci? Nieboszczyka tylko mogłyby tak obsiąść niepozorne jakieś żyjątka! A podobny do ojca był ten chłopak... Ogarnął Kostrynia rzewny, doskonały humor fatalnej wróżby dla tych nienawistnych ludzi.

— Gdy tylko będzie pan mógł już wstawać, pierwsze pańskie kroki od pani Knote będą do nas, — wykrzyknął, mrużąc prędko powieki. — Czekamy całym domem. No, — i po tak pięknym wiecu tak przykry wypadek. Spadł pan pociemku ze schodów. Drobiazg? Bardzo niemiły w każdym razie.

Kostryń usiadł na krawędzi łóżka. Doznał stanowczego przeświadczenia, że tędy jakoś przebiega ostateczny kres ich znajomości z leaderem. Dopiero w synu spotka Mieniewskiego istotne nieszczęście. Dopiero od tej strony wypadnie cios rozstrzygający. Bywają takie ciosy w życiu, bywają, — nie można się już potem podnieść żadną miarą.

Tadeusz dziękował za miłe zaproszenie, ba — z zastrzeżeniem: — Cóż powie na to nienawiść klasowa? Ojciec mój mówi o panu wyraźnie: — Kostryń to istny wampir. Wampir! Tymczasem, — mocny Boże, — wygląda pan poprostu na jednego z moich wujów. Ojciec bardzo surowo na świat patrzy.

Wyciągnął do dyrektora ręce i zaczęli się śmiać. Tadeusz szczerze głośno, obrzucając schorowanego człowieka w pięknem granatowem palcie pogardliwem nieomal spojrzeniem, Kostryń cichutko, twardo, jakby precyzyjnie piłował coś tym śmiechem.

Poczem, przeszukując twarz Tadeusza wyłupiastemi oczyma, zaczął nagabywać o stosunek do ojca. Trzeba to było koniecznie wypośrodkować. Pytania rozwijały cicho i, — własnym ciężarem niejako ograniczały przestrzeń.

Kostryń kluczył ostrożnie wokół posunięć partji,

celów, postanowień, polityki, gdy nagle bez żadnych przejść zapytał:

— Jakie są najbliższe plany pańskie?

— Nie mam żadnych planów.

— Nie ma pan żadnych?...

Tadeusz zarumienił się, dyrektor przycupnął na łóżku. Zaplątali się obaj.

Knote na palcach podeszła ku oknu nyży.

— No, więc narazie zostaje pan tutaj?

— Ależ nic podobnego — wykrzyknął Tadeusz. — Wyjeżdżam zagranicę. Oczywiście!

— Na studja?

— Mowy niema o studjach. Mam wiele innych spraw. Bardzo poważnych. — Uśmiechnął się łaskawie, wyniośle, jakby dobrotliwie przebaczał, że mu o tej mnogości spraw ważnych przypominają nie wporę.

Kostryń podał co żywo eukaliptusowego cukierka. Prawdziwe szczęście mieć sprawy zagranicą. Nie tu w Zagłębiu a już przedewszystkiem, nie w Osadzie Górniczej.

Przymknął oczy i poskarżył się na tutejsze stosunki. Rząd, — podatki, — Województwo, — ludzie, — kradzieże, nieustanne kradzieże, — kradną drzewo, — chodniki na kopalni rozbierają, po domach roznoszą, — Kasa Chorych, — zrażają wszelką inicjatywę, — tysiące darmozjadów — bezrobotnych, — chciwość, — żarłoczność, — zdrada, — komuniści.

Z pod przymkniętych powiek wąskim promyczkiem patrzył Mieniewskiemu w oczy.

— Mój ojciec mówi tosamo o ludziach — wy-

buchnął nagle Tadeusz. — Zupełnie to samo. A to przecież, — rozłożył ramiona, aż mu się koszula na piersiach rozbiegła, — wy jesteście ojcami tych dzisiejszych ludzi! Ojcami tych ludzi, ojcami tych spraw.

Kostryń skulił się nabożnie, ręce złożył, jak do modlitwy, z goryczą wziął na siebie odpowiedzialność za ojcostwo nad dzisiejszym światem i znów namulać jął drobnemi pytaniami.

O ową zagranicę. Gdzie, kiedy, poco, a jeżeli w handlowych sprawach, to możnaby zużyć tutejsze stosunki, zwłaszcza francuskie, jeżeli nie francuskie, to niemieckie, — chyba, że chodzi tu o Anglję?

Z nad uniesionych brwi spojrzał na Tadeusza: może teraz wyjaśni się ów King of England?

Skoro nie chodzi o Anglję...

Tadeusz plątał się w odpowiedziach i mieszał się, rumienił, aż wreszcie opadając na nędzne bety głupiej Knote, jęknął:

— Wyjeżdżam do Szwajcarji!

Kostryń wstał. Wiedział już wszystko. Tak, tak, — śliczną miał twarz ten Mieniewski. W zmęczonych rysach orlich, czy też sokolich, w dużych, błyszczących oczach malowała się rozpacz.

Najładniejsze w tem wszystkiem — że rozpacz nieświadoma...

Gdy wyszli i drzwi za sobą zamknęli szczelnie, wpatrzyła się Knote w Feliksa — wzrokiem pojednania i triumfu. Kto pierwszy wynalazł tego zamachowca, kto go skrył przed innymi, kto go teraz cichutko przechowuje?

— Idjota, — wszystko kłamie, — szeptał Kostryń na środku pracowienki. — Nie jedzie zagranicę. Rozumiesz? My jesteśmy „ojcami tych ludzi i tych spraw“... Ko-mu-ni-sta! To jasne. Gdy tylko wyjdzie z mieszkania, zobaczysz, co tam ma w tych garnkach. Otwieraj ostrożnie. Do pewnego stopnia narażasz dla mnie życie. Ty... A twoje życie jest moje. Moja własność. Ty...

Głaskał ją po karku, odgarniając w górę włosy.

— Kłamie, że spadł ze schodów. Narazie, ani słowa nikomu. Kapuścikowi — broń Boże. Sprowadź mu tę dziewczynę, z którą żyje. Naturalnie. Zaraz jutro, — pilnuj tego.

Potakiwała, wzruszona niepomiernie. Niczego przecież w życiu tak nie pragnęła, jak właśnie, by móc pracować przy boku swojego człowieka. A cóż dopiero przy boku dyrektora! Pracować i patrzeć wiernie w rozkazujące oczy.

Patrzeć śmiało, — ukrytą tajemnicą małżeńskiego poczucia...

Gdy oto palce Kostrynia zacisnęły się na karku tak silnie, że głowy przechylić nie mogła.

Rzekł głośno w stronę nyży: — Do widzenia pani Knote — i poprowadził ją przed sobą w stronę kuchni.

Tu dopiero puścił. Ręce mu opadły w zamyśleniu. Zapatrzony w posmarowane białą farbą okienko liczył coś, — pewnie sprawy huty, interesów, Mieniewskiego i wszelakich planów.

Nasłuchiwał i czekał.

Aż Knote wyczytała w jego wzroku zachętę. Za-

chętę, która płynie z wdzięczności. Bardzo szczerą, — zachętę duchową.

Wiedziała, od samego rana wiedziała, że dziś utworzą stadło. Choćby przez minutę tylko, ale utworzą. Lekko, cicho podeszła na palcach, aby raz, wiernie objąć.

Wpił się w nią drapieżnemi palcami, pociągnął za włosy, zapchał w kąt, w stronę kufra. Tu zaczął szarpać, obnażać i wydobywać z niej nagie kształty, jak z komody.

Ani się bronić, ani krzyczeć, — szczypał tak straszliwie, — ani prosić, ani płakać.

— Głowa będzie bolała potem pana dyrektora, — jęknęła nieśmiało.

Miął jej twarz, zasnuwał ciemnym ruchem, męczył, poniewierał, dopchawszy w kąt, kazał spełniać okropne wymysły.

Knote nie pozwoliła dotąd nigdy na takie pohańbienie, — jeszcze po kątach, w kuchni!! Całą nadzieję, dumę całą stanowiło, że gdy już byli razem, to jedynie, jak porządne małżeństwo.

— Za nic na świecie — szepnęła z pomiędzy kuferka i szafy.

Porwał ją za uszy, nacisnął kolanami, zmusił, a potem, jakby oparzył strasznemi słowy: Twoje życie jest moje.

Nie oglądając się za siebie, wyszedł.

Jak siedziała między kufrem a brytwanką z piaseczkiem dla kota, — tak pozostała. Zbrakło jej sił, by podnosić się zaraz z takiej hańby. Z czołem wspartem

na zimnych okuciach kuferka szukała jakiejś — pociechy. Aż wreszcie, skrobiąc palcami w zimnym piachu brytwanki powtarzać jęła w myśli raz za razem bez tchu i bez końca:

— Zato twoja córka, — twoja córka... Ale zato twoja córka...

BRZEMIĘ GÓRNICZE

1

MIAŁO BYĆ ZDALEKA

Że bywa śmiech przez łzy? Może być śmiech a może też być działalność przez łzy! Obowiązek dłużej i dalej leci przed człowiekiem, niż bolejące serce.

Wszystka wiara uciekła z pani Knote, na czas najbliższy nie zostało ni krzty nadziei, ale polecenia Feliksa (w tych strasznych chwilach trudno myśleć po nazwisku) spełnione zostały drobiazgowo.

Spełnić nietrudno, przez Karolcię Domagało, która codziennie na przestrzyki przychodziła; albo samej wstąpić po drodze na Erazma i powiedzieć dozorcy; albo przez Supernaka, portjera erazmowskiego, jako że razem z Szymczykami gnieździły się przecież Supernaki na Zielonem, a przy nich Lenora.

Całe polecenie, — przyślijcie mi Lenorę, to mi podłogi umyje.

Olejno pani Knote u siebie nie zaciągała i tak chore zataraszą. Trzeba było myć, nie raz już wzywała do tego Lenorę. Dla mycia samego i dla klienteli, gdyż Lenora bardzo między różne dziewuchy wprowadzona była.

Dlaczego stało się, że polecenie, — niech przyjdzie, podłogi mi umyje, zarobi, — posłała przez Supernaka, portjera? Nie śmiałaby odpowiedzieć na to, ani głośno, ani pocichu. Rzecz ukryła się głęboko, nie w myślach nawet a w zrozumieniu tajemniczem, niby z wyższego ducha przedziwnie nadanem...

Komu Supernak służy? Od kogo z ręki je? Jadł z każdej ręki, ale służyć, — Coeurowi chyba służył? A teraz, niby nic, nie tego i nie siego, lecz w inną stronę kierowała sprawy i inne wyjście lekko uchylała.

Czy aby, przez Supernaka, nie na stronę Coeura?...

Jak Dom Rady Kopalń i Hut Domem Rady, a Ludowy Ludowym a ulica Przemysłowa, na której czekała obecnie pani Knote, ulicą Przemysłową, a Cieplik Cieplikiem, — nikt chyba nie słyszał, by skromna masażystka tyle nici ważnych w jednem ręku trzymała.

Popatrzyła rzewnie pod górę przez wóz, jadący z węglem ku szaremu budynkowi Sztygarskiej Szkoły. Resztka różowego popołudnia różowiła się tam w szybach — światłość dnia sama na murach osiada i sama znika, — tylko człowiek nigdy dobrze nie wie, gdzie ma się obrócić i jak?!

Pani Knote pomyślała o tem z goryczą i o tem, że nigdy chyba Feliksa nie zdradzi, i o tem, że w poniewierce takiej życie całe straci. Już nawet łzy gorące pod powiekami uczuła, — gdy niespodzianie bierze ją ktoś za łokieć!

Lenora przed nią stoi, podczas gdy Supernak na drugą stronę ulicy kuśtyka przez błoto, — razem przyszli, z pewnością po swojemu nakręcił już dziewczynę!

Byłaby Knote dłużej nad tem bolała, gdyby nie dzisiejszy wygląd tej Lenory...

Mogło się w głowie pomieszać od takiego wyglądu!

Sukienka w czarno-szarą kratkę, modna, krótka, z tyłu zwisająca, na to żakiet piaskowy. Klapy i boki sztywne, jak z kamienia, poły wiotkie, pomarszczone, niczem z bibułki. Do tego krawatka na druciku, do tego guziki kościane. Do tego — naturalnie — pantofle z gwiazdkami, wyrobionemi na kapkach, do tego pończochy cieliste. Do tego na głowie kapelusz, roztrzęsiony, pochyły, jak przekręcona spluwaczka.

I cóż z gładkich różowych rumieńców — pod takim kapeluszem?!

Zgadały się co do klucza, ma zostać pod słomianką. Co do mydła, ługu, wody, — o Mieniewskim ani słowa. Weszły razem na podwórko. Koło kasztana przypomniała sobie Knote, że sama przy szorowaniu nie pomoże, chore czekają na mieście.

Za serce ją targnęło dopiero w drzwiach kuchenki. Zderzyła się z Lenorą oko w oko, z pod obrębu kapelusza popatrzyły szare źrenice dziewczyny światłem radości, — wiadomo zaś, wmieszana do tych sprawek, za dwa tygodnie wyleci Lenorka z Erazma raz na zawsze, inaczej nie byłby dyrektor dyrektorem.

Och, — wyleci!...

Wyłożywszy z torebki pięć cytrynowych landrynek, powiedziała pani Knote z ożywczym uśmiechem:

— Dla ciebie, żeby ci się nie nudziło.

— Miałoby się nudzić, — teraz tutaj!!

Teraz, tutaj zapomniała Lenora o saganach na bla-

sze stojących i o wszystkiem i o całym świecie. Nie, — żeby nie chwyciła się ostro za robotę.

Roboto, roboto i roboto!

Tutaj ługu dosypać, a tu sody, a tam stół odstawić, a tam dywanik z przed kanapki uprzątnąć.

Roboto i roboto!

Lecz po przez wszystkie kroki, inne jakieś kroki dudnią dokoła, dudnią, tupią i śpieszą, w jedną stronę prowadzą! Czy on tam jest w tej nyży? I tam śpi? Albo książkę czyta? Albo drzemie?

Czy on tam jest?

Jeżeli jest, to pocóż się przebrała do tych podłóg? Czemu żakiet, odświętna sukienka i różowe pończochy przez kuchenny stołeczek przewieszone, — pocóż kręcić się w starym fartuchu Knote?

Podłogo, podłogo i podłogo, od proga aż do pieca, od okien aż do proga, — Lenora zatrzymała się na środku izby w najprzeróżniejsze myśli umotana.

A tu dorady Supernaka przykre i surowe, żeby zmawiać Mieniewskiego na jutro między stawy! A tego nie mówić, a to znów przeszpiegować, — a potem sami się za niego wezmą!

Wystąpiła Lenora z owych myśli, jak z koła zaklętego, ręce same przed nią poleciały, otwarła niedomknięte drzwi nyży.

Był! Był tam. Leżał sobie na łóżku. Właśnie spał. A teraz otwarł oczy.

Krew jej zbiegła do piersi, w piersiach zmieniła się w jakieś ogromy radosne! We wszystkie ludy świata!!!

Było takie powiedzenie Martyzela: — We wszystkie ludy świata!

Zbliżyła się do łóżka, Mieniewski zaraz usiadł.

Spuchlizna już mu zeszła, ma się rozumieć, ale siniaki pozostały.

Lenora objęła go za szyję, przerażona: nie tak być miało, miało być zdaleka, tymczasem objęła za szyję syna wrogiego leadera, syna sprzedawczyka klasy robotniczej.

Nie tak było postanowione, — tymczasem usta jej same rzekły cicho a przecież dobitnie, jak przed okienkiem wypłaty, żeby było wiedziane i nie zostało pomylone:

— Ja jestem — Lenora Duś. Lenora, — Duś...

— Duś? — Tadeusz skoczył wysoko na łóżku. Przypomniał sobie ciemną, śmierdzącą jatkę, twarz Dusia prostą, surową i jak płakali we wspólnej nienawiści.

— To ja jestem, Lenora Duś, siostra Jana Dusia. Co to wiecie...

Dlaczego przeszła nagle na owo „wy“ partyjne? Supernak inaczej objaśniał. Kazał pytać, badać. Całkiem inaczej uradzili też z bratem. Ale brat, ani Supernak nie wiedzieli i nikt wiedzieć nie mógł o tej nocy! O tej nocy na ściółce.

Rozpadało się wszystko w Lenorze, — jak ziemia na odkrywce, po wystrzale.

— Bo my jesteśmy komuniści, — westchnęła z dumą. — Zakazali wspominać o tem — wypowiedziała, aby wszystko było wiadome, a potem niech się dzieje najgorsze.

— Dużo mnie to obchodzi, czy jesteście komuniści! — wyciągnął do niej ręce z uśmiechem.

Czoło miała takie same, jak ów Duś, wysoko uniesione, za duże prawie, niby dla jakowejś myśli poważnej zbyt przestronnie rozwinięte. Twarz inna, drobna, malutkiemi rysami przykrojona.

Szukał spojrzenia Lenory. W wielkich źrenicach mieniło się światło ciemne, zwiewne, jak na stali.

— Jesteście komuniści? Jaka tam z ciebie komunistka?! — Pytał, skąd się zjawiła, jakiem lichem, czy też dziwnym cudem? I co ją tu przyniosło? I, że się znów spotkali.

Przysunęła się, umykając z objęcia. Nie teraz. Chciała jeszcze przemówić, wypowiedzieć odrazu, cały ciężar zrzucić, całą prawdę:

— My idziemy do strejku — wyrzekła uroczyście. Jeszcze przed chwilą na śmierć o tem zapomniała, ale on, on niech wie. Ma teraz ostrzeżenie.

Szczęście w niej zaszumiało, że ostrzegła, za szczęściem czarna niewdzięczność, że Supernak inaczej rozkazywał, za niewdzięcznością strach, że wszystko inaczej wypada, niż potrzeba!

Dla lepszego nawiązania, przeszła na bezrobocie, krasząc smutne słowa śmiechem najlepszym, tyle tylko, że cichym. I o czem innem, co jej przez drogę w głowie nie postało, niepytana i nieproszona — o Supernaczce!?

Czemuż to o niej, — gdy nie znał przecie tej kobiety, na oczy nie widział?!

Mówiła o nieszczęśliwej, jakby o wydarzeniu przykrem, lecz bardzo potrzebnem. Poto, aby, gdy doszło

już do miejsca, jak Knote maszynę do szycia zabiera, — przysiąść się blisko i twarz rozpłomienioną do ramienia chłopca na dłużej przyłożyć.

Woda w saganach syczy, robota dawno już się opóźniła, ogień pod blachą z kuchni aż tu cienie rozgarnia, — siedzieć tak, patrzeć, słuchać, własnych słów nie poznawać...

— Maszyna? Mówisz, — była pożyczona. No, więc cóż? A jak mnie wtedy, później raglan skradli?

— Kto skradł raglan? — zadziwiła się Lenora, składając ręce, niby do modlitwy.

— Twoi murarze skradli... Bronzowy, w dużą angielską kratę.

Spłoniła się. Nie trzeba, może, mówić o murarzach, ani tych, ani żadnych innych, ani myśleć o kim innym!

Rozpinał na niej guziki, czuła przecie, jak obejmuje. Od ogarnięcia tego zostawały na ciele miejsca bezpamiętnej rozkoszy — i wstydu straszliwego. Lepiej chyba by wcale nie dotykał, lepiej niech pomiędzy ludźmi wszystko będzie zakazane, lepiej przez grube mury, kraty do siebie wyglądać, — grube mury i deszcz.

Postanowiła tak ze wszystkich względów. O których powiedzieć nie można. Same nie czują, a jednak oczy człowiekowi wstydem zalewają, wszystkiego zakazują, na nic się nie godzą, prócz, żeby czekać, czekać, czekać w takiem szczęściu!

Takie względy!

Wymykały mu się z uchwytu jej nogi mocne i gładkie, w dłużyźnie swej urocze, niewieście, w sile zaś nieujęte.

Przechylił się z łóżka, jakoby szukał jej śpiesznie, gdy wreszcie sama znalazła upragnione słowa. Wydała je z westchnieniem szalonego szczęścia:

— Tak odrazu nie można! Nie można — odrazu. Oto — najpotrzebniejsze.

Cofnął się. Drżała całem ciałem. I tak czekali jeszcze, oboje bezradni, wystraszeni bardzo a szczęśliwi. Przestał łapać za nogi. Zawstydził się?!...

Otoczył dłońmi jej twarz i, niby dzbanek do ust podniósłszy — pocałował w usta.

Były twarde. Pachniały włoszczyzną. Całowali się wpatrzeni w oczy. Przez źrenice Lenory, jakoby woda płynęła coraz głębsza, ciemniejsza, ciemniejsza od całego mroku nyży.

Za oknami fyrknęły przeraźliwie śmigła aeroplanu, na kuchni zapadły się węgle.

Niech się zapadają węgle i niech terkoczą skrzydła. Dużo to kogo obchodzi?!

Całowali się jeszcze. Aż do utraty tchu.

Potem jęła Lenora opowiadać. Cicho, — o bracie i o sobie. Ma się rozumieć, jako sygnalista zarabiał więcej: nie o tem. — Jakie miał zamiary na księdza Kanię: Nie o tem! — Chcą więźniów uwolnić z więzienia tutejszego: nie o tem! — Że się im „technika" przy dostarczaniu bibuły popsuła, gdyż były wielkie wsypy, — że się znów do związku zapisują, aby opanować...

Matko Boska, — nie o tem!

Z wielką żałością prawiła co innego. Pierwsze z brzega: nie mieszkała z bratem, lecz osobno. Nie była zwyczajna rodziny.

Co miała pamiętać o rodzinie, co? Ojca przygniótł wózek na Erazmie, do śmierci. Mama rodziła ją czemuś aż w Warszawie, gdzie została potem za mamkę do szpitalnych dzieci. Dzieci te wszystko tam z niej wyssały widać, bo po roku już zmarła. W tymsamym szpitalu. Lenorę oddał kum do chłopów, ale kum już nie żyje i nie wiadomo dzisiaj nawet, którzy to byli chłopi?.

Mówiła wiernie do ostatniego słowa, jak przed sądem.

Mycie ani na krok naprzód nie postąpiło, podłoga wciąż nieruszona, trzeba jednak do takiej rozmowy przyzwać świadectwo rodziców, którzy nie wiedzą nawet może na tamtym świecie, co się tu kiedy dzieje z osieroconą córką.

Tadeusz zginał w ręku długie palce Lenory. Jakże to przyplątało się do niej takie imię?

Kiedyś, podczas wojny jeszcze, w Wiedniu na urlopie w miejskim parku jadł lody z uliczną przyjaciółką. Muzyka grała rzecz wydrukowaną w programie pod tytułem: „Leonora“ — głosy trąb goniły się echami przez rozłożyste drzewa.

— Czy lubisz lody? — zapytał bez związku.

— Bardzo. — Spojrzawszy przed siebie rozpłakała się strugami gęstych łez.

— Co takiego, Lenorka, co takiego?

Takiego, że za rodzicami płakała i że podłogi myć nie będzie i że się przeodzienie.

— Nie potom przyszła, żeby się w starej łachudrze pokazywać. Na spacer pójdziemy! — zawołała.

Przebrali się osobno, on w nyży, ona w kuchni,

drzwi od kuchni mało nie wywalili, zaglądał, — nie wpuściła, — ża żadne skarby świata, — za nic!

Dopiero na progu, gdy się znów spotkali, objęli się. Podziwiał, — cieszył się ogromnie. Cieszył się z krawatki na druciku, z kościanych guzików, na jedno tylko, na kapelusz powiedział krótkiem słowem: — Nie.

— A dlaczegoż to nie?!

Nie to chciała powiedzieć. Pragnęła spytać, jak mu na imię?

Czekała w niej oddawna radość na to imię nieznane.

Sprawy te przerwały się, gdyż nie wiedzieli, gdzie się na spacer wybierają? W którą stronę? Tadeusz ofiarował się odprowadzać Lenorę do mieszkania, na to jakieś przedmieście, — Zielone.

Nie potrzeba! Miałby takie dziadostwo oglądać? Lenora była za przechadzką, lecz przedtem miała prośbę, by wstąpić na ów pokaz lotniczy. Cała Osada dawno już tam lata, Karolcia Domagało wszystko widziała pierwszego dnia zaraz.

Klucz zostawili pod słomianką, ogień zapomnieli ugasić i poszli. Było za rogiem. Na podwórku, pod oświetlonym budynkiem Rady Kopalń i Hut ryczał raz po raz, za dziesięć groszy od osoby, wojskowy płatowiec przed półkolem stłoczonych gęsto gapiów.

Kaprale objaśniali, to znów pod wielką lampą łukową grzebali w chrzęszczących wnętrznościach aparatu.

Kto im pomagał?! Nie kto inny! Pstrokoński z szklannem okiem.

Nigdy człowiek nie wie, gdzie może kogo spotkać: — Lenora struchłała. Błysk szklannego oka przewiercił ją!

Zapamiętała się na kamień, że uda przed Pstrokońskim, jakby się nigdy w życiu nie widzieli. Zapamiętała się na kamień, — możesz go kopać, turlać, trącać, toczyć, — nie dowiesz się, co w środku.

Ile razy sypiali we dwoje, niedawno jeszcze w obejściu księdza Kani! Pamięć całego życia ubiegłego rozpleniła się nagle w Lenorze najciemniejszym widokiem...

A kto ją wyratuje? Mowa leaderowskiego syna! Nie wiedział nawet, że światło jej przywraca, że okna Rady Kopalń i Hut — dzięki słowom jego — zajmują dawne miejsce, w środku którego po dawnemu huczy aeroplan.

Huczał, trzeszczał, aż Lenora z rozwartych ust wysunęła koniec języka, — za światami wielkiemi, w które dziś lecieć można na aeroplanach.

Odechciało się jej następnego pokazu — i wszystkiego. Uczepiła się ramienia Tadeusza, aby iść.

Gdzie i dokąd?

Uszli niedaleko, — musiała bowiem obejrzeć wystawę owocarni. Jabłka w papierach srebrzonych, kiście winogron, błyszczące pudełka sardynek, wianki fig.

Wielka cegła sprasowanych daktyli!

Lenora rozłożyła ręce z westchnieniem: — tyle rozmaitości na tym świecie, a wszędzie czegoś brakuje: Gruszek tu wcale niema!

— Gruszki nie mogą się równać z jabłkami, — zauważył Tadeusz. Ojciec mawiał tak do nich w dzieciństwie, gdy leżeli w łóżeczkach i domagali się gruszek, ojciec zaś jabłka przynosił do łóżka.

Gruszki nie mogą równać się z jabłkami. — Za-

bawnem wydało się Tadeuszowi, że po tylu zabiegach wychowawczych znalazł się przy tej dziewczynie prostej, śmiesznej, tak dziwnie szczęśliwy i spokojny.

Minęli parę domów, czarnych płotów i znowu kamienica i jeszcze większa owocarnia. Przystanęli, — profilek Lenory znieruchomiał w podziwie.

Topniały w niej głuche, dalekie zmartwienia, rozchodziły się wobec głosu Mieniewskiego do niepoznaki.

Opowiadał cierpliwie, skąd co przyjeżdża i którędy? Daktyle z Afryki na wielbłądach przez piach, jabłka z Tyrolu, gdzie chłopi chodzą z gołemi kolanami, winogrona z Włoch, gdzie siedzi papież.

— Tam są Rzymianie — przyczyniła się prędko do rozmowy.

Nic tu, wedle Tadeusza, nie mieli do roboty, — bo takie winogrona, jak tu widzisz, żółte, podobne do bursztynu idą aż z Hiszpanji.

— Aż z Hiszpanji?!

— Jeszcze dalej, niż Francja. Będzie Francja a potem góry będą i tam dopiero zacznie się Hiszpanja.

— Dopiero tam! — wykrzyknęła Lenora.

— Orzechy amerykańskie przypływają z Ameryki, herbata z Azji, najstarszej strony świata —

— Och, najstarszej!!

— Kawa z przeróżnych wysp. Z Cejlonu. Może z Cypru? W workach, czy też pakach. Może z Korfu? Są wyspy pojedyncze, a są archipelagi, całe rodziny wysp, na różnych morzach.

Gdy wymieniał te morza, te światy, przyciskali się do siebie.

Pragnęła wyrazić zdziwienie, ogromne! Jak może być na świecie tyle wszelakiego miejsca, które nie wie, że oni idą właśnie tutaj we dwoje.

Czy można sprawy takie wyrazić słowami?

Więc tylko przy wymienieniu każdej nowej nazwy i nowej świata strony płaszczyła nos na zimnej szybie.

Aż brakło wkońcu nazw i stron, wobec czego ruszyli dalej. Główną ulicą, żeberkiem kolejowem, to jest torem, co łączył Erazma z Katarzyną, potem obok apteki ze słojami na wystawie.

Jeden był czerwony, drugi zielony, w jednym wyglądało się różowo a w drugim jak trup.

Już szli bez przeszkód ku stacji, gdy jeszcze pewien sklep obejrzeć musiała, — piękną wystawę mebli.

Za okopconą szybą piętrzyły się chude, rachityczne bambusy, z niklowanem okuciem na wszystkich końcach.

Lenora westchnęła z głębi płuc: Śliczne! Supernak miał podobne a może takiesame w swoim muzeju? A tu — tyle tego dobra. Dzieci głodem morzył, już czwarta żona mu umiera...

Zatchnęło Lenorę, by o Supernaku nie rozpowiadać. I strach ją zdjął. Jakgdyby wydawała nieopatrznie ważne tajemnice i już tyle wydała i nie będzie z tego żadnego powrotu.

Uśmiechnęła się przez zimną szybę żałośnie do bambusów i poszli.

Na wiadukcie, nad stacją zimno stuliło ich do siebie. Objęli się przez pół, zamilkli, wiatr prządł się przez druty galeryjki ostry i uszczypliwy.

Pociągu żadnego, — tylko za sygnałami szturchały się towarowe wagony. Tuż za niemi piętrzył się ogrom czarnej nocy, wdali gładkie rozlewy wód niskich, powyżej strome ściany cynkowni światłem upartem zionące i znów rozmachy ziemi i znów zapędy, — ku górze, ku dołowi. Przechadzał się tam dym wysoką, lśniącą chmurą, buchała para puszystym, białym czubem. Z rozwianych wszędzie kłębów wylatał głos najrozmaitszy, przegryzał się, przejadał i przebijał, tu się wiercił, tam drążył, a tam trącał tylko, a tam grzmocił, a tu pruł, — od niziny ziemskiej przez wszystkie oczy, jasne źrenice świateł, przez wszystkie chmury mocnym tonem żelaza do samego szczytu ciemności nieobjętych.

Lenora dała się trzymać łagodnie przez pół i pozwoliła, by ręką do jej piersi przeniknął, by się cieszył, obejmował, gładził.

Przeniknął ją ten widok rozległy i pootwierał nieznane, dawne, czarne, strasznie ukryte myśli. Pełne bezradnego wyrzutu i rozpaczy. Ileż to się po tych zwałach, bergach i hałdach nachodziła, nacierpiała, nażyła, nakochała! Po nocy i za dnia i z wieczora?

Wobec tych wspomnień rozmaitych wystosowała do towarzysza swego poważne zapytanie: — Jak ci na imię?

Gdy wypowiedział, że ma na imię Tadeusz, rzekła, niby przez sen długi i najsmutniejszy:

— Czy ja wiedziałam, Tadek, że się spotkamy w życiu? Skądże to mogłam wiedzieć!

Zeszli z wiaduktu, minęli domki, blade stawy uśnięte, poczem wdarli się w lasek suchemi gałęźmi szeleszczący.

W lasku owym osadnickich zabaw niedzielnych napadła Lenorę taka rozpacz, że tylko krzyczeć, krzyczeć i uciekać we wszystkie końce świata.

Odwróciła się jeszcze, niby na pożegnanie w oczy chłopcu zajrzała i tyle ją widział. Skakali przez brózdy, przez rowy, jakichś przechodniów spłoszyli, aż ją dopadł pod drzewem, gniewny i rozbuchany.

Ręce go do niej paliły, w piersi radość waliła.

— Nie broń się, co się bronisz? Nie broń się, czyśmy to już nie spali razem?! Łapał ją za ramiona, ogarniał uda, ściskał, niby owoc żywy, twardy, biały z czarnej ziemi niespodzianie wynikły.

Spadli w dół, pełen ściółki, zbutwiałe liście z szumem rozprysły się wkoło.

Zemdlało serce w Lenorze! Nie od tego, że sukienka się zemnie i nie od szamotania, a od słów Tadeusza. Spodziewała się innych, łagodnych, wystraszonych, zabiegliwych, tymczasem wzywał ją i nęcił gwałtownie, jak wszyscy, wszyscy inni!

Pobuntowały się w niej wstydy tajemne, ledwie znane, szalone. Gorący gniew zahuczał w uszach i taka rozpacz, taka straszna, jakby ją brali pierwszy raz, — gwałcili!

— Nie myśl, że mnie pobijesz! Nie pobijesz! Nie pobijesz! — dyszała, broniąc się zajadle.

Zwierali się silnym oplotem chwytów, lecz rozbrajało ich wzajemne ciepło. I znów się piętrzyli, on, dyszący, gwałtowny, z zaciśniętemi ustami, Lenora zaś uparta, cicha, niezdobyta.

W smutnem takiem szamotaniu opadli w głąb dołu,

wyczerpani. Gdy oto, uczuł Tadeusz w swych dłoniach gorące jej policzki. Zapragnął spojrzeć zbliska, w szarym blasku księżyca przekonać ją oczami.

Mała twarz dziewczyny ściągnęła się, jak piąstka.

— Skądże ja mogłam wiedzieć, Tadek, — zapłakała Lenora, — że się spotkamy w życiu? Skądże ja mogłam wiedzieć?!...

Utulili się po przyjacielsku i razem czekali aż te słowa przeminą. Czekaliby tak bezradni, niewiadomo, jak długo, — gdyby nie piesek, — Buruś.

Buruś to był. Fyrknął nad nimi noskiem, odleciał, znów przyleciał. Wspólny, Szymczyków i Supernaków zarazem.

To on znalazł swą panią w takim dole i w takiej niedoli, z czego wkońcu zrobiła się godzina dziewiąta.

Księżyc znacznie już pojaśniał, płynął nad skrajami lasku, siejąc światło ukośne między drzewa. Powstali, ogarnęli się schludnie, poszli ścieżyną prosto w świeżym księżycu, a zaraz dalej za tym laskiem świat gotował się zdala, po dawnemu i dźwięczał i tętnił w nocnej pracy.

Potrącani głosami żelastwa zaszli tak na sam koniec drogi przed białą chałupę. U Szymczyków, u starego palacza były ciemności w oknach, u Supernakowej, gdzie mieszkała Dusiówna, migotało.

Buruś cieszył się, zakręcał przez mrok w najrozmaitsze strony. Przyszli do samych okien, Tadeusz bowiem pragnął koniecznie widzieć ową izbę i miejsce za szafą, gdzie sobie Lenora przemieszkuje.

Zastąpiła mu drogę, zawstydzona, — z puchów, bo-

gactw wszelakich przybyły, pocóż miał na taką nędzę patrzeć i niedostatek?!

— Żebym wiedział, jak sobie wychodzisz, — głaskał ją po plecach, — żebym wiedział, jak znów sobie wracasz, żebym wiedział, gdzie żyjesz i co na ciebie patrzy?

Schylili się przy oknie.

— Tu jesteś przy mnie, — szemrał jej do ucha, — a tam z za szafy wyjdziesz do mnie, — druga...

Od tych słów samo szczęście, samo ciepło anielskie rozpłynęło się po ciele Lenory.

Przez przyćmioną lampkę, niby przez rozsnute złoto widać było w izbie piec, szafy, pod ścianami czarne sęki w długich deskach podłogi. Jakiś cień suwał się po nich tam i zpowrotem.

Na łóżku pod żelatynowatym błyskiem świętych obrazów siedziała Supernaczka. Porywało ją naprzód i znów kładło na wysokie poduszki. Porywało i kładło, to jej właśnie chude ramiona rzucały ów cień.

— A cóż to za śmierć taka?! — szepnął Tadeusz.

Kaszel trzeszczał w izbie nawrotami, jakby ktoś piachem raz za razem po szkle tarł.

Z niespodzianego smutku osunęli się na małą ławeczkę pod oknem i w zimnym księżycu przecałowali długie, długie minuty.

Z tego też smutku przestraszyła się Lenora, jak nigdy tego dnia, który zdawał się trwać wieki całe, a przepływał i przemijał tak pięknie.

Zakołatało do niej wszystko, niby do drzwi zamknię-

tych, — obcasami, pięściami i tyloma sprawami! Zakołałato, zakrzyczało, zabiło, ściągnęła brwi i wypowiedziała, że pocóż tu przyleciał, poco?! Pocóż kręcić się mają we dwoje po Zielonem, pocóż kochali się na ściółce?

Nie uwierzyłaby, że wypowie te sprawy, lecz słowa to nie sen a żywa prawda! Słowa takie:

— Ty, Tadek, nie siedź tu i nie zostawaj. Co ci z głupiej dziewczyny? Co masz z tego wszystkiego? Nie siedź tutaj, za żadne skarby świata nie siedź!!...

Ręce złożyła na podołku, oczekując smutnej odpowiedzi.

Tadeusz zaśmiał się. Zaśmiał się, przytulił policzek do jej zimnego policzka i ku wielkiemu zadziwieniu Lenory zwierzył się z niespodziewanej sprawy.

— A cóż ty myślisz, — mówił łagodnie, — że ja tu dla was siedzę?! Ja tu mam, — szeptał tajemniczo, — doskonałe interesy, zaczęte, — z Kostryniem. Z dyrektorem twoim. Doskonałe interesy!...

Głupstwo nieoczekiwane, które mu przyszło na myśl w lasku, tam, gdzie się ściskali, że przecież Kostryń mógłby sfinansować oba wynalazki...

Lenora zesztywniała. Nie patrząc Tadeuszowi w oczy, wypowiedziała podstępnie, co Supernak nakazał: Zmówiła sobie randkę z Tadkiem, miłe widzenie się na piątą popołudniu, jutro, — między stawami przy tejsamej kładce.

Umówione kłamstwo! Zamknęła oczy, by nie patrzeć w tej chwili, jak ta zbrodnia potonie w cudzych oczach.

Już odchodził.

Zwróciła głowę. Zadarty profilek wyrysował się cieniutką kreską na nikłem, siwem niebie.

Tadeusz widział, jak Lenora obiema dłońmi daje z ust pocałunek i rzuca go w ślad ścieżki.

Raz jeszcze wionęły jej ramiona, — srebrny profilek rozpłynął się we mgle.

2

ŚMIECH WYTRWAŁOŚCI

— Wszyscy złamią zęby na socjalizmie! — Od tego zaczął poseł Drążek posiedzenie z Zarządem Związku i delegatami kopalń.

Posiedzenie, na którem mieli ostatecznie uchwalić, z jakiemi warunkami idą na Radę Kopalń i Hut — dobrze chyba było zaczęte!

— Wszyscy złamią zęby na socjalizmie! — Drążek wtykał te słowa raz po raz, nie żałował, a jednak opadało go zwątpienie i słabość.

Dziwna słabość! Jakgdyby wewnątrz ciała nieusłuchane zwierzę kitą swoją merdało, sprowadzając uciążliwe nudności.

Nie był to skutek jedzenia. Zwierzęciem, które dzisiaj sprawiało nudności, była ciężka a nieodwołalna konieczność przeprowadzenia dzisiaj na zebraniu *status quo.* Owszem, poseł Drążek podjadł przed posiedzeniem i wiedział czemu. — Dwa befsztyki, żono, — rzekł o piątej jeszcze, teraz była już ósma. — Dwa krwawe z cebulką.

Podjadł dla spokoju, dla nabrania przewagi, — pamiętał przecie, że z głodnymi do narady zasiądzie. Pod-

jadł dla nabrania zacności w głosie i ciepła w spojrzeniu, które da pełny żołądek.

Ciepłem swego spojrzenia wodził po zebranych, lecz befsztyki swoją drogą a ciepło, widać, swoją: stygło bezradnie...

Siedzieli naprzeciw w dwudziestu kilku, na krzesłach i ławkach za stołami. Ogrzania centralnego z bielonych rur i światła mieli w tym Domu Ludowym ile wlezie, — w bród. U stropu ampla z imitacji marmurowej, bez cienia.

Trzymali przed sobą na stołach, na kolanach książeczki tabaczkowego koloru z drukowanym napisem czarnym: UMOWA.

Od książeczek owych, czy też z powodu napisu, czy też od widoku głów towarzyszy, polanych pięknem światłem bez cienia, zdrowe spojrzenie posła Drążka krzepło, jak gęsi smalec.

Bo jakież było zachowanie się tych delegatów?! Zachowanie się tych delegatów było — małostkowe.

Na kogóż mógł tu liczyć? Oprócz Kozy? Na takiego anemika może, jak Martyzel? Czy na starego krętacza Supernaka? Czy może na Trajkowskiego, Czubika lub Sikorę?!

Na nikogo.

Komuna podszczuła bezrobotnych, — poseł domyślał się, że dziś przypuszczą szturm warcholstwa w celu rozbicia jedności — i głosuj wtedy za uchwałą — *status quo*. Który z tych delegatów szturm warcholstwa porządnie wytrzyma? Dość już przecie tego, co teraz widać i z czego bez wszelkich zmyłek wnosić można: Niech tylko drzwi zatrzęsą się, czy ugną, wejściowe

drzwi, — niech tylko przez korytarz głosy jakieś przelecą, już cała delegacja nos w papier i kulą się na ławkach do siebie, jak barany.

I przewracają pilnie stronice, jakby tego nigdy jeszcze nie czytali. Dobrze wiedzieli i na własnej skórze mieli wypisane, co tam stoi, jeżeli nawet poseł miał w głowie wszystkie stronice i z zamkniętemi oczami mógł powiedzieć, o czem na której pisze:

Na pierwszej, — *płace dniówkowe*, na szóstej, — *robotnicy pod ziemią*, na siódmej, — *robotnicy na powierzchni*, na dziesiątej, — *płace ugodowe*.

Mieli „wypowiedzoną“ tę umowę przez kapitał, kwartał obecnie zapada, drożyzna poszła wgórę swoją drogą, trzeba przedyskutować wspólnie z kapitałem, — naznaczyć termin. Realnie ująć sprawę! Do Związku nie przyjmować teraz bezrobotnych. Z walkami o zdobycze wyczekać lepszej konjunktury węglowej. Sześciogodzinna sobota zawieszona jest na kołku, do rozstrzygnięcia Sądu Najwyższego. Dużo rozmaitych rzeczy zawieszonych jest na kołku! Dużo! Ale nie pora skłóconej klasie robotniczej gdy są rozbici na pył, — ukrócać teraz baronów węglowych.

Taki był sens ogólnego i, o tyle o ile, dotychczasowego przemówienia. Przyczem poseł Drążek zakręcał głową, szyją, karkiem, jakby miał wewnątrz obce, rozwścieczone ciało i pragnął je wyrzucić z siebie a w żaden sposób nie mógł.

Owem ciałem, było meritum, czy też moritum całej sprawy, — nikt tu nie stał o słowa, mianowicie ów skomplikowany status quo!

— Z czem idziemy, towarzysze, na posiedzenie Rady Kopalń i Hut musi być wkońcu rozstrzygnięte!

Wszyscy złamią zęby na socjalizmie, — z czem idziemy na posiedzenie Rady Kopalń i Hut? — Powtórzył to już wiele razy, gdyż powiedzenie to było — jak zakąska. Jak śledzik. Jeszcze raz przegryzłeś i jeszcze raz, nic ci to oczywiście nie szkodzi, ale co masz z tego?

Poseł Drążek ciskał spojrzeniami w stronę Kozy. Mieli to już przecie ustanowione, bez omawiania nawet, że w danej chwili Koza zawsze się burzył, popadał nieomal w reakcję, a wtedy poseł, i starszy i wytrawny występował w charakterze oliwy, rozlewanej na wzburzone bałwany.

Tymczasem Koza nie chciał dziś popaść w reakcję, siedział, jak istny degenerat, szeleścił zdawkowo papierami, nogę na nogę zakładał, niczem w kawiarni przy muzyce — i nie przejawiał żadnej działalności.

Oczy sekretarza Kozy błądziły sobie wygodnie ponad głowami delegatów przez okno, po ulicy Przemysłowej. Wygoda powyższego błądzenia nie była bezpodstawna. Składało się na nią wiele przyczyn i wiele twardych punktów, od samego rana przekładanych przez Kozę z jednej strony na drugą.

Punkty, jasne, jak dzień: dzisiejsze posiedzenie przed ustaleniem rezolucji i cennika płacy dla kapitału na Radę Kopalń i Hut — będzie posiedzeniem porażki posła Drążka. Od samego rana widziało się dziś przecie Dusia i temu podobnych osobników, kręcących się nielada między bezrobotnymi.

Bezrobotni zwalą się na delegatów, delegaci na posła. Komuna mogła im przecie wszystko obiecywać.

Czyli, sekretarz Koza wzdychał, wznosił piersi do góry, a tyle powietrza gromadziło mu się nagle w tych skądinąd zaatakowanych płucach, że nie wiedział, jak to powietrze wytchnąć. Albowiem z poprzedniego wynikało, że umowę z Kostryniem nie Drążek będzie dalej prowadził, — lecz kto inny...

Umowę z Kostryniem doprowadzi do skutku sekretarz Związku Koza. Stąd brało się powietrze w płucach. Drążka dzisiaj się wywróci!

W czasie zgromadzenia patrzył Koza wygodnie na ulicę Przemysłową. Przez posła Drążka, nawskroś. I nawet poprzez ściany tego domu, nietylko ludowego, ile karjerowiczowstwa danej jednostki. Gdyż ściany tego domu staną się wnet — gruzami.

Patrzył spokojnie na samochody kapitału, zatrzymujące się w zadymce ulicy Przemysłowej, przed oświetlonemi oknami Rady Kopalń i Hut, a w duszy drżał jeszcze mimo wszystko, że Drążek się utrzyma?...

Byle tylko nie pomagać.

Za każdym naciskiem na drzwi, za każdem nieskładniejszem słowem, czy też okresem mowy, z którego niby z bagna niema już żadnego wyjścia, patrzył poseł Drążek w pocie czoła na Kozę. Ciężkiem wolem spojrzeniem błagania.

Byle tylko nie pomagać! Koza, — nic, żadnych dzikich reakcyj, ani jednego kroku. Z rąk tylko lało się. Dość przykry, zimny pot litości.

Ścierwo, nie sekretarz okręgowy! Ścierwo! — Mnie-

mania tego nie wykazał poseł żadnem słowem, ale kiedyż ma coś taki sekretarz do roboty, jak nie dziś?! W szerokiej piersi Drążka zakręciło się od płaczu prawie. Nie były to łzy dziecinne, czy też damskie, — lecz męskie. Jak kamienie!

Czyż cały Dom Ludowy nie stał w tej chwili pod znakiem zapytania?! Cały Dom Ludowy, od wejścia aż po te drzwi na trzeciem piętrze, gdzie obradowali, — pełen spędzonych z całej osady bezrobotnych?!

Nic tak nie obrażało Domu Ludowego w myślach posła, jak te dziady, cały ten element, podobny do pijanej bryły mięsa. Kisło to przecie na wszystkich schodach, przejściach, gankach, korytarzach.

To przez nich nanic się zdały dzisiaj dwa befsztyki. Przez nich głos zamierał w gardle a wciąż naciskali dranie na drzwi obrady. Mówisz człowiecze, mówisz, a tu klamka wciąż ci odpowiada skrzypieniem i trzeszczeniem.

Połowa z tych łazęgów boso tu przyleciała a tak umieli szurać, dreptać że cały Dom na wszystkich piętrach i w wiązaniach dygotał.

Co zadrży, to poseł Drążek dalej się posunie w przemówieniu. Był już raz w temacie głównym, lecz się cofnął. Zbyt drażliwe!

Koza powinienby wyskoczyć. Koza winienby zacząć reakcyjnie od strony doraźnych korzyści, że innego gadania narazie być nie może. Na doraźne korzyści ruszyliby zaraz ze sprzeciwem komuniści, wtedy poseł rozlałby się łagodną oliwą przez fale dyskusji.

Ale Koza, — chory, czy się przepił, — ścierwo, nie sekretarz, ścierwo!

Poseł Drążek obrabiał na razie grunt zapomocą takiego oto zdania, które z trudem ogromnym zdążył jeszcze wyłuskać, a które tyczyło się ostatnich prób strejkowych na hucie Katarzynie:

— Po tych rakietach pozostał, towarzysze, swąd w postaci dziesiątek wyrzuconych z pracy za strejk i w postaci kilkunastu aresztowanych.

Wyrzekłszy taką prawdę spojrzał błagalnie ku Kozie, a Koza przez głowy delegatów na ulicę Przemysłową za autem, za uczniami, którzy wracają tłumnie ze Szkoły Sztygarów. Jeżeli nie wracają jeszcze, to może już przeszli? Za autem, za pierwszym lepszym przechodniem. Żeby się sekretarzowi Kozie zbyt drażliwe zdenerwowanie zimną mokrotą z rąk dzisiaj nie sączyło, — czułby w piersi radosną obojętność głazu na gorące spojrzenia poselskie.

Gdy oto drzwi wejściowe, jakgdyby wykrzyknęły krótkim straszliwym głosem!

Naoścież się rozpękły, ukazując w głębinie wąskiego korytarza tłum zbity, gęsty.

Tłum! Wyli, — jak powietrze w wielkich piecach kotłowni. Podobni do robactwa olbrzymiego, kłębiącego się w łapczywym pośpiechu. Drążek pięści przyłożył do skroni, niewiadomo, na jaki znak.

Delegaci zaraz — nosy w książeczki z umową. W takiej chwili każdy, czy jest delegatem, czy ze Związku, w takiej chwili bez żadnych nawet myśli o solidarności, każdy zapłoni się wstydem, przeładowanym mnogością smutnych wrażeń.

Stary nałóg Kozy uratował sytuację!

Sekretarz wyskoczył na katedrę i jakoby z przyzwyczajenia, czy też, że ocknął się nareszcie, — uderzył w swoją surmę reakcyjną. Nie bylejakim też głosem, nawet w porównaniu z poselskim zakrzyknął: — Delegaci pracują właśnie nad umową, jest to praca ciężka, umysłowa, której nadmiernemi hałasami przeszkadzać nie wolno, tem bardziej, gdy nic jeszcze stanowczego wcale nie postanowiono!!

Wyskoczywszy i tak stosowne słowa znalazłszy, pluł sobie Koza myślami w brodę, bo poco? Poco? Poco?!

Poco takie filipowanie z konopi? Niestety, — już za późno. Chociaż drzwi od bezrobotnych zamknęły się potulnie, podniósł się od okna Martyzel, którego przemówienia nie były wcale przewidziane..

Stary górnik Martyzel przemówił do rzeczy. Można nawet powiedzieć, że ugodowo: Zaproponował przestudjować doraźnie wszystkie płace, dział po dziale, z umowy, którą każdy tu przed sobą ma. Z uwzględnieniem dziesięcioprocentowej zwyżki (przy wymawianiu procentu aż westchnął ze wzruszenia) która w obliczu drożyzny i tak kosztów utrzymania nie dogoni a na Radę Kopalń i Hut musi być wniesiona. Chyba musi?!...

Gwar bezrobotnych przepływał za drzwiami, przechodził, przystawał, znów przemijał, delegaci wzięli się za książeczki z umową, od pierwszej stronnicy do dziewiętnastej, zakończonej drukowanemi podpisami inspektora pracy, kapitału i przedstawicieli Związku.

Nie szykowała się ta praca dzisiaj! Gdy szło odczytywanie punktów wszyscy zgodnie przycichli. Miło to przecie każdemu słuchać wspólnej krzywdy.

Czytał sprawnie Sikora. Za głosem czytania przewracali stroniczki, kiwając szaremi głowami jakgdyby przy modlitwie. Był to przecie długi, z dwóch części, z płacy dniówkowej i ugodowej, *pod ziemią* i *na powierzchni* złożony pacierz pracy i krzywdy górniczej.

Po odczytaniu punktów zaczęły się uwagi i dyskusja i wszystko znowu rozkawałkowało się na dziesięć części.

Poseł interwenjował we wsze strony. Wszyscy wiedzieli, — nie był nigdy górnikiem, majstrem był z samego siebie — od swego urodzenia. Na własnej skórze spraw tych nigdy nie doświadczył.

Doświadczył górniczego brzemienia do sytości sekretarz Koza. Pamiętali go wszyscy ciskaczem, ładowaczem, od młodego chłopca z wieloma tutaj razem zdychał. Ale dziś tak kręcił, tak postawę zatracał, że, widać nie zgadzali się ze sobą poseł i sekretarz, co bardzo nurtowało delegatów.

Towarzysze delegaci prowadzili sami wszystkie punkty i zaraz jedna podwyżka rozszczepiała się na dwadzieścia innych. Gdy się zgodnie przy dniówce trzymali, to przy pracach ugodowych rozleciało się wszystko o procenty. Górnicy darli dla górników, z uszczupleniem *powierzchni* i *pomocy* i to samo wyszło przy świadczeniach a jeszcze, gdy się w to wdały płace maszynistów przy turbogeneratorach w elektrowniach!

Jakby włos do ręki dostawali, a ten włos na dziesięć innych się rozszczepił, a tych dziesięć na sto, a wszystko razem oprzędło delegatów plątaniną.

Gadają — nikt się nie wypląta.

A tu Drążek mota od swojej strony, oczy mu na-wierzch wyłażą, a wzywa, a zaklina, a klnie, — a tu od tłumu bezrobotnych drzwi trzeszczą!

Powstał cichy Martyzel i wykrzyknął niezwyczajnym głosem:

— Nad skłóconą klasą robotniczą unosi się chmura trującego gazu kłótni, niewiary i kwasu!

Słowa te w ustach Martyzela znaczyły wiele. Wszyscy przycichli.

Już w nim krążyło gorąco z zimnem pomieszane, bladość i rumieńce mieniły się na wybladłych policzkach. Na czole ponad szybkami szarych okularów, mętnych od pochłaniania wszelakiej mądrości trwało podłużne, białe światło.

Do światła tego na spokojnem czole wielu towarzyszy miało zupełne zaufanie.

Martyzel wiedział dobrze, co trzeba powiedzieć. Nie to, co stoi w kanonach partyjnych! Powiedzieć dwa, trzy słowa ludzkiego pojednania. Między temi, co mają pracę, a nie mają.

Szukał owych słów, zaciskając powieki, zwierając szczęki, zatrzymując powietrze w rozdętych płucach aż do bólu i kłucia.

Znalazłby owe potrzebne wyrazy, gdyby nie uporczywy wzrok starego Supernaka.

Portjer Erazma podnosił powieki i jakgdyby opalał Martyzela twardem, siwem światłem. Jakgdyby nakazywał złowrogo: — No, mów, mów do końca...

Nie o to tu chodziło, że Supernak nie dawał spokoju Martyzelce. Wstrętne te zabiegi wypalą się same.

Nie o to, że był ciemny i tyle razy podejrzany. Ale o to, że ostatniemi czasy Martyzel dał się wciągnąć we wszystkie prace, a nakoniec i w człowieka tego, w owo żałosne podobieństwo upadku klasy robotniczej. Zapragnął nastawiać portjera na właściwe drogi, a tymczasem od nastawania nienawiść w nim rosła i po wszystkich myślach przeciw portjerowi myszkowała.

Dziwna nienawiść, od której czuł pogardę dla samego siebie i rozpacz i wielkie pomieszanie. Tak wielkie, że nie mógł przemawiać przy tym głupcu, że się wstydził swych uczonych słów, niby przed kimś mądrzejszym.

A któż to był Supernak? Zazdrość, nienawiść i głód!

Towarzysze, którzy mieli zaufanie do podłużnego światła na czole Martyzela, zawiedli się. Zaczął ni stąd ni zowąd od słów leadera o tem sławnem budowaniu śród mroku.

Delegaci prychnęli śmiechem, jak zaziębione koty kaszlem.

Na to, Martyzel zacząwszy od nagiego faktu bezrobotnych zajął twardsze stanowisko, niż sam chciał: nie można ich teraz masowo przyjmować do Związku, a nie nasyci się ich samemi protekcjami o zapomogi do Inspektoratu Pracy.

— Więc co mamy robić? — wrzasnął od drzwi głos nabrzmiały i chrypliwy.

Rozwinęło się w sercu Martyzela światło bolejące cichemi słowami: — Dla mnie czasy wielkich haseł minęły. — Nie wypowiedział tych słów straszliwych. Prze-

szedł do spraw zdobyczy robotniczych, które kapitał skubał, jedną po drugiej, całą treść wyskubując.

— Przestanki jedzeniowe, to macie, towarzysze dwie godziny, do starych ośmiu! Razem dziesięć. Droga na kopalnię, bo przecie są, co tak daleko mieszkają i ten czas zjazdu i wyjazdu, — to znów trzy. Nim się umyjesz, zjesz, bo na kopalni łaźnia niedostępna, to dwie godziny, czyli razem piętnaście. Osiem na sen po takiej pracy i drodze, przy marnem odżywianiu nie jest za wiele. To macie razem będzie dwadzieścia trzy. Zostaje robotnikowi jedna godzina życia własnego na dobę!

Uczynił ruch, jakby dłońmi wody jakiejś zaczerpnął i wzniósł ową wodę niebyłą do góry, a ostrożnie, na znak godziny owej. Delegaci popatrzyli wgórę, kiedy z pomiędzy postrzelanych prochem palców Martyzela wysączy się jedyna ta godzina na podłogę.

Tak patrzyli i tak zgodnie umilkli, że aż za drzwiami u bezrobotnych uciszyło się wszystko.

Bo była prawda.

— Odliczywszy niedzielę i jedno, drugie święto, — pouczał skromnym przyśpiewem Martyzel, — za dwadzieścia sześć dni pracy jeden dzień własny, jedna wszystkiego doba i to przez cały miesiąc minutami kruszona. To macie towarzysze swój punkt pierwszy.

Była w tym punkcie prawda, ale już do następnych nie stało Martyzelowi cierpliwości. Choć czasy wielkich haseł minęły, — znów go owiała myśl z czytania wielu ksiąg, z literatury uczonych i z doświadczenia krwawego wyrobiona: ostatnia, najbiedniejsza, pełna wstydu

16*

a jasna prawdą, a dysząca pogodą kobiety, a osłodzona przyszłą ciszą robotniczego domu:

— Bo tylu jest was zawsze na zawołanie kapitału, — krzyczał, — że niewiele więcej znaczycie niż nawóz, lub mniej, niż nawóz!

Wypowiadał te rzeczy ze wstydem, z boleścią, jakby pożycie swe odsłaniał, jakby w ofierze składał nagość swojej żony i wszystkich spraw małżeństwa:

— Na Zachodzie robotnik ogranicza się w swej geniturze!! W przyroście dzieci! Tam muszą dbać o niego, bo go mało. Tam jest już w mechanicznej szufladzie porządnie ułożony, a my tu?!

Krzyczał piskliwym głosem: — My tu modlić się dopiero musimy, by nas nie obracali brudnemi widłami, tylko maszyną czystą! Tu się dopiero modlić trzeba do ich przeklętej przyszłości, żeby nas aby dla niej zechcieli zachować!

A gdzież tu strejk? A gdzież tu sprawa bezrobotnych? Przemówienie takie nie podobało się nikomu.

Tymczasem Martyzel był już niedaleko celu: miał przyjść do słów samego Maltusa, od Maltusa do obrządku katolickiego kościoła, stąd do nowej wiary księdza Kani, — choć zbyt wiele pracy żoninej pochłaniał ów Kania.

Towarzysze, którzy mieli zaufanie do podłużnego światła na wysokiem czole Martyzela, zawiedli się ogromnie. Taka ma być przemowa wilka strejków westfalskich?!

Zrazu zgiełk tylko, liczne prześmiechy i tu i za

drzwiami. Okrzyki: — Nie rób, stary, dzieci, kto ci każe?!

I wołania — Tylko patrz, żeby żonie nie zarosło! Rozmaite wołania najprzykrzejsze.

Krótki ryk posła Drążka, jakby ktoś belkę zwalił na podłogę:

— Dosyć tej sromoty!!!

Jeszcze się ludzie po głowach i po udach klepali, jeszcze rechot rozgłośny hulał pod sufitem, jeszcze poseł Drążek przeganiał wybitne swoje słowa, jeszcze oczyma fiksował Kozę na odległość, — no, jakże postępowanie takie inaczej wyrazić?! Ścierwo, nie sekretarz, ścierwo! Niby się marszczył domyślnie, gębę na sposób gumelastyki wykręcał, a gdzie jest zadęcie reakcyjne, po którem rozpłynęłaby się celowo oliwa poselska?!

Jeszcze ludzie i poseł huczeli i wzbierali i wciąż zgiełk wynosił się, gdy nad te zgiełki i wrzawy wytrysnął głos Supernaka.

Pazury wbił Supernak w ramię górnika Martyzela, niby jastrząb w zajączka, i przemówił donośnie za wszystkie krzywdy. Jeszcze te ściany mowy takiej nie słyszały! Sypało mu się z ust tyle głosu, takiej twardzizny, takiego zgryzu, takich świstów żelaznych.

Któż mógł spodziewać się, że stary portjer, Supernak, przejdzie na stronę komuny?!

Poseł Drążek rejtanem dęba stawał, co drugie słowo, pięściami wymachiwał, a zapału supernakowego nie przemógł.

Portjer żądał, aby do Rady Kopalń i Hut wcale nie

iść! Rozłożone chrystusowo ramiona Martyzela kikutem swoim poutrącał. Żądał, — wszystkich bezrobotnych zaraz do Związku zapisać, co było przecie jawną stawką komunistów!

Żądał zwyżki dwadzieścia procent od płac wszystkich, a jak nie — to strejk!

Rozpękły po tem słowie drzwi od bezrobotnych. Wionęło mrokiem, kurzem, skłębionym łachmanem, roztarło się od wrzasku powietrze całe i gdzie teraz jakie wołania i parlamentarne sposoby, albo porządki dzienne i tym podobne!

Jakby przez drzwi ktoś lunął do izby skrzynią ogromnych śmieci, krzyczących ludzką mową, dymiących stęchłym żarem i wilgocią.

— U mnie kłamstwa niema! Niema!! Niema!! Niema!!

— Pójdę pod pociąg z dziećmi!

— Mam już dziury w rękach!

— Jest nas sześcioro w domu. Już my się wyczerpali!!

Takie to były okrzyki i inne jeszcze i różne i przeróżne, rozgłośne, terkoczące o wszystkiem, — o poświadczeniach właściciela domu do magistratu, zaświadczeniu fabryki o redukcji, — właściciel nie da, póki komornego nie opłacisz, dzieci psami szczuje!

Zrobiła się ogromna zawierucha i męt, brzęk, kotłowisko, jedna szeroka miotła ramionami ludzkiemi wiejąca.

W krzyku tym uszkodzona została ampla biała bez cienia i połamano krzesła i stół się zapadł — jak z papieru. Poseł Drążek przeszedłby nad tem uszkodzeniem

Domu do porządku dziennego, gdyby za tę cenę udało się wyprowadzić z sali delegatów i uchronić od teroru. Ale delegaci przycupli, przykucli jakby wody do gęby nabrali, tylko słaniają się, kiwają, przecierają przez tłum na wsze strony, że niby nic niewinni, — a gdzie męska decyzja?!

Poseł spróbował ostatniego środka: huknął straszliwie:

— Po jakiemu to gadacie do mnie, ludzie?! Po jakiemu?!

Okrzyk niewiele znaczył, lecz mógł niejednego zastanowić. Równocześnie wysłał poseł wzrok domyślny w stronę Kozy, na drzwi ukazujący. Niechby sekretarz skupiał delegatów koło siebie i z sali wypychał.

Koza zrozumiał, przyskoczył do drzwi i jął kręcić przy zamkach.

Zacięło się, — cholery ślusarze, cholery istne! Taka była pierwsza myśl Drążka w tej chwili. O ślusarzach. A druga w odpowiedzi bezrobotnym: jak zeszłego roku, na gwiazdkę kartki z magistratu dostali, to je dzieciom na czekoladę w sklepie wymieniali. Trzech takich było wszystkiego, — dobre jest i trzech!

Myśli tej nie dali posłowi wykorzystać bezrobotni. Wołał aż mu oczy nawierzch lazły:

— Jak tak do mnie gadacie, toście trupy! Towarzysze delegaci, nie zważamy na te incydenty, proszę za mną. — Głową wskazywał drzwi, przy których szarpał się bezowocnie Koza, lecz bezrobotni zewsząd opłynęli posła, ciżbą swoją delegatów na cząstki rozdzielając.

Każdego kilkunastu.

Drążka zaś wszystkie baby w pierwszym rzędzie. Babom przypisać trzeba nieszczęśliwe zakończenie zgromadzenia. Gdy już kilku delegatów dopchało się do posła, ta sama, co wrzeszczała ciągle — „Jest nas sześcioro w domu“, — chudsza niż śmierć, jak się nie udrze nagle:

— Nie uciekniesz, draniu, z tego domu! Za ten dom-eś nas sprzedał i znowuj chcesz sprzedawać, chamie z bruzdy!!

Poseł Drążek oparł się pod ścianą o czarną tablicę (jeszcze wczoraj samorząd na niej wykładali w cyfrach). Gdy się oparł i oczy jakoś po hrabsku zmrużył, baby zakipiały.

Powstał w pośle ostatni zamysł — jaka jest inna rada na tych ludzi: delegatów kopalnianych przez Radę Kopalń i Hut, przez Kostrynia samego zamienić pomału na innych...

— Toście trupy? Rozumiecie: toście trupy!

Machali przed nim rękoma. Dopuszczał pod nos, podchodzili, pod sam nos, a potem odpychał. Nazywało się — odpycha, lecz granica odpychania dla prawdziwego posła sejmowego jest szeroko rozciągnięta. Ogromnemi pięściami walił we wszystko miękkie, gdzie popadło. Bił. Krzyczał: — Starczy mnie na was zawsze, — ślepł od potu i bił.

W tem rozgrzaniu dopiero przyszła mu myśl najlepsza i najlepsze lekarstwo:

— Z waszej ciemnoty ten dom stanie, hycle z waszej ciemnoty. — Rechotał doniosłym, mocnym śmie-

chem. Miał ten śmiech przeciw komunistom i na wszystkie wyjątkowe okazje w pocie czoła wyrobiony: murowany śmiech społecznej wytrwałości.

Tylne drzwi otwarły się ze szczękiem, znikł w nich Koza, delegaci skoczyli w tę stronę, oblepieni ciżbą bezrobotnych. Drzwi zatrzasły się za Kozą i już nie ustąpiły.

Sekretarz dyszał, — w szczęśliwej minucie ocalenia. Przyłożył ucho do drzwi. Nasłuchiwał. Słychać było i tak, na wszystkie piętra. Serce mu biło wysoko, — w gardle. Nie można się doliczyć wszystkich korzyści: — Drążek bez wyjścia...

Izbę chyba rozwalali?!

Zbiegł nadół. Na podwórze. Na Bramę. Z podwórza słychać było jeszcze garus posiedzenia, z bramy nic. Ulica Przemysłowa rozciągała się, jak zawsze od góry wdół, od Szkoły Sztygarów do kolejowych świateł żeberka między Katarzyną a Erazmem, błotnista, czarna.

Koza wyrzekł do złotych połysków na błocie: — Połyski szczęścia.

Nie śmiał obrócić się wtył. W tyle stał Dom Ludowy, który już chyba przestał należeć do Drążka. Kapitał z posłem, co nie ma zaufania klasy robotniczej, sam się pięknie upora... I — radzić odpowiedzialnie z kapitałem, którego okna świecą naprzeciw, w Radzie Kopalń i Hut, będzie nie kto inny, lecz sekretarz Koza!

Z kapitałem!

Z panem dyrektorem Kostryniem, który codzień rozjeżdża limuzyną.

Koza szczękał zębami ze wzruszenia.

Zapóźnieni przechodnie mijali w obie strony. Dzwonek drzwi wejściowych restauracji Cieplika jęczał uprzejmie, — a oto na klubowych fotelach siedzą, — dajmy na to, — siedzą, — muszą siedzieć — pan dyrektor Kostryń i pan sekretarz Koza. Ten sam, panie dyrektorze, którego na kopalni Erazm dozorca bił po gębie, kopał w tyłek, poganiał za wózkami! Przepraszam, pana dyrektora, — to ten sam! Siedzą, światło z góry prószy delikatnie. Otwierają się drzwi, wchodzi panna Zuzanna, na srebrnej tacy wnosi mrożone wino, — szampan, — gdyż w czasie narad mocno w gardle zaschło.

Nie dokończył tej myśli, poskoczył przez jezdnię. Drugą stroną ulicy, wracał pod murem, skulony Mieniewski. Koza objął syna leadera, konspiracyjnie zaciągnął do Domu Ludowego, do małego pokoiku w lokalu drukarni. Do tego pokoiku, gdzie pierwszy raz się widzieli, przed biurko, na kanapę, nad którą trwały ciemne koła pionowo ustawionych rowerów.

Wręczył tu Tadeuszowi uroczyście raglan, w całości odebrany murarzom, wcale nie uszkodzony. Poczem uświadomił się, co do obrażeń ciała. Już przeminęły. Wiedział to zresztą od Knote. Trzymał rękę na pulsie całej tej rekonwalescencji.

Oczywiście!

Poczem zaniósł szeptem prośbę do syna leadera, przysiadłszy się obok. Tak, — sprężyny tej kanapy są sfatygowane, cały Związek Górników przesiaduje tu gremjalnie, częściowo też i metalowcy. Mają chyba o czem myśleć te sprężyny?!

Sekretarz spojrzał na Tadeusza z dołu do góry wiernem spojrzeniem i westchnął, a raczej westchnęło mu się cichą, praworządną radością.

Poczem dopiero zaniósł swą prośbę, drogą dookólną.

— Wiadomem przecie jest powszechnie, — zaczął, — że zostaliście tu, by dzieła ojcowskiego dopatrzeć. Dopilnować! Słyszycie ten szum w gmachu? Na górze? To delegaci kopalniani i bezrobotni. Biją się z Drążkiem. Bo Drążek wszystko zepsuł i nie ma teraz niczyjego zaufania. Takich obcesów nikt nie może wytrzymać! Do strejku doprowadzi za dwa dni. Delegaci rozsypali mu się w rękach. A strejku wcale nie potrzeba, u-u-u- jak nie potrzeba!

Na dowód żałości ujął sekretarz obie dłonie Tadeusza.

— Teraz Drążek nie daje gwarancji. Ale możecie waszemu tatusiowi napisać, że ja daję gwarancję całkowitą. Ja, towaszyszu, rozumiem ewolucję...

Na dowód czego westchnął.

— Ja, towarzyszu, doszedłem teraz nareszcie do pracy biurowej. Ewolucyjnie. I wierzcie mi, ja tę pracę biurową całuję po rękach i nogach, jeżeliby takowe miała! Ja, towarzyszu synu leadera Mieniewskiego, nie jestem człowiekiem, wychowanym w cieple, na prześcieradłach, w częstych zmianach bielizny! Pracowałem pod batem, do ostatniego tchu.

Na dowód czego przyłożył sobie ręce Mieniewskiego do piersi.

— W maleńkości u żyda za pięć groszy dziennie: rozkręcać morską trawę do materaców. Palce się wam

od tego podrą do krwi. Potem nurzali człowieka pyskiem w rynsztoku, wiele razy. Potem towarzysze pomylili się i z fałszywego donosu zbili kamieniami. Nogę przetrącili. — Czegom się uczył? Tego, com zdążył kraść. Na tym samym Erazmie w wodzie pod ziemią stałem na rozpuchniętych nogach. Cały dzień woda lała się na plecy... Ciskałem wózki dwanaście godzin na dobę. Więc ja, towarzyszu, rozumiem biurową pracę, gdy nikt nie pędzi kijem do roboty! Więc ja się z tego zwierzam wam...

Koza zapłakał.

— Więc, towarzyszu, gdy mi już zorza pracy biurowej zajaśniała, wiem, że nie można robić przykrości ogółowi. Drążek dopuści, — a ja do strejku nie dopuszczę. Ja za murami partji, — wykrzyknął groźnie, — wytrzymam do śmierci. Więc napiszcie, że tu innego posła trzeba przysłać. Albo tu ustanowić zastępcę całkiem innego. Całkiem nowego człowieka.

— To się załatwi, — upewnił go Tadeusz gęstym, śpiewnym głosem. Głosem ojca. Głaskał Kozę łaskawie po włosach. Wydało się Mieniewskiemu, że musi teraz okazać taką właśnie serdeczność. Ojciec z pewnością nigdy tego nie potrafił. Trochę kochanej, poczciwej serdeczności. Było to kwestją dżentelmeństwa. Czyż taki Koza i tysiące i pokolenia wszelakich Kóz nie pracowały wkońcu na domowe puchy, prześcieradła, bieliznę i szkoły Mieniewskich?

Z punktu widzenia amerykańskiej dosłowności, buddystycznych trzech minut, — trzeba być w tym wypadku dżentelmanem.

— Otóż, moi kochani, — Tadeusz wstał, strząsając z siebie nie bez wstrętnej żałości objęcia Kozy, — możecie być zupełnie spokojni. Zrobię z tem wszystkiem doskonały porządek, zobaczycie.

Wyszli, — klatka schodowa trzęsła się wciąż jeszcze w drżeniach dalekiego tumultu.

— Rany boskie, uwędzą tam Drążka, — zaśmiał się Koza, przynikając pokornie do ramienia Tadeusza.

Minęli jezdnię przy ulicy Przemysłowej, przed koślawą furtką pani Knote ucałowali się w ciemnościach na pożegnanie. Niedobrze jakoś, usta się nie spotkały, tylko jeden drugiemu zaślinił twarz zimnem wilgotnem.

Pani Knote krzyknęła z przerażenia na widok Tadeusza.

Dwie godziny już siedziała przy świecy, naprzeciw tych garnków tajemniczych, licząc drżącemi ze strachu palcami frendzle swej wełnianej chustki.

Na rozkaz Dyrektora, który włada światem, — od ulicy Sobieskiego aż po wodą zalane Zielone, na rozkaz Feliksa Kostrynia, — na twój rozkaz Feliksie, na twój, — może śmierć własną mam rękami własnemi wyciągać?!...

— Czemu pani tak krzyczy? — Tadeusz zapalił elektryczne światło w pracowience.

Z chustki, ściągniętej na piersiach wychyliła się twarz akuszerki, sina z przestrachu.

— Czemu krzyczę? — wargi Knote drgnęły, by się uśmiechnąć, lecz uśmiech zamarł w martwych płaszczyznach oblicza. — Tu, u nas, w Osadzie Górniczej, w zagłębiu, każdy mieszkaniec musi tak czasem pokrzyczeć — z samotności...

3

CUDA KSIĘDZA KANI

Znaczyła mu co ta dziewczyna? Nic! I nie byłoby może wcale o czem myśleć, gdyby nie owa pustka żarliwa, wionąca przez piersi Tadeusza. Po obiedzie o niczem już nie myślał, prócz o jednem: gdzie znajdzie drzewka owe za wodą, na Zielonem? Podchodzić będzie cichcem od strony kładki, a jakie głosy przelecą przez powietrze, żeby chód zgłuszyły? Zbliży się na trzy kroki, — wtedy właśnie z pod cienia uschniętych gałęzi wybiegnie Lenora!

Lenorka zawstydzi się na widok tak pięknego raglana!

A co nastąpi potem? Tadeusz nie myślał, co nastąpi, wiedział bowiem i zawczasu na sobie czuł mocne, drżące objęcia!

To nastąpi! — Więc śpieszył w tym raglanie z atłasowemi cukierkami w kieszeni, — sam jednego nie ruszył, choć po nędznym obiedzie Knote jeść mu się chciało bardzo.

Kładeczkami i w ostrym wietrze i w tysiącu pogwizdów najróżnorodniejszych maszyn i w głuchym ter-

kocie kolib wracających torami przez lasek i przez martwe wizerunki świata tutejszego w zgęstniałych wodach, przybiegł na miejsce wyznaczone, — gdzie nikogo nie zastał.

Z oddali, z baraków pokozackich dolatał chrobot biedy ludzkiej, nawprost skrzyły się brylantowe światła kopalń i wież wyciągowych, lecz pod umówionem drzewkiem — nikogo, tylko wiatr trącając uschłe liście przebierał sobie i fruwał po rozstaju małej dróżki ciemnym, nikłym kosmykiem.

Dopiero w tem czekaniu i twarz do spierzchłej kory drzewa przyłożywszy, dopiero w gwizdach jesiennego powietrza miękkich i nieskończonych zdał sobie sprawę, że nigdy nie czekał tak w życiu i nie szumiało w nim tak jeszcze i taki poryw nie pędził...

Gdy oto, — Tadeusz nie mógł sobie potem przypomnieć, jak się to stało: gdy oto nagle, z za drzewa, tuż przed widzącemi dokładnie oczami, zjawiła się twarz inna od wyglądanej, a przecie podobna, jakby Lenorka patrzyła męskiem obliczem gniewu i srogości.

Był to brat. Brat, Duś Jan, sygnalista, który mówił przez szum gałęzi:

— No, to mnie wydaj, wydaj teraz. Teraz wydaj.

Słowa poleciały w mrok i zawróciły, jakby nie chcąc mijać.

— Kto cię ma wydać, na ten przykład?

— No, ty, obrońca, — patrjota. Obrońca ładu.

— Mogę cię nie wydawać.

— Zrobisz, jak ci kazali.

— Mnie tu nikt nic nie każe.

— Pan porucznik. — Duś zarehotał.

— No, to co, — że porucznik?

— Obrońca ojczyzny. Może szpiclować i zasypywać może. Wszystko mu wolno dla ojczyzny. Pan porucznik.

— Co mi tu gadać będziesz od poruczników?!

Jak się stało, że znów „ty“ do siebie mówili? Jak się stało, że po tak długim wstępie zwierzenia nastąpiły? Że sobie wcale do gardła nie skoczyli, lecz przeciwnie serca wzajem otwierali.

Prawdą jest, że coś niecoś mieli przecie za sobą. Bitkę w śmierdzącej jatce. Podczas wiecu.

Tadeusz ze swej strony podejmował rozmowę tę stropiony bardzo, nie wiedział bowiem, czy sygnalista kombinuje o siostrze swojej, czy też nic? Narzucał się na gadanie, byleby zakryć rzecz właściwą, to jest sprawę randki.

— Cóż tu na mnie szczekasz, dziadu, od poruczników i od ojczyzny?! Co ty możesz o tem wiedzieć? Nie twój interes!

Gadali przez pień, twarz naprzeciw twarzy, jakgdyby drzewko nieudałej schadzki było granicą dwóch innych, wrogich światów.

Tadeusz, — szczerze, wszystko. Jak się porucznika dosługiwał, jakim trudem, cierpieniem i śmiercią i krzywdą i poświęceniem. W jakich wszach, w jakim głodzie i chłodzie. Dla ojczyzny. I gdzie ma wobec ideału ojczyzny takie szczekania cywilnych ciur. Co też sobie z nich robi? Bo co tacy zakuci, ciemni ludzie wiedzieć mogą naprzykład o sławie i honorze?!

— O tych rzeczach!

— Nic nie wiedzą, — zaśmiał się czyściutko Duś. — Nie mają czasu. Pewno: nie mają czasu.

Wyszła historja naprzeciw historji, spotkały się pociemku i losy swoje obejrzały.

Podziemna historja Dusia Jana, sygnalisty z Erazma, kiedy wcale nie był jeszcze sygnalistą, lecz w pełni sił młodzieńcem, pracującym na kopalni, jako pomoc pierwsza górnika.

Losy, wypowiedziane suchemi wargami a twarzą nieruchomą, sztywną, jak oblicze miedziaka. Słowa przerywane okrzykiem naglejszym, niż uderzenie pięści.

Ludzie pracy, tu w zagłębiu, jak wszędzie chcieli straszną krew wojny zatrzymać wielkiemi strajkami na kopalniach. Waszą niebieską krew porucznikowską! Za to popadli wreszcie, ma się rozumieć, na zsyłkę do obozów koncentracji. Tam zdychali wiernie z głodu dla dobra ludzkości. Poczem nastał rozruch europejski, otwarły się więzienia i obozy, ludność cała wyległa na drogi. I cóż ta ludzkość? Każdy swoje zaczął łapać i znów gromadzić pod siebie, tylko jeden Lenin pomyślał o ludzkości.

— My się tymczasem z rewolucją właściwego człowieczeństwa kierowali do kraju przez kordony, granice i straże. I cóż nas tu spotkało w ojczyźnie, prócz bujania? Do milicji ludowej przystali my za rewolucję.

Duś Jan z niezagojoną jeszcze pachwiną po postrzale na Węgrzech, w której to pachwinie dotąd żyły ułożyć się nie mogą.

— Z milicji przeodziali nas na wojsko, na kresy,

bić mniejszości — taka to była cała rewolucja człowieczeństwa.

Duś zionął gniewem ogromnym, choć nic szczególniejszego nie powiedział, wiadomo było wszystko, gdzie teraz jest: że wśród komuny się uwija i ciałem i duszą.

— A teraz powiedz, — przedrzeźniał się Mieniewskiemu obleśnie, — powiedz jeszcze, że mnie przekupili?!

— Mieli co przekupywać! — Obce były te sprawy Tadeuszowi, zapalały jednak tajemne pokłady myśli już uśmierzonych, pogrzebanych, może nigdy nieżywych, więc czemuż nagle tak czułych, tak palących, tyle razy przeciw ojcu kierowanych, przeciw życiu, przeciw wszystkim porządkom?!

A jednak wołał przez mrok do Dusia: — nieprawda! I powtarzał srogo: — Ja ci pierwszy przeszkodzę... I terpał go za ubranie, krzycząc: — Tylko spróbuj!

Najdziwniejsze, — że objęli się, sute ramię raglanu na wyświechtanej rzadziźnie kapoty. Poszli kładeczkami przez pola, zakrętem wkoło starych hałd, rozpaleni przedziwną miłością wzajemnej nienawiści.

Tadeusz wyrzucał sobie, iż przemilczał sprawę osobistą. Jakże tak? Tu z tej strony idee, a tu znów ciało twojej siostry mam i rozkosz z niej czerpię?...

Przemilczał o tem. Dał się tylko namówić do uczestnictwa w wieczorku u starego Supernaka. Zaraz teraz.

Nic tam takiego nie będzie. Trochę ludzi, oczywiście swoich. Kania, ksiądz, — wypuści radjo. Założone u Supernaków. Całego kramu nie na długo, gdyż przyszło nagle zamówienie, dla okrętów. Dla dwóch. Ko-

palnia idzie na trzy zmiany, ludzie głowy tracą i portki gubią, tak lecą na godzinę.

— Chodzi tu tylko, żebyśmy się poznali. — Duś wypowiedział to twardo, rzetelnie, z wielkiem zobowiązaniem. Powieka mu nie drgnęła nawet, że Mieniewskiego do Supernaka na przesłuchy prowadzi.

Bo wszystko dzieje się dla sprawy proletarjatu, wobec której życie jest niczem, razem z wszelką prawdą.

Skierowali się drogą wczorajszego spaceru Tadeusza z Lenorą. Koło baraków, a potem przez zmarznięty, chudy lasek, siny od niepewnych ciemności. Niedaleko domostwa, gdzie mieszkały Szymczyki pospołu z Supernakami, — oszczekał ich Buruś mokry i szary, niby gruda błota, wszędzie tutaj powszechnego, jeno wesołym psim głosem władająca.

W sionce przywitał ich Supernak. Wielkiej radości z odwiedzin nie wyraził słowami, lecz zgrzytaniem wewnętrznem, bardzo uprzejmem.

Z sionki, wyszurawszy nogi o podłogę, udali się do izby. Prowadził Supernak, uwiadamiając rozważnie o niskich drzwiach i wyłamanym progu.

Gdy weszli, jął coś ścierać z siebie tą jedną ręką, przesłaniając przytem widok izby.

W izbie pachniało świętem i chorobą. Dwa zapachy skłócone, — uroczysty i zgniły. Część gości była już na miejscu. Od łóżka Supernaczki rzucali gęsty cień Martyzelowie.

Właśnie z powodu Martyzela nie tak wypadło przywitanie syna leadera, jak trzeba było oczekiwać. Albowiem starszy górnik przemawiał, mądrością swą, oczy-

taniem, jak to już nieraz, — przynosząc pocieszenie chorej. Pocieszenie świeckie, a nawet wyłącznie klasowe, lecz czemuż to klasowe ma być gorsze od innego?!

Rozmowa ta wynikła oczywiście z przybycia okrętów do Gdyni i odnośnego ładowania pociągów węglem.

Supernaczka śmiała się zwiędłemi wargami i zaraz, — że taki dyrektor, niechby nawet Coeur, wypatrzy, czegoby żaden robotnik nie wypatrzył i jak się nazywają te okręty? I zaraz, czyby już nie było dość ze wszystkiemi słuchami o strejkach? Gdy tyle umiejętności jest w takim dyrektorze?! Bo, — gdzież dalekie oceany, a gdzie kopalnia Erazm, a jednak drogę do siebie znaleźli!...

— Nikt lepszy od robotnika, — właśnie to mówił teraz Martyzel na pocieszenie Supernaczki, — nie może za niego działać ani robić. Tylko on sam. Kim zaś dziś jest ten robotnik, prócz, że jest tanią siłą fizyczną? Jeszcze, niestety, nikim! Żeby pozostał kimś, zdobył wiedzę i swój obrót współczesny, — nie zdąży w swoim losie robotniczym!

Kobiety słuchały bez ruchu. Martyzelka obok łóżka na krześle, w czemś popielatem, Supernaczka żółtą twarzą uśmiechnięta w chmurach pościeli. Szymczykowa przeszkadzała poniekąd, obok czerwonych blach nagrzanego pieca. Roztrzęsiona mnóstwem nieszczęść szykowała szklanki, które dźwięczały ustawicznie głosem przegarnianych w wodzie baniek.

— Dążyłem i ja, — prawił Martyzel, — aby nie

być tylko siłą fizyczną, opancerzałem się wiedzą w oryginale i cóż?! Niby, — wilk strejków westfalskich! A jak przyjdą dzieci — gdzieżeś! Nie jestem już wilkiem. Każdy człowiek, gdy ma dzieci, staje się jagnięciem. Tu więc jest odrazu pierwsze załamanie naszego losu.

Skończył. Można było oglądać skutek pocieszenia na twarzy Supernaczki. Skutek odwrotny. Zamiast smutku przez żółte jej policzki zorza świeciła.

Martyzel objaw ten nazywał — radością niewolnicy.

Podłogi pomyte, w obu izbach dobrze umiecione, Szymczykowa dopilnuje herbaty, — siedzą goście, snują uczące rozmowy, a jeszcze księdza Kani spodziewają się wszyscy, a jeszcze drugi pokój otwarty, czyli muzej, w którym zgromadziło się tyle pięknych mebli, dlaczegoż nie miałby się człowiek uśmiechnąć do tej chwili?!

Muzej, czyli wszelka oszczędność z tylu lat, czyli — główny dowód życia!

Do tego obie lampy zapalone, tu zwykła, a w muzeju, dla większego uczczenia księdza Kani, wisząca. Po trzeciej żonie. Złośliwi powtarzali, że portjer ożenił się wtedy dla tej lampy.

Lampa duża, z piękną klamrą, twarzami wygniatanych aniołków wpatrzona w cztery strony świata. Supernaczka za dobrych czasów szycia powiększyła jeszcze to bogactwo, przysposobiwszy na klosz zielony prześliczną baletnicę, z bibułki i z resztek różowego jedwabiu.

Taki to dowód życia: gdy nie myślała o małżeńskich sprawach i na męża nie patrzyła, — czuła się jakby w pierwszych dobrych służącowskich czasach, niczem w dzień imienin pani, a tymczasem swój własny... A tu jeszcze ów nowy gość, syn pana leadera, może nawet z hrabiów, w takiem palcie bogatem. Więc od zmartwień głębokich i od takich zaszczytów bliskich mogą się chyba łzy w oczach człowieka zakręcić.

Spłynęły lekko po policzkach portjerki, podczas gdy Supernak najważniejszego gościa, młodego Mieniewskiego, przeprowadzał do muzeju, ze słowami:

— Pieniądzom żadnym nie wierzę, ani papierom, ani czemu, a przedmiotom takim wierzę.

Własnym porządkiem rozstawione stały na zawsze w pamięci portjera, że mówić o nich już nie potrzebował, ani myśleć, skoro je czuł w sobie. Jeżeli mówił o tem, to jedynie z powodu Mieniewskiego.

Tadeusz walił dość obcesowo w siedzenia bambusowych krzesełek i wołał z nadmiernym może uśmiechem:

— A więc to tutaj stoją te piękne bambusy!

Co miało znaczyć wołanie o bambusach? Co komu do tego?

Ani jeden ślad przykry nie okazał się na obliczu Supernaka, sprószonem lśnieniami baletnicy z nad lampy. Supernak śmiał się ku złotemu światłu i tylko ścierał z siebie pośpiesznie niby kurz, niby proch, niby nic.

Miał do wytłumaczenia w cztery oczy synowi leadera, jako tej samej przecie poselskiej krwi i wszemobecnemu świadkowi ostatnich wydarzeń w Osadzie

pewną rzecz, — bardzo przekonaniową. Miał do zrzucenia wielki ciężar ze starego robotniczego serca...

Czynił to szeptem nieskładnym, z pośród którego spółgłoski pryskały obfitą śliną.

Przez ów szept słychać było cichą rozmowę, toczoną przy chorej w pierwszej izbie. Tu mówisz, człowieku, za stołem, a w kierunku żony nastawiasz uszy, a jeszcze inną stronę borujesz myślami. Po owej stronie, trzeciej, — snują się Kostryń z Coeurem, naprzeciw siebie, a od czasu nowego księdza na Zielonem — sam kanonik?...

— Więc co do tego, proszę pana, czy też jakoby, — proszę wa s, szanowny towarzyszu, że tu oto zachodzą fakty nieszczęśliwe...

Portjer wyspowiadał się, — jako to występ leadera odwrócił go na starość od organizacji. I od takiego mdłego socjalizmu. Bo nie są to już na teraz sposoby żadne.

— Wiedzcie, towarzyszu, — Supernak odął się ponuro, — że to ja wczoraj wywracał posła Drążka na zgromadzeniu delegatów kopalnianych. Które to wyznanie składa się tu w obliczu kilku jeszcze lat, które człowiekowi do śmierci pozostają. Tak jest, a nie inaczej i taki jest świat.

Zachlupotało w Supernaku niby od łez uwięzłych.

— Skoro się prawdą życie zaczęło, no, to jak? Prawdą trzeba kończyć?! — Wyrzekłszy, zapadł pod atłasowemi połyskami spódnic baletnicy w olśnienie świątobliwe. Aż nim trzęsło od prawdy, a źrenice wywróciły mu się wgórę, że patrzył samem tylko wą-

skiem światłem białek, ledwie widnych z pod drżącej powieki.

— Po tylu, tylu latach wiernego socjalizmu i całkowitej przynależności partyjnej, nie jest przecie człowiekowi łatwo!

Mieniewski ze swej strony — nic. Patrzył po pańsku, inżyniersku, jasnym a nie widzącym wzrokiem dokoła wzdłuż muzeju na porcelanowe figury za toczoną drabinką kanapy ustawione, na wypchaną głowę sarny, na lustro krągłe w złotych ramach, na karła z gipsu w zielonych portach, z siwą, srebrną brodą, nawet przy lichtarzach srebrnych nie przystanął. Tylko dalej: spoglądał martwo na obrazy gładkim glancem drukowane, na krówkę z alabastru, która zamiast nóg przednich trzymała się na tutkach od papierosów.

Włoski aksamitu czesał palcami wzdłuż stołu, aż wreszcie, — Pocóż mówicie mi to wszystko?! — zawołał.

Więc Supernak wziął się do tego wszystkiego znów inaczej. Jął dukać, wmawiać, ze wszystkich stron obśliniać i judzić, ględzić i mataczyć. Szeptem tak świątobliwym, że kamienieby od tego rozmiękły. Przecie wiadomo:

— Tato was tu zostawił, — dla dozoru. Na nastawnika! Nad Drążkiem. I nad nami. Nad wszystkimi.

Tadeusz przeczył coraz niecierpliwszym gestem. Supernak coraz pilniej nastawał i dudlił wciąż i czekał, nie wspominając słowa jednego, o czem wczoraj doniosła Lenora, że się gość z Kostryniem pono chamra. Ani słowa!...

— Na przesłuchy was tu tato zostawił i dla dozoru. Dla dozoru właściwego nad nami...

Wyrwało mu się z piersi, — jak z psiej piersi: radosny skowyt!

Tadeusz nie wytrzymał. Wszyscy motali tu go w jakieś tajemnice, domysły, podejrzenia! Wybuchło w nim, jak wczoraj, gdy mówił z Lenorą.

— Nie mam tu z wami żadnych interesów! Nic mnie to nie obchodzi! — I aby raz na zawsze rozproszyć domysły, ze złością i ze wstydem powtórzył to samo, co wczoraj:

— Jeżeli chcecie wiedzieć, to mam interesy pewne, ale nie z wami. Wprost przeciwnie, z dyrektorem waszym. Ściśle handlowe interesy. Z dyrektorem Kostryniem.

Twarz Supernaka, jakoby z własnych rysów naprzód się wysunęła.

Portjer skulił się na dźwięk dyrektorskiego nazwiska, niby w brzuch ugodzony. Trwało to nie dłużej, niż sekundę. Potem jakby zapomniał. Znów trząść się zaczął w prawdzie swego partyjnego wyznania. Znów patrzył ślepo rąbkiem śklących białek i powtarzał od początku, wielkim głosem żałości, że musiało to być teraz słyszane przez Martyzela i przez Dusia, przez żonę i przez wszystkich — o swem rozczarowaniu w socjalizmie.

Za każdym wykrzyknikiem męża składała Supernaczka obie ręce na piersiach. Za każdym wykrzyknikiem mdliło ją, a przez głowę przechodziły myśli, których nie wyjawiłaby nikomu i nawet chyba księdzu Kani — nigdy...

Obecni przysłuchiwali się okrzykom portjera z dumą i radością, od której schło portjerce w gardle. Tak schło, że chyba Buruś odczuwał, gdyż wzdrygał się przy piecu.

Czyż nie milej było mówić o wyzdrowieniu? O sposobach księdza zapomocą ziół, któremi krwotoki hamuje, — jemiołą zwykłą, pokrzywą, albo rdestem.

Martyzel poprawiał cierpliwych okularów, Martyzelka chyliła twarz, oparłszy rękę całkowitym przypadkiem na dłoni Dusia, który czekał z tą ręką szczęśliwy, jakby mu sama prawda spoczęła na palcach.

Czyżby nie było lepiej zwierzyć się z największego zmartwienia i poszukać jakichś sposobów na nie? Zmartwienie to wypowiedziała Supernaczka słowami Kani, z wielkim wstydem, z rumieńcem na twarzy, z zamkniętemi oczyma:

— Jakby to oprócz ciała odrodzić się — w duchu?...

Od tego krew może się na nowo poprawić i siły przybyć mogą. Gdyż zdarzają się w takich wypadkach cudy?... — Twarz Supernaczki wydłużyła się w szpic, żarliwy i łakomy, jak u myszy. Usta zaczęły cmokać i ssać, niby płyny i soki zdrowotne, ukryte w atmosferze.

Marzyła, aby ją na łono kościoła swego nowego wziął ksiądz Kania. Supernak nie pozwalał.

— Zabobony, — zdaniem Martyzela, — nie licujące z współczesną chemją, zabobony.

Gdy wymawiała słowa — nowy chrzest, — z radości, czy z nieśmiałej nadziei ubywało zaraz Supernaczki w zarysach kołdry do rozmiarów małej dziewczyniny.

Niestety Supernak wiedział zawsze, kiedy się ma zjawić. Gdy zaczęła o tym chrzcie, już był w izbie, już wyszedł z muzeju, już się zbliżył ze śmiechem, od którego aż mu się włosy trzęsły w wielkich uszach i w dziurach od nosa.

Ze śmiechem: — Hu — hu — hu.

Ulubiona okazja prysła, zostawiając wśród wysokich poduszek przerażoną twarz Supernaczki. Bo gdzież się teraz udać dalej z tego łóżka?

Więc Martyzelka rzekła: — Leż pani spokojnie.

Martyzel zaraz nawiązał o chrzcie, zasadniczo obojętnym, — wolałby drogę człowieka zakończoną krematorjum. A Supernak z ojcowskim śmiechem, — iż matka pozostać musi w wierze, w której dzieci są ochrzczone.

— Leż pani spokojnie, — powtarzała cierpliwie Martyzelka, lecz chorą miotło, miotło aż pod ścianę wymiotło, skąd wpatrzyła się w męża. Całkiem bezsilnie.

Zęby jej wystąpiły z pod warg i tak została. W dziwnym bardzo, — uśmiechu przerażenia...

Byliby doszli do zawiłej rozprawy Supernak z Martyzelem, gdyż górnik przy lada okazji nastawiał Supernaka pracowicie na nowe tory i ulepszał, z czego zawsze wynikały drażliwe któtnie: na takiej kłótni byłoby się skończyło, tem bardziej, że nie mieszał się do tego Duś. Siedział, jak urzeczony i tylko wodził błyszczącemi oczami za Martyzelką.

Cdy oto śpiący Buruś poderwał się z pod pieca, zamerdał obłoconym ogonkiem i doleciał do drzwi.

Wokoło chaty rozlegać się jęło szmerem, pośpie-

chem, jakby biegnące na wyprzodki głośne tajanie. Tu chrupnie, tam się znów rozstąpi i znów zaszumi i drżeniem przeleci.

— Ksiądz Kania idzie, — wyrzekła uroczyście Martyzelka. Wyrzekła to z sensem podwójnym: Że już idzie i, żeby został godnie powitany.

Tak zawsze było, gdy nadchodził: Ludzie za nim biegali po nocy i za dnia, chciwi nauk, dziwności i cudów i całej tej postaci. Gdzie stąpnął, zaraz oblegali, a jeszcze u Supernaków, skoro tu dla chorej radjo zaprowadził i z powietrza podawał muzykę, mowy i głosy tylu krajów.

Różni chłopacy przybiegali aż pod same okna, stąd owe tajanie wzdłuż ścian.

Chora przysiadła na łóżku, smagłą twarz Martyzelki owiał rumieniec. Spojrzenie jej zbiegło w jakieś miejsce izby obecne a zarazem niewiadome.

Mężczyźni jęli się szykować, dłonie o spodnie wycierać, gdy otwarły się drzwi sieni pełnej ludzi.

Wszyscy ci sami: uczniowie księdza Kani (hodował ich na apostołów?!).

Machnik złodziej, i łobuz znany, teraz nawrócony, oraz Pstrokoński z wypłyniętem okiem, ułan, czy też marynarz, zawsze wojskiem od niego niosło.

Naturalnie — palacz Szymczyk, Lenora i Karolcia Domagało, — wszyscy bardzo śpieszni i weseli.

Niedarmo przecie Martyzelka mawiała, — ludzie za księdzem latają na skrzydłach!

A w sieni natłoczyło się! Z Zielonego, z baraków, nie sama tylko młódź, lecz i górnicy.

Ksiądz Kania zatrzymał wszystkich obcych łaskawem, lecz stanowczem słowem:

— I tak was izba nie pomieści. Musimy dbać o chorą. Zamknął drzwi.

Że zamknął drzwi? I takie słowa wypowiedział a nie inne? Że był w długiej sutanne i futrzanej czapce? Czy też, że wzrostem swym przewyższał tutaj wszystkich? Lub twarzą młodzieńczą opromieniał — to już miały być te wielkie cuda?!

Nie w tem były — a w ogromnej łaskawości. Martyzel nawet przyznawał: Kania mógł być obojętnym, dobrze płatnym kapłanem kapitału, gdy tymczasem macie!

Ksiądz Kania składał swój płaszcz na kuferku, wycierał nogi o próg i cieszył się z zamówienia na dwa okręty. Przez dwa dni pracować będzie Erazm na trzy zmiany, — może to jest zapowiedź lepszych czasów? Kto wie?!

Zapoznał się z Tadeuszem, oddawszy hołd należny zasługom leadera. Wszystkich zebranych, nawet tych, którzy tu z nim przyszli, powitał dookolnem spojrzeniem ogromnych piwnych oczu. Lśniły, jakby łzami nasycone. I już podszedł i już ręce do chorej wyciągnął.

— Ona tu jest, — powiedział, — ze wszystkich najważniejsza, gdyż najwięcej cierpi.

Cóż było w tem powiedzeniu niezwykłego? Nic. A jednak wszyscy się zawstydzili.

Tadeusz nie zdążył powiedzieć Leonorze nawet dobry wieczór. Przedziwna jakaś niemożebność rozpostarła się między obojgiem. Ukryli się w cieniu, aby chociaż

spleść ręce. Nikt tego nie zobaczył. Wszystko szło za księdzem.

Chłopski syn przecie! Mało razy sam o tem mówił bez ogródek? A gdy gestykulował, gdy jasnemi dłońmi wodził, — jakby tym ruchem samą powagę czcił w pustem powietrzu.

Rozpytywał Supernaczkę o objawy choroby. O stan zdrowia. O bóle, przypadłości.

Chora kwitła w pytaniach, kwitła!

Nawet Martyzel, — choć stał przecie na chemicznem stanowisku, że człowiek jest związkiem, — spotkały się węgiel, żelazo i woda, człowiek żyje, elementy rozeszły się i niema człowieka, którą to myśl nad własne życie kochał, — w tej chwili zapominał o zwątpieniu.

Owszem, — pragnął, by mu żona w nowożytności dotrzymała kroku, a jednak zaraz marzył z wielkiem dla słusznych przekonań zawstydzeniem, czyby nie było lepiej z żoną tą, jako dwie kruszyny ludzkiego zabobonu spotkać się w pomyłkach wieczności na szerokiej dłoni Boga, wytworzonego ciemnotą ludzką?!

Tak dalece wszystko szło za księdzem!

Prawda, — leczył tu ludzi. Lenorze poradził na piegi, Martyzela ratował w reumatyzmie. Dusiowi zdołał wepchnąć przepuklinę pewnego dnia. Każdego poił ziołami bardzo skutecznemi, że gdy potem zasiał swój ogródek, nikt mu już niczego nie tarasił.

Lecz mogli się nie leczyć, jak przedtem, nim tu nastał?!

Dlaczego szło za nim wszystko, — mówiła osoba,

która nigdy porad jego nie zasiągała, to jest Martyzelka. Nie przez leczenie szli, — lecz, że przebaczał.

Przebaczenia było w nim bez końca, ach jakby sam, — mówiła z rumieńcami na smagłej twarzy, — sto razy więcej zbrodni popełnił, niż my wszyscy.

Ksiądz Kania odwrócił głowę od chorej na nagłe słowa Dusia: iż ze względu na zamówienie dla okrętów nikogo nie może zbraknąć na powierzchni przy trzeciej zmianie, więc czasu zostało niewiele. A tu tak ważna sprawa jest do księdza!

Mężczyźni nie poparli Dusia. Ani kobiety. Każdy chciał nacieszyć się choć trochę innym światem.

Więc Szymczyki służyli we dwoje, on i ona. Palacz zredukowany, ileż mu tam jeszcze zostało dni, pięć? Przecierali spodeczki, nalewali słomkową herbatę do szklanek, roznosili cukier w blaszanem pudełku i wymawiali ostrożnie przed każdym gościem słowo — słódźcie.

Miałże więc schodzić tak czas na herbacianym przesądzie, albo też na muzycznej propagandzie radja?!

Ksiądz powstał, skierował się właśnie do swych aparacików, wobec czego wszystkie obecne kobiety westchnęły z wdzięcznością. Jął przebierać w drutach, sznurkach, szpulkach, zaginać i przełączać i supłać w politurowanej skrzynce i na oknie.

Tutaj zniósł owe graty, utwierdził i przyłączył, więc tutaj działało. Na stole i pod oknem.

Samo słuchanie przekręcania tych szpulek — a już od tego dech w człowieku zamierał. Jakby pośród sprężynek owych ułożone były głosy strasznych przestrzeni i coraz wysmykały się w gwizdach niecierpliwych.

A czuwał nad tem głośnik, jak mały księżyc światłem, zionący cudzym głosem.

Duś przeklął w sercu wszystkie obecne kobiety i nawet Martyzelkę, ślepo podlegającą księdzu. Co prędzej nastawił Pstrokońskiego na księdza. Pstrokoński musiał słuchać, bo miał zobowiązania wobec sygnalisty, jeszcze z akcji bezrobotnych. Machnik też. Organizacyjnie należeli przecież do „komórki".

Za nimi poruszył się Supernak.

Pstrokoński z Machnikiem przypadli do księdza, jak dwa łaskawe koty. Łasili się nieśmiało a żarliwie, wznosząc ku niemu swe drewniane gęby. Supernak zaś tak skubał, tak nagabywał, tak się cieniem własnym przerzucał, że Kania przerwał radjowe próby.

Kobiety pozostały przy chorej, — niech pogadają trochę o gospodarstwie, o kapuście z drożyzną, — mężczyźni skierowali się razem do muzeju.

Drzwi za sobą przymkli i nagle wszyscy jęli stąpać na palcach.

Cóż z zamknięcia, gdy tyle we drzwiach szpar?! Ściszyli głosy.

Supernak uderzył wzrokiem sygnalistę, sygnalista zaraz w Pstrokońskiego, Pstrokoński w Machnika, — na Martyzela w tych razach nikt nie liczył.

Duś wyrwał się pierwszy, — iż ksiądz winien wiarą swą i jej jawnem teraz na światło wyprowadzeniem pomóc konającej klasie robotniczej. W obliczu możliwości strejku, — westchnął aż zaświstało, — wesprzeć nastrój rewolucji.

Sygnalista mówił niby szeptem a tymczasem słowa

zgrzytały mu w zębach. Do tego wypiął piersi i wpatrzył się przed siebie — spojrzeniem przeznaczenia klasy robotniczej.

Do tego dodał: — Któż głosił, że religja współczesna musi być uwieńczeniem pracy? Któż głosił, że umęczenie obecne klasy robotniczej jest figurą Chrystusa?!

— Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych maluczkich, Mnieście uczynili, — potwierdził ksiądz Kania.

Gdy wypowiedział owe słowa z zupełnym spokojem, — choć to byli ludzie świadomi i wytrawni, jakby wiatr po nich przeleciał.

— Mnieście uczynili, — jęknął rzewnie Supernak. Zatrzęsło nim z wielkiego przejęcia, wywrócił oczy i patrząc ślepemi białkami jął się pierwszy ofiarowywać, gdy chodzi o ujawnienie nowej wiary wedle paragrafów — z podpisem własnym. Gdy trzeba nazwisk pierwsze swoje poddawał — Supernak Józef.

Że parafja tu powstała taka a taka, odrębna, tu ją ujawniają podpisy — Supernak Józef.

Machnik, Pstrokoński jęli się garnąć do całowania ręki księdza i tak go ze wszystkich stron wszyscy oblepili, żałosnemi twarzami wpatrzeni pod górę, — pod atłasowe spódnice baletnicy rozpostartej na lampie.

Kania słuchał tych prób, jak bolesnej pokusy. Czemuż to wyrwać chcieli termin ujawnienia nowej wiary i obrządku? Czemuż to ów Supernak, który bił żonę kijem do utraty przytomności, tak żarliwie składał tu swe nazwisko? Czemuż to Duś aż drżał z zapału, choć w nic sam nie wierzył?

Oto ów lud roboczy, trwożna figura chrystusowych cierpień, patrząca, jakby Chrystus patrzał, gdyby uległ pokusom Swej męki... To on, Kania, miał dźwigać Chrystusa tego z nędzy i upadku?!

Rozpostarł ogromne ramiona, jednem zagarnął Dusia, drugiem przyciągnął Supernaka, który nie przestawał kłapać o terminach ujawnienia.

— Zachciewa się wam, — rzekł Kania niemal przez łzy w głosie, — jawności ze względu na rewolucyjny nastrój. Ze względu na wasz strejk. Czyli za parę marnych groszy kierować dacie nawet wiarą?! Wciąż nic nie rozumiecie?!

Czyż nie pragnął, nie dążył do tego, by ich na apostołów poprzerabiać, na prostaczków, ubogich duchem? Czyż nie kładł serca wszystkiego w tę pracę, — by otrzymać odpowiedź, jak od Dusia teraz:

— Z czego się wiara wzięła, czyż nie z walki ludzkości o parę groszy?

Towarzysze zatłamsili co prędzej sygnalistę, gadał znów Supernak. O okowach o kopcącej łojówce rzymskiej, o zdzierstwie kanonika, o tym ludzie tutejszym, który z biedy ogromnej kona a umierać nawet nie śmie.

Możeby się byli i dogadali, ale oto nasłuchawszy się o tej niedoli, wypadł z za stołu na sam środek muzeju Szymczyk palacz, któremu jeszcze wszystkiego pięć dni pracy zostawało.

Wyrwał się, runął na kolana, wzniósł wgórę dłonie chorą wodą nalane, otwarł drżące usta — i okazało się, iż nie wie, o co prosić...

Tylko się tu na klęczkach oblał potem perlistym.

Wtedy to, — gdyby nie rozumieli różnorakiej techniki przyswojonej przez człowieka współczesnego, — możnaby powiedzieć, iż stał się cud.

Ksiądz Kania bowiem powstał i zawołał potężnie słowami Michała archanioła:

— Któż, — jak Bóg?!!

Przycupli, otwarło się milczenie, jakiego nie spotkać, żeby stu leaderów mówić miało. Duś ścisnął szczęki, jak do bitki... Martyzel zasłonił dłonią okulary.

Tymczasem radjo, na falę widać uprzednio nastawione, przemówiło w pierwszej izbie! Słowami obcej mowy, jakby z czarnych przestrzeni powietrza, sam szatan księdzu odpowiadał, przez druty współczesnego wynalazku.

— Duch nowego czasu, — rzekł odważnie Duś.

— Niema nowych czasów!! — Trysnęły z księdza Kani słowa — lawą. Olbrzymiemi rękoma pieścił puste ciało powietrza, przed siebie wpatrzony szedł z muzeju do pierwszej izby, wołając, iż jeden jest Bóg i jeden w Nim czas po wszystkie wieki nieustannie płynący. Że co było już, teraz jest, a co będzie, — już było, i niemasz żadnej przerwy w duchu!

Aż się ciasno zrobiło w izbie od tylu wielkich i gorących myśli. Kobiety szyje wyciągnęły, mężczyźni pod ściany ustąpili. Słowa obcej mowy umilkły dawno, z drutów snuła się tylko muzyka taneczna, łagodnie wirująca.

— Który to Bóg, — grzmiał Kania, — objawia się narodom i czasom ten sam zawsze, lecz pod różnemi za-

słonami. Których to zasłon uchylić dane bywa różnym szczepom i czasom. Z zasłon owych złość ludzka i pycha chce uczynić istności niezmienne, jedne wyższe od drugich, wiekuiste, po nad odmiany bytów wyniesione. A wam każe sycić Bóstwa owe pokorą waszą, łzami i krwią żywą. Otóż ludowi pracy, ludowi męki, czyli odkupienia danem jest na ziemi, by ukazał, jak wraz z nim, z jego pracą wschodzą i mijają coraz bliższe zasłony Prawdy, czyli, by zaprowadził w obliczu Boga Wiecznego równość wiary wszystkiej. I wierzeń i Bogów, którzy już byli i znów będą jeszcze, jak wy już byliście i znów będziecie!...

Takiemi słowy uwił się jeden pierścień ze wszystkiego. Nikogo nie było we wszystkiem i wszystko było w nikim. Jeden tylko Którego sławią miljony przypowieści wszystkich czasów. W których wszystko zasłoną jest i serdeczną figurą Boga-Prawdy. Pod Jego tchnieniem ludzie wraz z wszelką legendą płyną wiecznie, niczem lazur coraz czystszy!

Jakby żydzi Chrystusa na krzyżu nie męczyli, bo to wszystko zasłona tylko nowej prawdy, jakby nie było tej chaty, wilgoci i Supernaczki konającej i ciebie i mnie, bo to wszystko figura jednej myśli!

I tu stał się cud nowy:

Z wielkim trzaskiem pobliskiego, — ni stąd ni zowąd — auta, wpadła nagle do sieni osoba. Namacawszy drzwi, werwała się do środka w chustce na rozwianej głowie, — masażystka Knote!

Dosyć chyba dla wszystkich wyraźna — służka kapitału.

Werwała się na środek z okrzykiem: — Gdzie tu jest!...

Nie dokończyła. Na ramieniu jej spoczęła ciepła ręka księdza Kani.

Nie przerwał mowy. Ani muzyki nie przerwał blady krążek głośnika. Jakieś dziwaczne nowożytne tany dalekiego powietrza snuły się wciąż przez izbę, pomieszane z słowem księdza aż krwawem chyba od tylu prawd wieczności.

Zamiast dokończyć zdania, Knote drżeć jęła pod natchnionym dotykiem. Ksiądz Kania wspierał się na niej niby na dowodnym świadku swych rozpędzonych myśli.

Zadrżała pod brzemieniem straszliwej ciągłości tylu wieków, czasów i okresów. Rozstępować się jęło w sercu Knote jedno za drugiem, krzywdy i zasługi i nawet ten fakt straszny, iż parę godzin temu nie znalazła w przeklętych garnkach Mieniewskiego nic, prócz śmierdzącej mazi, którą zababrała sobie palce.

I nawet ów fakt drugi straszniejszy jeszcze, że tylko co, w rozpaczy skłamała Kostryniowi, wyznając, — jakoby w garnkach znajdowały się ciężkie przyrządy wybuchowe.

Jęła się trząść, pobladła, czyż można powiedzieć, że służka kapitału, czarny charakter tylu kobiecych spraw, masażystka Knote płacze, jak istota niewinna, czyli dziewica?! A jednak zapłakała głosikiem cienkim, aż dziw jak bardzo cienkim, — z tak bujnych piersi.

Takiego płaczu nie słyszeli jeszcze ludzie nawet tu, na Zielonem, gdzie można było słyszeć tyle, tyle różności.

I byłaby w nagłem zemdleniu padła, gdyby jej wporę nie ogarnęły czarne, mocne a litościwe ramiona księdza Kani.

4

NA BRZEGU PIEKŁA

Nazwisko dyrektora Kostrynia miało to do siebie, że gdy je człowiek pracujący usłyszał znienacka, — drętwiał. Tak się też stało u Supernaków.

Gdy zemdlona Knote wymówiła, wreszcie: — Dyrektor Kostryń wzywa pana zaraz, panie Mieniewski, — gdy dodała, że auto dyrektorskie czeka przy stawach, — wszyscy z pierwszego rzutu pomyśleli, aby się jak najśpieszniej stało zadość życzeniu dyrektorskiego nazwiska.

Jeden ksiądz Kania mógłby dalej kazanie swe prowadzić, ale przed kim? Jedni już raglan podają, drudzy patrzą po sobie trwożnie. Dla kogoż to kazanie?

Supernak z starym Szymczykiem, z Karolcią Domagało i z wystraszoną Leonorą odprowadzili gości aż do samochodu. Aby sprawdzić, oraz w niewytłumaczonej chętce, aby widzieć, jak będzie autu dyrektorskiemu do twarzy w grząskich błotach Zielonego?

Na śklącej wodzie czekało, — niczem klejnot.

Fuknęło, — postacie masażystki i Tadeusza pochyliły się wtył, potem zaś naprzód, — Knote mało nie spadła z poduszek na dno wozu.

— Trzymajże się pani do pioruna, — stęknął Tadeusz.

Nie na wiele zdała się ta uwaga. Siedzieć, czy też na dnie leżeć, jechać, czy też brnąć w błocie?! Wracać do pracowienki, czy też nigdzie, do Supernaków, Drążków, czy do niego, — dyrektora, — Kostrynia, — Feliksa, który dowie się wkońcu o całem kłamstwie, — nie stała teraz o nic. Z pośród bladych mgieł, omszałych wód, sinych hałd Zielonego i z całej dalekości, wstrząsanej głośnym gwałtem pracy pojawiał się obraz jedyny, wart wszystkich innych tego świata: Jak ją ksiądz obejmuje, do piersi przyciska, do kapłańskiej piersi, w której huczą święte słowa zbawienia.

— Czegoż to chce ode mnie dyrektor? — pytał Tadeusz niecierpliwie.

Motor warczał, błoto pryskało szklannym szelestem z pod kół, małe domki znikały wciąż wzdłuż drogi, — Knote nie dbała o nic. Zdało się jej, że w izbie Supernaka donosiciela, krętacza i zbója otwarły się przed nią po raz pierwszy na świecie — objęcia miłosierdzia.

Były to większe przepaście, niż wszystkie inne!

Dopiero, gdy wzdłuż wozu sunąć zaczął wysoki mur huty Katarzyny, przerwało się wzruszenie. Wezbrane czucia pierzchły. Teraz dopiero usłyszała pani Knote, że Tadeusz wciąż jeszcze gada. Jakieś brednie.

Opowiadał, że byle nie starać się o coś, — to się właśnie spełni. Byle się tylko nie starać wcale.

Słuchała, szczękając zębami z przerażenia.

Gdy wóz stanął przed oświetloną fasadą Kostryniów, Tadeusz wyskoczył pierwszy i podając masażystce rękę, wyrzekł dziwne słowa:

— To już rzeczywiście, — przeznaczenie.

Machnęła chustką: ileż przeznaczeń mieścić się może w jednem słowie?!

Nie dzwonili. Kostryń dał jej klucz na wyjezdnem. Biegła pierwsza, z chustką włóczącą się po czerwonym dywanie. W przedpokoju — wszystkie światła zapalone. Jak w dnie kwartetu, lub kiedy bywał Coeur. Może przyszedł niespodzianie?...

Zachciało się jej krzyknąć tu na całe gardło, krzyczeć ze wszystkich sił. Złożywszy chustkę na krzesełku, zatarła grzecznie ręce. Grzecznie i smakowicie, — jak przed masażem bardziej ustosunkowanych pań tutejszych.

Z otwartych drzwi jadalni wybiegł truchcikiem dyrektor Kostryń.

Panią Knote wstrząsnęło przerażenie. Wybiegł z za drzwi prawie bez odgłosu, podskakując raz po raz, jak ptaszek. Ale była to zawsze ta sama twarz, — Feliksa.

Chwycił obie ręce Tadeusza. Ogrzewał je własnemi dłońmi.

— Ach, tak, pan jechał bez rękawiczek, — na takie zimno. Bez rękawiczek!

Zdało się dyrektorowi, że trzymając te zimne ręce w swoich, jest nareszcie bezpieczny.

Po wypadku pobicia umówili się, gdy już Tadeusz zacznie wychodzić, co do rewizyty — właśnie dziś wieczór chcieliśmy koniecznie....

Czuł, że paple bez sensu. — O! Panie postanowiły. — Prowadził Tadeusza przez salon do pokoju Zuzy.

Gdy przechodzili przez salon, wstrząsany odgłosami

pobliskiej huty, koło parawanu z pierścionków od cygar usłyszał dyrektor w sobie samym, lecz jakby wypowiedziane cudzym głosem następujące zdanie: — Mieniewski obciążony bombami.

Po zdaniu tem wybuchło natychmiast: Prowokacja, — zawiadomić Kapuścika, — policja, nagrodzić Knote, — zreferować Coeurowi zaraz jutro, — zamach, dlaczego zawsze ja, — zawsze Kostryń!!!

W drzwiach pokoju Zuzanny odetchnął.

Odrzuciwszy książkę na kanapkę, powstała z uśmiechem. Z najwłaściwszym uśmiechem dobrze wychowanego przywitania. Ubrana, — odpowiednio: w suknię z jedwabnego popielatego trykotu. Odrazu zrozumiała, o co chodzi: by zabawić Mieniewskiego aż do powrotu Kostrynia z kopalni.

Zuza wszystko rozumiała odrazu, zawsze była gotowa, zawsze stosownie ubrana.

W korytarzu między pokojem Zuzy a jadalnią przypomniał sobie Kostryń, że musi przecież zaalarmować drużynę ratowniczą na Erazmie. Pierwszą połowę drużyny. Tych ośmiu zaufanych, którzy doskonale zastępowali policję. Nie można alarmować ich przez młodszego inżyniera. Przez zawiadowcę. Jest już chyba na kopalni. Na pewno.

Zamiast do gabinetu poniosło jednak dyrektora do pokoju żony. Poco? Niecierpiał tej niebieskiej sypialni.

Stanisława stała oparta o piec. Naturalnie, — grzeje się. Ach, — nigdy dość ciepło.

Knote strzygła jakieś papierki, przed lustrem, czerwona jak burak.

— Mieniewski jest u Zuzy. Zjemy razem kolację.

Kostryń musiał odczekać, — z jednego końca huty na drugi przejeżdżał olbrzymi magnes, przenoszący szmelc. Ściany się trzęsły od ciężkiego ruchu wielkich bloków.

Należałoby może powiedzieć: — Na wypadek mojej śmierci zostajecie, — we dwie.

Wyjął masażystce z ręki ów papier, przypalony, do karbowania włosów i nie rzekłszy więcej ani słowa, wyszedł.

— Moja Knociu?... — Pani Stanisława otwarła skrytkę toalety, wydobyła pudełko z chałwą. Nieraz przecież pogryzając tak, rozmawiały o różnych sprawach zagłębiowskich.

— Moja Knociu, — na zmartwienie. — Miała nadzieję, że Knote sama wyśpiewa wszystko. Feliks był tak nienormalny. Musiało się chyba coś dziać na kopalni? Czy może w hucie?

Masażystka nie tknęła chałwy.

Pani Stanisława, szumiąc zielonym jedwabnym szlafrokiem, przeprowadziła przyjaciółkę pod piec, na kanapkę.

— Moja Knociu, ukrywasz coś? Coś mi się zdaje, że ukrywasz? — jęła prosić, łasić się, nieomal pieścić ręce masażystki.

Knote zamarła w bezruchu. Oto, głaskania te i dotyki subtelne ścierają z policzków, czoła szyi — wszelki duchowy ślad podniosłych objęć księdza Kani!

Czy można było przypuścić, że dotknięcie znajomej, którą masuje się codzień od stóp do głów, będzie parzyło żywym ogniem?!

— Czemu pani syczy, droga Knociu?

— Syczę, — teraz dopiero, usłyszała w sobie szum dziwny, jakby nie była człowiekiem, lecz muszlą ogromną. — Syczę, gdyż wszystkie zdenerwowania nasze z czego płyną?! Z niezaradności pani dyrektorowej. Ja na pani miejscu, żony takiego polskiego, odpowiedzialnego dyrektora starałabym się skokietować takiego Francuza. Takiego Coeura. Mieć go pod pantoflem.

— Ależ Knociu!

— Koniecznie, — zawsze. Z pani urodą?! Z takiem ciałem?! — Od szyi, przez biodra po kolana, wzdłuż całej postaci oklepała Stanisławę drobniutkim ruchem obu dłoni.

Bo jeżeli ginie tu w brudach jakaś biedna Knote, — niech w takich samych brudach kręci się żona dyrektora. Niech każdy ma tak samo. — Kiedyś, kiedyś może nad samym grobem dowie się znów ten Kania, niech się dowie, — że gorsze tu bywały kobiety od Knote, choć żyły w puchu i jedwabiu.

A Zuzanna?! — Pani Knote dech wszelki odebrało na myśl — o kazirodztwie....

Matka i córka z tym samym mężczyzną!

Wyłoniła się z tego pociecha, straszliwa, zmysły wszelkie pożerająca, — gdyby podobną karą dotknął Bóg Kostrynia!

Pośród tych różnych myśli, planów i przypuszczeń rozpłakała się Knote przed Stanisławą. Łzom tym winien był ksiądz z pod znaku nowej wiary, lecz komuż to wyjawić?

— Ja płaczę, — chlipała masażystka, — nad ogól-

nem położeniem pani dyrektorowej! A nad sobą pośrednio tylko. Bo jeżeli pan dyrektor wprowadza do swego domu, sam pannie Zuzi prezentuje latorośl Mieniewskich! Latorośl, która żadnej nie daje gwarancji. Cóż tu skrywać? Ten młody Mieniewski żyje z dziewczyną kopalnianą. Niejaką Duś Lenorą, najzwyklejszą dziewką?

Pani Stanisława zerwała się z fotela, gotowa na wszystko. Ach, — na wszystko!

Poszły więc, podkradłszy się we dwie, zobaczyć co się dzieje u Zuzy. Zobaczyć, — w danym razie przez dziurkę od klucza! Matka nie cofa się przed niczem!

Tadeusz siedział na kanapce pistacjowej, Zuzanna przed lustrem toalety. Pod światłem bladoniebieskiej lampy jakby ze szkła wydęci. Prowadzili rozmowę o szczegółach urządzenia pokoiku.

Wszystko tu było złote, białe, pistacjowe. A już — dwa kroki dalej dygoce huta!

— Frendzle tych poduszeczek trzęsą się tu nieustannie. No, więc to jest zabawne, proszę pani.

Straszliwe tętno żeber żelaznych, przęseł, zgiełk pieców, mlaskot gotowanej stali drobił maluchnym dreszczem przez bibeloty, flakony i pilniki. Głos huty dochodził do granic wzmożonego ryku, — ograniczał się, poczem stukał głuchym ciągiem uderzeń, z którego znów tryskały nagle — pełne tarć, jęków i zgrzytów, — porywy świstu.

— Wyrażam to po swojemu, proszę pani, z amerykańską dosłownością: pistacjowa pomadka na brzegu piekła!

— Wszystko zawdzięczamy pańskiemu ojcu. To papuś pański memu papusiowi tak nogę podstawiał w Warszawie, w ministerstwach, na konferencjach, że wkońcu zostaliśmy już na prowincji. No tak.

Mówiła spokojnie, uważnie, przechylając na bok głowę.

— Szkoda, żeśmy się przedtem nie poznali! Teraz za późno!

Przerwała ten żart: — Żeby pan wiedział, ile razy mieliśmy tu zepsuty obiad z powodu pańskiego papy!

— A czy sądzi pani, że my u nas jadaliśmy zawsze spokojnie?

Zwinęła się, jak kotka, i rzekła emfatycznie: — Nasi ojcowie.

— No tak, ojcowie, ale przecież — starzeją się.

Foremna, śliczna twarzyczka panny Zuzy pobladła pod kasztanowatemi włosami. Usta tak bardzo malutkie, że aż jakoby nazbyt ściągnięte i twarde przegięły się wzgardliwą podkową.

— Mówi pan, że się starzeją, a przecie ciągle od nich zaczynamy.

Tadeusz posunął się naprzód, wyciągnął ręce, jakby chciał złapać pannę w radosne objęcia. — Zaczynamy od nich, gdyż chcielibyśmy jakoś uwolnić się od wszystkiego, co nam narzucili. Przyzna pani, że to jest w pewnym stopniu wyjątkowe: syn takiego leadera i córka takiego dyrektora! Cóż pani sądzi? Uparta wiara w misję, w swoją klasę społeczną, czy jak tam, — to przecież robi z ludzi skazańców wkońcu. Jesteśmy dziećmi takich skazańców! Mój ojciec, trybun ludu, wódz proletarjatu, a pani ojciec —

— Burżuj, kat, morderca! — Zawinęła się w gładkie kręgi jedwabiu. — Żeby był przynajmniej takim katem!

Tadeusz palnął dłonią w kolano: — A może jest?...

Na odsłoniętych zębach Zuzanny rozbłysł śmiech: — A może i jest?! Nic mnie to nie obchodzi. Burżuj — kat. Słyszę to przecież o ojcu i o nas wszystkich nieomal od dzieciństwa. Jakiby to raj panował na świecie, gdyby nie my! Wszystko byłoby inaczej. Ale cóż? Krzywdzimy — ciągle, zawsze, wszędzie.

Mówiła z uprzejmem przechyleniem głowy, jak rzecz powtarzaną już prawie mechanicznie. — Nie możemy nie krzywdzić, podobno? Tak się już do tego przyzwyczaiłam.

— Jak ja do tego, że mój ojciec, — pani mówi, papuś? — zawsze ratuje, organizuje, uzdrawia!

Była śliczna. Czy też może tylko tak dokładna, staranna w ubiorze? Mądra. Czy może zła? Zaczesana, — zbudowana! Tadeusz chciał koniecznie podzielić się z tą „córką kapitału“ swą braterską, koleżeńską pogardą.

Pogardą towarzysza losu.

Chwycił lekko za oba ramiona i śmiejąc się, zawołał:

— Słuchaj, bracie! — Gdy wypowiedział słowo — bracie, — jakby się niespodzianie uniosła tajemnicza pokrywa z nad zatopionych w pamięci Martyzelów, Supernaków, Szymczyków, Dusiów!

— Wymyśliłem przepyszny wybieg z tejże kombinacji!

Prosto w śliczne, pachnące ucho panny Zuzanny wyszeptał całą sprawę obu swych wynalazków.

— Mój ojciec będzie się wściekał, gdy to z pani papą zrobimy. Będzie szalał!

King of England! A przytem, — może doskonały interes?

A przytem bardzo współczesne, dziedzina ruchu, — nóg. No, przecież przyzna pani, — połączyć naszych ojców takim wynalazkiem, to jednak czyn nielada!

Jakże się stało, iż śmiejąc się, patrzyli sobie w oczy, trzymali się za ręce?

— Mówię pani, — zapewniał Tadeusz, — widzę w tem wszystkie jakieś głębsze przeznaczenie!

— A jeżeli nie dochowam panu sekretu?

— Nie może pani nie dochować. Wielcy ojcowie — Tadeusz dotknął ramienia Zuzanny — i my dzieci skazanców. Nasza solidarność panno Zuzanno — będzie przerażająca!

W drzwiach ukazał się Kostryń z futrem już na ramionach.

— Muszę skoczyć na kopalnię. Zabaw pana, kochanie. Czy pan lubi świeże orzechy włoskie? Będą ogromne, jak kule. Zabaw pana Mieniewskiego.

Słowa te wyrzucił piskliwym rozkazującym głosem i zamknął drzwi. W kaloszach, wiejąc cicho połami futra, jak czarny ptak przeleciał przez pokoje.

5

KONSTELACJA DYREKTORA

— Zabaw pana Mieniewskiego — powtarzał, szczękając zębami pod skórzanym, zamoczonym fartuchem dorożki.

Jechał na kopalnię incognito.

Czy powiedzenie, — orzechy, jak kule, — nie było zbyt wyraźne?! Rzucił się w głąb poduszek, aż futrzana czapka zsunęła mu się na czoło.

Kule... A jednak przyjdzie kiedyś taka chwila, że się umrze.

Rząd świateł ulicznych, płaty śniegu tnące ciemność zukosa, błoto po obu stronach brzęczącego pojazdu — wydały mu się rajem. Całować to błoto, dać niem sobie gębę osmarować codzień, — byle żyć.

Nie mógł nigdy zapomnieć uczucia szczęścia, — którego doznał po pobojach w nadkaspijskiej kopalni. Gdy przecknął się i choć jeszcze patrzeć nie mógł przez zapuchnięte oczy, stwierdził, — że żyje.

Wysiadł na rogu ulicy Przemysłowej i Miedzianej. W czasie odliczania niklówek na mokrą rękawicę woźnicy poplątały się nagle, myśli o Stanisławie: — Cóż

ich łączyło? Chyba już nic, prócz żyły niebieskiej, która wystąpiła Stanisławie na łydce jeszcze po urodzeniu Zuzy.

O Stanisławie, o Knote, — wyda się ją za Skierskiego — czy Falkiewicza?! — Nawet myśl o Zuzannie, — która rozmawia tam w domu z mordercą, — zbladła. Dorożkarz zakręcał w czarnej uliczce siwą chudą kobyłą. Jej omoczone boki błyszczały, jak blaszane.

Zagoniona kobyła, — otóż to jest właśnie odpowiedzialność dyrektora kopalni!

Uliczka była pusta, wiatr siepał się wśród domków, tłukł jakąś niezamkniętą furtką, spływał porywem wody w stromych ściekach.

Wszystko, wszystko, wszystko, nawet Zuza rozpływa się w odgłosach kopalni! Rozumiał je lepiej chyba, niż rytm własnego ciała.

Maszyna wyciągowa oddawała parę szybko, spłoszonem fukaniem, — idzie węgiel, — wydobycie.

Aż tu donosił się ochrypły trzask sortowni: Drobne szczekanie gryzaków i hałaśliwe rechotania mokrej płóczki.

Nad wszystkiem głos maszyny wyciągowej:

— Ho—ho—ho! — Ho—ho—ho! — Dech bił w powietrze, przez nieruchome światła, wysoko aż pod niebo.

Kostryń podążał środkiem zaniedbanej uliczki, prowadzącej do tak zwanej „skasowanej“ furtki w ogrodzeniu kopalni.

Jeżeli stary portjer przygotował nareszcie, co miał

przygotować, to włączy się to jutro do rozmowy z Coeurem i, — albo, — albo!

Zatrzymał się na śliskim białym kamieniu: Rozmowa z Coeurem!

Zaalarmować, przedewszystkiem, drużynę ratowniczą! Nazwiska pierwszych ośmiu, najpewniejszych pamiętał, jak pacierz. — Ośm dniówek podwójnych, — niech będzie potrójnych!

Wszystko zaalarmować, może i Kapuścika? Życie waszego Kostrynia jest w niebezpieczeństwie?!

Nie unosić się: Życie takiego dyrektora kopalni było zawsze w niebezpieczeństwie. Dziś, wczoraj, jutro, pojutrze, za chwilę!

Zaczął iść wolno, nie zważając już na kałuże błota, wpatrzony w nocne światła kopalni. Stanowiły one swoistą konstelację: Lampy na gmachu podnośnika, nad sortownią, na wieży wyciągowej.

Konstelacja dyrektora!

Niby Orjon, Wielki Wóz, Kasjopea, czy tam jak?!

Mrużąc oczy pod wiatr doznał wrażenia, że światła są dziś kosmate... Porośnięte długą sztywną szczeciną promieni.

Konstelacja dyrektora świeciła na pochmurnem niebie, jak zazwyczaj.

Światła nie znaczą nic, — o wszystkiem, co się dzieje na kopalni, mówią zdaleka głosy! Od huku pary — aż do palaczów na kotłowni, od dudnienia wózków na wywrocie sortowni — aż do haspli na wszystkich upadowych, pochylniach, od przeciągłego syku płóczki — aż do głębokich przodków na podziemnych polach, od

grzechotania łamaczy na podnośniku aż do ciurkania wody z drewnianych luteń na filarach zamulonych.

Od liny stalowej, pędzącej przez wieżę wyciągową całym szybem — aż do Paryża przed któreś biurko w centrali Towarzystwa, gdzie Coeur zamawia ten zleżały materjał — a odpowiada Kostryń! Przed prawem tylko Kostryń.

Sprawdzali tę linę niedawno z najgorszemi wynikami... Mogło zdarzyć się wczoraj, dziś, jutro, pojutrze, — lina na wieży wyciągowej pęknie, węgiel się zarabuje na kiepskich stemplach, jakaś stara benzynówka wznieci pożar na chodnikach...

Obłocony, zziajany dopadł nareszcie skasowanej furty, począł w nią walić pięściami. Dopiero ból w rękach przypomniał Kostryniowi, że nie idzie portjernią, że mu nie otworzą, gdyż sam ma klucze.

Za ogrodzeniem słychać było o wiele wyraźniej terkotanie maszyn, chrobot węgla, zsypywanego do wagonów na torach i miły, jakby chłodzący gwizd zwrotniczych, którzy kierowali załadunkiem.

Poszedł ciemną stroną placu, wzdłuż czarnej ścieżki, wydeptanej w świeżo spadłym śniegu.

Lubił to miejsce. Szumiały tu topole. Mała wątła alejka, którą czasem wracali na wiosnę, gdy Zuza przyjeżdżała zabrać go z kopalni. Niebo było tak ciemne teraz, że gałęzie ginęły w niem bez śladu. Płochy, czuły ich szum prządł się tajemniczo.

Żaden kwartet świata nie odda takich szmerów. Przypomnienie kwartetu uspokoiło Kostrynia. Coeur liczy na spokój, skoro kwartet sprowadza?...

Z za ostatniej topólki wysunął się Supernak. Utykał charakterystycznie...

Dyrektor poszedł przodem, portjer kluczył zakosami po śniegu. Dążyli zmyślnie w stronę parterowego budynku łaźni, przy wieży wyciągowej. Supernak pokuśtykał dookoła, Kostryń prosto, dolnem piętrem, czyli pierwszym poziomem nadszybia. W szarym mroku, dudniącym wiecznie od potężnych ruchów szybu leżała tu w kącie, — niby dowód dobroci materjałów sprowadzanych przez Coeura, — winda.

Podwójna klatka szybowa, z pogiętemi bokami. Parę miesięcy temu sprowadzona, podarła dębowe kierowniki, porozrywała obudowę szybu. Wydobyli tę windę z niezmiernym trudem i od tego czasu leży w kącie, pożerana przez rdzę.

W łaźni pachniało karbidem, wodą i bielizną. Jakgdyby — pieluchami?!

Długi korytarz tego budynku przypominał Kostryniowi jakiś moment z czasów pierwszej praktyki górniczej: Pamiętany z zapachu, odgłosu i światła a niewiadomy z treści. Tyle razy przychodziło się tu po wizytacjach kopalni z różnemi komisjami, dyrektorami, inspektorami górniczymi. Stale wracał we wspomnieniach ów moment, — zawsze niewiadomy.

Poszczególne kabiny przegradzał mur do dwóch trzecich wysokości, dyrektorska stanowiła oddzielną izbę.

Tu zamknęli się z Supernakiem. Kostryń stał przed lusterkiem, w głowach wanny i mocował się z krawatką, Supernak poodal drzwi zdejmował pazurami

grubsze pecyny błota, przylepłe do dyrektorskiego futra.

Pozdejmował. Co się dało, porozgniatał w palcach. Poprawił jedną drugą rogóżkę przed wanną, spróbował kurków. Ciepła, — zimna, — dła dokładności palce pod wodę podstawił. Potem rzeczy z dyrektora zdejmał, — całe ubranie. Zawieszał toto na kołeczkach, wypachnione, salonowe. Poukładał, pogładził, jakby sukno owe za trudy przepraszał, — i dawał górnicze: Koszulę, — gatek nie, — drugie skarpety, — portki.

Przebiera się drań, a nie zjedzie. Nie zjedzie, — cholera! Komedje takie!

Stoi, — w gatkach wełnianych, torby mu wiszą po nogach wszędzie.

Skrobie się w plecy. Niech się skrobie. Schudł.

Kostryń przebierał się, nie bez głębszego powodu. Cały obrządek ów sprawiał — gwoli uczciwości. Pogadać tu, Supernaka odprawić potem, a na wypadek, gdyby dowiedziano się, że dyrektor Kostryń jest na kopalni, — położyć się do wanny, że to już niby wróciło się, i właśnie — kąpiel.

Gadać? Supernak miarkował po swojemu, że nie czas gadać. Nie wiedział też za bardzo, z czego zacznie? Od śmierci żony, od śmierci, śmierci żony, — bechtał go głos najważniejszej korzyści. — Od śmierci żony, choroby nie przedłużać, bo Kasa Chorych wypłacać przestanie i płać i żyw i kuruj!

A inne głosy radziły, — od Dusia, Drążka, — masażystki nie tykać, — od Martyzela!! W dołku zemdliło i ślina się zebrała, — żeby od Martyzela! Nastawnika!

Musowe, — wydać hecę delegatów z Drążkiem. Musowe — o młodym Mieniewskim! O Kani — nic... O Kani, — albo samemu Francuzowi, albo też kanonika dopuścić do tego interesu.

Portjer spostrzegł, że oczy dyrektora napływają. Czerwone się już stały, gęste, niby sokiem malinowym zapuszczone.

Kostryń mrużył powieki, usta mu drżały, jakby nagle przybyło w tych ustach języka, tak przekładał ze strony na stronę, tak nim upychał! Aż wreszcie rozległo się w powietrzu, ze łzami chyba pomieszane:

— No?!

W odpowiedzi, — oczami, nosem, ustami lunął z Supernaka ogromny płacz, — o żonę. Umierającą, — na chorobę proletarjatu, czyli suchoty.

Dookoła suchot tych owinęła się jeszcze raz cała karjera Supernaka na Erazmie, przeszło czterdziestoletnia, taka wierna!

Dyrektorem niecierpliwość tłukła, ale wpatrzony w drżące białka portjerskich oczu słuchał.

— Spowiadała się? — spytał nareszcie.

— Jeszcze nie.

— Żebyście potem nie mieli trudności z kanonikiem.

Tyle całego kramu. Przerwało się — i nic. Woda ciurkała z kurków, powietrze czkało głęboko w rurociągach.

Dyrektor zapinał na sobie górniczą kapotę. Zapinał i odpinał. Tam i nazad.

Supernak ocierał z płaczu pomarszczoną twarz.

Aż dyrekcja otrząsła się, wzdęła i znów zapiała wysoko:

— No?!

Teraz dopiero zczepili się prawdziwie, usta portjerskie tuż koło uszu dyrektorskich, słowo w słowo. Dyrektor słuchał, twarzą zakamieniałą z ciekawości.

O wczorajszem rozbiciu delegatów, że teraz pójdą na wszystko! O Drążku, — czas na posiedzenie w Radzie Kopalń i Hut, teraz czas! O Mieniewskim, Tadeusz ma na imię, plany na dyrektora snuje, ale jakie? Coby się odkryło łatwiej, żeby zredukować Dusiównę, — dziwka! I tak idzie redukcja zimowa na odkrywce, przy kamieniołomach.

Najważniejsze przynosił Supernak na koniec, nizkim, maluśkim szeptem, jak w kościele: O Francuzie... — O Coeurze.

Furt przesiaduje... Nikogo nie przyjmuje... Falkiewicz chodził tam niedawno, z papierami. Widać z planami, — w skórzanej rurce...

I który ze sztygarów, i kto z huty...

Co która nowość, — to jakby zdychającą żabę kijem trącać, — tak drgała od nowinek twarz dyrekcji. Nieskładnie — a na wszystkie strony.

Leciało Supernakowi przez język wszystko, jednym porachunkiem wiadomym tylu lat, kalectw i doświadczeń, ze wszystkimi. Aż Kostryń mrużył powieki, otwierał blade usta i wszystko chłonął, — całą pracę i obrót kopalni.

Doszli do chwili, gdy dyrekcja wykłada parę złotych na wygięty brzeg wanny.

— Za nic na świecie, panie dyrektorze!

Jedno surowe spojrzenie, — złote wpadły do kieszeni a na ręce dyrektorskiej został mokry pocałunek.

Sprawiał Kostryniowi obrzydliwą, lecz zarazem podniosłą przyjemność. Duchową prawie: Kaleka ten o tyle dłużej pracował przecie na Erazmie, stracił tu żebra, ramię, nogę — a z wdzięcznością całował po rękach?!...

I nawet teraz, gdy miał biec dopilnować tych ośmiu z drużyny ratowniczej, spytał jeszcze czy przygotować kąpiel?

— Marsz, stary trutniu! — warknął za nim Kostryń.

Z łaźni na lewo, wzdłuż odstawionych wagonów, — w stronę kotłowni. Ukrył się tu Supernak za jakąś kadzią. Nie spełnił polecenia Kostrynia.

Drzwi kotłowni otwierały się co chwilę, wrota szerokie, przez które widać było w wąskim kamiennym przesmyku czterech czarnych palaczy, jak piecom olbrzymim w otwarte jamy sypią łopatami węgiel.

Najsłabszy z owych pięciu, ma się rozumieć Szymczyk, wywozi przepalony miał. Zabiera pokolei i jedzie taczką żaru krwawego na mróz.

Supernak cicho przeczekał, wrota znów się zawarły, noc śmignęła po śniegach.

Portjer przemknął do nadszybia, do sygnalisty Dusia, — na dwa słowa.

W sprawie ostatniej klatki, czyli ludzi, którzy wyjadą ostatnią windą z dołu, z podziemi, a że liczyć chcą pracę bez zjazdu i wyjazdu, — więc wykazani będą zaraz do redukcji o czem nie wiedzą, jako że praca idzie wyjątkowo, — na obstalunek okrętowy.

Tyle było w tej sprawie do powiedzenia, Dusiowi, sygnaliście, — mężowi wiadomego zaufania.

Tuż przed tą trzecią zmianą na godzinę dziesiątą pędziło wydobycie ogromne, aż wszystkie wiązadła nadszybia trzęsły slę hałaśliwie. Z pomiędzy drżących belek stromego szalowania wylatał świst, potężny szyb mlaskał głosem smarów, pluskał strugami wody, dyszał wysoką parą. Ściany znikały w niej i okratowanie zardzewiałe i liny czarne. Przytem tak dymił, wzburzoną głębokością, że od strony sygnalistów, poprzez otwór prostokątnej przepaści aż do strony przeciwnej, gdzie czekali przy kratach zapychacze, zwani tu ludźmi od śtosa, nic nie bywało widać.

Rozścielała się na sekundę, na dwie, czy też na dziesięć pustka warcząca, — jakgdyby obrażona i szalona!

Sygnały ją przegonią zawsze, przekłują, przetrą, — sygnałów takich będzie jednych za drugiemi, dokładnych, pilnych, uporczywych, — dwa, — trzy, — dwa, — z dołu, — z góry, — ze środka, dwa — trzy — dwa — rzuconych palcami sygnalisty na nadszybiu, — i wdole na podszybiu, i od maszyny wyciągowej, — krótkich, mocnych, — urwanych, dokładnych, — że aż parzą!!

Supernak czekał cierpliwie, znał przecie mores tej roboty! — Uwaga, — gdyż sygnalista może się przesłuchać!

Niechże zabierze windę, nim ten z dołu z podszybia odbije, — klatka rozwali szyb, — straszne nieszczęście czeka tu nieustannie na samym końcu palca...

Nie przy Dusiu!

Dusiowi samo wszystko podchodzi pod ręce, każdy głos, każde drgnienie.

Zda się nic: Stoisz przed prostokątem kraty. Z głębin leci ku tobie huczny wiew kopalni i mdłe, kwaśne powietrze ludzkiej pracy i para niecierpliwa.

Zda się nic: Stoisz na wyślizganych blachach, zwanych bono, szlif od wózków nożem ci błyszczy pod stopami. Liny prowadzą wzrok ku stropom wieży, płatami nocy przegrodzonej.

Za tobą długie pomosty terkotliwe wiodą znów do sortowni, gdzie czarnosine dziewuchy w twardym zgiełku kamienia łapią wózki.

Zda się nic, gdybyś miał jedną sekundę, albo trzy... Niema nawet pół ćwierci. Odbili sygnał z podszybia, trzysta metrów pod tobą, tyś im tu odpowiedział, odbił na nadszybiu, — jedzie winda z podziemi wgórę poprzez poziomy kopalniane, — podałeś sygnał maszyniście, co siedzi między szybem a kotłownią w domku naoliwionej mechaniki i widzi na trzy metry przed sobą całą drogę zjazdu i wyjazdu ruchomemi strzałkami wśród gładkich, szklących tłoków pokazaną.

Znów lecą głośne elektryczne przecinki, kropki, długie, krótkie, — masz je na końcach palców, — winda sunie wzwyż czarnych pokładów, głosem wody pomiata, — ukazała się już dymiąca, mokra, zapocona.

Rozsunąć kraty szybu nad ziejącą przepaścią, — teraz hebry, czyli też dźwigi idą w ruch, — roztworzyć bigle, czyli ruchome trzony klatek windy, — teraz tamci od śtosa, zapychacze, uderzą naprzód, pchną wagoniki z pięter windy, — a teraz śtos, — teraz zakręt przez bono, — teraz chrzęszczące węglem wózki lecą do dziwek na sortownię, — zniżyć windę, — znów sygnały

i znów przekręcić hebry, — opróżnić drugie piętro śliskiej windy, — zamykać kratę szybu, sygnały do maszyny wyciągowej i znów od nowa!

Ruch każdy wykonany do dna wszelkiej możności żelastwa i do ostatniej mocy a poco, — poco, — poco?!

Gdy delegaci pochamrali się z Drążkiem dziś w objad u Cieplika i zaprzedają klasę robotniczą, a tu narodu wysypało na trzecią zmianę, czekają na nadszybiu z czasem zjazdu do nóg wiernie kapitałowi położonym?!

Do dna wszelkiej możności żelastwa, do zemdlenia wszystkich stawów ciała — na zgubę klasy robotniczej na śmierć własną a na szczęście węglowi i na szczęście wagonom, hutom, cynkowniom, piecom, na wysługę okrętom, morzom, przemysłom, akcjom, giełdom i wszelkiemu uciskowi.

Duś zacinał się w sobie, — jak nigdy jeszcze, — że przewiercony się czuł tym całym szybem do końca rozpalonych palców.

Cztery razy tykał Supernak dymiące plecy sygnalisty, cztery razy powtarzał do ucha: — Wszyscy z ostatniej klatki pójdą do redukcji, — cztery razy powtarzał nadaremno.

Praca zelżała wreszcie, co tu oznacza, że szyb nie zionie już tak gwałtowym dechem, liny folgują, folgują wszystkie głosy a żelastwo, które zgrzytało jakgdyby piskiem wszystkich szczurów kopalnianych, — teraz huczy rozlewnie męskiem, twardem westchnieniem.

Takie głosy wydaje szyb, gdy ukończywszy wydo-

bycie węgla wywozi na powierzchnię wolno i statecznie ludzi, zgromadzonych w głębinach ziemi u podszybia.

Wyciąga ich ta sama klatka dwupiętrowa, jeno że teraz drżąca światłem górniczych lampek, natkana narodem czarnym, — nito złomami węgla, z wielkich redenów, ukruszonemi w ludzkim kształcie.

To górnicy.

Potem zaś wyjeżdżają zamulacze w zgniłych szmatach, jakoby do pół człowieczy brat czarnego węgla, szary przerost — z gliną i piachem pomieszany.

Którzy widzieli zbliska, twierdzili zawsze, że to Supernak krzyknął wtedy:

— Ostatnia klatka, — pójdziecie do redukcji towarzysze!!

Klatka znaczy w mowie potocznej winda.

Całe nadszybie pełne górników przybyłych na trzecią zmianę zamarło w bezruchu.

Duś odskoczył od rozwartych krat, — jak oparzony.

Od maszyny wyciągowej strzyknęły sygnały, — drugie z podszybia, — drugi, — trzeci, piąty. *Dół* kopalni przyzywał *powierzchnię,* jako że klatka z ludźmi nie może stać w powietrzu.

Przepruły się przez ciszę grube, elektryczne głosy — szósty, siódmy, — dziewiąty.

Kipiało ludziom w uszach...

Duś Jan, w odległości dwóch kroków od guzika sygnału stał drżący całym sobą, jak osika na wietrze. Przebłysło mu przez głowę wszystkiemi piorunami, że nie oddzwoni do maszyny wyciągowej potrzebnego

znaku. W dowód protestu klatka zostanie z ludźmi na pół drogi w powietrzu! Niech szyb stoi nieruchomy, — zwołać tu inżynierów, zawiadowcę, dyrekcję, wszystkich Coeurów, Kostryniów!

Zabrzmiały nowe dzwonki z maszyny wyciągowej, nowe z podszybia, zderzyły się i starły, poczem rozjękła rura metalowa aż od dna szybu tu przeprowadzona. Sygnalista z podszybia gadał w nią, krzyczał i zaklinał. Poczem rundajs, czyli żelazny pręt wzdłuż szybu przetkany na wypadek przerwania elektrycznej łączności, — jął dźwięczeć od uderzeń bitych z dołu.

Wszystkie znaki napróżno.

Sygnalista Duś Jan, blady, jak śmierć nie odpowiedział...

Nie odpowiada, przyskakuje ku kratom, ręce w powietrze rozrzuca i do towarzyszy owych w windzie przed pomostem nadszybia wstrzymanych, że ani wysiąść nie mogą ani się wydostać, do towarzyszy owych poziomem bona, jakby do pół przeciętych, woła:

— Wasza klatka liczy się ostatnia! Idziecie do redukcji! Nie wychodzić, — zastanawiamy szyb!! Nie wychodzić, towarzysze!

Po linach wciąż ściekają lepkie smary, a woda świegotliwym płaczem spływa w przepaść, a sama ona, przepaść dyszy głuchym obrotem bezdeni, gdy nagle nie słychać wody, ani mlaskotu lin, ryk kruszy się między ścianami windy a bezdeń szybu dmie echem wielokrotnem: — Nie wychodzim!!

Tak krzyknęli ludzie w ostatniej klatce pomieszczeni.

Poderwała się na nogi z pod ścian nadszybia cała zmiana górnicza. A inni już lecieli czarnym korytarzem sortowni, a drudzy z płóczki, a inni z pod murów podnośnika, a inni z placu i od wyładunku, od torów i od zwału.

I od żeber kolejowych i od składów na drzewo.

Zmąciło się i wzdęło wszystko wokół. Jakby tu nagle na nadszybiu na obu poziomach poszalał węgiel z ziemią, gliną i żelazem, pomieszał się i zderzył, — huczący rozpaczą.

Już na granicach tego tłumu okrutne wyłomy czynili kijami dozorcy.

Nieszczęście jawne, głośne wiało czarnemi skrzydłami kurzu po rozkopanych placach wielkiego Erazma, — gdy z podszybia wypruły się gwałtowne sygnały, oznajmiające wyjazd jakichś nowych ludzi...

Usłyszeli, — ten i ów i dziesiąty z trzeciej zmiany.

Pierwsi to usłyszeli! Poskoczyli ku kratom szybu z wołaniem gorączkowem, radosnem, — winda, ta winda nie jest jeszcze ostatnią, — nie jest, — nie jest, — nie jest!!

— Nie ta, — dopiero druga, ta, co pójdzie teraz!!

Zwalili się na Dusia, by co prędzej bił hasło do maszyny, rwali się sami do guzików sygnałowych.

Duś postrząsał ich z siebie, zagrodził ramionami dojście i miedzianym połyskiem oblicza zwrócony ku windzie, wołał głosem najpłomienniejszym:

— Nie dajcie się sprowokować, towarzysze! Ta klatka, — druga, — jedna, — zawsze ta sama krzywda robotnicza!

Ci, którzy trwali w windzie, nie doprowadzonej przecie do poziomu krat wystawiali teraz z pośród żelastwa nosy, palce i łokcie. Błagali, aby windę podnieść, chcieli wysiąść, bili pięściami, latarkami, kilofami!

— A teraz uciekacie? To taka wasza solidarność, — krzyczał Duś, — to taka wasza solidarność?!

Bili, wrzeszczeli, lecz znów maszyna wyciągowa nie odpowiadała. Sygnalista z podszybia wołał coś przez tubę, lecz głos przepadał w zgiełku. Poplątały się znaki sygnałów a tu jeszcze żony protestujących w windzie górników, doskoczyły najbliżej i nuż łomotać w rundajs kluczami, manierkami, zrozpaczone o redukcję.

Wyciągnęła się teraz pod ową windą śmierć pewna, trzysta metrów wysoka, na całą długość wyjazdowego szybu nieomylna.

Żelazna klatka nie doprowadzona do właściwego poziomu nadszybia, nie wsparta na stalowych podstawach, czyli kierownicach trzęsła się od uderzeń. Niech w gmatwaninie znaków zmyli się maszynista, niech da parę maszynie w mniemaniu, że klatki są już puste, winda zjedzie z szaloną szybkością i krew tych ludzi w klatce zaleje na wieki... Niech w pogmatwaniu znaków podciągnie maszynista windę, — przetnie napół tych wszystkich, co się tu rwą, by wysiąść...

Na końcu palca, — wszystko na końcu palca sygnalisty!

Duś sam nie wiedział, co się w nim wówczas przełamało: Drążek i delegaci i zaprzedaż doli robotniczej i nienawiść klasowa i rozszerzenie nastroju rewolucji, — wszystko znikło od jednego tchu strasznej, widomej zatraty.

Duś Jan, sygnalista Erazma próbował i próbował, dzwonił, wołał przez tubę, tłukł w rundajs. Zdrada, zdrada, — leciało mu przez głowę wszystkiemi piorunami i jakież tu widoki strejku z taką solidarnością i jakie przyszłe walki?... A przecie starał się i łączył a przecie jakoby samo szczęście cisnęło nim ku okratowaniu, gdy wreszcie złapał łączność sygnałów.

Odpowiedziały prawidłowo, więc poruszył hebrami radośnie, do ostatniej możności żelastwa, — winda podeszła wgórę!

Zlany potem, ślepy od łez, kwilący nagle głosami niemowlęcia otworzył kraty ocaleniu: Ludzie z klat windy runęli na pomost, Duś sam popychał naprzód— tę małoduszną, nieszczęśliwą dolę robotniczą.

Winda znikła w czeluściach szybu. Liny mlasnęły przeciągle, już poleciały — wgórę tłuste guzy obchwytów i oto, — w wyjeżdżającej klatce ukazał się, jak robak olbrzymi, krągły, z światłem górniczej lampki na brzuchu, — geometra Falkiewicz.

— W ostatniej klatce geometra Falkiewicz!! — zatoczyły się wrzaski wzdłuż ścian nadszybia.

Nie zdążył nawet pisnąć. Porwali go, wchłonęli, przemięsili i pognali przed siebie szczując:

— Do dyrekcji, — do redukcji, — do zawiadowcy!!

Czarną, obrzmiałą kichą potoczył się ze schodów,— na poziom pierwszy, — dalej, — wzdłuż zardzewiałych wagoników wrotami prosto w śnieg.

Nagle, — potężny ryk wstrząsnął powietrzem. Dwie syreny Erazma dęły godzinę dziesiątą, — trzecią zmianę.

Ludzie porwali się zpowrotem ku nadszybiu, —

głos syren, niby sądne trąby archanielskie pędził skłębioną masę zpowrotem ku windzie.

Geometra Falkiewicz nie zbierał nawet cyrkli. Na czarnej ścieżce między łaźnią a kotłownią błyszczały, niczem cieniutkie, czyste sople lodu.

Markszajder modlił się zbielałemi wargami. Żadnych modlitw nie pamiętał. Modlił się przerażeniem, — żarliwie i bezbożnie, — do nikogo.

— Może trzy? — Może dwa?... Może pięć, — szeptał trzęsącemi się wargami, — pochylnia A, — na starych planach... Trzeci poziom, — może trzy, — może dwa milimetry?...

DWAJ DYREKTORZY

1

DYREKTOR ADMINISTRACYJNY

Kotłowało się na kotłowni w te dnie! I wcale nie dlatego, że kotłownia, czyli dziesięć ogromnych pieców, jeden przy drugim, pod rząd, — rozpiekłe brzuchy, szumiące ciągłym żarem! Nie dlatego, że stare, od lat dwudziestu pięciu tutaj wmurowane, a jeszcze przedtem pracowały na hucie Katarzyna.

Takie piece.

Nie dlatego, że opędza się je drobniutkim miałem, a wypada po jednym palaczu na dwa ruszty, więc całe ośm godzin, — gdzieżby ośm?! Praca liczy się lekka, pomocnicza, — więc całe dziesięć godzin co parę sekund otwierasz drzwiczki i w jedną, to znów drugą czeluść przyrzucasz pełne łopaty miału.

Przed tobą piece, zaraz za tobą tylna ściana kotłowni, wąsko tu jest i ciasno i parno i zimno od dziur, w tylnej ścianie wyciętych, któremi spada węgiel prosto z placu.

A w piersi znów gorąco przeraźliwie!

Ów przyrzut łopat, wstrzymany krótko nad krawędzią palenisk, rozchodził się po starem ciele Szymczyka, zarówno też po całym umyśle wesoło i rozumnie.

Ręce wylecą naprzód, wyśmignie z nich stylisko, łopata zgrzytnie u brzegu płomieni, czarny miał skropi rozwichrzoną grzywę — i komuż trzeba więcej?

Komu, — czego?!

Byle nie spuszczać z oka podziałki manometru!!

Ma stać na liczbie pięć. Jeżeli zsunęła się na trzy, — to znaczy źle, — winda „z parą zjechała“, — może być przerwa w obsłudze szybu i nieszczęście, — więc sztraf!

Manometr jedno przykazanie palacza, a drugie wodowskaz, który wskazuje ilość wody w kotłach.

Nic wielkiego taka robota dla ludzi mocnych, zdrowych i widzących. Ale i wysuszone skwarki, z których ostatnią parę ogień już wyciąga, uradzą przy tej pracy. Wewnętrzna woda nadwątlonego organizmu pod skórę występuje, zalewa oczy, końce palców rozdyma, ale przez tyle lat tyle się już nauczył człowiek, że robi, — sprawiedliwie mówiąc, — poomacku.

Szymczyka odwalili od tych pieców i od palaczowania, nie przez palce u końców, jak agresty rozdęte. Przez nowy wymysł ekonomji palarskiej odwalili, francuski wymysł jaśnie wielmożnego pana dyrektora Coeur'a.

Dlatego właśnie kotłowało się teraz ciągle na kotłowni! Nie przez strejki, ani te wszystkie słuchy rewolucji. Ani nawet, że staroświeckie urządzenie tego miejsca zagraża wszelkim przepisom o pracy.

Wszystko to nie jest nic, — wobec nowego wymysłu palarskiej ekonomji.

Coeur przeprowadził swoje:

Wzdłuż pieców długie sztangi, ciężkiemi kulami żelaznemi opatrzone.

Podsypujesz, to sztangą ową zamykaj piec, żeby się kocioł nie oziębiał, bo pognie się, popęka, później ciecze. Czyli sztangę pchaj wgórę, żeby klapa wentyla opadła. A gdy chcesz przybrać cugu, — spychaj znów sztangę nadół, żeby otwarła klapę.

Mechanizmy z żelaza są ciężkie i ogromnie twarde. Z czego powstało dla palaczy na Erazmie prawdziwe piekło. Wygartać miał z pod ściany i raz po raz przyrzucać, boć to płonie, — hyc-myk! Raz po raz wieszać się na sztandze i raz po raz do góry podpychać.

Jak ich tu było pięciu wytrawnych palaczy, co nawet przeszli kurs piecowy u erazmowskiego mechanika, — wszyscy pięciu szaleli do ostatniego zmysłu.

A dopiero gdy zjawił się nadspodziewanie sam pan dyrektor Coeur w skórzanem palcie!

Kopalnianemi siwoszami zajechał.

We wrotach półotwartych siwosze łbami pomachują, a tu palacze w myczeniu pieców, świstach pary i buzowaniu ognia i w świetle tego miejsca wąskiego, piekielnego, niby pięć małp spoconych rzucają się do łopat i na sztangi! Podnoszą, opuszczają, — mało w te brzuchy ogniste do środka nie powłażą.

Wtedy to zachwiały się po raz pierwszy losy palacza Szymczyka dość gruntownie.

Wsparłszy się obiema rękami na żelastwie, aby sztangę wdół zsunąć, — nie dał rady. Zupełnie nie dał rady! I z braku sił i z ogromnego przejęcia taką dyrektorską obecnością.

Wtedy to Coeur, wyżarte Francuzisko, przyskoczył w swych połyskujących skórach, obiema dłońmi wsparł się silnie na rękach Szymczyka, ze słowami:

— Musi być mocniej, mocniej!

Wtedy to pod naporem dyrektora pękły ręce Szymczyka. Bryznęła z nich nabrana woda, z wszystkich palców i z wielkich agrestów na dłoni.

— Nie możesz tu pracować, — huknął Coeur przez szum pary i wycie rusztów do zmienionego na twarzy Szymczyka. — Nie możesz tu pracować!!

Nie może?... Na takie sprawy i wypadki mają jeszcze palacze swoje organizacyjne miłosierdzie. Podzielą się piecami najsłabszego, który w cichej umowie uprząta popiół i wywozi z kotłowni.

Stało się tak z Szymczykiem. Uznał się za pomocnika, żelazną taczką wywoził i wywoził i skromnie, skromnie milczał w przerażonej radości...

Przerażona była, — ma się rozumieć: — że przy piecach po tylu latach nie ostał się na starość. A znów radość: — że dalej chodzi przy kotłowni.

Aż niespodzianie, — spadło wymówienie pracy.

Och, — teraz prawdziwie, — każdy oddech pary i każdy zgrzyt łopaty i każdy świst i lampki elektryczne w równym rzędzie płonące i każda dziura i szczerby wydeptanej deski, którą przejeżdża taczka wzdłuż całej kotłowni i kupy miału i wszelki kurz w kątach — to wszystko trzęsie się w człowieku wszystkiemi łzami.

I dopomina się i prosi i wymawia ogromnie!

Kotłowało się w te dnie na kotłowni, koledzy po dawnemu zwieszali się na sztangach, a inaczej znów ko-

tłowało w myślach Szymczyka. Wszystko naraz i nic i znowu całe to miejsce utracone!

Nic niewiadomo i tylko słychać ogień, — że już nic, nic i nic, — ogień pomidorowy, siny i fioletowy, na rusztach rozpostarty, skrzeczącym miałem czarnym pokropiony.

Tak nachodziło Szymczyka w dzień przedostatni, dziś rano tutaj. — Rozduszone przez Coeura, szmatami owiązane ręce opuszczał i nie patrzył na taczki dymiące i nie słuchał dokoła i nie widział a tylko szumem wnętrznej żałoby zapytywał: — No i któż to tu jesteś żywy ogniu?! I poco masz te iskry?! A znów co znaczy woda biała nad tobą, w owych kotłach, kroplami bryzgająca?!

Przez takie myśli leciało wszystko inne, jak we śnie: stara, że wciąż płacze przy kuchni i syn i inne dzieci tyle wcześniej pomarłe, na zawsze już w człowieku rozesłane, — polatywało cieniem przezroczystym, — i syn, że go tu nie chcą do murarki. A wynikało z tego nagle w tym syku i szczękaniu pieców, że tak to jest na świecie i że powszędy już pogodzone są z sobą ogień z wodą.

Gdy niespodzianie światło dzienne, jakoby wystraszone przeleciało przez ciemną kotłownię, — w uchylonych wrotach stanął dyrektor Kostryń.

Przeszedł po rozdeptanej desce mimo wszystkich pieców, krwawem spojrzeniem sprawdził wszystkie aparaty, a w Szymczyku rozstąpiło się i na kolana padło przed ogromną pokusą: gdyż takie rzeczy bywają na kopalni nawet w czasie redukcji! Zredukowany spotka gdzie

dyrektora i zapłacze i pokorę okaże i skruchę, — a wtedy! Wtedy może uzyskać powrócenie do pracy...

Przed tak wielką pokusą jechał Szymczyk taczkami od dziesiątego pieca. Kostryń szedł przodem. Wykierowali się tak aż za wrota, przedzieleni dymem napełnionych taczek.

Gęstym dymem, z za którego oddalało się już palto dyrektora.

W obliczu prawdy wszystkich ugniecionych towarzyszów, stąd aż po wszystkie krańce — żadnego wyrazu nie mógł powiedzieć Szymczyk! A wobec żalu swego za tą pracą — wszystkie i najpodlejsze słowa pchały mu się do ust.

Aż schło, — do samych trzewiów.

Uszedłszy spory kawałek za kotłownię, opuścił taczki i przystanął na poczerniałym śniegu. Łachmany rąk pozawijanych wraził sobie do ust i tak trwał. I aby nie osłabiać powagi klasy robotniczej, nie ruszał się z miejsca, — tylko prosił samego siebie... Gorzkiem gardłem, we łzach popiołem wyżartych — o zachowanie powagi klasy robotniczej.

Dyrektor Kostryń znikł już za siwym czworobokiem płóczki.

Zatrzymał się!

Zatrzymała się ostatnia nadzieja Szymczyka.

Trzeba było zapytać tych palaczy, — wyrzucał sobie Kostryń, — czy Coeur nie przechodził przez kotłownię? Inżynier Coeur... Prześwietne ulepszenia pana inżyniera Coeura!

Ulepszenia te musiał Kostryń otaczać specjalną pieczą.

Wszedł pośpiesznie do gmachu dyrekcji. Na korytarzu trwała przeciętna cykanina dzwonków normalnego urzędowania. W głębi na samym końcu dopiero błyszczy napis:

DYREKTOR ADMINISTRACYJNY
RENÉ COEUR

Przy stoliku z bloczkami dla zapisywania interesantów stali obaj woźni. Ostrzyżeni przy skórze maszynką. Wedle stanowczego życzenia Coeura.

Dwa twarde, kwadratowe łby.

Kostryń zajrzał im bezmyślnie w oczy.

Stanek i Frydrych.

Pamiętał nazwiska tych olbrzymów. Wypowiedział je teraz głośno.

Nie pozwolili sobie na uśmiech, tylko powietrze, czy też jakby wzmożona gotowość usługi zaszumiała im w piersiach.

Na palcach wszedł do swego biura. Zalane było słońcem. Olbrzymie szyby przestronnej kancelarji lśniły, ciskając tęczowe pryzmaty na plikę papierów, rozłożonych przed wielkim, pontyfikalnym kałamarzem.

Dyrektor Kostryń rozglądał się po ścianach, jakby tu znalazł się pierwszy raz w swem życiu.

Diagramy rocznego wydobycia z Erazma za kilka ostatnich lat i plany kopalni.

Niecierpiał tych planów. Ileż razy śniły mu się po nocach, że budził się i musiał godzinę, nieraz dwie czytać Gazetę Policyjną.

Lazło to, rozpinało się, snuło, przędło po ścianach,

blade, szare, popielate, niczem skomplikowany, z cieniusieńkich kolanek i chrząstek złożony pasorzyt.

Zamaczał pióro, by odrobić dzienną porcję podpisów. Gdy oto z rozłożonych papierów wysnuła się perspektywa kancelaryj, któremi trzeba będzie przejść do Coeura.

Jedna, druga buchalterja, biuro zakupów, potem biuro sprzedaży, dwie kancelarje dyrektora handlowego i dopiero — dyrektor administracyjny.

Kostryń zadzwonił. Spytał woźnego szeptem, — czy pan dyrektor Coeur jest już u siebie?

— Jest, — od samego rana.

Kostryń jął podpisywać papiery. Bez czytania. Na tem przecie polegało stanowisko takiego dyrektora krajowego, że podpisuje to tylko, co uzyska przedtem parafę Francuza.

W wiadomym kąciku arkuszów szukał owej parafy. Kilka błahych linijek, zwiniętych w nikły kształt zeschniętego pająjczka.

Napływało teraz tych spraw bez miary! Aż dziesięć kawałków do sejmiku. Cały stos odmów inwalidzkich. Cztery skargi incydentalne w procesach z gminą o place... A ileż eksmisyj?! A książeczek do podpisu, — ludzi wydalonych z pracy?!

Zatrzymał się uważnie nad kawałkiem, opatrzonym stemplami rozlicznych władz. Widział tu między innemi piękny, kaligraficzny, zakrętasem opatrzony podpis pana Kapuścika.

Wymęczony, zawiły tasiemiec w sprawie dołów ustępowych, czy też kanałów dla więzienia miejscowego.

Przepełnione było już dawno, komendant skarżył się, że niema gdzie odprowadzać odchodów więźni, czyli ekskrementów, „zwanych powszednio kałem“. Woda z huty Katarzyny, podmywająca Zielone, roznosiła owe odchody po całem przedmieściu.

Kostryń wstał. Obrównał teczkę, obciągnął kamizelkę i warknął krótko w stronę okien, za któremi latały przez promienie słońca czarne płachetki kurzu węglowego:

— Nie dopuszczę do strejku.

Wierzył w policję, starostwo, województwo, w kazania kanonika, w ministra Handlu i Przemysłu, można się nawet ostatecznie ułożyć z ministrem Pracy. Wierzył w pobliskie koszary jazdy, w Coeura, w umowę z Drążkiem. Ale, — jeżeli więzienie jest już przepełnione, — to na wypadek czegoś na kopalni, jak choćby wczoraj z Falkiewiczem, — kto pierwszy będzie musiał pokazać się tłumowi?! Na kopalnianym placu!?

Stał jeszcze wciąż przy biurku, — by odczekać...

Szybki wiatr poganiał za oknami płachty ciemnego pyłu, zwijał je i rozwijał, wydłużał, piętrzył i znów przylatywały zdaleka, z za czworogrannego gmachu płóczki, od strony kopalnianych torów kolejowych, wielkie, łukami ciemnemi roztoczone, niby skrzydła czarne, ciche i pośpieszne. Ruch owych skrzydeł lekki a tak nieistotny rozdmuchał nagle w Kostryniu stare, potworne wspomnienie o nadkaspijskiej kopalni...

Uśmiechnął się przebiegle i wytrawnym krokiem poczciwości ruszył z teczką pod pachą przez wszystkie kancelarje. U drzwi, opatrzonych napisem — DYREKTOR

ADMINISTRACYJNY, RENÉ COEUR — orzeźwiła Kostrynia myśl błoga, a potworna zarazem: Ostatecznie można Coeura zawsze obłaskawić, — jako przyszłego zięcia...

Zjeżył się z obrzydzenia, lecz było już za późno, — otwierał ciężkie drzwi do Coeura.

Dlaczego podczas domykania klamki przepełniła Kostrynia radość?! Czy dlatego, — że wszedł tu już nareszcie? Czy też, że zastał wszystko na dawnych miejscach?!

Uśmiechał się — z ulgą. Jakiegoż wysiłku wymagały te uśmiechy?! A były przecie nadaremne. Snuł je dalej, — wytwarzał coraz elastyczniejsze...

Coeur głowy nawet nie uniósł z nad olbrzymiego biurka.

Wydał się Kostryniowi, — zresztą jak zawsze na początku każdego spotkania, — niezmiernie wielkim i barczystym. I jak zawsze, — ów osobliwy zapach Coeura, czy też spraw z nim związanych, czy też obcości, — jakby zapach topionego karmelu, łączonego z wonią cygara.

Kostryń zatrzymał się przed biurkiem na którymś kwadracie posadzki. Przez szerokie okna widać było pnie owocowych drzewek, rude trawniki dyrekcyjnego ogródka i dymiące pasma dalekich kamieniołomów.

Jeszcze chwilę odczekał. Nagle, — skupił wszystką energię, zbliżył się do biurka i zawołał, blady z przerażenia:

— No i cóż tam ten kwartet francuski!

— Kwartet francuski będzie koncertował w Polsce wcześniej, niż przypuszczano. Znakomici instrumentaliści

jadą potem na Bałkany, — ale złapiemy ich po drodze. Zdążymy, — zdążymy na pewno.

Coeur patrzył Kostryniowi w oczy i uśmiechał się. Dziecinnie, serdecznie.

Czemuż nie prosił siedzieć? Krzesło stało tuż obok.

Na znak samodzielności przedreptał Kostryń dwa kroczki w lewo, potem w prawo, — znów w lewo.

— Otóż to, otóż to, otóż to, — szepnął nareszcie. Brakło mu słów. Poczem wszystko stało się, samo przez się, — nagle. Niespodzianie dla samego siebie zaczął mówić. Niespodzianie dla samego siebie — usiadł. Reasumował całą sytuację od wiecu leadera Mieniewskiego, aż do tych ośrodków fermentu, które przedstawia ksiądz Kania.

Szeroką twarz Francuza pokrył cień, wiśniowe źrenice krążyły czujnie za spojrzeniem Kostrynia.

Ferment, który przedstawia ksiądz Kania: czyli, że dusza robotnicza, ostoja spokojnych warunków pracy jest bardzo wzburzona! — Kostryń westchnął żałośnie.

Rzeczy takich nie słyszy się, — fizycznie słyszeć ich nie można, a jednak Kostryń przysiągłby, że wznoszące się wolno ku górze powieki Coeura wydały głos!

Głos zardzewiałych sprężyn!...

Coeur przekręcił się na krześle. Nie słuchał. Bezmyślnie prawie, czy też z przyzwyczajenia szukał wśród rysów twarzy Kostrynia podobieństwa z młodą jego córką. Jakgdyby twarz Zuzy poczynano z tej samej zasady, lecz wykończono inaczej. Znacznie lepiej.

Oczywiście — wmieszała się tu uroda matki.

— Ils mangent, — zakończył Kostryń długi okres, — les ostrużyny ziemniaków.

Słyszało się to wszędzie na świecie. Wszędzie, — stale, — zawsze. Jedzą ziemniaki, czy banany, czy też ryż, fasolę, czy sago, kukurydzę, czy siemię — i mają za mało. I wszędzie, — kauczuku, nafty, węgla, cynku, miedzi — też za mało... I ciągle trzeba więcej!

Wszędzie jakiś krajowiec łamanym językiem, na Sumatrze, czy w Kongo, czy też na Sachalinie sprzedaje chytrze swoją nędzę. I wszędzie widać przez okno kopalniany ogródek, a w głębi kurz kamieniołomu: — Coeur ziewnął.

Ostrużyny ziemniaków, — eksmisja targowego placu, odmowa zamówień, choć węgiel zaczyna się już palić na zwałach, — więzienie przepełnione, ludzie padają z głodu. — Kostryń żalił się coraz natarczywiej.

Wszędzie padają z głodu, a jest ich coraz więcej. — W normalnych czasach Coeur wzruszyłby ramionami. Dziś — słuchał. Wiadomości, otrzymane z Paryża, były tak mętne! Wielka akcja połączenia rudy alzackiej z westfalskiem węglem wciąż jeszcze utykała. Czy Erazm wraz z kompleksem tutejszym przystąpi do tej akcji?!... Połączy się z westfalsko-alzackim koncernem, — czy też pójdzie przeciw?!

Wielki strejk na Erazmie i w zagłębiu całem mógł wpłynąć zasadniczo na wszystkie pertraktacje. Instrukcja z Paryża nakazywała zwłokę. Więc czekać, czy nie czekać?... Trzeba tu było zachować samodzielność, — nie tyle Erazma, co przedewszystkiem — własnej ceny...

Własnej, — własnej ceny. Westfalczycy dawali wciąż jeszcze za mało!

Westfalczycy?! Byli zawsze ci sami. Szukał dla nich nafty w Południowej Ameryce, później węgla w Azji, miedzi w Kongo, — nafty w Rumunji, potem na Sumatrze.

Dawali wciąż za mało.

— Ja też jem ostrużyny, — przerwał nagle Kostryniowi i uśmiechnął się, jak przed chwilą, gdy go zagadnięto o ów kwartet francuski. Serdecznie i dziecinnie. Przypomniało mu się bowiem, że parę tygodni temu on sam stał przed innem, ważniejszem chyba biurem i także tłumaczył tam coś podobnego?! To samo, — to samo — o swoich ostrużynach!

Zawsze — dla wszystkich — same ostrużyny!

A więc strejkować? Pójść na rękę westfalskiemu koncernowi?... Czy też zostać wiernym swemu towarzystwu — i nie strejkować?

Przewalało się to przez Coeura już od dni dziesięciu. Nie spał po nocach. Tłukł z Zuzą w tennisa całemi godzinami. Przestał pić czarną kawę, herbatę, — tylko rumianek z miętą. Przed snem moczył nogi w zimnej wodzie i zawijał pod kołdrą ręcznikiem dla odkrwienia mózgu. Niecierpliwił się, judził, męczył i wkońcu zatracał zupełnie — w takich oto błahych, pozornych uśmiechach.

Gadanina Kostrynia nie mogła mieć żadnego wpływu na decyzję. Coeur dziwił się tylko, dlaczego ten człowieczek mały, nikły, wciąż bryzgający łzami, stoi tu jeszcze przed biurkiem, gada, plecie i przeszkadza?

— Pan rozumie, — dyrektorze, — skarżył się Kostryń, — że w moim wypadku, odpowiedzialnego dyrektora, wszystko sprowadza się właśnie do odpowiedzialności. Zła wentylacja kopalni, — wyprowadzamy powietrze szybem wyjazdowym, — nie można przecież! Wszystkie nasze maszyny, — żal się Boże! Prawda, — nie warto robić inwestycyj, akt dzierżawny wygasa za lat piętnaście. Owszem, — ale za to wszystko ja odpowiadam, — ja!

Coeur nie słuchał. Czekał cierpliwie, za ile zechce autochton sprzedać znów tę odpowiedzialność. Nie była warta nowych wkładów.

Kostryń cztery razy zaczynał tę sprawę, cofał się i znów do niej wracał. Aż nakoniec, malutki, drżący, z włosami zjeżonemi, purpurowy ze wstydu wyjąkał, że znosi te ciężary odpowiedzialności i ów lęk ustawiczny i tę nienawiść powszechną przez — przywiązanie do Towarzystwa.

Otóż to, otóż to, otóż to! To jest prawda! Jedyna najistotniejsza prawda. Chociaż tak głupio i nieszczerze nawet wygląda?!

— Przywiązanie do tak wielkiego Towarzystwa! — krzyknął Kostryń niesamowicie. — Chodzi tu więc o drobiazg. Bez żadnego ryzyka dla Towarzystwa. Chodzi o odrobinę szczerości. By mógł człowiek rozumieć, choć troszeczkę rozumieć tego, komu służy. Odrobina szczerości!

Pełzały po nim oczy Coeura czarne, zimne, pełne bezbrzeżnej pogardy. Po całej postaci, jak gdyby po padlinie, nieskończenie obojętnej.

Grube, lecz foremne usta Coeura jął podciągać ku górze uśmiech politowania.

Za mało ostrużyn! Zachciewa się autochtonom szczerości. Odrobinę szczerości.

Wobec tak idjotycznego zuchwalstwa Coeur podniósł się z fotela. Pod ciemnemi brwiami wiśniowe źrenice stanęły nieruchomo w niebieskich białkach. Szerokie, płaskie usta zaokrąglił śmiech. Doświadczony w tylu kopalniach, zakładach, instytucjach, na tylu wyspach, stosowany w momentach ostatniej pasji.

— Pan sądzi, panie dyrektorze Kostryń, że ja, dyrektor administracyjny, wiem coś więcej od pana?!?

Jakgdyby nagle miejsce, na którem stał Kostryń, samo wgórę podskoczyło: dyrektor odpowiedzialny schwycił się oburącz za piersi, wciągnął łapczywie powietrze, obiegł biurko ogromne dokoła, z okrzykiem:

— Więc i panu nie mówią?! Więc i panu nie mówią?!? W takim razie, kochany dyrektorze, w takim razie...

Namiętna gotowość huczała mu w tchawicy łapczywym rozgłosem.

— W takim razie sami rozporządzimy! Nie może tu być strejku! Nie może! Och, nie może!! — Tyle radości, ciepła, tyle inicjatywy nagromadziło się w Kostryniu.

— Przedewszystkiem powinien znaleźć się winny wczorajszej awantury. Oczywiście — Falkiewicz. Zredukować!

— Co pan wie o Falkiewiczu? —

Pytanie to trafiło Kostrynia nie odrazu. Wypłynęło z nieprzewidzianych głębokości.

Dziecinny uśmiech znikł z twarzy Coeura. Rozprzędła się po niej twarda, służbowa powaga.

— Co pan wie o Falkiewiczu?

— Ach nic specjalnego. — Kostryniowi śpieszyło się, by wrócić do sprawy zasadniczej. — Nic specjalnego. Narzeka, nudzi. Stary już jest. Za stary może? Zarzuca mi ostatnio niedokładności w planach. Które sam wykonywa.

Coeur machnął ręką.

Umilkli obaj.

Dlaczego przerwał się nagle ten nastrój solidarnego koleżeństwa? Chwila rzadka, bezcenna, niepowrotna już może!?! Kostryń skulił się i położywszy ręce na kolanach Coeura — zaczął wszystko od początku. Wszystko, co zrobił w sprawie strejku: — Rozmowy z posłem Drążkiem. Położenie Domu Ludowego. Sprawa podatków Towarzystwa płaconych ewentualnie w Warszawie. Sprawa księdza Kani.

Spojrzał uważnie: ciemna, bronzowa twarz Francuza nie zdradzała śladu zadowolenia.

Trzeba więc było teraz zreferować najlepszy kąsek, — sprawę syna Mieniewskiego, byłego oficera. Młodzieniec ten, jak okazuje się, przyjechał tu — do Osady Górniczej — z bombami. Można go aresztować każdej chwili.

Kostryń westchnął głęboko, potem dodał:

— Zapewniam pana, że tu nie chodzi o moje stare porachunki z ojcem. Chodzi mi tu o pana. Bo jeżeli

mają być bomby w robocie, to na kogoż skierowane, jak nie na przedstawiciela obcego kapitału w pierwszym rzędzie?!

— Młody Mieniewski, panie dyrektorze Kostryń, chce z panem robić interesy handlowe. Nie myśli o żadnych zamachach. — Coeur wstał i zostawiając Kostrynia przed biurkiem, przesiadł się na kanapę. Więcej we wszystkich personaljach ufał donosom Supernaka, portjera, — niż dyrektorom.

— Ze mną interesy?!

— Tak, z panem.

Na policzki Kostrynia wystąpiły fioletowe plamy. Przerażenie mieniło się w wybałuszonych oczach. Coeur wodził jeszcze chwilę wzrokiem po głowie swego dyrektora, poczem przestał go widzieć. Długoletnie bowiem doświadczenie organizatora ustalało pewien aksjomat, w danej chwili nader konkretny: gdy ferment wśród tubylców przechodzi na tło religijne, — zaczyna się istotne niebezpieczeństwo. Ważną więc w całej tej gadaninie mogła być tylko afera owego księdza, — tego jakiegoś Kani.

Czy stary, rozwlekły klej, — myślał o górnikach tutejszych, — nie zakipi przedwcześnie! Wówczas, — samodzielna cena administracyjnego dyrektora mogłaby nagle przestać istnieć.

— Ze mną interesy handlowe?! — piał Kostryń.

— Milcz pan! — Coeur odwrócił się tyłem na kanapie. Zamknąwszy oczy, tarł policzkami po szorstkim, zakurzonym pluszu wysokiego oparcia. Strejk nie rozwiązywał ostatecznie niczego. Przyjedzie delegat z Paryża —

ugodzą się: strejk mógł zaledwie przygotować odpowiednie nastroje. Gdyby jednak alzacko-westfalskie towarzystwo odezwało się wcześniej, dało jakieś warunki?...

— O jakie niedokładności chodziło Falkiewiczowi?

— O jakie niedokładności? — Ba, — czy Coeur nie dostaje przypadkiem pomieszania zmysłów?! Układa się planową akcję, a oto nagle błahy szczegół zaprząta dyrektora administracyjnego tak dalece. — Niedokładności? O ile sobie przypominam, chodziło Falkiewiczowi o trzeci poziom, — coś tam — przy starych ogniach. Coeur sam zmniejszył na ostatnim rysunku strefę tych starych ogni. Tem samem powiększył przestrzeń węgla, który bez narażenia kopalni na „przebitkę" do owych starych ogni można rzekomo wybrać z danego przodka górniczego. Gwałtowne wątpliwości markszajdera rozbił zwykłym dyrektorskim manewrem, odsyłając geometrę do Kostrynia, który przecież podpisem swym odpowiadał zawsze za wszystkie plany kopalni.

— Trzeci poziom, — na wschód od pochylni A, — na ósmym chodniku. —

W miarę, jak Kostryń wymieniał nazwy, dyrektor administracyjny, nie odwracając oczu od deseniu kanapy, uśmiechał się. Jak zawsze, gdy miotała nim najgłębsza pasja. Nienawidził swego konsorcjum. Byli to ludzie, — brakło mu nazwy na odpowiednie określenie! Jedna taka przebitka do starych ogni nieopatrznie z pobliskiego chodnika, z najzwyklejszego przodka górniczego wybita — może oddać na pastwę płomieni całą kopalnię?!...

Nie myślał o tem. Tyle tylko, że owo miejsce, wykazane na planach czerwonym kolorem, tak blisko głów-

nego szybu, pomiędzy kątem chodnika wodnego a powietrznego, utrwalało się coraz silniej w pamięci Coeura. Tak mocno, tak przejrzyście, że widział je przed sobą, rozróżniał doskonale, nawet tu, właśnie tu, teraz, — na szarym deseniu kanapy.

— Panie Kostryń! — Coeur siadł na kanapie.

Kostryń zbliżył się na palcach.

— Przedewszystkiem proszę pana, aby pan przestał nareszcie samodzielnie myśleć. Słyszy pan?! Żadnych kompromisów. Żadnych umów z Drążkiem. Żadnych zmian na miejscu delegatów kopalnianych, Słyszy pan?!

Mówił dobitnie, lecz cicho, a Kostryniowi zdało się, że słowa te rozsadzają mu czaszkę.

— W najbliższym terminie naznaczy pan posiedzenie Rady Kopalń i Hut, z delegatami Związku. Na posiedzeniu tem nie ustąpimy ani na włos. Słyszy pan?

Kostryń pokiwał głową radośnie, jak zawsze w obliczu szefa. Dopiero po chwili uświadomił sobie niepojętą zaprawdę ważność decyzji. Za oknami kancelarji Coeura kurzyły przecież zwykle rude kamieniołomy, tymczasem dyrektor odpowiedzialny dostrzegał tam właśnie teraz widok — z okien własnej kancelarji: od torów kolejowych wiejące czarne opończe miału węglowego...

— To znaczy strejk! — wykrzyknął.

Coeur zerwał się z kanapy i trzęsąc rękami, wydał z siebie przeciągły ryk. Wstrętny, zgrzytliwy charkot rozwścieczonego zwierza.

Najlepiej uciec!! Kostryń znalazłszy się za drzwiami, postanowił odczekać. Gdy ucichło, próbował wejść powtórnie.

Coeur leżał na kanapie tyłem do pokoju. Wymanikurowanemi paznokciami tuż przed własnym nosem odmierzał coś na deseniu obicia.

Oczywiście decyzja nie podlega dyskusji. Oczywiście. Chodziło tu już tylko o oświadczenie, całkiem drobne oświadczenie w sprawie tych interesów handlowych z Mieniewskim. Kostryń nie śmiał niczemu przeczyć, tem bardziej, że nie wiedział, kto donosił i co. Jeżeli są jakoweś interesy, to w każdym razie dobrze. Nic nie skompromituje tak w partji socjalistycznej nazwiska Mieniewskich, jak interesy z dyrektorem Kostryniem.

W stronę szerokich, opiętych bronzową marynarką pleców Coeura powtórzył kilka razy:

— Jak właśnie interesy z Kostryniem. Z pewnością. Och, — z pewnością!

Plecy nie odwróciły się.

Kostryń wyszedł. Wracał przez długą amfiladę kancelaryj, nie patrząc na nikogo, nie widząc nic, głuchy, ślepy, niepewny na osłabłych nogach, — jakgdyby wracał tędy, — przez własne, rozdeptane serce.

Dopiero u siebie w biurze, ułożywszy starannie teczkę z papierami, skoczył we framugę okna. Schował się. Aby odczekać, — nie czuć, — nie pamiętać!

Czarne opończe, półkola, skrzydła lotnego węgla leciały wciąż od torów. Wśród wirów i okrążeń powiewnego pyłu ukazywała się wciąż ta sama myśl potworna, straszna, najstraszliwsza: że gdyby Coeur zechciał, gdyby chciał — za kilka słów łaskawszych oddałoby mu się chyba nawet córkę!!...

2

NOWA ERA

O takich rzeczach czytało się kiedyś w głupich romansidłach, — że człowiek musi nagle uciekać przed samym sobą. Po rozmowie z Coeurem uciekał tak przed samym sobą Kostryń.

Z kopalni kazał się wieźć autem do Rady Kopalń i Hut. Tymczasem, zajechawszy tu przed kamienną amfiladę, jakgdyby wykręcił się samemu sobie i wzdłuż parkanu przemknął za róg do mieszkania Knote.

Sponiewierać, zabić chyba za to łgarstwo, za to bezczelne łgarstwo o błazeńskich bombach!!

Nie zastał.

Wróciwszy do lokalu Rady, zawołał pana Skierskiego, by podyktować list do Drążka. Gdy zjawił się pan Skierski, godny, pilny, równo zaprasowany, Kostryń omal nie rozpłakał się z zazdrości!

Czyż nie lepiej być takim Skierskim?!

Podyktowawszy list do Drążka, oznaczywszy z ramienia Rady Kopalń i Hut termin wspólnej konferencji ze związkami, przedostał się dyrektor raz jeszcze na podwórko pani Knote.

Troje małych dzieci bawiło się pod płotem. Rzucił im parę groszy. Wybiègły z pieniędzmi na ulicę. Wtedy poskoczył do wiadomej sionki i wyrznął pięścią w mocne drzwi mieszkanka. Były zamknięte. Zawrócił, pełen przewrotnej szczęśliwości na myśl o jeszcze lepiej, gruntowniej obmyślanych karach.

Dlaczegoż nie pojechał do domu autem? Dlaczego zampomniał z przed Rady Kopalń i Hut odprawić szofera?

Szedł zadyszany, biegł prawie do domu. Dopiero w przedpokoju mógł odczekać — aż ułożą się jakoś słowa:

COEUR CHCE STREJKU!

Każde trwało oddzielnie, — wielkie, niepojęte i straszliwe...

Zdawały się błąkać niezaradnie w potężnym odgłosie huty, który mieszał się w przedpokoju z równym cykaniem zegara.

Przeraziło to Kostrynia tak dalece, że zapalił wszystkie światła. W przedpokoju, u siebie w kancelarji, w jadalni, w salonie, zalanym promieniami słońca.

W korytarzu spotkali się z Zuzą, gotową do tennisa. Ubrana była w biały dżemper.

Kostryń wrzasnął rozgłośnie, spłoszony niespodzianem ukazaniem się córki. Uśmiechała się do ojca.

Cóż prostszego, jak zapytać teraz o młodego Mieniewskiego? Czy i co wiedziała o tym durniu, czy zwierzał się jej z jakichś planów?

Cóż prostszego?!

Lecz właśnie teraz, teraz, gdy wszystko drżało poprostu w posadach, rzeczy ważne ustępowały miejsca najbłahszym!

Zamiast wypytywać, Kostryń przyłożył sobie dłoń córki do czoła i powiedział:

— Nie grajcie za dużo! Pocóż się masz męczyć?

— Papeczko, z takim partnerem, jak Coeur dam sobie zawsze rady.

Dam sobie zawsze rady?!? — Kostryń schował głowę w ramiona. Gdy Zuza wyszła, usiadł przy zamkniętych drzwiach przedpokoju na krzesełku dyżurnem i czekał.

Czekał, niby swój własny służący. Nagle, — chociaż nie dzwoniono wcale, zerwał się i otworzył drzwi.

Nigdzie — nikogo. Nie gasząc zapalonych świateł, — wyszedł.

I znów nie zastał Knote. Wrócił na główną ulicę do dobroczynnej bibljoteki żony.

Pani Stanisława porządkowała książki, dziś bowiem po południu przypadał dzień wymiany abonamentu. W obu izbach „świetlicy“ panował mrok, jako że lokale te pomieszczone były od podwórza.

— Czy wiesz, — Kostryń wychylił się przez ogrodzenie dzielące izbę na bibljotekę właściwą a miejsce dla tak zwanych stron, — czy wiesz, że prawdopodobnie stracimy posadę?

Stanisława popatrzyła na niego spojrzeniem, przezroczystem, jak woda. Jej złote, trochę zwichrzone włosy drżały na tle szeregów czarno oprawnych książek, niby rozwiany strzęp światła.

— Czy wiesz, — powtórzył Kostryń, — że prawdopodobnie stracimy posadę?

Otworżył furtkę galeryjki i podszedł do żony.

Smutną wiadomość o posadzie przyjęła, jak zawsze wszystko, — godnie.

— Czy wiesz, — wrzasnął, — że stracimy posadę?

— Feliksie, Feliksie, uspokój się.

Gdybyż przynajmniej nie wypowiedziała tego odświętnym, nienawistnym tenorkiem?!

— Gdzie jest Knote? — zachrypiał Kostryń.

— Zrobiła mi dziś masaż, coprawda krótszy; śpieszyła bardzo do nowej chorej na Zielone.

Kostryń nie słuchał już. Przyskoczywszy blisko i szarpiąc żonę obydwoma rękami za włosy, krzyczał:

— Knote, — Knote, — Knote!!!

Pani Stanisława rozpłakała się. Nigdy jeszcze nie słyszał dobrze płaczu żony. Żyli przecież szczęśliwie. Głośne zawodzenie zgrzytało, jak ostry krzyk wielkiego gryzonia?!

Dyrektor Kostryń oprzytomniał dopiero na schodach. Czy też znacznie później, za plantem kolejowym, po drodze na Zielone. Brnął przez błoto rozjechanej drogi z nader dziwnem uczuciem tkliwości, nawet szczęścia:

Jakgdyby teraz dopiero mieli z żoną rozpocząć całkiem nową erę.

Zatrzymał się przy skrzyżowaniu torów. Jedna linja szła stąd ku zachodowi, zostawiając na lewo postrzępione kompleksy Erazma, a potem Flory, a potem Edmunda; druga boczna, zatarasowana rzędami zapa-

sowych wagonów i węglarek, wciskała się w rozdarte pola.

Tam właśnie na skrzyżowaniu torów, wychyliwszy się z pustego wagonu, zobaczyła pani Knote swego dyrektora.

Gdyby Bóg, w którego zaczynała obecnie wierzyć coraz silniej, dał jej łaskę zapadania w letarg, czy też chociażby mdlenia wtedy, gdy biedny człowiek koniecznie powinien, — pani Knote zemdlałaby natychmiast. Odrobiwszy, jak codzień Stanisławę i Zuzę dość pobieżnym masażem, biegła tędy na Zielone i dalej. — dalej, dalej, — do niego! Do księdza Kani!! Przestrzec go najprywatniej, ale z całego serca, by nie zadawał się teraz z Supernakiem, który mu zgubę niesie.

Szła kolejowym plantem, naprzeciw wiatru huczącego w telegraficznych słupach, mimo pól nędznych, pustych i wodnistych, przepełniona najczulszem świętem a zarazem rozpaćzą... Z myślami, które życiem człowieka kierują i z jeszcze jedną — że gdyby używała kapelusza modnego, jak się patrzy, — to może całkiem inaczej przyjąłby ją ksiądz Kania!?!

Z tą myślą i z wielkim szumem w malutkich swych uszach.

Wiedziała, że na tym świecie zagłębiowskim, kto z jednej strony interesów ludzkich ku drugiej naprzykład przechodzi, — życiem może przepłacić. Dziś rano mają rozmowę dyrektorzy! Prawda o Tadeuszu Mieniewskim musi prędzej, czy później wyjść nawierzch.

Nie stała o to! Ani nawet o swoje stosunki wśród królów tutejszego przemysłu, czyli dyrektorów węglowych. Nie stała teraz o to, ani tamto, ani o nic!

Byle tylko uprzedzić księdza Kanię. Byle tylko... — Przed tą myślą schroniła się aż tu do ciemnego pustego wagonu.

Widać stąd na tle suchych drzewek i usypisk gontowy dach, mieszkanie księdza. Tam jego zioła w ogródku, tam krzewy lecznicze i szlachetne, tam wszelkie rośliny posłuszne.

Na samym dachu szeroko wymalowane, święte oko trójkątnej Opatrzności.

Jak długo przestała tu w wagonie, szczękając głośno zębami? Przychodzą na człowieka takie chwile, że kryje się przed sobą i wszystkie sądy nad nim zlatują się i w niego godzą. Tak Knote płakała tu nad sobą suchym żalem, gotowa iść ku temu oku Opatrzności, — i wcale nie mogąca.

Ostrzegać księdza, to z jednej strony interesów ludzkich ku drugiej przechodzić i z jednej strony sumienia na drugą?!

Gdy w tej sekundzie piołunowej ukazał się na skrzyżowaniu torów Kostryń, Feliks Kostryń, dyrektor, mimo, że całe piekło mieści się w tej postaci, byłaby Knote w błoto u nóg jego padła i niechby bił i niechby poniewierał, byleby już nie myśleć...

Wziął w lewo, boczną drogą, widać zawracał ku kopalni. Pani Knote wyskoczyła z wagonu.

Nie patrząc na nic, pobiegła w stronę malowanej na dachu Opatrzności. Przeszła tu drogą wiejską raz, drugi i trzeci, tuż koło właściwego płotu. Z jednej i drugiej strony właściwych okien.

Na płocie wietrzyła się pościel. Za szybami widać

było doniczki kwiatów, przez podwórko latały zwiędłe liście.

— Modli się — pomyślała Knote.

Dopiero przed południem wyszedł, krążyć sobie na dróżkach, pomiędzy roślinami. W czarnej sutannie, wysoki bardzo. Jakby to z jego twarzy nabożnej płynęło całe światło dnia!

Z tak osobliwie pięknej twarzy wielce skromnego mężczyzny.

Oczy i serce pani Knote zamknęły się, — dla godnego wypowiedzenia słów:

— Dzieńdobry księdzu proboszczowi.

— Dzieńdobry pani.

Łzy napłynęły do oczu Knote. Już miała wypowiedzieć ostrzeżenie co do Supernaka. Wraz ze łzami, jakgdyby sto uderzeń spadło na jej głowę, — że zdradza swego dyrektora i wszystkich dyrektorów i całą wielką Radę Kopalń i Hut.

Odeszła cicho, skromnie, potem w nagłym porywie radości biegła, później przy hałdach koło miasta zapłakała nad gorzką swą niewolą, głodnym chlebem syconą.

Pod wieczór w własnem mieszkaniu na przestrzykach dosięgnął ją bilet dyrektora z odnośnem wezwaniem, a także co do Mieniewskiego.

Nazajutrz rano zajechało po nich dyrektorskie auto, a gdy ją pierwszą wpuścił Kostryń do dyrektorskiej kancelarji, gdy zasiadł przed biurkiem i jednego słowa nie powiedział...

Gdy zamiast bić, czy kopać, czy też szarpać, palca

nawet nie zakrzywił, — stało się niespodzianie, że wszystek ból i poniewierka, od wczoraj już czekane objawiły się, niczem jakowaś łaska wielka. Same, — same panią Knote pociągnęły.

Stała z czerwonemi uszami na jasnym kwadracie posadzki, stała, aż nagle dech jej odebrało! Rzuciła się do nóg swemu dyrektorowi. Że, jakże, — zmyłki bywają, że się co do Mieniewskiego pomyliła, ze strachu skłamała już potem, skąd kobieta, choćby skądinąd felczerka, ma się znać na bombach?!

Teraz zaś, w sprawie Kani, wszystkiego dopilnuje. I przeszpieguje wporę. Kania, Kania, Kania ma wśród narodu najgłówniejsze wzięcie i tam jest gniazdo wszystkiego.

Leżała u tych drogo obutych nóg dyrektorskich, zapierając się ostatniej nadziei i otuchy zbolałego serca, pogrążona w bezradnej nienawiści do tego dyrektora, Feliksa, do tego Kostrynia. W nienawiści tak wielkiej, gorącej i tak podłej, że tylko pluć samemu w sobie w serce, wszystko z siebie wydzierać i niszczyć.

Kostryń skrzypnął podeszwą, wstał, dwoma palcami podniósł Knote za ramię.

Coś straszliwego przelatywało przez jej twarz obrzękłą.

Dwoma palcami odprowadził ku drugiemu wyjściu, zatrzasnął drzwi i kazał poprosić Mieniewskiego.

Poprosił siedzieć tego dryblasa. Pod światło. Żeby widzieć całą twarz. Rysowała się na niej bezczelność. Dziwna, bolesna bezczelność, jakgdyby bliska płaczu.

— Że tu jestem u pana, panie dyrektorze, — mówił

Tadeusz młodym głosem, przypominającym Kostryniowi tak żywo dawne czasy koleżeństwa z leaderem, — uważam do pewnego stopnia za wynik losu, czy też, jeżeliby można tak powiedzieć, — za wskazówkę przeznaczenia. Oczywiście, — przeznaczenia klasy trzeciej, — do spraw drobnych, ostatniorzędnych.

Dyrektor słuchał i rozważał. Należało zatrzymać teraz tego draba w Osadzie. Zatrzymać i odpowiednio zużyć. Jeżeli ma się nie przegrać wobec Coeura, — młody pan Mieniewski musi być rozciągnięty jak najwcześniej, — na cztery kopyta. Zużyć: — kupić i sprzedać. Sprowokować. Na całe zagłębie. Może na całą Polskę?!...

Na całą Polskę skończyć z Mieniewskimi!

— Może mi pan pomóc do zrealizowania wynalazku, — uśmiechał się Tadeusz. — Wynalazku, który jest może wierutnem głupstwem? Głupstwem popłatnem. Jedno jest tu odrazu pozytywne: jaką wartość przedstawiać będzie sama firma? Niech pan to czyta w myśli, — dyrektorze, przez całą długość elektrycznych transparentów, w zagłębiu i wszędzie po większych miastach:

PASTA KOSTRYŃ & MIENIEWSKI. Czy też MIENIEWSKI & KOSTRYŃ.

Prezentował rzecz wielkiemi ruchami rąk, jakgdyby wycinających z przestrzeni groteskowe płaszczyzny.

— Głupstwo, taniutkie głupstwo?! Lecz cóż tu wszyscy robimy z pomocą rozumu rachuby i najrozmaitszych przekleństw? — Zdanie to wyrzucone z wielkiem przekonaniem poprzedzało eksplikację takiego wynalazku, — jak Zaprawa. Godnego starań i zabiegów

współczesności. Czy nie? Dziedzina nóg?! Dziedzina wszelkiego posuwania się?!

Kostryń zapadł niejako w siebie. Głowa jego sterczała twardo nad osuniętym tułowiem. Wybałuszone źrenice zdawały się uporczywie świecić w oczy Mieniewskiemu. Bezczelny, rozzuchwalony chłopak pozwalał sobie ponad miarę? Czy też łgał?

W pewnej chwili stuknęło coś na biurku, lekko, tłusto, jakgdyby mysz upadła na zielone sukno.

Był to portfel dyrektora Kostrynia.

— Ja panu dam pieniądze. Policzymy się później. Pieniądze — na początek. Nie jest to żadna darowizna. Wystawi pan pokwitowanie. Sto dolarów? Wystarczy? Na początek kosztów? Zrobimy odpowiednie doświadczenia z pańską pastą.

Błyszczące paznokcie dyrektora wyciągneły papierek do połowy.

Tadeusz zaczerwienił się. Dlaczegoż tak potwornie łatwą okazała się ta sprawa wynalazku? Więc nato człowiek był na wojnie, walczył, miotał się potem w ciasnych salach politechniki, każdą chwilą krwawego doświadczenia mądrzejszy od papierowych belfrów?! Więc nato zerwał z ojcem?

Opadło go niespodziewane, nagłe obrzydzenie. A zarazem uczucie tkliwe i tak straszliwie obce. Jak wtedy w jatce, podczas wiecu. Gdy bili się z Dusiem, — zaprzestali bitki i sparli się czołami, lejąc gorące łzy.

— Szczegóły omówimy później, — cedził Kostryń przez zęby. Przez zęby cedził słowa, przez zmrużone powieki światło wąskie i zwarte.

— Teraz jeszcze poproszę o kwitek, — dyrektor schował kwitek do tej samej kieszeni portfela, z której uprzednio wyfrunął studolarowy banknot.

Tadeusz pierwszy przerwał milczenie. Zaczął mówić o ojcu, w związku z tragizmem każdej misji, czy tak zwanego powołania. Oczywiście. Gdyż sprawy te widziane z lotu ptaka przedstawiają się zgoła inaczej! Obserwować je wtedy można z amerykańską dosłownością. Jako przymus bez wyjścia?! Ależ tak, jesteście panowie skazańcami. I pan i ojciec. Więc rozumie pan, dyrektorze, sens mojej inicjatywy: PASTA KOSTRYŃ & MIENIEWSKI. Czy też — MIENIEWSKI & KOSTRYŃ?

— Rozumiem, drogi panie. — Dyrektor podgarnął nogi na fotelu i ułożył się poczciwie, niby do snu. Czy też, jakby do rytmu sentymentalnych wspomnień, które przywodził na pamięć.

— Rozumiem, drogi panie Tadeuszu. Nie darmo przecież kiedyś, dawno, jako młodzieńcy jeszcze, razem z ojcem pańskim śpiewaliśmy w pochodach: Bo w piersi twej, głos pieśni mej. Czy też w pieśni mej — głos piersi twej? Zawsze kłócił się ze mną o to pański ojciec. Ach, — cóż to były za awantury! Tymczasem, okazuje się, że jest to wszystko jedno. Zupełnie wszystko jedno...

Kostryń wstał. Malutkiemi ruchami dłoni, niczem rybkę płochą i pierzchliwą, kierował Mieniewskiego ku drzwiom.

Minęli wygolonych cerberów, Stanka i Frydrycha.

Dyrektor wyprowadzał gościa, by osobiście wskazać

drogę. Wyszli razem szklannemi drzwiami na schody Zarządu.

— Pójdzie pan przez kamieniołomy, odkrywką i prosto na kościół.

Widać stąd było dokładnie całego Erazma. Trwał pod zwiewną przykrywą błękitnego nieba, — rzekłbyś, — tors bronzowy, olbrzymi, do pół rozrąbany. W wielu kierunkach przekopanego ogromu, niby wiązki sztywnych naprężonych żył, zbiegały się połyskliwe szyny, oblepione przy skrzyżowaniach metalową naroślą przekładni i wskaźnic.

Ludzi nie dostrzegało się wcale. Kopalnia dymiła gęstym oparem, trzeszcząc straszliwie w wielu miejscach. Dopiero po chwili rozeznać można było w załomach, uchyłkach, na zbiegu torów, czy też nisko w czarnych wysiękach niepojętej opuchliny ziemnej poruszenie drobnych żółtych grudek. To razem zbiegały się wryte w ścianę spękaną, to znów drżały nieustannie w gęstych dołach, to jeszcze długi ich rząd kruszył się powoli.

Robotnicy!

Tadeusz poczuł, że zwarły mu się szczęki od tego widoku. Z głębi piersi kluczyła wgórę myśl samotna, szybko, śmiało w najwyższą stronę nieba, gdzie w bezgłośnym blasku słońca znikał już dym i huk kopalni.

Odczucie bezwiedne a głębokie, tak podobne do wzruszeń z jakiemi wychodziło się tyraljerą na szczyt wzgórz, podczas wojny.

Zmienny wiatr nosił rozgłosy kopalni dookoła, to znów zapychał je między gmachy Zarządu.

— Och! — Charkocząc śmiechem przytulił Kostryń

Mieniewskiego do siebie. — Och, gdyby ojciec pański raczył być choć przez pół roku dyrektorem kopalni?! Choć wkońcu wszystko jedno. Czyj głos i, — czy pieśń w piersi, czy pierś w pieśni?! To doskonałe!

Szczęk zamkniętych przez Kostrynia drzwi przeciął ostatnie słowo.

3

PRZY WIECZNYCH OGNIACH

Oddać te głupie pieniądze! Zaraz z pierwszych zarobków! — Tadeusz minął płóczkę, gmach wielki, czworogranny, skrętem czarnych rur połączony z sortownią. Za mętną ścianą szyb, wśród rozpędzonych transmisyj uganiał tam pośpiech mechaniczny, na wszystkich piętrach niecący przeraźliwe skrzeczenie.

Oddać pieniądze, — zaraz napisać do brata, — pomyśleć o odcieniach Zaprawy, — orzech, mahoń, cytryna, czy też ewentualnie heban. Nie czekać na odpowiedź ojca, — przepadło, już przepadło!

Transakcja z Kostryniem przestraszała Tadeusza. Paznokcie sobie wbijał w dłonie ze złości, biegnąc prawie wzdłuż olbrzymich zwałów węgla. Kiedyś, dawno dawno, podczas wojny spotkali się na małej stacji, tak właśnie zawalonej węglem: biedny brudny szeregowiec i leader, parlamentarna ekscelencja, obwieszona przepustkami, z koszyczkiem wełnianej bielizny i jedzeniem dla syna.

Wpatrzeni w czarne zwały siedzieli przy brudnym

bufecie pod oknem, głaszcząc się po zimnych rękach, tak długo, że obie herbaty dawno, dawno wystygły.

Zdało się Tadeuszowi, że chwilę tę sprzedał w kancelarji Kostrynia za sto dolarów.

Przystanął u skraju wysokich połyskliwych czworoboków, zaskoczony pustką wielkiej równiny. Nie było tu już słychać szczęku małych kolejek, piersiowy dźwięk młotów zapodział się w słońcu. Znikła logika torów i niezrozumiałych urządeń kopalnianych.

Prowadziła stąd dalej, mokra, w glinie wyjeżdżona pustka. Coraz bardziej wklęsła i luźniejsza niejako, aż ku miejscu, które w powadze rozmiaru, w prostocie pomiernych rytmów pracy zdawać się mogło miejscem wyodrębnionem, troskliwie zastrzeżonem, wyjętem z krętaniny zgiełku, — rzekłbyś wiecznem...

Rozprzestrzeniał się tu półkolem wysoki zarys kamieniołomu, niczem kulisy twarde i ogromne pustej zupełnie sceny. Robotnicy na różnej wysokości uczepieni kruszyli zwartą skałę kilofami. U podnóża zaś ładowały ukruszoną ziemię kobiety do wózków: drewnianych, czworogrannych, tak już prostych, szarych i niezdolnych, że od ubóstwa kształtu, zda się, wzniosłych.

Podmuch jesienny terpał końce chusteczek, fałdy spódnic układał w stronę przelotu swego. Wynosił dźwięk kilofu skwapliwym rozgłosem, to znów w promieniach słońca rozciągał skromną ciszę.

Przypomniały się Tadeuszowi obrazy z kina, czy też z biblji: jakieś szczepy starożytne przy budowie piramid egipskich, czy babilońskich pałaców zatrudnione, oddane w ciężką niewolę robót wiecznotrwałych. Oj-

cowie jakichś synów zatraconych sponiewierani srodze, żałosne matki, — czy może pośród tych szczepów nieszczęśliwych miłość jakaś namiętna, tajemnicza...

Ledwie o niej pomyślał, gdy odwróciła się od najbliższego wagonika dziewczyna z poterpanemi końcami chusteczki, cała gliną sprószona — Dusiówna!!

Jakoby wielkie niespodziane rozkazy porwały Mieniewskiego. Zsunął się z górki, przebiegł mimo kołowrota linowego wzdłuż toczących się wózków i zadyszany, zjawił się obok.

Lenora zaś, uniósłszy sprószone gliną rzęsy, spojrzała nie wprost, lecz wbok promieniem roziskrzonego szczęścia.

Zgasło.

Jakże bowiem wytrzymać może człowiek na dwie strony rozerwany?! Od jednej nadlatuje ów Tadek, wielkie szczęście w tem szczęściu, jak w słońcu! A znów na drugiej stronie nie jest to nic, lecz tylko syn sprzedawcy klasy robotniczej!

Wyniknął z tego uśmiech, w którym się wszystko pomieszało. Tyle też i nie więcej, — że rozchylił drżące usta Lenory.

Jak stały przy swym wagoniku we dwie, z Karolcią Domagało koleżanką, wzięły się jeszcze prędzej do roboty.

We dwie tu pracowały. Tadeusz patrzył na tę drugą, — wstyd mu było Lenory.

Ta druga, chuda, obmatulona, miała przez piersi fioletową chustkę, spódnicę grubą, czarną. Stała w trzewikach dawniej męskich i zapinanych na guziki, teraz już tylko okręconych szpagatem.

Lenora zaś inaczej, na bosaka i prawie, jakby naga. Stanik różowy lgnął na spoconem ciele, że jagody piersi przez materję świeciły. Z pod stanika w stłamszonych fałdach koszuli wyłaniały się biodra spadziste. Wiatr zgarniał z nich spódnicę rozchylonym kielichem, wtedy zaś odsłaniała się noga, przy kostce smagła, nad kolanem perłowa, prosta bardzo i mocna.

— Więc taką macie państwo robotę? — Nie mógł im przecie mówić „panie“.

Robota prosta. Pokruszyć uwalony piaskowiec i ładować. Dawać baczenie, by się łopaty wzajem nie haczyły.

— Ten kruszy a ten rzuca. Ten rzuca a ten kruszy. — Lenora jedna śmiała mówić swobodnie.

Karolcia pary z ust nie wypuściła, inne od dalszych wózków ani słowa. A nuż to będzie inżynier, czy jaki znów kontroler inspektora?

Z urzędu, czy od strony kapitału — człowiek pracy, niech milczy na kopalni.

Lenora jedna śmiała mówić swobodnie, lecz umilkła w obliczu tego chłopca, skoro ją wczoraj podali do redukcji. Wiadomo, zawsze z jesienią odprawią od kamieniołomów, — ale jaka jest wtedy obrona, — jak nie, — by przespać się z sztygarem?!

— Ten kruszy, a ten rzuca, — ten rzuca a ten kruszy. — Tyle można powiedzieć zawsze.

Tyle.

Od sprężonej na łopacie pięty tężył się cień wysiłku przez plecy Dusiównej ku szyi i z ust dopiero wylatał głośnym przydechem.

Pracowały z Karolcią aż dno wozu dudniło.

Za jednym ruchem oblewało Lenorę słońce, za drugim tulił cień. Z okrywy tego cienia patrzyła źrenicami szaremi, w których stawała rozpacz...

Jakaż tu jest obrona przeciw takiej redukcji?

Ostrze łopaty, utkwione między bosemi stopami lśniło blaskiem tarczy, serce w wysokich piersiach drżało słowem miłości: — Jakaż tu jest obrona?

— Ten rzuca, a ten kruszy, ten kruszy, a ten rzuca. Tyle.

A tu jeszcze Karolcia, — tegoś owegoś, siegoś, — wody chce pić koniecznie, bo ją ściska. Domyślna taka.

Więc zostali we dwoje. Tadeusz podniósł łopatę Karolciną i spytał, ile mieści taki wagonik? — Dobre mu się wydało pytanie dla zaczęcia rozmowy.

— Taki wózek ma w sobie pół tonny.

— Pomóc ci?

Usłyszała te piękne słowa, jakby je przyniósł wiatr z obcych stron upragnionych. Widziała też, że Tadzio zdejmuje piękny raglan, układa na kamieniu pod skałą i bierze za łopatę.

Poskoczyli do pracy, kruszyli i sypali i dobrze im to szło i ani razu łopat nie zderzyli.

Lenora promieniała radością płochą, rzewną, pełną tajnego smutku, jakby to było ważne, niczem nagłe, najprawdziwsze małżeństwo, — za którem zaraz później kryje się nieszczęście.

Bo kiedy Tadek odjechał autem dyrektorskiem z Zielonego w ów wieczór księdza Kani przysięgła sobie, że już koniec z tym chłopcem zaprzedanym i całą noc płakała gorzko.

Bo chyba w obliczu redukcji na kamieniołomach przyzywał ją tutejszy strzałowy do sztygara — załatwić „po dobremu"... Śmierć podnosiła się w Lenorze na tę myśl — po dobremu... Że nigdy, — teraz nigdy!

Rzekła więc między rzutem łopaty pierwszym, trzecim i dziesiątym i innym, kilkunastym:

— Poco ci taka głupia dziewczyna, jak ja, Tadek, poco?

I znów sypali.

Rzekła też: — Strejk tu będzie ogromny, wielkie nieszczęście idzie. Wiesz o tem?

Znów sypali.

Wtedy zaś rzekła jeszcze: — Ciężko tu jest dopiero w zimie. Każdy skamła, — do płóczki. A jak się nie dostanie, to marny jego los. Tadek, — Tadek, lepiej wróć do Warszawy, — do swego ojca wielmożnego.

— Nie bój się. — Roześmiał się przychylnie i wesoło, jak do małego dziecka. — Nie bój się, dostałem dzisiaj sto dolarów. Na nasze interesy, — od Kostrynia.

Nie przestała ładować, lecz i nad głową i zewsząd jakgdyby latać poczęły skały rozpryśnięte. Sprzedawca klasy robotniczej — i cóż tu więcej dodasz?

Przemilczała wyznanie Tadeusza. Przemilczała też wszystką burzę gniewu swego i pogardy.

Zwalił się na nią ciężar tak osobliwy, że cóż tu więcej dodasz?

Jęła więc opowiadać tylko, temu swemu Tadkowi, między rzutem łopaty i rzutem coś innego, nie wporę,

nie do miejsca, ani też do osoby, że tu właśnie dobywają zamułkę. Aby wiedział. Aby to zapamiętał. Tak sobie — bez znaczenia.

Słowa o tej zamułce układały się gładko, niby jakaś opowieść na czasy długie i cierpliwe, których tu niema wcale.

— Ta ziemia jest zamułka, co ją kruszysz. Wagonikami jedzie stąd na kopalnię aż do wielkiego podnośnika, co stoi murowany koło portjerskiej budy Supernaka.

Tam kruszy się tę ziemię jeszcze więcej, w wielkich „silozach“ przerabiają ją i znów rurami wiodą do podziemi i w taki sposób podsadzają miejsca po węglu wybrane. Wszystkie urobki.

— Inaczej, — westchnęła dźwięcznym szumem swych piersi wysokich, — pozapadałoby się tutaj. Węgiel mężczyźni drą z dołu. To jest prawda. Ale znów co do tego, żeby się opierało, żeby było wstrzymane, we wszystkich pustkach wypełnione, — to już kobiety głównie.

Nie to chciała powiedzieć, — coś innego: o tem, że jak zamułka przenika i przenika w głębiny i ciemności, na zawsze już po całe wieki ugnieciona, na zawsze skamieniała, tak tu jest praca kobiety ugnieciona i skamieniałe serce.

Tadeusz palnął pięścią w ścianę wagonika — już masz pełny!

Martwiło go coprawda, że trudził się bez celu, i pomagał, gdyż skąd tam będą wiedzieli, że to jej ten wózek?

— No, — a flek?!

Pochylili się razem, jęła ziemię przegartywać we wózku.

Powtarzała z żałosnem roztargnieniem: — No, a flek, no a flek? — aż znaleźli za blaszaną poprzeczką.

— To masz flek, — wyrzekła cicho, blada ze wzruszenia.

Wziął jej z ręki małą, wąską deszczułkę, na której wypalony był numer, imię i nazwisko. Poszczerbionemi literami, jak na starych; zapadłych mogiłkach

LENORA DUŚ

Ugięło się i pociemniało wszystko w Dusiównej od słów:

— Żebyś to o mnie wiedział. Całe imię i nazwisko. Jak się nazywam. Żebyś to sobie zapamiętał...

Nie mogła więcej mówić. Gdyż nie może być człowiek w wszystkie strony rozdarty. Jeżeli do sztygara wołają, a do redukcji zawczasu podali, a tu kochanek dolary bierze od tej samej dyrekcji, a tu jest sprawa komunizmu!!

Żebyś to o mnie zapamiętał, — imię i nazwisko. — Mrugała powiekami, świat spływał jej przez oczy, gdy Tadeusz wspominał, że wtedy, nocą w Domu Robotniczym na ściółce nie chciała wyjawić nazwiska.

Przypomnienie wesołe i niedawne, Lenorze zaś wydało się w tej chwili, że odbyło się w czasach najdawniejszych i nigdy nie powróci...

Wsparta na swej łopacie patrzyła, szarem martwem spojrzeniem, jak do wydłubanych w kamieniołomie dziur

przywleczone żelazne szpryce, czyli wiertarki pracują sprężonem powietrzem. Robotnicy wwiercali w kamień strugę rozgłośnego tarcia, która wracała zgłębi na powierzchnię, sypiąc ciemnym miałem.

— Wyśrubowali wiertarkami dziury, — zakładają miedziankit, — rzekła nagle, z nieśmiałym uśmiechem. Nieśmiałym i smutnym ogromnie.

Tak mówi się do rzeczy widzianej raz ostatni. Tak się mówi do rzeczy — na zawsze...

Przez środek gliniastego półkoła przebiegł mały zmarznięty człeczyna. W rudej kapelusinie, w połatanej kapocie, z złotą trąbą na sznurku.

— To jest strzałowy, — objaśniła Lenora, — dwa razy będzie trąbił, żeby ludzie z roboty zeszli, żeby się pochowali. Za trzecią trąbką wybuch — i ustrzeloną skałę znowu będziem ładować.

Taki to jest strzałowy: biedny, stary świntuch, który tu był dozorcą na kopalni, — z dziewczynami załatwiał się wtedy cicho pod wagonem. Teraz za strzałowego służy, trąbi i sztygarowi rai.

Nazwisko, — Marjan Kurek.

Już trąbił po raz pierwszy. Robotnicy zsuwali się z kamieniołomu i szli w stronę drewnianej budy na brzeg urwiska. Już dziewczęta od wózków odbiegły, pstrą gromadą zamieszanych łachmanów.

Gdy rozległo się drugie trąbienie, ręce Lenory wionęły wzdłuż ramion Tadeusza — i opadły.

— Czas zejść, — rzekła, — bo zapalili lonty miedziankitu.

— Poco ci taka głupia dziewczyna? Poco? Po-

co? — Chwytała go za ręce zimnemi palcami, przystawała do niego z pytaniem swojem ciszej, ciszej i ciszej, spłoszona, wylękniona, Tadek śmiał się, — wracali w stronę budki, wsparła mu nagle ręce na ramionach, z okrzykiem: — Zmykaj prędko!

W jej szarych wielkich oczach płonęło przerażenie.

Popchnęła Tadeusza w stronę budy, sama zaś poskoczyła zpowrotem, ku kamieniołomom.

Kurek Marjan otrąbiał już — raz trzeci.

Ludzie wszyscy wrzasnęli wniebogłosy, ton trąbki oberwał się wysoko. Lenora pędziła ku wózkom, prosto pod napełnioną ogniem ścianę, — w tak wielkiej ciszy, że furkot spódnic łomotał, jak skrzydła.

Pędziła prosto na śmierć...

Tadeusz zatrzymał się w pół drogi.

Pod ową skałą straszną przywarła nieruchoma z twarzą dłońmi zakrytą...

I tu — tu dopiero rozprysły się w Lenorze nieszczęśliwe myśli, a tylko cień i słońce, nizina i głębina radości i nadziei wybłysły, przebudzone nagłem, strasznem wołaniem Tadeusza:

— Lenora!! Ach, — Lenora! — Lenora!!!

Wiatr skręcił krzaki na urwisku, — goniła już zpowrotem wszystką siłą szalonego serca, spódnice pienią się powyżej kolan na odsłoniętych udach, — już czub skały rozprysnął, — twarde skoki Lenory biją głośno o ziemię, — Tadeusz puścił się naprzeciw, — powietrzem szarpnął huk, — zderzyli się pierś o pierś, — kawały ziemi latają nad skałami, — Tadeusz i Lenora chwycili się rękami, — objęli ramionami, — przepletli

się nogami i stopami, — ziemia tylko omdlewa jeszcze i spada po wybuchu.

Obstąpili ich ludzie, objętych tak, stulonych w jedną moc. Baby zaczęły krzyczeć, przyleciał Kurek Marjan, czyli strzałowy i zaczął czułą parę rozdzielać swoją trąbką.

Tadeusz w odpowiedzi na to, — że się nazywa Mieniewski, syn posła — i nic nikomu do niczego i wyprowadził ją stąd, coraz dalej wprost słońca rozesłanego na wybladłem niebie.

Aż ku jakiejś murawie starej, po której wiatr polatał. Tak szli, rozpadlinami, niebo leciało górą lekkie, jak z cienkiego batystu, aż się znaleźli na ustronniejszych miejscach, — daleko. Gdzie za parkanem Erazma wznosił się szary siny gmach cynkowni, rozsiadły na obszernych hałdach zielonego żużla.

Rozścielili tu raglan na murawie, tu złożył Tadeusz Lenorę. Odpoczęła. Nakrył czułem objęciem i tu dopiero pytał i obejmował, choć go spędzała, — z tak szczęśliwym uśmiechem.

— Czemuż to śmierci szukasz, Lenora, powiedz, czemu?

Nie chciała odpowiadać na te sprawy. Przez czoło poleciały wysokie łuki a źrenice stanęły szeroko, jakoby w posiadaniu mądrości, której za dużo będzie zawsze na potrzebę takiej odpowiedzi.

Naprzeciw w zlewie słonecznej, między żużlem, miałem węglowym i górami ubitego pyłu wkopane po kolana dzieci i stare kobiety obłupywały resztki węgla z zastygłej szlaki.

Szły pod górę skwapliwie, ostrożnie, w szmatach i łachmanach jaskrawych, pochylone a pilne, — niczem zbożne pątniczki. Żużel je zsuwał, znosił ku dołowi, znów wyżej się wspinały przeciw fali umarłego stopu i znów zalewał im nogi ostrą, szczerbatą strugą.

— Wszędzie go trochę przywrze, — mówiła Lenora, — tego węgla. Kto umie, zbierze korzec, albo nawet dwa, przy pretekcji furmana.

Tadeusz ciągle pytał o tę śmierć i czemuż to jej szukać w taki dzień piękny, ładny — i wogóle czemu?

Położyła swemu Tadkowi głowę na piersi, żeby tak odpoczęli, — o niczem już nie rozmawiali.

— Bo nikt nie wie, jak dziewczyną rzucają na kopalni. Temu szukałam śmierci.

Odsunęła się, wywinęła z pod niego i spuściwszy powieki, jakoby w siebie samą zapatrzona:

— Jak dziewczyna przychodzi na kopalnię, to zaraz jest dozorca. Pierwszy. Kurek Marjan. Coś go widział, — to on. Potem, — żebyś się na zimę dostała do płóczki, — znów. A przy płóczce — znów. A potem z wiosną, żeby cię fleczarz nie ukrzywdził — znów.

Tadeusz bronił się rękami, odganiał słowa, Lenora przeczyła ruchem głowy sprawiedliwie i dalej swoje:

— A przedtem, jeszcze przedtem, zaraz tu na tych hałdach, — żeby ci żużla wysypali dobrego — znów. I zawsze — znów. I znów, — i znów, — i znów.

Wykierowawszy szare oczy ku słońcu: — Nikt nie wie, jak dziewczyną rzucają. Ale ty wiedz, — mój Tadek. Żebyś nie przywołał z pod tej skały, jużby mnie tu nie było, ani nigdzie. — Tadek.

Przez twarz jej płaską nieco, jakby ołówkiem na gładziźnie ciała wykreśloną, jęło przesuwać się ukochane imię czułym bardzo uśmiechem w głąb myśli i pamięci.

Wtedy Mieniewski rozwarł swe długie ręce, jakby mu właśnie teraz wszystko już z nich wypadło. Opowiadał szeroko, że nim samym losy rzucają też, — ogromnie. O domu. O rodzinie. O ojcu i o sobie. Jak w tylu sprawach był, na wojnie krew przelewał i już wyjęta jest z niego jakaś główna sprężyna... Najgłówniejsza! Więc teraz z Kostryniami zaczął — interesy handlowe.

Nad zrębem usypiska ukazał się siwy stary perszeron zaprzężony do długiego rzędu wagoników dymiących świeżym żużlem. Poodal kroczył furman, w podartym rajtroku, w starej wojskowej rogatywce. Posuwali się wzdłuż szyn, bez wszelkiego rozgłosu ku gromadzie czekających kobiet, — niby zjawa nieuchronna.

Tadeusz ucałował Lenorę w usta. Pachniały skałą i żelazem. W oczy. Pachniały gliną. Rozpiął stanik. Nie broniła się wcale.

— Teraz wiesz, — płakała łzami promiennemi, — nazywał się Kurek Marjan, albo był sztygar, — albo wszyscy inni.

Całował ją po piersiach. Całował, — zakrywał — i odsłaniał. Patrzyli na nie razem, zwarte, mocne, — zachwyceni bezmiernie. Razem pokazywali je niebu i powietrzu. Czekali razem, — aż je wiatr przestudzi.

Woźnica, prowadzący wagony, gwizdnął przeciągle. Wiadomo, — zabronione jest kochać się na kopalni.

Poskoczyli co prędzej wdół, ku rozpadlinom gruntu. Pod wielkie zeschłe krzaki, szumiące martwym liściem.

— Jesteśmy tu, — Lenorka rozejrzała się uważnie, — na starych robotach, blisko przy wiecznych ogniach. Mogą się palić sto, pięćset i może tysiąc lat?!

Mówiła cicho u brzegu skalnego wgłębienia, ustami dotykając prawie zwiędłych krzaków.

— Ogień idzie po węglu i idzie. Górnicy mówią, że go nawet słychać.

Zsunęli się najniżej, przeplątani przez siebie i przez krzaki. Musiały były kiedyś prowadzić tędy korytarze kopalni. Zbutwiałe stemple trzymały się jeszcze gdzie niegdzie. Ale nie było w drzewie żadnej siły, a tylko same próchno.

Tadeusz nasłuchiwał. Zdawało mu się, że chwyta szum daleki, aksamitny, jakby ogromne, w strasznej głębi utajone westchnienie. Aż z szumu tego, z czasem nieznanym płynącego, czy też z bólu, że się pod skałę chciała rzucić, czy też z szczęśliwej chwały ocalenia, czy też ze wstydu jej wyznań bardzo smutnych, — łzy mu zaczęły płynąć.

Objęła go gorąco, gdy powiedział, że teraz poznali się. Drugiem ramieniem przycisnęła jeszcze bliżej, mówiąc:

— Nic my się nie poznali! Ty wrócisz przecie Tadek do swych dyrektorów i pannę tam już mają dla ciebie i pieniądze szykują. Pieniądze będziesz brał i wszystko i zawsze wkońcu do honoru wrócisz. Tak u was zawsze u burżujów, — nie to ja! Jak się nie rzucić pod skały — to i tak później ginąć w błocie na kopalni!

— Taki pan z dolarami i dziewczyna z powierzchni! Ale drugiej Lenory niema. Żebyś nie zawołał dzisiaj, to jużby jej nie było!

Wypomniała mu, jak to kiedyś, wtedy, wtedy wieczorem patrzyli do mieszkania Supernaków.

— Tyś stał cicho przed oknem i czekał i mówił, — czekam aż z za szafy wyjdziesz do mnie druga!... Drugiej Lenory niema, — wszystko jedno!

Spłynęło jej przez oczy ogromnemi światłami całe nieszczęście przyszłe:

Jak zdradzi ją ten Tadek, odrzuci, kopnie, jak wyśmieje, ona zaś wszelkich straży miłości upilnuje.

Całe nieszczęście przyszłe, lecz zarazem ostatnia i najwierniejsza duma:

— Byś wiedział, — ta Lenora, co jest na fleku wypisana. Drugiej Lenory niema... Weźmiesz mnie?!

Szumiący uśmiech zadźwięczał w jej ustach, ramiona jak najszerzej rozwarła, niebo się nad nimi przechyliło w najrozmaitsze strony i tak zderzyli się i zrośli i zespolili w bezmiernem nieprzytomnem objawieniu, połączeni wszelaką miarą ciała, gorąca, duszy i radości i zguby i śmierci spodziewanej i biedy i niedoli i ucieczki i nieba szerokiego i słońca rozlanego pod zamkniętemi powiekami!

4

MLEKO MACIERZYŃSTWA

Takiego szczęścia w młodości, pod niebem, w dzień jesienny, pogodny, starczyłoby aż do zachodu słońca. Na trawach wyszarzałych, nad ogniami wiecznemi w głębokiej, zapomnianej ciszy.

Poderwali się. Jeszcze raz tylko padli sobie w objęcia.

Na górze, wychylony pośród krzaków, patrzył Duś. Miedziana, węglem osmolona twarz sygnalisty ciemniała nad parowem.

Zakrzyknęli co bądź i wybiegli ku niemu pod górę. Oznajmił, że na nadszybie przyszła dziwna wiadomość, jakoby skały siostrę żywcem przytłukły, czy też co, — czy też jak?

Wszyscy troje dyszeli przykrem zdumieniem. Lenora klasnąwszy nagle w dłonie, wzruszyła ramionami i bez żadnego pożegnania, odbiegła ku kamieniołomom.

Zostali we dwóch.

— Twoja siostra — rzekł wreszcie Tadeusz.

Duś nic nie odpowiedział. Gdy za kopalnią minęli długie kartoflisko, ukazała się wśród szarych rozpadlin

gruntu płachetka przymierzchłej zieleni, rozlanej pod krzyżami cmentarnemi.

Ogrodzenia żadnego.

Weszli między żałobne pagóreczki i gdzie bądź przysiedli. To już Duś tak rozrządził, że tu przysiedli właśnie.

Za cmentarzem szły parkany innej kopalni, Flory, wzdłuż których dudnił nieustannie przejazd kopalnianych wózków.

— Dziewczyna sobie żyje, jak chce. — Duś utkwił szare oczy w Tadeuszu. — Czas dzisiejszy naładowany ciśnieniem ideału nie zważa na poboczne szczegóły, tyczące wyzwolenia kobiety. — No, — teraz wiesz?!...

— Co mam wiedzieć?

Siedzieli na murawie, naprzeciw drzewka samotnego, za którem słał się widok tutejszy, — pod wysokim przelotem nieba wąski pasek ziemi, oznaczony wieżami kopalni. Samotne drzewko nałapało pajęczyn i siwego okwitu, z czego utkały się na nagich gałązkach żagle przezroczyste. Zmienny wiatr sycił je wciąż kolorami tęczy.

— Myślisz sobie, żeś mi w dodatku jeszcze siostrę uwiódł! Żeś taki mądry burżuj! Nie bój się: śpi, — z kim się jej podoba. Nie ty pierwszy, nie ostatni.

Tadeusz zwinął się, złapał Dusia za szyję i tak trzymając, wpatrzony w ciemną, węglem przyprószoną twarz, wołał: — Nie mów!!

— Moja siostra pracuje na kopalni, — krzyczał Duś, — jak wszystkie u nas! Nie ty pierwszy, — nie ostatni!

— Nie mów! Nie mów!

Stało się zaraz, że się z murawy poderwali, że się zczepili znowu, niby do nowej bójki między sobą.

Nie mógł przecie Tadeusz pozwolić na taką poniewierkę Lenory, w obronie jej honoru stawał, — a Duś swoje!

— Myślisz, że się po mordzie będę z tobą bił o nią?! O te honory takie?!...

Gadali i dyszeli, chwytali się za ręce, słowami tchnęli prosto w twarze:

— Nie śmiesz tak mówić o niej do mnie!

— Do ciebie — śmię!

— Nie, nie śmiesz!

— Do ciebie — śmię!!

Wielka ironja zawrzała między nimi.

A, — toś ją zredukował! — A, — to ją teraz może przyjmiesz na zimę!

Nie prowadzili jeszcze bitki, lecz tylko szamotanie, zmaganie. Nagle — obchwycił Duś Mieniewskiego, niespodzianym ruchem nastawił twarzą do krzyża, pod którym tylko co wypoczywali.

Znane to było miejsce w Osadzie Górniczej, miejsce wiecznego spoczynku samobójczyni młodej, z napisem na krzyżu:

ŻYŁAM, BOŚ CHCIAŁ
UMARŁAM, BOŚ KAZAŁ
ZBAW MNIE, BO MOŻESZ.

Przeleciał Tadeusza lęk niespodziany, że tak samo zejdzie tu kiedyś Lenorka w tę ziemię, rozpłynie się pośród skał mięsistych, — Lenora Duś, — na szarym fleku wypisana!

— Mało to ich tu masz, — syczał straszną ironją sygnalista, — po rowach, — pod wagonem, — na hałdach, — za płotami!?!

— Po rowach, — pod wagonem, — po hałdach, — powtarzał, idąc przez kartoflisko. — Mało to ich tu masz?!

Nie mieszkał już oddawna z tą siostrą i była przecie kobietą wyzwoloną, jak każe chyba teraz ciśnienie ideału. Czemuż więc zemsta piersi mu rozrywała, wcale nie robotnicza i nie klasowa, a tylko honorowa czy burżujska ze średniowiecznego jeszcze nieuprawnienia kobiet wynikająca?!

Lecz nie była to nawet owa burżujska zemsta, a coś innego, najgłębszego, i ile razy stykał się z tem Duś, tyle razy tracił wszelkie miary: było to poniżenie własnego ideału, własnego przekonania o miłości, o której nic specjalnie nie mówią programy partyjne — i niech tym razem nie śpieszą się określać.

Była to miłość do osoby pewnej, cudzej żony, — górnika Martyzela, który sam sygnaliście książkę do ręki wetknął i świadomość klasową zaszczepiał i wszystko najdokładniej — o całej nadwartości!

Czyż sobie tysiąc razy nie powtarzał już Duś, że ta kobieta nie jest dla niego? Że chyba był odrostkiem, gdy ona dawno tam już z dziedzicami zaczynała?!

A cóż? A kiedy szedł obecnie tą Błotną ulicą wzburzony, urażony, z najświeższą wiadomością, że kapitał termin wzajemnego zebrania oznacza, cóż z tego wynikało? Jedno tylko: radość ślepa a jasna, — że Martyzelka siedzi za swą robotą, jak zazwyczaj przy oknie, —

nad haftami pobożnemi. A cały świat, — cóż znaczy wobec tego?!

Gdy wszedł, popatrzyły z nad haftu te właśnie oczy ciemne i wytrwałe.

Wapnem bielona wnęka muru okiennego całe miejsce syciła powagą. Tak, tak, — wszystko tu blade na tej twarzy, tylko przez odgarnięte czoło cieniutka smuga światła pomyka — i pomyka.

Dom cały zapuszczony przez te hafty i owe różne stuły narodowe i owe białe obrusy duchowne i inne tam galony lamowane nowych przesądów!

Duś zamknął drzwi, uchwycił się poręczy łóżka i w tę cieniutką smugę światła na czole wpatrzony, zaczął mówić. Do nikogo innego na świecie nie mówiłby takim ogniem i ofiarą. Jeżeli powiedzenie elegantów burżujskich, — że serce człowiekowi krwawi, ma jakąś rację bytu, — to jakże tu krwawiło!

Powiedział bowiem, że Martyzelka, jako mająca jedyny wpływ na księdza, powinna mu doradzić, by się zaraz ze swą wiarą ogłaszał. Na kopalni prowadzą już do strejku. Już przyszedł list do związków z Rady Kopalń i Hut. Z terminem konferencji wspólnej. Która żadnych dobrych skutków nie przyniesie! Już urabia się wszystkich pracujących przy szybie, — tej najgłówniejszej twierdzy kopalnianego ruchu! Ludzie są zrozpaczeni do ostatniego kresu! Gdy ksiądz ogłosi się teraz, wszystkich będzie miał za sobą!

Rozszerzenie nastroju rewolucji, — uczył przecie na Kole delegat okręgowy!... Od tego rozszerzenia nastroju pot czarny z węglem pomieszany spływał sygna-

liście ze skroni! Gdyż było to rzucaniem niedostępnej dla siebie kobiety w inne, cudze objęcia! Lecz kiedy wszyscy inni po rowach się tarzają i słodycz tylko czerpią, — nieustraszony żołnierz rewolucji czuwa!!

Uchwycił Martyzelkę za ramiona, rozkoszne fale ciepła pociągnęły go naprzód. Lecz inny społeczny głos zatrzymał:

— Zwińcież te wszystkie szmatki, — mówił Duś, łyskając groźnie swą twarzą miedzianą, — rzućcie i zaraz idźcie. Teraz go zastaniecie. Idźcież prędko i mówcie!!

Uciekł z mieszkania na podwórze. Nie zmienił nawet łachudrów kopalnianych. Ani się śpieszył pojeść. Fizycznemi rękoma obrządzał gołębie na podwórzu, w gołębniku, który mieli do spółki z Martyzelem. Skrobał pilnie malutkie podłogi, prostował druty na ganeczkach. Ale duchowe ręce w wyżynie niewiadomej łamały się z rozpaczy tak ogromnej!

Cóż w porównaniu z niemi mogła znaczyć dowiedziona naukowo krzywda ludów, czy też bliski upadek Anglji, lub wyczerpana cierpliwość całej rasy żółtej i czarnej, — afrykańskich murzynów?!...

Bluźnierstwo to wstrząsało piersią Dusia, gdy ciche, białe gołębie przesadzał z pięterka na pięterko.

Aż tu wychodzi Martyzelka z temi trzema słowami:

— Idę do niego.

Z ulicy Błotnej idzie się przez lasek torami i przez rozległe hałdy. Droga ta nie trwa wcale, zawsze z wszystkiemi myślami pojednana!

Aż dopiero pod samem okiem Opatrzności, tak blisko widnem z dachu, otrząsła się Martyzelowa. Marzyła,

gdy tu szła, — nikogo nie zastać, — poczekać sobie w pokoju i nic już z tego niech nigdzie nie zostaje i tak wyjść i tyle tylko wiedzieć dla siebie, — że się znowu było!

A tymczasem wszędzie tu tyle życia, — na podwórzu pracowali, tłukli i przybijali. Jacyś trzej karczowali pieńki, od siekier aż dudniło w zaroślach. Inni znów uczniowie pod kępą starego bzu, w głębi podwórka heblowali białe deski na ołtarz.

Wszystko, — wedle mniemania Martyzelki, — złodzieje, z gazetką księdza biegali po wsiach i kolonjach, kradli kury i kobiety łudzili!

Najbliżej chaty stała altana, z wieżyczką, przerobioną na kazalnicę. Na nowiutkich schodach rozsiadł się główny uczeń na apostoła Pstrokoński, z wypłyniętem okiem. W łaciatych portkach zawsze jeszcze chodził, że niby dawny ułan.

Zobaczył Martyzelkę, lecz udał, że nie widzi. Trzymanemu między kolanami gołąbkowi z drzewa złocił dziób pozłótką.

Za łotra miała go Martyzelka i za złodzieja, on ze swej strony zwał ją zawsze mateczką, od czego rumieniła się nieznośnie. Dmuchnął teraz ptaszkowi w dziób i splunąwszy nieuprzejmie wylazł na wieżyczkę, by owego Ducha świętego przybić równo nad daszkiem.

Martyzelka podeszła bliżej i, mimo że rachunki swoje mieli z Pstrokońskim, czekała tu przy schodkach. Gdyż rozkosz jej sprawiało wielką a bolesną, że tak to trzeba czekać i pytać i kwestować, nim się dojdzie do księdza.

Pstrokoński wbił już drugi gwóźdź w piersi gołąbka,

a jeszcze słowa nie powiedział. Skierowała się sama w stronę chaty, on zaś wtedy dopiero nuże psykać i wołać:

— Psss, — te, — mateczka, — słuchaj, — jego niema!

Wpadła szybko do mieszkania; — sionka, — izba jadalna i do głównej pracowni!

Wszystko stało otworem w pięknym zapachu ziół. Zobaczyła się znienacka w lustrze, na ścianie, między fotografjami rodziców księdza. Wyżej, na czarnym krzyżu wisiał srebrny Chrystus.

Och, — uśmiechnęła się w tem lustrze do samej siebie starem jakiemś i zapomnianem już chyba odnalezieniem!

Czemuż stać? Usiadła wśród papierów i książek. Nie dotknęła, — broń Boże, — niczego, a jednak ręce same napełniły się drżeniem szczęśliwem.

Przez maleńkie okienko szedł stąd widok na szarzyznę podwórka, na kępy bzu i białe, jakby trumienne deski przyszłego ołtarza i na tych ludzi, uczniów nieuczciwych i na zamęt jesieni, snujący się po wydeptanej trawie... Szedł stąd widok najczulszą pokorą ukochany:

Nie zastać i posiedzieć tylko i niech się nic nie dzieje, co najwyżej zapisać na biurku, — lecz słów właściwych zawsze wporę zabraknie!

Napisała jego dużym ołówkiem niebieskim, co następuje: — Cztery funty soli. — Cztery funty soli.

Tyle razy, — aż póki łzy nie ugrzęzły w gardle.

A tu przychodzi Kania!

Wstała.

Wrócił od chorych pewnie, bo też i leczył ludzi. Poprzestawiał flaszeczki rozmaite, mimochodem pytając:

— Co pani tutaj pisze?

— Nic takiego.

Zobaczył kartkę, spytał: — Komuż to jest potrzebna ta sól?

— Nikomu nie potrzebna. — I nie o to. — Zaczęła Martyzelka pierwsze z brzega: o przyjaciółce swojej Supernaczce, która umiera a nowego chrztu łaknie, i wierzy, iż dostąpi wtedy przedłużenia życia.

Wzruszywszy ramionami, zmieniła prędko temat:

— Jak Supernaczka, tak czeka teraz naród cały. Gdyż idzie strejk na kopalniach i w hutach i znowu będziem głodowali! Więc rzymscy kanonicy wiedzą i przeczuwają i już zawczasu gnębią! Do pracy zaganiają!

Ksiądz jął tłumaczyć, że tu nie o to chodzi, by pieczeń wiary piec przy cudzych sprawach. Ale, by wiara, jako wytłumaczenie praw wiecznych, przejawiła się sama! — Pokazał na ogród, na owo przybijanie figur, poczem wziął z biurka zeszyt i ukazał w nim pismo swoje przemyśliwane wśród długich nocy natchnieniem i cierpieniem! — To wszystko jeszcze niegotowe! Otóż prawda jest jedna, a figury owej prawdy —

— Jakie tam proszę księdza figury, jakie? Jakie? — spytała głosem niskim, czułym, miękkim, jakiego nigdy jeszcze nie słyszał u niej. Najlepsza uczennica w chórze i w praktykach obrzędu uśmiechała się tak miło-

siernie, że ksiądz zawstydzony przerwał w pół słowa swoje wywody podniosłe.

— Przez całe życie, proszę księdza, tyle z tych figur prawdy uświadczyłam, — że miałam dziecko we dworze, na początek. Tu blisko od Osady Górniczej. Którego to człowieka kochałam. Odtrącił mnie. Za karmicielkę wyjechałam wtedy z innem tutejszem państwem. Krew mi zbadali i pokarm. Jak krowę kupowali. Takie to były figury mojej prawdy. Wyjechaliśmy daleko, zagranicę. Napatrzyłam się tam gmachów żelastwa ogromnego i hut i fabryk i urządzeń zaradnych. Jakież tam gdzie figury takie w Belgji, Francji i wszędzie po świecie?! Rządzą się — mechaniką. Maszynami świat idzie, maszynami! Tam mnie znalazł Martyzel.

Martyzelka przerwała tę spowiedź, — jako że poco? Poco takie wyznania? Lecz słowa same przez się płynęły dalej:

— Wytułał się ten człowiek, wycierpiał. Wróciliśmy do Polski. Mój pierwszy synek, czyli nieprawy, utonął tutaj. Kosmyczek złotych włosków migał tylko z przerębli, gdyśmy na krzyk przylecieli. Martyzel skoczył szczerze do wody, ale nie odratował. Martyzel, starszy górnik. Całe życie przy nim siedzę. Ale cóż? Nauka — surowa w nim zostaje. Nie do użytku. Polityka nie układa się w nim. Wiadomo księdzu, że mamy dwoje dzieci. Niech żyją, — ale ja nie żyję. Więc jest dom, — zamiast domu. I jest mąż, — zamiast męża. I dzieci, — zamiast dzieci. I życie, — zamiast życia. Niewola. Niedbam o klasę robotniczą. Nie dbam. O siebie, ani o nich. Bo nic mnie na świecie nie trzyma. Takie to są figury moje, proszę księdza?!

— Takie! — krzyknęła nagle. Przysunęła się blisko, jakoby świecąc Kani w oczy zapłakaną twarzą.

Odsuwał się, ona bliżej i bliżej. Dłonie mu położyła na ramionach, aż uchwyciła za ręce, przylgnęła piersią do jego piersi, z zawołaniem:

— W tem biednem, lichem życiu!!

Poraziła księdza Kanię rozkosz ogromna od stóp do głów, jednem olśnieniem. Wszystkie siły oddawał pracy, zmysły już przemógł dawno: od wspomnienia owej pierwszej kobiety, która po zażyciu chiny przeciw porodowi omal ducha nie wyzionęła, — do spraw tych nie wracał.

A do tego obraza! Za własną słabość i za tak małą wiarę w tej wyznawczyni!

Podniósł żonę górnika oschle i wszystko skierował — na strejk.

— Wszyscy głowy tracicie od tego strejku, nad nerwami panować nie możecie, a tu jeszcze nic niema i nic wkońcu nie będzie!

Wodziła za nim twarzą, zda się martwą. Z oczu spływały jej łzy malutkie, równo, prosto, niby na zamówienie, gdy usta i brwi ani drgnęły. Po suchej twarzy ściekła woda tego żalu błyszczącym śladem, jakby po zimnej blasze.

Ksiądz dał znak, że ma coś ważniejszego do mówienia, lecz nie tu. Poszli we dwoje za obejście, ku starym hałdom, czyli w stronę gontyny, — lub kontyny.

Ludzie na Zielonem nigdy nie pamiętali, jak wymawiać to słowo. Jedno pewne: wierzący nawet w poda-

nie nowej wiary narodowej śmiali się cichcem z tego kościoła przyszłego księdza Kani, — gdyż to była w istocie dawna karczma żydowska.

Cztery ściany drewniane, zmurszałe, z dziurami, z zawalonym dachem na hałdzie odludnej.

Od samego kanonika rzymskiego pochodziły te pogróżki, gdyby się w takiej karczmie świętokradztwo pleniło. Lecz Kania lepił, kleił, pieniądze w to ze swych pacjentów wkładał. Głosił, że taki właśnie należy się tutaj kościół: Na hałdzie, czyli ziemi ręką ludzką zarażonej, umarłej, opłakanej łzami sierót i wdów.

Między hałdami z żużla i węgla i zakrzepłej szlaki i wszelkich skamieniałych nieużytków hutniczych, niby wśród wzgórz z sinego ołowiu ulanych, przeciągał wiaterek samotny. Pogładził stare trawki w rozpadlinie i zaraz znikał w zachodniej czerwieni.

Zdało się Martyzelce, że gdy tak idą we dwoje, — całe miasto, wszyscy i wszystko za nią pogna z wydrwinami, z prześmiechem! Lecz wstydu za to, co się stało, nie czuła w sobie! Niech będzie, jak się darzy!...

W kontynie — wielka cisza. Zwietrzałe stare ściany, pajęczyny po pustych oknach, zatkanych krwawem niebem zachodu.

Od węgłów padał do środka cień na rumowisko.

Tu znów ksiądz odpowiadał, całą przypowieścią: — Oto tu jest ta karczma. Alkoholizm przepłynął tędy i wszelki inny wyzysk i szalbierstwo, aż ludzie opuścili to miejsce i już zagłada przynależy się tym nędznym ścianom. A jednak zakwitną nowem życiem i tak wszystko zakwitać może zawsze od początku i to jest właśnie fi-

gura wiecznej prawdy: gdyż co było, — jest teraz, — a co będzie — już było!

Czy to pisał w zeszytach, czy też mówił — na jedno wychodzi! Za słowami takiemi przebywał w oddaleniu niedosiężnem. Martyzelka zapamiętywała tę chwilę znikomą, każde słowo i każdy sęk i drzazgę i każdą kępkę mchu i pajęczynę i krwawe niebo w pustych oknach. Przytulona do belek skubała wargami jakoweś włoski drzewne, pełna szczęśliwego zdumienia: iż nic więcej nie trzeba wcale, byleby tylko przebywać w kręgu jego postaci!

W ciszę powietrza wdał się skądś, zniedaleka, chrobot ostrożnych kroków... Żużel pryskał miarowo. Coraz bliżej, — znów ustał. Zgrzytnął tuż pod ścianami kontyny, — w pustem oknie ukazała się — jakgdyby głowa sowy w pękatym kapeluszu.

Knote! Jej wielkie piwne oczy, wpatrzone nieruchomo do środka. Pod niebieskim połyskiem wstążek kapelusza płonęły małe, amarantowe uszy.

— Niechże tu pani wchodzi! — zawołał zaraz Kania.

Martyzelką wstrząsnęło przerażenie...

Knote w kapelusiku pstrym z złotemi guziczkami przez trzy niebieskie wstążki, od których na okrągłą twarz spadał powiew — marzenia. Knote bez szkockiej chustki a w piaskowym żakiecie obcisłym, do figury, pod którym wypukłości kobiece drżały aż nazbyt szczegółowo.

Tem bardziej, gdy przez gruz rumowiska szła delikatnym kroczkiem, jak po linie.

Jeden jedyny, całkiem znikomy uśmiech księdza Kani wystarczył, by się wszystkie miary przepełniły! Aby się Martyzelka zawinęła szczelnie wokół samej siebie. Aby się wycofała z tego miejsca. Przez czarne głuche hałdy krokiem nierównym, śpiesznym, który tu słychać było w kontynie bardzo dobrze, — jakoby upadanie kamieni — na kamienie.

Pani Knote przybywała właściwie z niczem. Były do przewidzenia rzeczy od strony kapitału, lecz wiadome chyba już księdzu i tak dobrze. Żeby się strzegł! Że knują tam na niego pan Kostryń i kanonik z Kapuścikiem. Ujawnienie nabożeństwa rozpędzą, a kontynę zburzą!

Najwięcej, najsmakowiciej opowiadała masażystka o Kostryniu. Cóż, — człowiek związany przez kapitał, lecz dobry. Człowiek, któremu kto wie, czy nienajlepiej właśnie pokazać słowo boże?! Dlatego, — jako d o m a t o r s k a Kostryniów, pragnęła tu przedwstępnie poznać wszystko w nowej wierze. Zwłaszcza teraz, gdy ludzie tak są naszpanowani przed tym strejkiem!

Knote krótko tu zabawiła. Tyle tylko, co uszczknęła rozmowy i dalej, dalej, dalej! Bo i cóż?! I tak za żadne skarby nie weszłaby do pomieszkania księdza, ach nie! Nigdy, za nic na świecie!

Tych słów, tak prostych — za nic na świecie, — nie objawiła głośno. Musiał tu w tym wypadku wystarczyć jeden silny rumieniec, — od którego aż oczy całe wilgły!...

Zmówili się. Gdyby kapitał szczerze zagrażał księdzu Kani, Knote księdza uprzedzi. Czy ksiądz chce,

czy ksiądz nie chce. Nie powstanie z tego żaden dług wdzięczności, gdyż uprzedzenie nastąpi z przeciętnej, normalnej miłości człowieka do człowieka, ze strony kobiety, jako bliźniego i również należącej do kasty pracujących.

Powiedziała i znikła. Zamyślonemi kroczkami, w szczegółowem drżeniu wszystkich opiętych wypukłości a z myślą cichą, jak marzenie. Jakiego dotąd nigdy jeszcze nie zaznała, a którego starczało, by znosić teraz wszytko!

Czyż nie znosiła pogodnie pobytu Mieniewskiego, — choć kto to będzie płacił?

Czyż mimo tak sowicie zagrożonych spraw swoich nie pracowała teraz lepiej niż poprzednio?! Dopiero teraz, mimo że takie cięgi szły na Osadę Górniczą, a nie daj Boże i całe zagłębie, — pracował człowiek z prawdziwem przekonaniem. Nawet u tych Kostryniów! Przylatywała tu wczoraj, dziś i jutro z całkiem innem sumieniem!

Żadnych teraz sztafirków, minek i całowań po rękach. Żadnych kroczków wystraszonych! Sięgasz pod kołdrę, jak do worka z rozrąbanem mięsem. I zaraz do roboty, zaczynając od fachowego przetraktowania stóp, — pani dyrektorowej Stanisławy Kostryń.

Podobnych stóp w Osadzie rzadko, żeby z takiem serduszkiem różowem na pięcie i żeby były po wierzchu atłasowe, a zaś od spodu safjan.

To — wszystkie komplementy.

Pani dyrektorowa leży martwo i czeka, przez nogi białe idzie połysk porcelany. — Żadnych pieszczot, czy pochwał! Przerobić dobrze kostki, przerobić gładkie

mięśnie łydek, poklepać żyłkę niebieską, co się spruła już dawno od kostki po kolano, — i czekać.

Czekać, czekać, czekać, — jak on zawsze czeka, Feliks!

I cóż? I pani Stanisława Kostryń naciskana po lędźwiach zaczyna nagle gęgać! Jak to w wypożyczalni książek mało się nie pobili z mężem! Jak to z pięściami skakał! Jaki robi się dziki, nieprzytomny!

Wtedy dopiero pani Knote, wywróciwszy pacjentkę, niczem skibę pulchną do góry grzbietem, zaczyna swoją kontrę. Najpierw o snach. Śnił się jej kot płynący przez brudną, mętną wodę, — ten kot to będzie Coeur! A brudna, mętna woda są stosunki tutejsze. A nasz dyrektor nie potrafi z panem dyrektorem Coeurem konfliktów poukładać. Więc tu kobieta musi stanąć między nimi, uśmiechnąć się, przymilić i zarządzić. O los familji chodzi, o całe stanowisko na dobre, długie lata.

— Jak koleżeństwo, to już koleżeństwo, — myślała pani Knote, biegnąc palcami przez uda wyżej, wzdłuż pierścieni krzyża i aż na kark. — Razem byłyśmy wierne, razem będziemy wolne... Tak sobie to myślała, — tak...

Na dowód czego, otarłszy ręce z wazeliny, z zapartym skromnie oddechem, pokazała kapelusz swój.

— Knote, nasza Knocia w kapeluszu! — wykrzyknęła pani dyrektorowa, Stanisława Kostryń.

— W kapeluszu, — odpowiedziała masażystka głosem, jaki nigdy przedtem nie zawdzięczałby tu w jej ustach.

Jednemu Kostryniowi nie odważyła się dotąd pokazać w tem przebraniu głowy. Pragnął ją zawsze wi-

dzieć tylko w chustce. Knote nie mogła w tak naprężonej chwili stawiać kropek nad „i“.

Chociaż ogół przyjął zmianę korzystnie. Starsze pacjentki twierdziły tylko, że na takie zmiany nie czas w okresie kryzysu. Drążkowa może nawet przesoliła:

— Ma też pani sobie czem głowę zawracać?! — krzyczała rozpostarta na kanapie. — Dziś mamy posiedzenie z kapitałem a pani — z kapeluszem! Nastaje okres przełomowy, patrz pani tylko od rana na te auta, co mi huczą naprzeciw! Słuchaj pani, jak ja, co się tu wszędzie w naszym domu przeciera przez wszystkie korytarze, a zapomnisz o piórkach!

W Domu Ludowym huczało, bezrobotni pilnowali Związku: — Strejk i strejk, nie odstępować, wydaleni mają być przyjęci! — Jak za drugiego co ma jeszcze pracę, to każdy bezrobotny srogi i wielki pan. A delegaci kopalniani ciągnęli się za Drążkiem po kątach, po budowie, spłoszeni na mieszkanie zachodzili, co w Osadzie przytrafia się tylko w najgrubszych razach.

Miarkować można było też po Kapuściku, że nie będą przelewki! Do południa snuł się przed magistratem, niby na spacer, z panną, córką sędziego, a po południu w białych, świeżutkich rękawiczkach wyskoczył.

W palonych butach weszedł do magistratu, przed którym gotowego już bułanka wciąż mu przeprowadzali.

Wtedy to ryzykować postanowiła swoje wyjście Knote: żeby ją wszystkie czynniki miejskie od jednego rzutu zobaczyły. Auto Kostrynia miało podjechać przed mieszkanko i zabrać Mieniewskiego. Do tego auta postanowiła przyczepić się, gdy zastukał — Kozą.

Sekretarz Koza. Blady i wzruszony — i chyba wypił dzisiaj, — mocno dyszał wiśniówką!

— Co to? Pani wyjeżdża? — Palcem ukazał jej kapelusz.

Chamuś. Za to też, nic mu nie powiedziała. Szeleścił swem gumowem paltem, mrużył czerwone oczy i znowu obiecywał jakieś felczerstwo, zaraz, w Kasie Chorych, — lecz odszedł z kwitkiem.

Gdy auto erazmowskie fuknęło przed bramą, powstała pani Knote z kanapy, nic jeszcze w duszy specjalnie nie czując. Gdy wsiadali z Mieniewskim na maszynę, gdy szofer przekładniami poruszył, gdy znaprzeciwka bezrobotni, — „hu-hu-hu“, — krzyknęli, — dopiero wtedy poczuła ogromny zaszczyt swej śmiałej przemiany.

Bo dla kogoż to było, — dla kogo?... Dopiero wtedy uczuła, jakoby do jej piersi poniżonych pierwszy raz napływało ofiarne mleko macierzyństwa!

Tak też jechała całą drogę w aucie: wyprostowana dumnie i uśmiechnięta.

Tadeusz udał się sam do Kostryniów.

5

PARAWAN

U Kostryniów ogromne zamieszanie! Służba przebiega do gabinetu pana dyrektora, coś wnoszą i wynoszą i aż syczą z ruchliwej gotowości. Słychać wciąż wymyślanie, — to Kostryń kwiczy uporczywie.

Ucichło. Wyszła stamtąd pani Stanisława, szukać czegoś po wszystkich pokojach. Do córki dobrnęła w chwili, gdy Tadeusz podawał Zuzannie kolorowe pudełeczka z pastą.

Kostryniowa krążyła wkoło i naprzód i znów wtył, piękna a roztargniona, chwiejną ręką macająca przedmioty napotkane. Za niemi i pod niemi każde miejsce i wszędzie w wszystkich kątach, — jakgdyby poomacku. Niebawem nadbiegł Kostryń. Pchał palce w szpary między poduszki foteli, wydmuchiwał sobie z za paznokci stare kruszki i proch. I wciąż powtarzał:

— A jednak były tu gdzieś te okulary! A jednak były!

Takim kłębkiem szukania i skweresu wysunęli się Kostrynie od Zuzy, dalej przez pokoje, brzęcząc i wszystko przestawiając na swej drodze.

W całym domu Zuzanna jedna zachowała spokój.

Ubrana i gotowa, jak do drogi. Tak też patrzyła na wynalazek Tadeusza: jak ktoś, kto jedzie naprzód a mimochodem tylko patrzy na coś tam z boku.

— Och tak, — uśmiechał się Tadeusz, pokazując cierpliwie pudełka z pastami. — Znam te nastroje z domu, od nas. Największe świństwo ludzkie: — uparta wola, która łamie wszystkich innych dokoła. Dla jakiegoś kawałka chleba, idei, czy też innej smutnej nędzy.

Wygłaszał te „teorje“, zamykając starannie pudełka, potem zaś majstrując coś przy nartach.

Kiedy i w jaki sposób dobrał się do tych nart? Dokręcał do nich śrubki, przybijał i poprawiał z takiem przejęciem, że o wszystkiem innem zapomniała. Dom huczał okrzykami Kostrynia, huta raz wraz napełniała pokoje łoskotem metalowych pogłosów a Tadeusz i Zuza klęczeli razem na podłodze i zakręcali śrubki, jakby zbawienie świata od tego zależało.

— Wiem, wiem, wy tam jedziecie do Rady, obedrzeć ich ze skóry: górników. Tych Martyzelów, Szymczyków i tak dalej. My też ich obdzieramy po swojemu. A ja tymczasem szykuję polubowne głupstwo! Ojciec pani zgodził się już! Pani nie wie? Robimy razem spółkę — MIENIEWSKI & KOSTRYŃ. Czy też — KOSTRYŃ & MIENIEWSKI!

Poszli na podwieczorek, roześmiani, trzymając się pod rękę.

Kostryń siedział za stołem, ubrany w stary garnitur sportowy. Zawsze tak szedł do robotników: jak na wyczyn, czy też na polowanie. Siedział ukosem, by nie naciskać tylnej kieszeni, którą rozpychał brownig.

Pani Stanisława zapraszała pilnie, — mąż nic nie jadł. Kruszył tylko dokoła i chlapał. I do znudzenia powtarzał wciąż to samo — o kwartecie francuskim. O sławnych instrumentalistach, którzy niebawem wstąpią tu, po drodze na Bałkany.

Nie dokończono podwieczorku. Z miasta telefonował Kapuścik. Pojechali we czworo: Kostryń, żona, córka i Tadeusz.

— Niech nas widzą z Mieniewskim — szepnął Kostryń żonie.

Szofer nie przestawał trąbić, przed samą Radą naprzeciw Domu Ludowego tłum był tak gęsty, że ledwie przed schody Rady dojechali.

I tu — spostrzegła Lenora swego Tadka! Przy owej pannie, Kostryniównej, w mleku ptasiem kąpanej, świałością bogactwa malowanej! Naprzeciw tych rodziców dyrektorskich.

Lenora podbiegła parę kroków a raczej zamęt tylko wszczęła w ciżbie ludzkiej. I ręce przed siebie wyciągnęła i zawołała, na znak, — że serce w niej ustaje!

Cóż znaczy okrzyk?

Tamci sobie wysiedli i przez drzwi szklanne weszli.

Rada Kopalń, jak zawsze w takie dnie przełomowe, urzędowała cicho i normalnie. Ten sam przeciętny zaduch i to samo stukanie maszyn. Ani literki więcej.

Kostryń z Mieniewskim poszli zaraz na górę, oglądać wielką salę. Stanisława zatrzymała córkę w poczekalni.

— Wszystko układacie z ojcem, — szeptała córce pod zakurzoną palmą hallu, — a ja o niczem nie wiem!

Wszystko poza mną. Masz mi się zaraz dowiedzieć, czy jest tu w gmachu inżynier Coeur? Bo muszę z nim pomówić. Sprowadź go tu natychmiast!

— Skąd? Poco? „Sprowadź mi go“?! Z rękawa wytrzęsę?

Stanęły przeciw sobie oko w oko, — drżące ze zdenerwowania.

Na szczęście zjawił się pan Skierski. Oświadczył paniom, że Kostryń znajduje się na górze.

Dyrektor pokazywał Tadeuszowi podłogę wielkiej sali koncertowej, — w związku z zabawnym wynalazkiem — Zaprawy. Należałoby znaleźć odpowiedni odcień dla takiej podłogi. Wszystko, — kwestja odcieni.

Wyprowadził Tadeusza na balkon. Wzdłuż całej ulicy Przemysłowej od kolejowych żeberek Erazma, wgórę aż po Szkołę Sztygarów wionęła gęsta chmura dymu węglowego. Łukowe lampy lśniły w niej martwo, jak kule papierzane.

— Cześć wam, towarzyszu Mieniewski! — zawrzasnął grubym głosem Koza z okien Domu Ludowego.

Ciemne twarze górników zwróciły się ku balkonowi. Zalśniły nad brukiem, niby gładkie połyskliwe dyski.

Kostryń uciekł. Tadeusz został sam, pochylony nad szumem ulicy.

Tak zobaczyła tutaj po raz drugi, swego Tadka, Lenora. Stała we wrotach Domu Ludowego z Szymczykami. W całym tłumie zredukowanych. Lecz wrota Domu rozpłynęły się i tłum, jakgdyby znikł i wszelki czas zatracił się doszczętnie, — gdy na ów balkon Rady Kopalń i Hut wybiegła Kostryniówna!

Gdy we dwoje stąd zeszli. Gdy za chwilę autem dyrektorskiem jechali!

Wiadomo: przed takiem posiedzeniem, policja konna zakręca tędy i tamtędy, potem w jedną minutę zahuczą samochody Flory, Paryża, Edmunda i jeszcze inne, bogate, glansowane.

Wiadomo a zarazem nic wcale niewiadomo! Pędziła przez Lenorę rozpacz, szumiąca gwałtem rozsadzonych skał! Płachty ciemności mieniły się w oczach: trzeba się było zabić wtedy! Zginąć pod kamieniami!

Wszystko razem spłynęło w wielkim okrzyku tłumu...

W okrzykach tych szli spokojnie przez jezdnię z Domu Ludowego naprzeciw, do Rady Kopalń i Hut — delegaci kopalniani.

Prowadził Drążek stanowczo a tak godnie, jakgdyby z namaszczeniem dźwigał samego siebie.

Dalej, — Sikora, Niestój, Malara, Koprownicki, — delegaci. Martyzel, Duś, Supernak, Koza, — też delegaci. I jeszcze nowi, inni. Nie patrzyli na boki, ani pod nogi, ani wgórę, ani też przed siebie. Chwila była tak wielka, iż wszyscy utkwili oczy w punkt, nieznany powietrzu a wszędzie tu obecny, — w punkt krzywdy robotniczej.

Chociaż dwie partje na tle tego samego Związku — w jedno ciało się zbili i tak właśnie solidarnie znikli, przytrzaśnięci szklannym łoskotem drzwi Kopalń i Hut.

Któż tu nie bywał w tym obojętnym, zda się, przedsionku Rady? Gdzie ściany i podłoga i wszystko co należy, olejno zaciągnięte, jak wszędzie, a jeżeli poskrobać, — trysnęłyby odrazu łzami robotników!

Należało wszystkie kroki odmierzać a nawet zważać na każde poruszenie ręki! Tu godność delegacka wisiała wciąż na włosku.

Towarzysze skupili się, by wszystko poszło składnie: Kolejne zawieszenie płaszczów na szaragach. By ręka kapitału zapomocą usługi woźnych nie tknęła delegackich płaszczy. A zarazem, by woźni, choć słudzy, — lecz z uświadomieniem klasy robotniczej też kiedyś wkońcu przejrzą, — nie poczuli obrazy.

Stąd przez rząd sal, pustych, oścież rozwartych. Aż do tej sali żarząco oświetlonej z zielonym wielkim stołem wspólnych obrad.

Gdy już tu przyszli, — rzecz najpierwsza: — śliskiemi dłońmi zielonego sukna dotknęli. Gdyż z niepozornych z włosków tej zieleni idzie los aż pod ziemię i żadnej doli robotniczej, i najmniejszego nawet dziecka nie ominie.

Uczucie wszystkich wyraził poseł Drążek, gdy stanął za stołem i wyrzekł w ciszy, wstrząsanej mętnym gwarem ulicy Przemysłowej:

— Tak, towarzysze.

Poczem wziął do rąk papierowy bloczek, przejrzał kartki, inni zaś towarzysze za nim.

Kapitału wciąż jeszcze nie było. Radził zapewne obok i szlifował ostatnie swoje ostrza. Trza czekać, tracić energję nanic, — spozierać po portretach byłych dyrektorów, którzy wisieli tu w złoconych ramach.

A z towarzyszy, co na owe złote ramy pracowali, żadnego śladu nigdzie?!!

Gdy ogół delegatów zajął się spoglądaniem w olejne oczy portretowych upiorów, sekretarz Koza zbliżył się do Drążka, by ze swej strony jemu znów spojrzeć w oczy.

Chodziło nie o żarty!

Jeżeli Drążek stawiał na kartę Dom Ludowy, to Koza ryzykował wysługę tylu lat i poniewierek: swoją pracę biurową! Jeżeli targu z kapitałem nie skończą, — może się rozchwiać Dom, a sekretarza innego zawezwą?! Więc chyba jest już pora, by opuścić dyskretne alibi?!

Nieprzejednaną postawę Drążka wobec kapitału uważał Koza wyłącznie za alibi. Które, — wcześniej, czy później pęknie!

Poseł wytrzymał spojrzenie sekretarza. Wytrzymał i zwyciężył. Zionąc piwnym oddechem w przywarte, rozeszklone oczy Kozy, powiedział głośno:

— Przez to zielone sukno płynie krew wszystkich górników zagłębia. — I nie czekając żadnej odpowiedzi, tyłem się odwrócił.

Buja, czy prawdę mówi?! Koza chwycił Drążka za rękaw, — niestety, — już za późno!

Z otwartych drzwi sąsiedniej sali wychodził już kapitał...

Pierwsi, — dwaj sekretarze. Cichutko. Na gumowych podeszwach, każdy z teką pod pachą, z twarzami odętemi nabożnie, jakby w swych wiernych ustach opłatek święty topili, by czasem nie rozgryźć.

Klasa robotnicza spojrzała na nich wytrawnie i świadomie: na te powolne narzędzia kapitału.

Za nimi sam kapitał, — dyrektorzy.

Wiadomo: w obliczu kapitału psy, karmione ochłapami! W obliczu klasy robotniczej — władcy życia i śmierci.

Sześciu co najważniejszych dyrektorów, cały węgiel, stal, żelazo, wszelki cynk, ruda, galmany wszystkie, oraz w tym właśnie tłuszczu ociężałym, — wszelka niedola ludu pracującego.

Spotkanie odbyło się bez jawnego przywitania.

Gdy zasiedli przy tymże samym stole, rozpętała się w delegatach rzecz straszna, do wiary zgoła niepodobna:

Wdzięczność!!!

Że wspólnie z takim siedzisz, który ci życie daje, tobie i twoim dzieciom, morderca taki!

Martyzel grzecznie nogi pod siebie podkurczył, Sikora, Zdunek, przełknęli zabiegliwie, Dusiowi ręce drżały, Koza uśmiechał się uśmiechem bynajmniej nie klasowym, a przez postać Kostrynia przemijał spojrzeniem modlitewnem!

I takie jakieś wstydy i poprawki miejsc i szurgania i tak się przewlekało, gniotło, wyciągało, aż Duś charknął potężnie, — ucichło.

Spojrzeli na przewodniczących:

Kostryń siedział naprzeciw Drążka, w połowie stołu.

Pan Skierski zaczął czytać przetartym pięknie głosem wszelakie, należące do posiedzenia papiery poprzednie, tamci zaś, Kostryń i poseł Drążek, niby naprzeciw siebie dwie skały obojętne...

Tyle powietrza i tyle pustki między nimi i tyle odległości poprzez ten bliski stół, że Martyzelowi, choć

czcił fizykę i jej prawa skupione, dziwnem zdało się nagle, — dlaczego woda sama nie wypłynie z karafki a szklanka nie ucieknie z środka stołu?!?

Nagle, — ludzie przygaśli, a światło jeszcze mocniejszym blaskiem wytrysnęło: przez usta dyrektora Kostrynia wysmykać się zaczęły rekryminacje kapitału.

Podstępnie i zdradliwie obłaziły delegatów robotniczych. Żarły przez skórę, — chyba, że do samego serca!

Wynikało bowiem z tych słów, układnych, — od których szara głowa Martyzela znikła pomiędzy ramionami, — że prowadzenie kopalni jest czystem miłosierdziem.

Łaską!

Na węgiel niema teraz konjunktury i nieprędko nastanie, — węgla za dużo wszędzie i krajowi i wszystkiemu przeszkadza w takiej masie!

Pocóż więc zasadniczo wydobywać? By się palił na zwałach?!

Delegaci słuchali z otrutem sercem. Gdzież w tym wypadku podziać pracujące ręce? I skąd tu jeść rodzinom? Tak czarna, twarda praca jest darowaną łaską?!

Wszystkie spojrzenia w pośle! I cały honor delegacji!

Z Kozy leje się pot. Sekretarz Związku robi prędko piersiami, jakby już właśnie konał.

Obie barki Martyzela podjechały pod górę.

Portjer Supernak drży, każdziutkim włosem swej kosmatej twarzy.

Ulica zaś poddaje swoje, — słychać ich tu wyraźnie przez podwójne szyby: gotują się, mieszają pod ścianami, od żeberek Erazma aż po Szkołę Sztygarów.

Więc teraz Drążek wstępy swoje zaczyna. Prosto z mostu, by się kapitał najadł wstydu publicznego do sytości.

Ręce już ludziom drżą, światło wzmożone zalewa piekące powieki, dyrektorzy odęli się, pęcznieją, czerwonych plam dostają na łysinie a ołóweczek dyrektorski stuka po arkusikach, to przodem, to znów tyłem, to przodem, to znów tyłem!

Waliły się w westchnieniu Drążka, jedno za drugiem, wszystkie piętra Domu Ludowego, — lecz prowadził swe wstępy nieustraszenie naprzód. Patrzyli sobie z Kostryniem prosto w oczy wyższą, — najwyższą chemją. Co spojrzą to pod sufit zawiną i koło żarówek elektrycznych wzajemnie się unikną.

Poseł swoje szczekanie, wszystkie krzywdy, — a Kostryń łezki swoje czerwone.

Zdawało się Dusiowi, że łapała się dyrekcja z posłem w przebłyskach spojrzenia. Szedł wtedy z piersi sygnalisty podryw głosu, jak idzie z szybu: zgłuszony, od głębiny po szczyt.

Poseł swoje: o wszystkich krzywdach robotniczych, o wodzie i mieszkaniu i kartoflach i jak tu dzieci umierają, a ile zaś wypada zysku za jedną tonnę węgla. Więc jaka i na którą stronę prowadzi konjunktura?!

Podparło jeszcze posła, gdy za oknem przez garus ludzki i wszelakie zamieszanie zaklaskał twardy odgłos kopyt policji Kapuścika.

Delegacja umilkła, — aby odczekać rozgłosy — tego nabożeństwa władzy: kopyta grzmiały po bruku, niby jakieś kamienne, okropne pocałunki.

Duś patrzył wciąż uważnie, — na posła i Kostrynia. Wpływali sobie wzajem w przymrużone oczy roztopionem spojrzeniem. Nie światłem, — ale mgłą. Nie mgłą, — lecz mętną juchą... Nie juchą, — brudem ciemnym.

Gdybyż to towarzysze zdołali posuwać się w naradach organizacyjnie?! Jak tego uczy partja?! Lecz każdy chciał dopełnić opowiedzenie Drążka. Każdy chciał tu wyrazić swój los. Jęli się więc podsadzać pod wstępy Drążka własnemi przemowami, od strony prawodawstwa: zdobycze robotnicze — już wypłynęły na stół. A tu tymczasem uśmiechy kapitału, blade i niewzruszone na złotych gęstych plombach!

Każdy delegat wiedział, że z tego miejsca przemawia raz ostatni: że go Zarząd przenigdy potem na kopalni nie ścierpi. Każdy uczuwał dobrze, że przy tym stole pali mu się nad głową czarny znak redukcji.

Mówili tedy mocno wszystkie zaległe sprawy, między któremi, niby między tarczami maszyny jedno i to samo ziarnko, zgrzytało wciąż dotkliwie — sobota angielska.

Czy — kwestja ustawowa, czy też tylko umowna?!

Jęło się to przewijać, krążyć między naradami, deptać tam i zpowrotem w przeróżnych przemówieniach i tak się z tem motali na wsze strony, podczas gdy poseł Drążek i dyrektor Kostryń przynikli i przygłuchli i prawie że zasnęli...

Teraz już nie popatrzył nawet jeden na drugiego. Ani ruchu, spojrzenia, ani żadnego znaku. W obydwóch zastygło, osiadło, poprzez skórę obu zakamieniałych twarzy tchnął błogi spokój...

Wtedy to zerwał się Duś, sygnalista Erazma i wrzasnął, że to sprawa zasadnicza. Buchnęło z niego żarem nienawiści klasowej. Słowa leciały szorstkie, przystające, — sam ostry, twardy przerost, — jak się nazywa skałę przerastającą węgiel.

Głowę uniósł do góry, ponad stół i ponad całe obecne tu miejsce. I ponad wszelki porządek tych narad.

Słowami — kamieniami!

Myślami — pazurami!

Własnem mięsem!

Oddechem — rozrywającym piersi! I takim warem myśli, — że oczy zalewało, że zatykało w gardle!

Wiedział, że słów dosadnych używać tu nie wolno. Dwa razy użył już prostego wyrażenia — zbrodnia. Wiedział, że towarzysze o soboty nie stoją. Sami się przekradają, zjeżdżają nadół i robotę szykują w te soboty darmo, by potem więcej węgla ustrzelić na kopalnianych przodkach.

Wiedział, że ta sobota angielska wyprowadza obecnie całą sprawę nie we właściwe miejsce: gdzieś w pustkę, na pustynię i bez wszelkiej przyszłości. Lecz wierzył: Wszystko przebyć musi puszczę strejku powszechnego, po której następują upragnione rządy! I dlatego wywalać trzeba wszystko przy każdej okazji.

— My tu bawimy się — wykrzyknął — w sobotę angielską! I w koszta jednej tonny! I w krzywdę robot-

niczą i w ciężary kapitału. My tu bawimy się we wspólne posiedzenia. To jest luźna zabawa, a tymczasem, — w oczach błyskało mu iskrami straszliwej białości, — tu niema ani posiedzenia, ani krzywdy, tonny, ani dniówki pańskiej, ani na akord, ani żadnej umowy, ani żadnej soboty angielskiej, tylko ten węgiel, który dla was jest życie, a dla nas śmierć! Tylko rów, tylko dół, tylko przepaść, — ciemna, dozgonna przepaść nienawiści klasowej!

I dlatego, czy wy?! I dlatego, czy kapitał prowokuje, czy nie prowokuje, czy wy tu dla konkurencji twardze chłopskie za psie pieniądze sprowadzać będziecie przeciw robotnikowi, czy nie będziecie, czy nas tu wojskiem i policją ściśniecie, czy nie ściśniecie, — my klasa robotnicza przez naszą krew, przez śmierć idziemy.

Jakgdyby z głuchym świstym wszystkie mięśnie ściągnęły się w Dusiu.

— Idziemy, — krzyczał, — do strejku! O swoje prawo życia! O własność tych warsztatów pracy, coście je krwią naszą od tylu lat dobrze już zamortyzowali! O własne swoje prawo produkcji! O swoje prawo rady z całym robotniczym światem!

Mowa Dusia zdradziła całą sprawę.

Delegaci poderwali się hurmem, a nad zielone sukno wykwitły szare pięście.

Krzyk!

Rada Kopalń i Hut nie znosi takich krzyków.

Krzyk taki, że już widać aż do dna gardzieli, język klepie zajadle po zębach a zęby oślinione błyszczą białą nienawiścią.

Sekretarze wciąż jeszcze zapisują, — lecz dyrekcje powstały, zerwały się z swych miejsc. Patrzą matowemi oczami a zmarszczone podgardla czerwienieją im od krwi.

— Bo sprawa jest umowna i takeście to panowie rozumieli, jakeście dotąd stosowali! Jakeście dotąd stosowali! Jakeście dotąd stosowali! — ryczał poseł Drążek, dyrektorowi Kostryniowi prosto w czerwone oczy.

Powtarzałby to zdanie wiele razy, bez końca. I machałby pięściami bez końca. I rzucałby się, niby ryba żywcem skrobana, — ileby tylko chcieli. Albowiem w tym garusie piekielnym i w tem wzajemnem lżeniu działo się między posłem a dyrektorem, — działo się już nareszcie!...

Już doznali wzajemnie oblicza swej przyszłości, — oblicza strejku. Już tyle razy rozleciały się w oczach posła Drążka wysokie piętra Domu Ludowego! W mokrych źrenicach Kostrynia aż czarno, brudno było od lęku szorstkich, łuszczących się pięści!

A oto teraz przez słowa Dusia, przez wrzawę i brutalne wyskoki w wyzwiskach i w obrazie wzajemnej przebłysło między posłem a dyrektorem takie porozumienie, że można sprzedać się nawzajem, a wierność trwa! Napluć, — a wierność czuwa we wspólnem ocaleniu utwierdzona.

— Po trzykroć hańba, panowie przedstawiciele kapitału, — ryknął Drążek, łuną owej wierności tchnąc w stronę Kostrynia.

A Kostryń szczuł się, szarpał nad swemi papierami i gryzł i ślinił najdokuczliwsze słowa i gryzącym ho-

norem kapitału pryskał posłowi w oczy, lecz ze słów jego tajemną koleiną wzajemnego strachu, wzajemnego użytku i wzajemnej miłości wracały znów podatki na swe miejsce, — wracał uznany status quo!

Zahaczyli o wielką obrazę i przerwali obrady. Delegaci wynieśli się z okrzykiem, a gdy ich tłum ogarnął, zawrzało na ulicy, jakby mielonym pieprzem dmuchnął kto ludziom w oczy.

Kostryń — śmiał się. Patrzył na puste miejsca po delegatach i śmiał się, jak dziecko. Zwłoka na dwa tygodnie, albo na trzy, na cztery, albo wogóle po kościach się rozejdzie.

Patrzył przez cienką szparę story przy szybie, dyszał, ssał szklannego papierosa i wciąż jeszcze czekał: ulicą Przemysłową przelewał się tłum.

Szary, ciemny. Jakoby nagle bruki powstały z jezdni, uniesione na wysokość człowieka.

Dyrektorzy czekali w gabinecie. Wzburzeni bardzo, nikt nie spodziewał się takiego załatwienia. Nie było żadnej dyskusji, — wszystko stoi otworem?!

Kostryń jęczał w fotelu. Czekała go dziś jeszcze ciężka przeprawa z Coeurem.

Gdy przed Domem Ludowym ucichło, postanowili wyjść. Można już było śmiało, ulica Przemysłowa była już prawie pusta. Siedm aut dyrektorskich ryknęło jednym głosem, gdy oto znaprzeciwka od strony Domu Ludowego oderwała się ruchoma ciemność. Ciemność owa skłębiła się na jezdni, przenikła samochody i jęcząc ludzkim głosem podążyła szerokiemi stopniami Rady naprzeciw dyrektorów.

Tu, przed stopy Kostrynia z drżącej ciemności wypadł tobołek łachów, wołający:

— Ja jestem Symczykowa, panie dyrektorze, — my starzy! Oboje my zredukowani!! Prosimy łaski pana dyrektora!!

Drobny, zziębnięty tłum świadczył białemi twarzami i wznosić się poczynał i zakryłby niebawem schody Kopalń i Hut.

Kostryń krzyknął: — Wstydźcie się łamistrejki, — lecz byłoby się nanic zapewne nie zdało i byłaby ich ciemność szara ludzkim głosem płacząca oblała ze wszech stron, gdyby nie pan Kapuścik!

Znalazł się tu na czele swojej jazdy granatowej, w mig przeszedł końmi i drżący śmietnik szmat, łachów i zrozpaczonych głosów rozdeptał kopytami tak prędko, iż niewiadomo chyba, z czego tam jeszcze iskry na bruku wybłysły.

Kostryń rzucił się w auto. Kazał jechać za miasto. Kluczył tu między hutami wśród konstelacyj świateł kopalnianych, aby na wszelki wypadek zmylić za sobą ślady. Zawrócił od strony Flory i cmentarza, mimo wielkich odkrywek Erazma, ku ulicy Miedzianej.

Opodal posterunku policji zostawił auto i dalej poszedł pieszo kolonją urzędniczą rozłożoną na tyłach ogrodu Coeura.

Och — dostawanie się tu w nocy było prawdziwą męką. Stróż nocny, Niemiec, drab olbrzymi, ośm potężnych wilków. Szybki oddech zgonionych bestyj i szum ogrodu.

Stróż nie wchodził do willi. Mechanika elektryczna otwierała drzwi jedne, po drugich.

Minąwszy hall, pobiegł dyrektor Kostryń schodami na górę. Musiał trzymać się poręczy, — tak osłabł. Wszędzie paliły się kolorowe lamki nocne.

Na górze jął się skradać cicho i ostrożnie. Delikatnie! Jakby do rodzonego dziecka, które zasnęło wreszcie — pożądanym snem.

Przystanął na środku kancelarji. Myśl, że Zuza, Zuza, Zuza, jako żona Coeura musiałaby z nim żyć w tej właśnie willi, napełniła Kostrynia takim wstrętem!

Sypialnia.

Szedł na palcach. Zatrzymał się przed szarą materją, osłaniającą łoże. Tam, w głębi leżał Coeur.

Francuz nie odsunął kotary. Milczał.

Przez okno płynął blask księżyca.

Kostryń dotknął ostrożnie brzegów jedwabnego baldachimu i zaczął mówić. Półgłosem, lecz wyraźnie.

O przebiegu posiedzenia. Jak to właśnie, dzięki niespodzianej awanturze, stanęło ostateczne na niczem. Wszelka decyzja pozostaje nadal w naszem ręku. Nikt jeszcze nie ruszał punktów przyszłej umowy.

Odpowiedziało mu z za kotary pośpieszne krakanie.

Kostryń słuchał, szarpiąc się rękami za policzki.

Coeur wymagał stanowczo rozcięcia konfliktu. Twierdził przytem, iż chyba nadal nie będą mogli razem wspólnie pracować. Wobec takiej różnicy zdań.

— Dobranoc panu!!! — wrzasnął po polsku.

Kostryń wycofywał się tyłem. A nuż kotara rozewrze się jeszcze?

Zatrzymał się przy furcie, by opłacić stróża. Podał

mu nawet rękę. Pragnął pogłaskać psy. Ach koniecznie, — miłe, wierne psy.

Przybywszy do domu, zbudził żonę, — że chory. Wyczerpany. Że górnicy pokrzyżowali wszystkie plany. Największa szuja — Drążek. To Knote wynosi mu stąd pewno wszystkie tajemnice. — Tak, — wypadnie rozprawić się z Knote. Długo opowiadał o niej żonie.

Potem rozłożył się obok na łóżku, czytał Gazetę Policyjną, — dzwonił jeszcze na kopalnię i do huty. A potem dopiero, — och, nie była to miłość! Szamotanie, szarpanie, potworne rzeczy, drwiące kpiny — medaljon! medaljon! — pełno sińców na ciele i taki ból, że pani Stanisława uciekła nago z łóżka do przedpokoju, z przedpokoju aż do salonu! I tu łykając łzy, schowała się przy piecu, za parawanem z pierścionków od cygar.

5

PANNA Z PROWINCJI

Niedzielę słychać w całem mieszkaniu tak wyraźnie! Huta nie idzie.

Każdy krok, słowo, odgłos rozpierał się, rozpychał, jakgdyby obrzęknięty!

Skromne wejście pana Kapuścika przez kuchnię przeraziło Kostrynia. Takie dzwonienie szabli, ostróg i łańcuszków.

Uścisnęli sobie dłonie w gabinecie, przy oknie. Wszystko przecież było już wiadome chyba po wieczorze wczorajszym przed Radą Kopalń i Hut. Cóż zostaje? Do województwa raport odejść musi. Zostaje Polak wobec Polaka. Nic więcej!

Kostryń oparł ręce na granatowych kolanach Kapuścika, drobnym dźwiękom ostróg i łańcuszków towarzysząc czerwonemi łezkami.

Teraz już wszystko jasne! Są dwie sprawy, jak zawsze, — dwie! Dobrze, że nie więcej! Dwie. Pierwsza: co pan, drogi panie poruczniku, — myśli o naszym biednym ludzie? Lud, — sfinks, — zagadka, — oczywiście, — wiadomo. W czasie wojny działało się po-

prostu: gdy wybuchała tu w okolicach Osady, — pana wtedy nie było, — epidemja tyfusu plamistego, brało się wszystko do dezynfekcyjnego kotła a na opornych, — chłosta. Własnoręcznie stosowałem, panie poruczniku i bez różnicy płci.

— Z ramienia komitetu biskupiego biło się, ile wlazło, a ludzie potem po rękach całowali. Teraz czasy zmienione. Więc, — lud?

Kostryń przestraszył się tego słowa, spuchniętego, rozdętego przedziwnie w świątecznem milczeniu wielkiej huty.

— Czy lud wytrzyma spokojnie?...

Pan Kapuścik klasnął silnym sprężystym językiem pod złotemi kłosikami wąsów. Klaśnięcie błysnęło, jak płomyk.

— Lud? Niby, — górnicy? Naturalnie, że wytrzyma, — a co ma robić?

Ręce dyrektora przesunęły się po bufiastych udach Kapuścika, czule, z prawdziwym podziwem. Jakgdyby miały wetrzeć w mięśnie Kapuścika wraz z pierwszą, drugą sprawę, o wiele ważniejszą. Ach mówić o tem to to samo, co igrać brzytwą!

Dyrektor szeptał do ucha poufnie:

— Musimy się wyzwolić, — kiedyś. W przyszłości — wszystko własne. Otóż wczorajsze zerwanie rokowań z przedstawicielami Związku nie pokrywa się wcale z tem, do czego dąży ten tu obcy kapitał. Coeur!... Coeur — chce strejku. Co ma na tem, — dojść niepodobna. Należałoby zbadać? Może nawet należy kontrolować i z państwowego względu? Przechwycić korespondencję?... Powolutku zobaczyć?

Od ostróg przez wszystkie sznury adjutanckie pana Kapuścika przeleciał dreszcz. Ustał już a wciąż jeszcze dygotały spinki od mankietów.

Kostryń wykrzyknął nagle: — Ja wiem, że to jest ryzykowne! Ale, jeżeli przychodzi do wyboru pomiędzy nami a obcym kapitałem? Pomiędzy nami a obcym kapitałem?! —

Kapuścik przestał dźwięczeć swem policyjnem srebrem. Nawet szabla, tyle hałasu czyniąca, zwisała mu z lewego boku cicho, jak papierowa.

— Myśmy panu przecież obiecali, dyrektorzy rodacy, miejsce kontrolera wyładunku w Gdyni, na wypadek — wypadku jakiegoś! Więc chyba wahań niema?!

— Kto mówi o wahaniach, panie dyrektorze? Narazie tylko przykrość. Duża przykrość.

Słychać było dobrotliwe sapanie wielkich pieców huty. Za drzwiami kroki domowego gospodarstwa. Kostryń przysiągłby, iż słyszał również, — jak sumienie w czaszce policjanta waha się i chlebocze.

Przeciw Coeurowi i przeciw górnikom, bez poparcia policji? Niema dyrektora Erazma bez policji!!!

Na szczęście zastukano! Weszła służąca ze śniadaniem. Kawa na dużej srebrnej tacy, za nią żona, w pięknej sukni porannej, koloru zwiędłych liści. Pan Kapuścik wykonał uroczysty wyczyn towarzyski: Jakgdyby na maneżu zeskakiwał z konia, — tak sprawnie się ukłonił.

Pani dyrektorowa dała Kapuścikowi ucałować rękę, rozmieściła serwety, filiżanki, uśmiechnęła się wdzięcznie, — przelotem. Przelotem, po swojemu. Wśród pięk-

nej bladej twarzy spłakane oczy lśniły blaskiem niezmiernie czułym.

Wyszedłszy z gabinetu męża, oparła się o ścianę. Więc ciągle, zawsze Coeur! Z podsłuchanej rozmowy wynikało, że nawet policja nie wie, co teraz robić? Do tego doszło? Zdało się pani Stanisławie, że to ona, ona sama winna jest wszystkiemu.

Myśl ta dręczyła ją od czasu strasznej sceny w Bibljotece imienia Staszica. Gdy mąż, kochany Feliks, szarpał ją za włosy. Dlaczegoż to od tego czasu dopiero tak pilnie śledziła za wszystkiem? Dlaczegoż dotąd nic jej nie obchodziło?

Jeszcze w nocy za nieszczęsnym parawanem od pierścionków z cygar postanowiła pani Stanisława rozmówić się z córką.

Rozmówić się. Zakazać wszelkich wizyt, spotkań.

Poszła tam, nie ocierając nawet spłakanych oczu. Zastała Zuzę w piżamie, przy smarowaniu rakiety tennisowej.

Pani Stanisławie w oczach pociemniało na ten widok.

— Nie pozwolę, — krzyczała, — żadnych sportów, tennisów beze mnie, gdy pan Coeur wymawia nam posadę! Gdy tu lada dzień strejki mają wybuchnąć. — Coeur, — Coeur, — Coeur, — wołała pani Stanisława, — wszędzie Coeur, — wszędzie Coeur!!!

W drzwiach zjawił się Kostryń, wionąc za sobą zielonemi połami szlafroka. Zmarszczona twarz dyrektora o dużych wybałuszonych oczach sterczała nad jedwabiem kołnierza, niby karnawałowa maska.

Pani Stanisława rzuciła mu się do nóg w imię in-

stynktu matki, który — nie zawodzi nigdy. W imię instynktu matki miał Kostryń zakazać córce wszystkich tennisów i wszelkich gier z Coeurem.

— Gdyż, — płakała Stanisława — wisi nad nami nieszczęście. Tu chodzi o nasz byt. Teraz ja biorę wszystko w ręce!!! Gdyż wisi nad nami nieszczęście! Czuję to najwyraźniej!!

Kostryń siadł na pistacjowej kanapce. Raczej zwalił się ciężko. Ledwie usłyszał, jak Zuza wykrzyknęła do matki: — Jesteś warjatka!

W przeczucia żony nie wierzył, niemniej naprowadzały dyrektora na ślady potwornych możliwości, — którym nie śmiałby, nie potrafiłby się teraz przeciwstawić.

Zaprawdę, — należałoby powiedzieć Zuzannie, — nie pójdziesz tam już więcej! Tu zostaniesz. Tymczasem strach, wygoda, bezradność, zmęczone stare lata żebrały o nadzieję, o jakieś proste wyjście, które jedynie Zuza, Zuza mogłaby jeszcze tam u Coeura wyjednać.

Zakrywszy sobie oczy rękawami szlafroka, Kostryń zawył znienacka, przez opuchniętą ciszę wszystkich siedmiu pokoi. Pani Stanisława chwyciła się za głowę, — Zuza wyszła co prędzej.

Do salonu. Do fortepianu. Pograć trochę. Czyżby Coeur ośmielał się rzeczywiście tak szantażować ojca?

Jakiś taniec: maglowała niezmiennie jedno i to samo, od początku do końca. Rodzice wciąż krzyczeli. Zimne klawisze dawały palcom Zuzy pożądaną ochłodę. Wybijając gimnastyczne rytmy, uśmiechała się do samej siebie w refleksie czarnego pulpitu. Pełna politowania dla niezaradnych starych.

A to zwierzę ten Coeur!

Pełna politowania, dumy, władzy. Wszystko tu wkońcu zależało od jednego jej gestu.

Po obiedzie zamknęła się u siebie, przebrała w biały tennisowy strój, o czwartej zaś, jak było omówione, wchodziła tylną furtką do ogrodu Francuza.

Ogród, willa i wejście i sam hall i wszystko urządzone, — jakby Zuza urządziła u siebie, gdyby mogła: Żadnych pamiątek, fotów, wspomnień, wszystko nowe, najmodniejsze, — klubowe. Mówiła to nawet czasem Coeurowi: — Wszystko to jest u ciebie na właściwem miejscu, — a przytem, jakby się było nigdzie. Nie w Osadzie Górniczej i nie w Polsce i nie w kraju własnym, a tylko właśnie — nigdzie!

Miała własne klucze do furtki ogrodowej i do drzwi willi, kutych w gładkim metalu. Jeszcze rok temu bawiło Zuzę niepomiernie, że wszyscy śledzą Coeura, szpiegują, co robi i co myśli, a ona jedna może mu tu wszystko do góry nogami powywracać.

Taka sobie panna z prowincji! Raz tylko w życiu, przed wojną była z rodzicami zagranicą, — Rosji niema co liczyć. Panna z prowincji — i taki Coeur na całym wielkim świecie, wszędzie pierwszy dyrektor!

Wobec tego, co wyrabiali tutaj z Francuzem, wszelakie dmiwierżyzmy były głupią, bezmyślną zabawą.

Coeur — szalał. Dawał sobą poniewierać, — sam o to prosił. Kiedyś nawet, po likierach zbiła go po twarzy i — korzył się z rozkoszy. A potem znowu udawali szacunek i powagę.

Umiał szaleć i dbał o cudzą rozkosz. Umiał — speł-

niać kaprysy. Czyż w sporze z magistratem o wielkie ogrodzenie Erazma i związane z niem tereny, dla jednego kaprysu „swej pani“ nie ustąpił odrazu?! Z czego powstała właśnie przed pół rokiem ulica Sobieskiego?!

— Robię, co chcę, — ucieszyła się, wieszając rakietę i płaszcz na pustych szaragach hallu. — Nie wiedzą o tem nigdzie, nawet w paryskiej centrali nie wiedzą, że wszystkiem kręcić może taka sobie panienka z prowincji.

Zamiast iść na górę wstąpiła do apartamentów parteru. Umówione mieli raz na zawsze, że Coeur czeka na górze. Lubił czekać, spodziewać się i niecierpliwić. Przedłużała mu świadomie tę wątpliwą przyjemność, przeglądając na dole pisma zagraniczne, czy też stukając kulami na bilardzie. Pewnego razu czekali tak na siebie całe prawie popołudnie. Nie wstąpiwszy na górę wyszła i znów kilka tygodni francuz szalał z zachwytu.

Dziś — żadnego stukania na bilardzie. Zuza usiadła w wielkim fotelu palarni — zamyślona. Pełna gniewu i złości na matkę.

Rozkazy: — Zawołasz mi tu natychmiast pana Coeura.

Rady: — Ja biorę teraz wszystko w ręce! — Dobrze to sobie matka wyobraża: „Zawołasz mi tu zaraz“! — Czemu sama nie woła?!

Wydało się Zuzannie, że czuje się obrażoną, — za Coeura. Doprawdy, — najśmieszniejsze z wszystkiego!

Poszła na górę, — czekał w drugim pokoju przy drzwiach. Uchwycił ją za ręce, poczem wielkiemi gorącemi dłońmi, jakgdyby całą sprawdził jeszcze raz na nowo.

Na nowo odnajdywał pod puszystym dżemprem. Obracał dokoła siebie, chłonął, wdychał jej zapach, dysząc przytem łaskawie, zazdrośnie. I śmiał się.

Zuza lubiła ten śmiech. Przemijał drobną łaskotliwą falą, wynikając z szerokich piersi łatwo, jakgdyby w środku, wewnątrz, wysłane były aksamitem.

Może odrazu teraz załatwić sprawę ojca? A później nie mówić już o tem. Przypomniało się Zuzannie, jak jęczał dziś u niej na kanapce. — Nic nie mówić, — pan Coeur drożej zapłaci za to później...

Wysuwała się z objęć łapczywych, przyciągał ją do siebie płaskiemi, rozgłośnemi chwytami, — jak atleta atletę na arenie. Nie poddawała się, bijąc głośno po łapach.

— Tak — dzisiaj będzie tak. — Rozsiadła się wygodnie, sama, wśród poduszek olbrzymiego wezgłowia.

Coeur ukląkł obok. Pili wino, to samo, co w domu, sprowadzane do Osady przez Francuzów z bardzo niewielkiem cłem, czy też wcale bez cła? Jedli paryskie biszkopty.

Wino, istotnie doskonałe.

Pochylił się, złożył głowę na jej kolanach westchnął grubemi wargami, — ach jaki odpoczynek, — lecz patrzył wciąż gdzie indziej: w okno. Ku wielkiej szarej przestrzeni wolno idących chmur.

— Ach, co za odpoczynek. — A jednak mrużył ciemne powieki nieustannie, jak człowiek, który w myśli zlicza trudne pozycje zawiłego rachunku.

Patrzyła z góry na jego owal oliwkowy, podcięty białą linją kołnierzyka. Twarz Francuza, płonęła dziś gorącym

odcieniem cynobru. Skręty żył prężyły się na skroniach, — czarne z natężenia.

Głowa Coeura ciężyła Zuzannie, jakby ulana z bronzu. Tak śmiesznie, obco wyglądał profil tego człowieka widziany z góry, niby plastyczny przekrój geograficzny, czy profil obojętnej, obcej okolicy, — prowincji, — części świata... Suche połyskujące czoło, przecięte wzdłuż pasmami zmarszczek; okryte czarnym włosem brwi, ciemne zatoki oka; pochyłe wyże nosa i popękany, siny wykrój ust.

— Ach, co za odpoczynek, — wargi Coeura ściągnęły się, rozciągnęły leniwie i umilkły.

Zuzanna uśmiechnęła się spokojnie: Myślom tego człowieka mogła chyba zawsze nadać odpowiedni kierunek.

Nakryła lekko dłońmi twarz Francuza. Nie patrzeć, — zato lepiej wszystko obmyśleć: nie można nikogo — obrazić. Ani Coeura, ani broń Boże, ojca, ani siebie. Tak to już wszystko przecie było pogmatwane, że wkońcu stanowiło — dalszy ciąg tego samego rodzinnego domu.

Tyle tak różnych, tak wspólnych zależności...

Pod miękkiemi jej dłońmi przelatywać poczęło łaskotliwe drżenie. Wypukłości twarzy Coeura jęły przemieszczać się, przesuwać, — Zuza odjęła ręce.

Śmiał się niemym skurczem rysów.

— Więc jednak będziemy mieli tutaj ten świetny kwartet, — zawołał nagle. — Mógłbym ci pokazać depesze.

Zerwał się i z suchym trzaskiem artretycznych ko-

Ian wyskoczył na środek pokoju. Oparł rękę na lewym boku, gdzie nosił portfel z wszystkiemi depeszami.

Każda miała na wierzchu datę i godzinę, wypisaną niebieskim ołówkiem. Wszystkie ostatnie szyfry z Paryża. I z Wiesbadenu. Wedle szyfrów tych dziś po południu odbywały się narady koncernu w Wiesbadenie. Coeur przypuszczał stanowczo, że centrala, że Paryż omija go w tych pertraktacjach.

Przeklęci starzy rutyniści!

Wierzył, że Wiesbaden, że Westfalczycy zwrócą się tu już wkrótce. Miało się przecież i tam swego malutkiego Kostrynia. Autochtona. Wszędzie na świecie trzeba koniecznie mieć swoich autochtonów.

Jeżeli Westfalczycy nawiążą łączność?... Trudno było myślami nadążyć za tą radością. Oczywiście, — los Erazma stawał się wtedy obojętny. Wtedy rozstrzygnie się sam.

O tem Coeur nie myślał. Miało to już własny ustalony bieg, taki sam, jak w Rumunji, na Kaukazie, w Belgji i raz, — raz tylko w Andach...

— Świetny kwartet, — powtarzał machinalnie, — kwestja dwóch, może trzech tygodni, — najwyżej.

— Hallo Coeur, — zawołała Zuza rubasznie z kanapy. — Nic nie rozumiem.

— Dlaczego?

— Teraz sprowadzasz kwartet? Bardzo — niestosowne. No, — jakto?! Wszystko prowadzisz do strejku?! Wszystko już dawno chwieje się tu i trzeszczy —

Nie słuchał. Nie rozumiał, mimo, że mówiła poprawnie po francusku. Nie rozumiał. Przez nagie drzewa

ogrodu patrzył w wielkie rozłogi Erazma. Widać stąd było doskonale stalową pajęczynę wieży wyciągowej, szare dachy Zarządu, czarny gmach płóczki i nikłe sieci szyn, prowadzące ku kamieniołomom.

Wielką ciszę przestrzeni tej nurtowały uparte myśli Coeura. Uparte i samotne. Cięły się w tej przestrzeni, niby kąty, wyznaczające zbiegiem zakreśleń i odcinków wciąż to samo miejsce: czerwony trapez, zmniejszony niedawno na mapie w pobliżu szybu wyjazdowego o dwa milimetry.

Myśl Coeura, jakgdyby nagle zbyt samowolna, płocha, lecz straszliwie istotna rzutowała wdół, od widzianej na terenie przekładni szyn, błyszczących wśród błota, po przez oba poziomy kopalni, na poziom trzeci, pole wschodnie, — pochylnia A — u wylotu ósmego chodnika...

Owe trapezy czerwone, — miejsca ogniowe, czy też zagazowane oznaczał sobie, zawsze i wszędzie na kopalniach — jako sporne. Wątpliwe. Można je zawsze poprawiać, z racji niedokładności usuwać ludzi niewygodnych. Miejsce to tak widoczne na planie, tuż obok zakreślonego łukiem filaru oporowego przy głównym szybie, — tak wyraźne przez cały dzień dzisiejszy pod piekącemi powiekami, napełniało dyrektora przedziwną lubością.

Spokojem, — równowagą.

Wzdrygnął się tędy, gdy między cienkie linje tego ósmego chodnika, a zarazem jakgdyby pod powieki wpadły nagle stanowcze słowa Zuzy:

— Zachowujesz się tak brutalnie wobec mego ojca,

który zresztą, jak na tutejsze pensje jest bardzo tanim dyrektorem. Zachowujesz się doprawdy —

Coeur przeszedł pod okno, zdumiony. Pierwszy to raz — Zuzanna skarżyła się. Jak wszyscy tutaj? Autochtoni! Ma się rozumieć: jeszcze raz — ostrużyny?! Za mało i niepewne?!?...

Biła płaskiemi dłońmi w miękkie, pulchne poduszki, wyrzucając mu te idjotyczne groźby — co do wymówienia posady.

— Bo ojciec twój, dyrektor Kostryń, — wybuchnął nagle Coeur, — to niedołęga!! Osioł!!! Tchórz!!! Nie dotrzymuje słowa! Zepsuł wszystko wczoraj. Zdradził mnie! Mam tego dość! Mam dość całego tego sosu!!! — Coeur ryczał, raczej chrapał rozgłośnie, aż szyję mu rozdęło. Podnosił wgórę zaciśnięte pięście.

Zuza zbladła. Słowa więzły jej w gardle. Nie przestawała jednak mówić, — iż omotał jej ojca, skompromitował, uczynił nienawistnym, — omotał cały ich dom.

Zaczynała spokojnie i znów bezradny gniew roztrącał wszystkie słowa. Pierwszy to raz w życiu wymagała czegoś od Coeura — dla siebie. Dla domu, — dla rodziców, — dla własnego spokoju.

Coeur uspokoił się — i to było najgorsze, ach, najgorsze, najwstrętniejsze.

Chodził ogromnemi krokami po pokoju, mijał drzwi, wkraczał do gabinetu, — zostawiał ją samą, wracał i znów szedł dalej, aż kroki jego cichły na dywanie odleglejszych pokoi.

Nie słuchał wcale.

Nie mogła przestać mówić. Wstyd prażył jej po-

liczki, z oczu, czarnym gniewem zaciągniętych, krew omal nie tryskała.

Mówić, mówić i mówić! Kończyła zdania i znów rozpoczynała, bezradna, pełna wstydu i rozpaczy. Przejęta zimnym dreszczem obrzydzenia, jęła wołać z kanapy:

— Ciebie nic nie obchodzi! Naturalnie! Okazuje się, że ludzie dobrze wiedzą co mówią! — Nałamywała się do wstrętnych sposobów, których sam ją nauczył kiedyś, gdy zaczynali wzajemny swój stosunek. Sposoby te nazywały się nawet specjalnie, — zabawą w prawdziwe opowiastki.

— Ludzie wiedzą, co mówią!! — krzyczała, nie mogąc złapać ani tchu, ani słów. — Coeur syn stróżki paryskiej, — a ojca wcale nie znasz? Jak śmiesz wyrażać się bezczelnie o moim domu? Cztery żony zabiłeś, — goniły tu za tobą papiery, — ludzie wiedzą!

Stał we framudze okna, podpatrując uważnie Zuzannę: Czy odgrywa, czy też istotnie unosi się?...

— Że pan Coeur nie jest wcale inżynierem i ma fałszywy dyplom!... Że pan Coeur uciekł z Rumunji, spaliwszy tam kopalnię! I o fałszywych kopalniach pana Coeura w Kongo! I gdzie się Coeur podziewał podczas wojny światowej!

Nadstawiał twarz pod te zarzuty, jakgdyby czekał większych i mocniejszych. Z potężnych jego piersi tchnęło głuche, drapieżne rzężenie. Nasunięte powieki rozszczepiały się, ukazując świetlisty błysk dużych czarnych oczu.

Słuchał — i śmiał się coraz głośniej.

— Ludzie mówią za oczy, — krzyczała Zuzanna,

wpatrzona w niego, — a ja ci mówię w oczy. I ty sam o to żebrzesz. Sam prosisz, gdyż inaczej zginąłbyś z obrzydzenia do siebie!!! Ludzie mówią, że już tutaj zaczynasz kręcić, jak wszędzie, jak w Rumunji, na Kaukazie, w Afryce, — przy tym strejku! Niedarmo pozmieniałeś na kopalni Francuzów! Niedarmo wszystkie sztuczki! Niedarmo te redukcje!

Wyliczała śmiało i bezczelnie wszystko, co gadali na mieście, co Knote donosiła, co mogła wiedzieć od ojca, — wszystko, — włącznie aż do zidjociałego Falkiewicza, którego za szacherki (przy planach) podobno zbito na kopalni.

Gdy wspomniała nazwisko geometry Coeur rzucił się naprzód. Przypadł do Zuzy, objął przez nogi, szarpał sprzączki, czarną, ciężką swą głową wcierał się w chłodne, gładkie ciało, — aż zwarli się, zderzyli, spletli, — wielki żuk czarny i biała, giętka liszka.

Nasuwał się, to spadał, znów dźwigał ją na sobie, znów padał, — wielekroć razy rozdeptany.

— Taka właśnie kanalja, jak ja — szeptał Coeur, — lepiąc się do Zuzy wśród poduszek, — taka właśnie kanalja daje ci teraz rozkosz.

Spychając go, odpowiadała ze śmiechem, że kanalji nikt nawet nie spamięta, kanalji nie wolno przekroczyć granicy dmiwierżyzmu i musi być posłuszny — kanalja musi tylko służyć. O to chodzi, — ach o to właśnie chodzi!

Dopiero teraz, łykając ślinę ciężkiej, gorzkiej rozkoszy, kazała mu szanować dom takich sobie „naprzykład“ Kostrynów, którzy są dobrą szlachtą.

Dopiero teraz, gdy mu już oczy bielmem zachodziły musiał przysiąc, — że nic nie postanowi na własną rękę. Żadnych rugów, czy zmian, — na jedną jotę!

— Nie wolno ci się znęcać nad papą — szarpała go za włosy, — bo to jest głupie, nudne!

Coeur przysięgał z uśmiechem, — na siebie, — na kanalję. Poczem, dysząc łapczywie spadł ciemną, cynobrową twarzą między uda Zuzanny.

— Czy myślisz kochany przyjacielu, — spytała, gdy zszedłszy nadół znaleźli się przy pneumatycznych drzwiach, — że tak bardzo zależy mi na ojcu? Na panu dyrektorze Kostryniu?

Trzeba, trzeba było koniecznie okazać to lekceważenie. Kochany przyjaciel mógł domyślić się, jak bardzo zależy właśnie na tej posadzie nieszczęsnej. Zuza śmiejąc się, ostatnim wysiłkiem woli hamowała łzy.

Coeur zmęczony, zdyszany, oburącz przytrzymywał swe serce.

— Nie zależy mi znów tak bardzo na papie. Feliks de Kostryń directeur — fi! Ale, mój drogi, — dla porządku: wobec naszego stanowiska tutaj trzeba uważać na najgłupsze pozory. Poprostu — dla przyzwoitości.

Gdy zamknęły się za nią drzwi pneumatyczne, Coeur rozłożył się na klubowym fotelu i zamknął oczy. Zapomniał o Zuzannie. Przepływała mu jeszcze przez krew ciepłem szumiącem, lecz już nie myślał o niej. Nie umiał myśleć o jednej kobiecie wyłącznie. Łączyły się odrazu wszystkie — w jeden zapach, w jedną cielistą masę żywą i elastyczną.

Cała góra gładkiego, podatnego ciała, jedna jedyna masa rozkoszy żywa i zawsze ciepła.

Dlaczego Zuza wspomina o Falkiewiczu?!

Otóż to! Zawsze jednak wypaple i przyniesie coś nowego z miasta.

Wytelefonował co prędzej auto, pojechał na kopalnię, przeszedł przez puste lokale Zarządu.

Stanek i Frydrych — na miejscu.

— Nie telefonować nikomu, że jestem na kopalni.

Poszedł przebrać się do łaźni.

Dyżurował tu dziś stary portjer Supernak.

Święto, — podwójna dniówka.

Na widok Coeura portjer zbladł, pochylił się i roztrzęsionemi rękami otwierał co prędzej łazienkę. Stare oczy Supernaka aż gasły od blasku dyrektorskiej postaci.

Służył z namaszczeniem, na wyścigi. Przypadał do trzewików, z obrzydzeniem niejako dla własnych jakże niegodnych palców ujmował świątobliwie końce spodni Francuza, wyślizganemi dłońmi rozwieszał najstaranniej czarną marynarkę na oparciu krzesła.

Dyrektor Coeur nie musiał czekać na wszystko, jak pan dyrektor Kostryń.

Supernak patrzył w oczy Francuzowi żarem świętej wierności. Gdy spostrzegł jedno pochylenie głowy, — całym sobą, całą istnością, wszystkiem kalectwem połamanej osoby swej przysunął się z szeptem najusłużniejszym i wydał z siebie wszystko ofiarnie, od jednego zamachu!

Marzyło się Supernakowi, że sprawy te otrzyma

z jego ręki sam kanonik: dostałaby za to żona pogrzeb bezpłatnie i to najlepszej klasy! Lecz na sam widok głównego dyrektora, Francuza, pana tylu baronów węglowych przezwyciężył wszystko; we wszystkich uczuciach portjera nastało szczęście wierności. Za darmo, — bez żadnej nagrody od prawdziwego mocodawcy kapitału.

Supernak donosił pobożnie, o księdzu Kani. Że już — już lada dzień ksiądz ujawnił się z wiarą. Knote wciąż tam przybiega. Widać i Kostryń macza palce w tych rzeczach. Radzili dziś, — Kostrynie z Kapuścikiem.

Coeur przeciął te wyznania ręką — niecierpliwie.

Supernak więc przykucnął, — na ile sztywna noga pozwalała, wpatrzony czujnie w policzki dyrektora.

Do nadszybia nie odprowadzał wielkiego mocodawcy. Nie potrzeba, by ludzie widzieli. Oczami tylko dążył za stopą dyrektorską i spojrzenia pod te stopy podkładał.

Przepadało to darmo, lecz w tych razach rzecz nie jest w nagrodzie, a w gorącej czujności.

Coeur wszedł na górny poziom nadszybia i spytał sygnalisty o nazwiska dzisiejszej obserwacji: nazwiska dozorcy nie dosłyszał, a tylko drugie:

— Starszy górnik Martyzel.

Spłoszony sygnalista otworzył kraty windy i odbił znak do maszyny wyciągowej, — dwa i cztery, — jak kiedy klatka zjeżdża nadół — z człowiekiem.

6

NA GŁÓWNYM, PRZEWOZOWYM

Uniesiona ku górze klatka jęła zjeżdżać równo i powoli. Srebrne światło dnia wsiąkło w szyb. Oświecone karbidówką mokre dno windy objął cień połyskliwy.

Coeur machinalnie nadsłuchiwał: Głuchy klask lin, tłuste mlaskotanie smarów, posuwisty szum dębowych kierowników raz po raz zalewała wilgotnym dźwiękiem woda, perląca się pomiędzy kamienną cembrowiną.

Minęli już dwa poziomy upstrzone światłem elektrycznem.

Poziom trzeci!

Coeur sam otworzył bigle klatki. Gdy ukazał swą twarz sygnaliście podszybia, chłopak w łachmanach górniczych, zatoczył się nieomal.

Dyrektor zjeżdżał nadół rzadko. Raz na pół roku, raz na rok. Lub jeszcze rzadziej. Niemniej przeto każdy z górników poznałby go w jednym błysku sekundy wszędzie i zawsze.

Dyrektor Coeur uszedłszy parę kroków, zatrzymał

się przed czarnym napisem, wyciągniętym na białym łuku kopalnianego korytarza:

SZCZĘŚĆ BOŻE!

Świadom tutejszej tradycji, kazał umieszczać napisy owe na wszystkich poziomach. Otaczał je wszędzie należytą pieczą.

Odwrócił się ku sygnaliście: chłopak odbijał znaki do nadszybia.

Gdy winda uleciała wgórę, sygnalista wykrzyknął służbiście: — Szczęść Boże!

— No tak, — odpowiedział Coeur, marszcząc brwi. Nie mógł owego hasła górniczego wymówić po polsku. Odpowiadał — no tak, — lecz palcami dotykał daszka czapki.

Ruszył naprzód w stronę tak zwanego rozjazdu, to jest przecznic, na których wymijają się wózki z węglem. Z pod bielonego, bitego w kamieniu chodnika ciągnęła się daleko dwiema odnogami, czarna, nisko sklepiona noc, znaczona u podnóża swych ścian szarym zarysem wagoników.

Opadł tu dyrektora Coeura cichy, głęboki śmiech. Śmiech bezinteresowny, spokojny, — idealny. Coeur nie gruntował nigdy tego uczucia wesołości, którego doświadczał przy wejściu do kopalni.

Jakgdyby wesołość tę rodziła prosta, twarda mechanika, przeciągnięta przez dwudziestometrowe redeny, rozgniatająca skałę, ludzi i żelazo, — a w gruncie rzeczy tak łatwa do zepsucia.

Minąwszy kapliczkę z świętą Barbarą, wyrzniętą w węglu (co roku piątego grudnia siedział tu przed

nią w aksamitnym fotelu, podczas mszy uroczystej), zawrócił do stajen.

Mieściły się niedaleko głównego szybu wpobliżu tam wentylacyjnych.

Dyżurny woźnica skoczył, jak oparzony.

Coeur uciszył go niecierpliwym ruchem ręki. Lubił to miejsce: języki, mowy, ludzie zmieniają się wszędzie, — konie są wszędzie jednakowe.

Koni tych nie wydawano już nigdy na powierzchnię. Stawały się pod ziemią mądre, pilne i wierne, jak psy.

Przez wąską stajnię leciała struga świeżego powietrza od tam wentylacyjnych; z płaczącym rzewnym rozgłosem niosła zapachy siana i ciepłego gnoju w głąb kopalni.

Niepotrzebna dobroć i nadmierny pożytek — pomyślał Coeur, łącząc w tkliwym zbiegu przeciwstawień widok słabo oświetlonych zadów końskich ze wspomnieniem Zuzy. I tylu innych kobiet — i wszystkich innych.

Poklepał kilka koni, pierwszych z brzega i poszedł przeciw prądowi powietrza na koniec stajni, ku białej dorodnej kobyle, którą pamiętał jeszcze z zeszłego roku. Sławna była ta kobyła zeszłego roku na Erazmie, albowiem, chociaż nikt nie wiedział gdzie i jak, — udało się jej zejść z starym kopalnianym ogierem i źrebię urodzić pod ziemią.

Klepiąc ją głośno po silnym, ciepłym karku, zauważył Coeur w kącie żłobu wystający z pomiędzy sieczki zmyślny, ściągły łeb szczura.

Coeur nie przestawał klepać, równocześnie jednak uniósł wgórę swój czekan górniczy i nagle, jednem

pchnięciem przebił ów szary łeb. Pospołu z ostrym, świdrującym piskiem spłynęły na sieczkę czarne szczurze źrenice. Coeur głaskał spłoszoną kobyłę, systematycznie przebijał skrwawiony odwłok szczura, a zarazem obliczał: Teraz dopiero w trakcie tych sprzecznych czynności rozbłysnął w dyrektorze jasny wyraźny pogląd:

Zobaczyć dane miejsce samemu i dokładnie! Na trzecim poziomie, ósmy chodnik, — na wschód od pochylni A. Przy starych ogniach.

Dokładne określenie miejsca napełniło dyrektora upragnioną pewnością siebie. Ze szczura pozostała w kącie żłobu krwawa szmatka.

Ach tak, być może teraz właśnie tam, w Wiesbadenie rozwijają woskowane arkusze planów członkowie nowego koncernu?

— Szczęść Boże — uśmiechnął się do stajennego i odszedł stąd długim chodnikiem.

Ogarnęła Ceoura wielka sypka woń kopalni, płynąca z głuchą ciszą czarnemi przewodami. Cisza owa posiadała granice swe i ramy. Niosła się jakby środkiem chodnika, brzeżona u dołu łaskotliwym spływem wody. Przy czarnych pochylniach i upadowych jakoby nagle wstrzymana nieuchwytnym prawie wydechem głębokości.

Z owych pochylni wypływał kamienny dźwięk podziemi: głos przyczajonych straszliwych ciśnień, trących się wśród pokładu pracą tysięcy i miljonów lat.

Przez środek chodnika wywozowego, którym podążał Coeur, biegły szyny raz wraz występujące z błota

w białem świetle karbidówki. Gdzie niegdzie mienił się pośród nich złotą rdzą stary nawóz koński.

Do pochylni A będzie stąd pięćset metrów? Couer pamiętał znakomicie wszystkie cyfry, odnoszące się do planów kopalni. Lecz teraz, teraz właśnie nie chciał o nich pamiętać. Tylko iść. Iść przed siebie i słuchać, jak układają się myśli. By układały się bez wszelkiego współudziału woli, — samorodnie.

Do kroków dyrektora Coeura miarowych i szybkich, mimo iż w gęstem błocie stawianych, dołączyły się nagle z zakrętu jakgdyby czyjeś inne kroki.

Mocne, — coraz mocniejsze. Rozgłośne i potężne. Prawie — grzmoty.

To węgiel tąpał. Obluźniały się gdzieś na polach górniczych, pod drewnianemi kapami, na przecznicach, czarnych filarach, chodnikach i przodkach międzymolekularne związki pokładu.

Wiadoma rzecz.

Coeur przystanął: Nie podobała mu się ostatnia transakcja dyrektora handlowego z dostawcami drzewa. Na stemple, na kapy, na oszalowania, na całą drewnianą obudowę dawali towar drugorzędny.

A samemu nic się nie miało z tych transakcyj!

Tąpanie ścichło. Głos pokładów błąkał się jeszcze twardem, suchem echem po polach kopalni. W setnych głębinach ziemskich wymijał ciche płacze powietrza, zagarniał wieczne szepty wody i przepadał.

Aż oto ścichło wszystko. W ciszy, dzwoniącej czarnem milczeniem przeleciała przez Coeura nagle pokusa niesłychana, najprostsza, pokusa zupełnego spokoju:

— Zniszczyć to wszystko... Zniszczyć, — zniszczyć, — zniszczyć!

Połączenie z koncernem alzackim na szkodę paryskiego towarzystwa? Westfalczycy zapłacą więcej? Ostrużyny? Przy wydajności sześćdziesięciu tysięcy tonn miesięcznie — tantjemy za małe?

Na śpikulcu górniczej laski, zahaczony o główkę gwoździa, trzymał się jeszcze strzęp szczurzego ciała.

Coeur odczuwał w tej chwili olbrzymie, groźne szczęście: zniszczyć już tę kopalnię i koniec. Spokój!!

Nonsens! Nie trzeba było wyczerpywać się tak z Zuzą. Po czterdziestce nie można już tak bardzo! Krwioobieg — nienormalny.

Wstrząsnął mocno latarką, łupnął czekanem w twarde piętro chodnika i ruszył dalej.

Lecz oto razem z nim ruszyły naprzód twarde, rozgłośne kroki — niezmierzonego węgla...

Węgla, — czy tylko krwi huczącej w skroniach?!

Od owych kroków huczały znów czeluście obu pochylni: trzynastej i czternastej.

Coeur pamiętał je przecie doskonale na planie: znaczone, — pamiętał najwyraźniej, liczbami + 80'45, + 42'25 i druga + 68'04, + 42'35.

Przyskoczył do wylotu pochylni i oświetlił miejsce karbidówką.

Woda schwyciła suchy promień latarki, roztarła na śliskich kamieniach i już o parę kroków niżej zalała ciemnością.

Głuche korytarze zmilkły. Słychać tylko sączenie się strumyków i lekki dech powietrza. Raczej plusk! Czy też

jakby — delikatny rzut skrzydeł. Lub samo tylko przędziwo kierunku, płynące w jedną stronę.

W czarnych niezgłębionych rozkrętach korytarzy, pięter, chodników i kamiennych przecinek usłyszał Coeur nareszcie zupełną ciszę.

Zwartą, — jak skała.

W całej kopalni, — jedna, olbrzymia, nieruchoma.

Ruszył naprzód. Tym samym chodnikiem przewozowym, głównym, prosto pod górę.

Pamiętał z planu cyfry nachylenia: + 80'20, + 86'72.

Minął już i zostawił po lewej ręce pochylnię trzynastą i czternastą. A jednak wydawać mu się jęło teraz, iż zdąża w odwrotnym kierunku...

Nieprawdopodobne! — Cały chodnik główny, pochylnie, wiadome zakręty przecinek, bite w czarnej ścianie białe tamy wentylacyjne, upadowe, ziejące leniwym rudym kurzem, oświetlone nad pochylniami wypukłe stacje pomp, — cała kopalnia bez szmeru płynęła naprzeciw...

Coeur przetarł oczy. Nie wierzył. Przyśpieszył kroku. Trzymając się linki drewnianego chodnika, począł biec. Lecz wtedy jęła kopalnia sunąć naprzód ze zdwojoną szybkością!

Stanął i wsłuchał się, — na próbę: nie słychać było tąpania. Lecz wraz z dyrektorem przystanął i zatrzymał się cały górny chodnik przewozowy...

Coeur znowu ruszył naprzód, wspominając umyślnie najdrastyczniejsze przygody: jak kiedyś bił batami trzy metyski, a dziś daje się poniewierać Zuzannie.

Szedł dziarsko naprzód!

Kopalnia śpieszyła mu naprzeciw w bezgranicznem mil-

czeniu czarnych, niezliczonych pokładów, — pokład główny, olbrzymią czarną wstęgą kamienia, — wszystkie chodniki bite po rozciągłości, wszystkie piętra i schody, — ogromna krata prostokątnych przewodów, pchająca się w łuszczycy nad i poddrenów, niby tkanina czarna, twarda i pusta wleczona wskroś przez ziemię...

Uniósłszy wgórę latarkę, trzymając się za serce począł znów biec. Pędził naprzód, coraz prędzej, nieprzytomny przerażony, kwilący, tłukący raz wraz głową o niskie rury sprężonego powietrza, o kapy i zastawy, — póki nie runął wkońcu na rozsypany piach, po lewej stronie chodnika.

Karbidówka zgasła. Zdaleka tylko dolatywało ćmienie lampki elektrycznej, umieszczonej wysoko nad skrzyżowaniem torów.

Zapalił uważnie karbidówkę, otrzepał ręce z piachu.

Oto, co znaczy wiek, — słyszał nieomal te myśli, przemijające trwożnie w lekkim szumie kopalni, — przecież w Rumunji wszystko poszło odrazu i tak gładko! Prawda, — to była nafta. Lekkie, — płynne, — kapryśne. A w Belgji, — gdzie był węgiel?! Przecież poszło!

Ogarnęła dyrektora niemoc ohydna, pełna nienawistnego płaczu, pogarda dla samego siebie i żałość obrzydliwa, obrzydliwsza chyba, niż śmierć sama!

Masz się trzymać, masz się trzymać! — powtarzał samemu sobie. — I cóż cię tu obchodzi, — hę? Nic!

Ochłonął.

Jął wspinać się pod górę kamienistym chodnikiem, rozciągniętym na wschód od wielkiej pochylni A.

Szło się tędy, niby w czarnym do góry wyciągniętym rękawie. Pomiętym, — mokrym, raz po raz opatrzonym łatami: łaty owe jeszcze ciemniejsze, niż sam chodnik, stanowiły wynikające z niego kamienne przebitki, czyli przecinki, na prawo i na lewo bite w pokładzie.

Po prawej stronie Coeura przypadały teraz chodniczki 4, 5, 6, 7.

Dyrektor dążył do ósmego.

Tę część pola górniczego wybierała kopalnia odniedawna, brakowało tu więc trepów, schodów i najprymitywniejszych urządzeń odbudowy.

Przy chodniczku szóstym znalazł się jakoby w przecięciu ramion czarnego krzyża, który tworzyły tutaj korytarze kopalni. Od tego miejsca skradał się już wgórę nader ostrożnie. Gdy stanął przy chodniku siódmym zatrzymał się — zdumiony:. Powyżej, chyba właśnie na ósmym, tak, — tam, od starych ogni dolatywał miarowy odgłos.

Jakgdyby — pracowano na ósmym?!

Zdjęło Coeura w tej chwili przerażenie nieopisane, nagłe, nieprzytomne: Że to już własne jego myśli, zamiary, plany kują tam w skale, same przez się działają!

Sąsiednie chodniki raz po raz oddawały echo, — donośne uderzenia, potem zaś tarcie pokładu: jakby ktoś dziury zakładał w węglu, przecierał i szykował do rozsadzenia.

Coeur pobiegł równoległym chodnikiem, kryjąc za sobą światło.

Któż mógł kręcić się tam teraz na tem miejscu?!

Falkiewicz? Kostryń?! Czy który z Francuzów?! W ostatnich miesiącach zmieniło się prawie cały skład Francuzów na Erazmie!

Czy któryś ze sztygarów?

Wyraźnie, — dziury zakładano w przodku do strzału! Czyżby ktoś inny na własną rękę miał tutaj swoje plany!?!

Coeur sunął małą przecinką pod górę, krok za krokiem bez szelestu, powoli. Niziutka ta przecinka podstemplowana drzewem prowadziła tuż do przodka chodnika ósmego, przed stare zroby, oznaczone na planach wiadomym trapezem karminu.

Coeur dobrnął już nieomal do miejsca owych zrobów, prawie na przodek chodnika ósmego.

Zdrętwiał...

Przywidzenie? Szaleństwo?!!

Pokład jakoby ruszał się tu swojem własnem życiem, utworzywszy na przecięciu dwóch ścian szarą postać cienia, wlepioną w węgiel. Postać owa wnikała w ścianę, — po przeguby, po łokcie, — aż po pachy.

Coeur w ostatecznej panice rzucił się naprzód, chwytając ową postać za bary.

Runęli wtył, gasząc ustawione na ziemi karbidówki.

Długą chwilę zmagali się w nieprzeniknionych ciemnościach. Zawadzili rozpędem o jeden, drugi stempel drewniany, coś runęło, oberwało się obok, wgnietli się w miałki, ostry węgiel rozsypany po spodku chodnika. Poprzez deski, narzędzia wlecieli w kąt i w wodę.

Coeur spychał przeciwnika w szlam, wlókł pod prąd ścieku. Przeciwnik bulgotał pod wodą, z chlupotem wy-

dobywał się nawierzch i znów zaciskał Coeura w potężnym uścisku.

Bili się, gnietli, dusili na tem miejscu, jakgdyby właśnie o owo czarne wąskie przejście do starych ogni, póki nie dowiedzieli się wreszcie, wyczerpani do utraty tchu, — co są za jedni.

— Dyrektor Coeur! Francuz! Ja jestem dyrektor! Directeur général! —

— Starszy górnik Martyzel!

— Mam przy sobie rewolwer, mogę zabić — krzyczał Coeur.

— Nie jest żadna nowina — odpowiedział Martyzel.

I znów trwali bez ruchu w zimnym strumieniu wody.

Pierwszy ruszył się Martyzel, by wyjść ze ścieku.

— Stać! — wrzasnął Coeur. Sam bowiem nie mógł drgnąć. Przytłuczona boleśnie noga utkwiła mu między rurami żelaznemi.

Objęło ich znów czarne, niezmierzone milczenie. Tak wielkie, że słychać w niem było bicie serc.

Wzdłuż ramion Martyzela, szyi, przez twarz, wokół tułowiu zaczęło posuwać się, — jakby mięczak, czy krab oślizgły.

Przystawał, znów szedł dalej.

To Coeur w ciemności obmacywał górnika, by go rozpoznać, zbadać i wreszcie mocno uchwycić za połę mokrej kurty.

Okazało się przytem najgorsze, — że obydwóm podczas szamotania zamokły zapałki. I lampka elektryczna Coeura — nanic! Skazani byli na zupełne ciemności. Wobec takiego braku światła nie można wracać chodni-

kiem wschodnim, niskim, przez pół zawalonym, bez wszelkich trepów, schodów, do tego przecinanym rurami.

Inną drogą: chodnikami zpowrotem do pochylni A, i samą tą pochylnią, wzdłuż szyn.

— Bo jak inaczej?

Coeur nie mógł się ruszyć. Noga już zbrzękła mu między rurami, nie mógł jej sam wydobyć. Nie mógł się schylić, gdyż odrazu tracił równowagę. W bezradnej wściekłości wrzasnął znienacka:

— Coś ty tu robił człowieku o tej porze na tem miejscu?! W niedzielę?!

Martyzel nie mógł tego wyznać wielkiemu baronowi kapitału. Ani nikomu chyba! Wyznanie bowiem leżałoby zapewne poza granicami wszelkiemi wstydu klasowego!

Starszy górnik Martyzel, na którego wypadła dziś w niedzielę kolej, jako na dyżur kopalnianej obserwacji — zaszedł między innemi na pole swej roboty. Chodnik ósmy, na wschód od pochylni A.

Tu, starszy górnik Martyzel niby na mocy obliczenia zarobku, wózków, wydobycia, lecz w gruncie rzeczy, faktem de fakto, wcale nie dla obliczeń, a przez ciąg do tej pracy swojej... Przez ciąg do pracy, rzetelne nawyknienie, przez machinalność ciała i martwe a tak wierne jednak spodobanie duszy — począł gospodarować na swym przodku: szykować, kończyć dziury w skale zadane, założone do strzału na jutro.

Tak było właśnie! Ale nie mógł tego powiedzieć dyrektorowi przez honor klasy robotniczej, w tej zwłaszcza sytuacji przedstrejkowej wilk strejków westfalskich,

uczynkiem tu obecnym do nikczemnego łamistrejka upodobniony nagle!

Milczał.

Schwyciły go znienacka za gardło straszne pazury Coeura, w skroń nad oko wparła się zimna lufa browninga.

Wtedy Martyzel wyznał niewinnie i, — zaiste, — obojętnie. Dawno już obca mu była wymowa młodzieńczych ideałów. Przyznał się głosem drżącym w tych ogromach ciemności — jak i co i dlaczego. Jako pracował tu — przez machinalność górniczego zawodu. Oraz, — że zarobki są małe, gdy człowiek jest rodziną obarczony.

— Małe, małe, — za małe.

Poczem, niby w nagrodę, czy jak? Dlaczego?! Z łaski, winy, — nie myślał nad tem: schylił się, jął majstrować przy nodze dyrektora, pośród rur, łagodnie, dobrotliwie, cierpliwie, aż ją wkońcu wydobył.

Coeur westchnął wielkim szumem ulgi: — Mało, mało zawsze i wszędzie mało!

Ruszyli naprzód chodnikiem ósmym ku pochylni w tak zupełnych ciemnościach! Zwarte, szczelne, olbrzymie: nie widząc własnych rąk, ani nóg, odzieży, ni postaci, przestawali niejako odczuwać samych siebie. Jakby sunęli teraz w kutej czarnej nicości.

Trzeba trzymać się za ręce, by nie stracić łączności.

— Mówcie — rozkazał Coeur. — Muszę was słyszeć.

Martyzel nie mógł mówić. Najbłahsze słowo na myśl mu nie przychodziło, oprócz dziwnej błogości, wielkiej błogości sumienia, której nie potrafiłby wyrazić.

Więc Coeur — raz po raz powtarzając:

— Mało, mało i mało. I zawsze tylko — ostrużyny.

Wypowiedział po polsku, resztę zaś domyślił w sobie, bynajmniej nie w języku którymś, lecz samą wolą istnienia: Autochtoni! Dla paru groszy przyśpieszają śmierć własną...

Posuwał się coraz ostrożniej i wolniej. Po pochylni schodzili na czworakach. Słabł. Już prawie nie mógł wlec za sobą nogi. Aż oto cała tak dokładnie pamiętana mapa tego miejsca kłębkiem szaro czerwonych linij spłynęła mu z oczu.

Ocknął się w złotawem lśnieniu dalekiej lampki. Świeciła gdzieś wysoko nad instalacją pomp. Gdzież to tu będzie? Chyba, że czwarta upadowa trzeciego poziomu? Tak wielki kawał drogi?!

Przymknął znowu powieki, by nie patrzeć, — nie widzieć.

Chyliła się nad nim czarna, spocona twarz górnika, jakiegoś Martyzela? Górnika: przekleństwo wszystkich dni tutejszych — wszystkich nocy i wszystkich lat — taka spocona gęba.

Blada, błyszcząca potem, przekreślona krzyżem nosa i brwi, pod któremi ruszają się wilgotne a jednak rozżarzone oczy.

— Comment, comment va votre santé? — wyduszał z siebie Martyzel.

Ze względów sanitarnych przemawiał po francusku. Oraz, aby w obcym języku uciec poniekąd od samego siebie. Gdyż zdobył się na uczynek najprostszy i oto wstyd mu było przed sobą. Zniósł dyrektora z po-

chylni, zwlókł przez takie wertepy, głuche, mokre przepaście. Wystarczyłoby tu przecie takiego mocodawcę kapitału potrzymać głową zanurzoną parę minut w pierwszym lepszym ścieku! I zostawić, — opuścić — i pójść dalej...

Prawość, — choć ślepa może! Że to przy wspólnej pracy na kopalni. Jałowa, twarda prawość, od której przed samym sobą czuł starszy górnik Martyzel aż niby prawie strach!

Dlatego, by już okazać wszystkie względy sanitarne pytał się po francusku: — Comment va votre santé? Comment?

Coeur podniósł się powoli. Było mu znacznie lepiej. Mógł iść.

Martyzel podtrzymał go pod ramię. Zawstydzony do głębi, do najgłębszego smutku, czułą ludzką uprzejmością, z jaką wypełniał chrześcijański uczynek pomocy wobec nienawistnego bliźniego.

Przed sygnalistą podszybia udali głośną, bystrą rozmowę. Dla niepoznaki.

Coeur tak przykazał, aby nie rozniosło się między ludźmi nigdzie o wypadku potłuczenia, zasłabnięcia, czy też zemdlenia naczelnego dyrektora.

Niedopuszczalna plotka!

Gdy winda podjeżdżała ku górze, gdy w pierwszych blaskach ciemnej słodyczy wieczoru jesiennego, — który wobec mroków kopalnianych jest zawsze światłem, — spojrzeli przelotnie na siebie, aż ich obu zatknęło.

Tak, tak, — Martyzel przysiągłby, że owo doświadczenie etyczne było obustronne: coś niby, jakby bracia,

starzy zbiedzeni bracia, których znów światło dzienne na wrogów zamienia.

Coś strasznego, strasznego, — nazewnątrz milczy się wytrawnie od tej myśli, gdy wewnątrz, w sercu ludzkiem wszystko krzyczy!!

Przez drogę z nadszybia do lokalu Zarządu musiał przyznać Martyzel w duchu, że kasta kapitału ma swój wewnętrzny hart.

Bo cóż? Na placu Erazma było pusto, od dalekich zwałów węgla przylatywała zwiewna ciemność pyłu łukowemi lampami prześwietlona, na kamiennem brukowisku i przy kotłowni nigdzie żywej duszy, ogromny cień kominów kładł wielkie, czarne pręgi daleko aż za tory kolejowe, — nikt nie mógłby zobaczyć! Niemniej Coeur stąpał równo, choć od każdego kroku mieniła mu się twarz.

Nie mogli w tych warunkach okrążać gmachu Zarządu, by wchodzić głównem wejściem. Trzeba było podążyć od tyłu, drogą najbliższą, pomiędzy lokalem drużyny ratowniczej a Izbą Zborną.

Niewygoda, — gdyż w Izbie Zbornej spotkać można dyżurnego sztygara, — więc niepotrzebny świadek. Mógł siedzieć w izbie, czy też patrzeć tylko ze sztygarskiej dyżurki, przez którekolwiek okienko.

Wszystkie przecie kopalniane izby zborne są pod taką kontrolą okienek sztygarskich, — niema inaczej nigdzie.

Nie zastali sztygara żadnego w izbie. Zapewne gorzej, choć przydała się potem: zastali tam Lenorę.

7

PIĘKNE JEDWABIE

Siedziała w kącie, w mroku, odziana bardzo odświętnie. Błyszczało jej na kapeluszu żelatyną, czy pozłótką, takie same złotości lśniły wedle paska.

Udała, — ma się rozumieć, — że nic. Że tylko siedzi. I już.

Dopiero, gdy Coeur zwalił się pośrodku izby całym ciężarem na nikłą postać Martyzela, Lenora wyskoczyła z ciemnego kąta do pomocy.

Pachniało od niej piżmem, jaśminem, goździkami, — perfumą!

Starszy górnik Martyzel wiedział odrazu, czem: zapachem niedzielnej prostytucji kopalnianej. Rzeczy te znane są oddawna dobrze podczas wszelkich redukcyj: w okresie tym wszystkie, co lepsze dziewczęta zapewniają sobie w taki sposób pracę u sztygarów.

Byleby jeszcze tylko sztygarzy chcieli!

Uczucia Martyzela wzburzyły się, — jak to zwał w swej praktyce psychologicznej, — do poziomu biblijnych. Są to uczucia, w których brata się całkiem blisko zbrodnia z miłosierdziem: gdy biedna dziewczyna ko-

palniana podtrzymuje i niesie i cuci tego właśnie kapitalistę, który ją w przepaść spycha.

Coeur znów omdlewał z bólu.

Gdy posłali Lenorę po wodę, przeszło mu trochę. Odkrył twarz, dotąd pilnie zasłanianą, wpatrzył się w Martyzela i wyrzekł po francusku:

— Nie powiem nikomu, żeś kradł. Kradłeś tam czas na kopalni. Nikt się nie dowie. Ale nie śmiesz nikomu mówić o moim wypadku! Zapamiętaj.

Martyzel skinął głową.

— Nie śmiesz nikomu mówić! Bo znów moi koledzy mnie wtedy mogą okraść... — Coeur pogrążył się w ironji tego złodziejskiego koleżeństwa z tkliwym uśmiechem.

Był przecie teraz całkowicie w ręku tych ludzi, — a czuł się tak bezpiecznie. Starszy górnik rozcinał mu ciężki kopalniany but, którego nie można było ściągnąć z obrzmiałej nogi.

Kopalniana dziewczyna przykładała na serce zimną, wilgotną szmatę.

Nie pozwolił zapalić światła. Dosyć go było przez szyby od łukowej lampy.

Leżał zwrócony twarzą do ściany, zakrywając się, by go robotnica nie poznała. Widział górnika i dziewczynę ledwie kątem spojrzenia. Dobrze mu było z nimi.

Widok ich uspokajał Coeura, napełniał leniwą, jakże rzetelną cierpliwością! Idącą daleko w głąb, aż ku dobremu przeświadczeniu, które istniało jakoby samo w sobie, — odrębne, samoistne, nigdy niczem niewzruszone.

— Jak się nazywasz? — spytał Martyzela przez ściśnięte zęby.

— Starszy górnik Martyzel. Martyzel Józef, starszy górnik.

Coeur uniósł brwi i mimo bólu w nodze, uśmiechnął się: Martyzel, — nie zapomnieć nazwiska. Wpłynąć zawczasu na zawiadowcę, czy też sztygara, niestety, sprawy tak drobne nie należą do centralnej dyrekcji, stąd trudność, — by zostawili Martyzela na trzecim poziomie, na wschód od pochylni A. Na ósmym chodniku, — aż do samego końca...

Popatrzył na starą, ciemną twarz górnika przytomnie, obojętnie, — zupełną równowagą dyrektorskiego stanowiska. Ucieszyło Coeura, że nie doznaje żadnych wahań, że już odnalazł znowu samego siebie:

Zostawić na ósmym chodniku aż do samego końca. Aż do samego końca... — Przymknął oczy.

Dziewczyna kopalniana kładła mu ręczniki na serce.

Cóż to dziś stanowiło Lenorze, — ratować kogoś, gubić, czy też ratować? Takiego urzędnika francuskiego, czy kogo bądź? Murarza, Pstrokońskiego, Machnika, wszystkich, albo też cały świat, albo też nikogo?

I cóż tu miał Martyzel do gadania?! Czemużto patrzył żałosnemi ślepiami?! Niby, że zawstydzić się powinna?! Nie czuła wstydu za grosz!

Czego się wstydzić, gdy po takiej miłości i takiem wszystkiem, wszystkiem jak było między nimi, chociażby tylko tam, na tych kamieniołomach, ten tam ów właśnie Tadek ukochany lata za swoją panną? Kostry-

niówną bogatą?! I na balkonach Rady Kopalń i Hut ludziom się pokazuje?!

A tu znów jest redukcja, — idź sobie gryźć kamienie całą zimę, — czy jak? Zdychaj chyba, — czy jak?

Gdy Tadek z swoją parą w takich atłasach przebiera, w takich pięknych jedwabiach!

Piękne, śliczne jedwabie: — krwią zalewały Lenorę od stóp do głów!

Dolary od swego dyrektora otrzymuje, jeszcze mu pannę szykują kąpaną, malowaną, — same jedwabie!!

Duś Jan sygnalista wisiał teraz przy kopalni na jednym włosku, po takiem posiedzeniu delegatów, Szymczyki miały z kretesem wymówione, — cóż ma przyjść jeszcze?!

Wszystko prawda: Szymczyki miały wymówione, głód szczuł ze wszech stron i zima szła z redukcją, lecz nie to zbuntowało Lenorę. I niechby cały świat miał zewsząd wymówione, nie zakrzywiłaby jednego palca: lecz gdy spotka się człowiek z tak zimnem wiarołomstwem?

Dla tego faktu wiarołomstwa — zostawiła tu nagle Francuza w gabinecie dyrekcji. Niech zgnije i niech zdechnie nawet w tym gabinecie. Dla tego wiarołomstwa znikła nagle z pod ręki Martyzelowi i obleciała wkoło czerwony gmach Zarządu i zajrzała do ciemnej izby zbornej, — jedną lampką zaledwie oświetlonej przed ołtarzem ze świętą figurą.

Już po czasie!

Inaczej było wczoraj umówione przez strzałowego,

Kurka Marjana z kamieniołomów, a inna godzina jest teraz.

Lenora zaklęła z głębi serca i z głębi wszelkiego świństwa, które mieniło się w niej, — wszystkiemi jedwabiami!

Pobiegła prosto na plac kopalniany.

Gdyby kto widział teraz, powiedziałby, że szuka kogoś pilnie. Wszystką rozpaczą, taką wielką niedolą szukała — swego kamienia młyńskiego na szyję!

Skoro nigdy inaczej nie było i nie będzie a tylko jest, jak wiedzą dokładnie wszędzie na kopalniach!

Pan sztygar Stasiak odchodził już z placu. Już szedł pod rzędem ogołoconych wierzb z białym piórkiem na niemieckim kapeluszu.

Szedł sobie wzdłuż nasypu poodal drutowanych parkanów erazmowskich. Oglądał się coprawda jeszcze tędy i tamtędy, może trochę z oskomą?

Tu go dopadła Lenorka, uderzając oburącz w plecy, w rozłożyste łopatki, lekko, — lekko, jak w wodę.

Sztygar Stasiak, chłop niemłody, starszy, lecz twardy, względem zaś wiadomego procederu znany już pośród dziewcząt kopalnianych nie od dziś.

Od niego zależało teraz, — swoje własne jedwabie!

Podeszli więc kryjomo tam, gdzie miała właśnie znaleźć chleb przez całą zimę i własne utrzymanie:

Do czarnego budynku sortowni.

Zaszli od strony torów, nie rozmawiając z sobą, prowadzeni wzajemnie oczami.

Myknęli cicho między wagony, cichutko przytrzasnęli wrota.

Odbyło się też prędko i pocichu. Oparłszy się o schodki żelazne, piętrami prowadzące do góry, pomiędzy zwoje, garby, żelazne łańcuchy, ruszty, sita wszelkie przeogromne i oślizgłe pomosty, — na których podczas pracy urobek dzieli się na kostkę pierwszą, drugą i trzecią, orzech i mały grysik.

Takie, — takie jedwabie!

W sękatych objęciach sztygarowych, w tych łapczywych obrotach, — jakoby spadła Lenora nieznanie, tak nieznanie w głąb, a zarazem w przeogromne przepaście, nad któremi trwał w wywróconych oczach czarny firmament sortowni, schody, garby i liny i sine łoża węgla i bona i wywroty, — jedno niebo ponure, obleczone chmurami żelaza.

Wyleciała stąd wreszcie, — utwierdzona przeciw całemu światu. Ze łzami ognia w oczach i z takim wstydem w sercu. Żalem!

I z taką okropnością.

Za parkanem Erazma przewiało jednak Lenorę całkiem inne powietrze. Obce, — nie kopalniane. Miejskie.

O kimże to myślała, dążąc teraz ulicą Miedzianą w stronę ulicy Przemysłowej? O sobie, czy też o nim, — o ludziach czy o sprawach? O nikim!

Myślała — o biednej Supernaczce.

Lenorka biegła prędko po kocich łbach przeklętej Osady Górniczej, z jednem postanowieniem.

Z jednem postanowieniem: przy święcie kupić ciastek migdałowych u Cieplika, albo nawet, jeżeli będą, — z kremem. W białem pudełku, z czerwoną tasiemeczką.

Kupić, przyjść na Zielone i powiedzieć: — To dla pani, moja pani, a cóżto, czy nas nie stać może? Czy nie pracuję, — no?

Do Cieplika pod skwapliwym odgłosem wejściowego dzwonka weszła Lenora ze zdradą w smutnem sercu. Z żywą zdradą i strachem i z pogardą, — aż rumieńce okryły policzki.

Jakby wszyscy wiedzieli...

A któż tu siedział i co takiego było do powiedzenia?! Sama urzędnikierja z kopalń, z zarządów, przy stolikach, pod ścianą, wszędzie.

Jakim cudem przeszło Lenorce przez gardło: — Proszę pięć ciastek migdałowych, albo lepiej dwa takie a trzy z kremem?

Nie wypowiedzieć tej nagłej męczarni.

Tu zaś jeszcze od szyby wystawowej odrywa się pani masażystka Knote i w tym właśnie momencie podchodzi. Podeszła na tę chwilę, gdy Cieplik poprzez ladę podawał owe ciastka, trzy z kremem, dwa będą migdałowe, — razem pięć.

Więc Lenorka struchlała. Ze strachu?! Struchlała z samej siebie. Mógł się zbliżyć kto bądź, ten, tamten, inny, kto bądź — struchlała z samej siebie.

Tak!

A tu od Knote bije gorąc osobliwy. Ciepło i jakby łuną. Z czego zaś — niewiadomo. Nie ta sama to Knote! W kapeluszu, z wstążkami, bez chustki, lecz w płaszczyku opiętym.

Miała Lenorze do powiedzenia i zapomniała co? Chyba, że nic ważnego? Aha owszem! — Trzymała

w ręku ciastko migdałowe, dała ułamać koniec. Koniecznie, tak, koniecznie.

— Co to miałam powiedzieć? No, więc właśnie! Tu masz list do Mieniewskiego — rzekła, chrupiąc szybko migdały. — Przyszedł przed dwiema godzinami. Ekspres.

Wpadały te słowa w Lenorkę, — jakby w studnię. Każde kolejno buchnie, uderzy — i bez śladu przeleci.

— Młody Mieniewski jest właśnie u Kostryniów. Jeśli chcesz, — zadzwoń lekko na dole i list oddaj. Jeśli chcesz.

— Chcę.

List był duży, koperta piękna, sztywna, w czterech rogach lakowana, a przecież zdało się Lenorze, że nic nie waży w ręku: mniej, niż piórko.

Stała z tym listem na chodniku i oto nagle zapomniała, którędy stąd, z ulicy Przemysłowej idzie się do Kostryniów? Czy przez Miedzianą, czy przez Trzeciego Maja, czy dokoła Erazma? Gdzie mieszkają Kostrynie i gdzie, co, jak, którędy wszystko się obraca?!

Zeszła wdół, ulicą Przemysłową, w stronę żeberka kolejowego, między hutą a kopalnią. Poszła zwykłą najprostszą drogą, we właściwym kierunku, wzdłuż sinego muru huty Katarzyny i już stanęła przed wszystkiemi oknami tego pierwszego piętra, a wciąż trwało dziwne, śmieszne pytanie, — gdzież mieszkają Kostrynie?!

Przez zapuszczone story nie było nic widać, choć świecili we wszystkich siedmiu oknach frontu, które każdy człowiek w Osadzie znał przecie doskonale.

Ulicą latał kurz, ludzie wracali z wałów, z wytartych łączek z dziećmi na rękach. Czasem przejeżdżał jakiś powóz kopalniany, albo nawet samochód.

Zdaleka znów, od kolejowej stacji przyganiał dech lokomotywy, to znów przelecieli chłopaki dużą gromadą z harmonijką na czele.

Ogarnęły Lenorkę ze wszech stron dźwięki tej harmonijki, przeniknęły zdziwione, głośne, — znikły, — ona zaś, Lenora, pozostała: oparta o mostek nad ściekiem, naprzeciw owych siedmiu złoconych okien, zupełnie pogubiona.

Cofnęła się parę domów wgórę, — kiedy nadszedł policjant. Tłukł butami po bruku, a z pod daszka spozierał zimnem spojrzeniem władzy, — poco?

Nie spuszczając z oka drzwi wejściowych, cofnęła się Lenorka znowu parę domów zpowrotem, w stronę parku Francuzów, pod ogromne, drutowane sztachety.

Wiało tu człowiekowi od wielkich drzew, od stawu zaśniętego, na którym gęsta rzęsa kołysała się w świetle latarni.

Przez balaski i druty sztachetów leciały z głębi ogrodu ostatnie liście buków, grabów i dębów i różnych innych drzew drogich, które tam dla Francuzów rosły.

Wiewały przeciw blaskom huty Katarzyny, czarne, suche, szumiące.

Spodobało się to Lenorze dopiero teraz, nagle, jak nic w życiu: stać cicho pod parkanem, patrzeć we drzwi zamknięte i w cudze okna oświetlone, a tu liście niech lecą przed siebie na ulice, na dachy, przez noc z wie-

czornym wiatrem. A z temi liśćmi, w taką smutną niedzielę ubywa też z człowieka i leci.

Ubywa jedna chwila, druga, trzecia, ubywa pół godziny i więcej, — wiele, dużo i niechby już tak zawsze!

Gdy oto, po tym czasie właśnie i właśnie wśród tych liści ostatnich — otwarło się!

Nie był to płacz! Gdyż skądże znowu? I o co? I dlaczego? Lecz poniekąd, — jak źródło. Jak woda w oczach zgromadzona, która spływa i znika i tylko usta po niej drżą.

Przez taką wodę słoną, czystą, na dziesięć, tysiąc szybek rozłamaną, ujrzała nagle Lenorka Tadeusza:

Otwarły się wysokie drzwi, czerwień wewnątrz domu okazały, z czerwieni wybiegł, — Tadek!

Ciastka do piersi przygarnęła a w drugiej ręce list i — niby kołowrotem wyrzucona, z wszystkich dźwigów i wszystkich haspli i wszystkich sił całego świata przeleciała ulicę.

I z wszystkich sił, nie obejmując wcale, nie chwytając rękoma, przylgnęła już do niego.

Nie mogąc nic powiedzieć.

Nie mogąc nic wyrazić.

Ani odetchnąć. Ani drgnąć. Tylko — tak!

Tylko — tak!!

Trzeba wielkiego szczęścia, że dom Kostryniów kończy się pustem miejscem w ulicy, a na lewo od tego domu ciągną się proste mury huty Katarzyny, — nie zaś na prawo. Trzeba takiego szczęścia, że w lewo zaraz idzie puste miejsce, niczyje chyba, — ciemna sionka

w ulicy za którą znów dopiero dalej strzępią się niskie domki osadnickie.

W tę sionkę wpadli Tadeusz i Lenora, tu dopiero objęli się za tyle godzin, choć nic przecie o tych godzinach nie wiedzieli. Tu dopiero wygadał się Tadeusz i wyszeptał szczegółowo: do tego stopnia, że Lenora, tak silna przecie, taka mocna, zwisła w jego ramionach bez żadnej władzy, strasznym ciężarem wielkiego swego żalu.

Jak mu tam idą sprawy u Kostryniów, owe sprawy handlowe, zawiłe. Idą, idą te sprawy i wino leje się przy nich doskonałe i światło i salony i jest ta panna, jak lalka, która nawet pomaga, lecz wszystko razem, — czy wiesz co?

— Jedna straszna, obrzmiała, najcholerniejsza cholera!

— A ja mam list do ciebie, — zachłysnęła się cicho Lenorka.

Wziął jej to z rąk, zobaczył w kącie koperty dostojny druk

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ

— No więc widzisz, od ojca! — Wepchnął ów list do kieszeni od spodni i ucieszył się wielce.

W dwójnasób: — Że to ty właśnie przynosisz ten list od starego. Zobaczysz, będzie dobry! Teraz chodźmy.

Dokąd? Ba, niewiadomo — dokąd. Zabawić się.

W Osadzie niema się gdzie zabawić. Karuzele już stoją, — już za późno. Jest jeszcze tylko przy Miedzianej strzelanie. Jeżeli nie zamknięte. A potem będzie późno.

— Dokądże teraz wracać?!

Owiało nagle Lenorę ze wszystkich stron, jak mrozem. Dokądże teraz wracać? Chyba, że niema dokąd, nigdzie nigdy nie wróci już zpowrotem, nikogo z dawnych ludzi i nigdy więcej za żadne skarby nie zobaczy.

Więc wszystko jedno, — poszli.

Na Miedzianą, — skoro inne zabawy zamknięte. Na Miedzianą, aby trochę postrzelać.

Pod rękę.

Nie wypadało. Za nic! Lenora nie chciała.

Co innego przy sobie blisko. Można — ile wlezie.

Szli więc ciągle przy sobie rudemi uliczkami, przy sobie, na zmienianą nogę, biodra spotykały się zderzone szybkim krokiem i ramię przylegało ciągle do ramienia.

Jakiż to dziwny chód?! Gdy zbliżał ich ku sobie otwierało się w Lenorze szczęście, — że o wszystkiem zapomnieć. A gdy ich znów rozłączał, zapadała się w ciemność straszliwszą, — niż dzisiejsze wspomnienie.

Tak doszła z swoim Tadkiem najszczęśliwsza a zarazem śmiertelnie przerażona do owego strzelania w budzie pomalowanej na biało i czerwono.

I tu znów zaraz o wszystkiem zapomniała: Nie przez raglan: Że to jej chłopiec w takim pięknym płaszczu. Czyż stała o bogactwa? Nigdy w życiu. Lecz strzelał ku zadziwieniu wszystkich, którzy tu przegrywali stawki, gdyż nie umieli.

Nikt nie umiał, jak Tadek.

A taki śmieszny: Jakgdyby sok wyrabiał w sobie. Sam sok celowania. Musiało przedtem strzyknąć mu

coś przez zęby, czy jak? Dopiero, gdy strzyknęło, pochylał głowę nad flobertem, przymierzył się cierpliwie, przymrużył piękne oko i uśmiechnął się jeszcze i westchnął błogo i masz! Zawsze trafił!

— Bo trzeba umieć strzelać, gdy się strzela, — powiedział gdy już wyszli. Przytem ujął Lenorkę wysoko, pod pachę. Dla czułego ciepła, prawie że podniósł wgórę.

Dałaby sobie wyrwać rękę z ramienia, byle już nic nie myśleć a tylko to pomiętać, że Tadek żadnej zdrady nie wyrządził. Lecz o tem też nie chciała pamiętać.

O niczem, — och, najlepiej o niczem, — tylko iść. Dalej, prędko, przed siebie i gdzie ją zaprowadzi.

Zaprowadził na drugą przyjemność, którą kiedyś zaczęli, lecz nie dokończyli: Na oględziny lotniczego aparatu.

Za biletami, — dziesięć groszy od osoby. Odbywało się coprawda na podwórzu Rady•Kopalń i Hut, lecz przecie Rada nie ma własnego monopolu na powietrze. Takie słowa, słyszane kiedyś dawniej, od ludzi o tej rzeczy dodała teraz Lenorka, by było przyjemniej.

Aby sam nie mówił ciągle, lecz, jak rozmowa, — niech idzie naprzemiany z obydwu stron.

Ledwie zdążyli na podwórze pokazu.

Tadeusz zapłacił kapralowi więcej, niż za dwoje: Nie dwadzieścia groszy, lecz sześćdziesiąt. Mówiła o tem niedawno Karolcia Domagało: Za trzydzieści od osoby ogląda się, a potem wsiada; kaprale zakręcają śmigę, motor warczy i jedzie się, — jak przez samo powietrze.

Ludzi żadnych już prawie; w oknach Rady ciemności; samolot cień rozkładał pod sobą dość rozmaity, gdyż nikły w nim raz po raz puszyste płatki śniegu.

Pod koniec niedzieli tak właśnie złożyło się szczęśliwie, iż spadł pierwszy śnieg.

— Na jutro wszystko będzie białe — zaśmiała się Lenorka.

Obejrzeli samolot, Tadeusz wytłumaczył rozmaite szczegóły, gdzie i co i jak mieści się w tej maszynie. Wyspinali się po małej drabince i zasiedli do środka.

We dwoje!

Tu dopiero od chrzęstu w kieszeni przypomniał się Tadeuszowi ów list.

— Bierz ciastka, — krzyknął Tadek przez ostry szum motoru, — a ja zaraz przeczytam.

Objął ją mocno przez pół, rękę sklepił od dołu na kochanej piersi, czytał, Lenora jadła, przełknąć wcale nie mogąc: w usta, w gardle paliło ją to ciastko, — jak niegaszone wapno.

Pod bokiem i na piersi zelżały uściski Tadeusza. Czytał ogromnie pilnie.

Patrzyła przed się, na rzadkie płatki śniegu, aż drżąca z przerażenia: Pierwszy to raz od niepamiętnych czasów, od kiedy myślą mogła sięgnąć, stało się coś, że nie powiedzieć, nie odrobić! Że rozpływał się od tego jej Tadek i znikał i przepadał, choć teraz właśnie kochała go nad życie i do wszelkiego zapomnienia.

Nie patrzył na nią: czytał.

Nie przeszkadzało mu, że śnieg pada na papier i przesłania niektóre słowa, czy litery.

Ręce mu drżały!

Czytał powoli drugą już zkolei stronicę sejmowego formatu, pisaną charakterem ważnych ustępów ojcowskiego pamiętnika.

Litery wielkie szczerbate, coraz spadały z linij i spłoziły się wdół; wysiłek ręki ojcowskiej wlókł je znowu pod górę. Ach, — wystarczyłoby może nawet samego kształtu owych liter, aby zrozumieć treść.

Treść — żadna, bardzo przykładne słowa, — może wieczne? Wskazania i nauki. O ludzkości w tej ciężkiej, przełomowej chwili. O upadku autorytetu, który zpowrotem — mimo wszystko — należy co prędzej odbudować. O położeniu kraju naszego na rubieży dwóch światów. A więc, — o specjalnych, podwójnych tutaj obowiązkach. Wobec ojczyzny.

(Czy jest gdzie na świecie, do cholery ojczyzna bez podwójnych obowiązków?!)

Wskazanie osobiste: Jakim masz być?

Z czcigodnych, mądrych i posuwistych zdań wypadało, iż trzeba być jedynie takim, — jakim wygodnie jest rządzić. Trzeba być — dla leadera. Dla wszelakich leaderów.

Miernym i pracowitym. Cierpliwym i ufającym.

Konkluzje:

Tadeusz czytał w głośnym trzasku maszyny i zdawało mu się chwilami, że to chyba już nie maszyna, że to te słowa ojcowskie warczą tak skrzekliwie.

W konkluzjach następowały sumienne, schludne wyliczenia. Pół szczere, pół nieszczere. W których wypominano pozycje istotne ojcowskiego stosunku, za-

mienione na pieniądze, na cyfry, rozchody, wydatki i sumy.

Grube, tłuste sumy ze staroświeckiemi kropkami nad każdą jedynką.

Tak więc — nie było rady.

Nie było żadnej rady!

Trzeba przestać kochać te stare dawne lata i wspomnienia! Przestać doreszty wierzyć w ścięty profil ojcowski, w wąskie, tak srogie usta retora nędzarzy. Trzebaby w myślach przyprawić temu kochanemu człowiekowi opasły brzuch, bandzioch, wór, kałdun, — by powrócić! A samemu sobie przemazać wszystkie lata wojny, zapomnieć, jak się trupy precz odrzucało i naprzód szło!

Tadeusz zmiął w swych wielkich dłoniach cztery sztywne arkusze ojcowskiego pisma, ugniótł z tego wszystkiego jeden cieżki pakuł, już miał wykrzyknąć: — A to ci stary głupi, — gdy oto jakby nagle dostał kulą w bok.

To Lenora!

Wybladła i spłakana i tak okrutnie czegoś tu nagle nieszczęśliwa, aż zda się biała z przerażenia.

Objęła go przez piersi.

Skulili się.

Dyszała mu nieomal prosto w usta, wargami, które drżały, jakoby bez jej woli. Dyszała strasznym, przenikliwym żalem:

— Tadek, Tadek, mój Tadek!!! Nie mam gdzie wracać! Że cię kocham, — to nie mam już gdzie wracać, — Tadek...

— A ja mam? — Od tego słowa jakby się w Tadeuszu rozdarło całe serce. — A ja mam? Powiedz, Lenorka, — mam?

Mignęło im niebo nad oczami, przechyliło się w głąb i już ucałowali się na długo, długo, długo, razem przez zobopólne łzy i skośne płaty śniegu.

SPIS TREŚCI